

LAURA THALASSA

Przybyli na Ziemię, aby nas zgładzić.



JEŹDŹCY APOKALIPSY TOM I

ZARAZA

FILIA

LAURA THALASSA

ZARAZA

Przełożyła
Katarzyna Agnieszka Dyrek

FILIA



*Teresie, za szczerą troskę,
niekończące się poświęcenie i absolutną miłość.
To właśnie takich ludzi najbardziej potrzeba światu*



*I ujrzałem: gdy Baranek otworzył pierwszą z siedmiu pieczęci,
usłyszałem pierwsze z czterech Zwierząt mówiące jakby głosem gromu:
„Przyjdź!”*

*I ujrzałem: oto biały koń, a siedzący na nim miał łuk. I dano mu wieniec,
i wyruszył jako zwycięzca, by zwyciężać.*

Biblia Tysiąclecia, Nowy Testament, Apokalipsa św. Jana 6:1-2

PROLOG



Przybyli wraz z burzą.
Niebo zawrzało, wielkie pióropusze chmur zderzały się i kłębiły.
Pustynne powietrze stężało, dało się wyczuć wilgoć i nienaturalną woń zgnilizny.

Rozbłysnął piorun.

Zabrzmiał grzmot.

Zapanowała jasność, jakby świat stanął w płomieniach, i pojawili się oni – cztery bestie w ludzkich postaciach, siedzące na przerażających rumakach.

Potworne wierzchowce stanęły dęba, wierzgając w powietrzu, a ich jeźdźcy spojrzeli na świat obcymi, upiornymi oczami.

Zaraza miał na głowie wieniec.

Wojna unosił wysoko stalowy miecz.

Głód trzymał kosę i wagę.

A Śmierć ze złożonymi za plecami czarnymi skrzydłami ścisnął w dłoni dymiącą pochodnię.

Czterej jeźdźcy Apokalipsy przybyli na Ziemię, aby położyć kres życiu i zgładzić śmiertelników.

Niebo pociemniało, rumaki ruszyły cwałem, wzbijając kurz.

Na północ, wschód, południe i zachód.

Jeźdźcy rozpierzchli się na cztery strony świata, a wskutek ich przybycia popsuła się elektronika, wybuchły bezpieczniki. Internet

przestał działać, padły komputery. Silniki odmówiły posłuszeństwa, z nieba pospadały samoloty.

Minuta po minucie, cała technologia przestawała istnieć, a świat spowila ciemność.

Tak było, tak być powinno, bo epoka człowieka dobiegła końca, a nastąpiła Era Jeźdźców.

Przybyli na Ziemię, aby nas zgładzić.

ROZDZIAŁ 1



Rok piąty Ery Jeźdźców

– Ciągniemy zapałki.

Spojrzenie piwnych oczu kieruję na wąskie, małe drewnienka, które trzyma Luke. Pociera łebkiem jednego o nasz chropowaty stół. Na chwilę rozbłyska płomień, nim mój towarzysz go zdmuchuje.

Wokół nas, na posterunku straży pożarnej, lampy szumią w ten niepokojący sposób, jak większość urządzeń w dzisiejszych czasach, jakby w każdej chwili mogły się poddać.

Luke trzyma poczerniałą zapałkę.

– Przegrany zostaje, aby zrealizować nasz plan.

To był bardzo zmuśny proces decyzyjny. Jedna osoba skazana na śmierć, by trzy pozostałe mogły przeżyć.

I żebyśmy mogli zabić tego bezbożnego sukinsyna.

Luke wkłada spaloną zapałkę pomiędzy trzy inne, po czym opuszcza rękę pod stolik i je miesza.

Na zewnątrz poza wycofanym z eksploatacji wozem strażackim znajdują się nasze spakowane rzeczy. Jesteśmy gotowi do ucieczki.

Jeśli, oczywiście, znajdziemy się w trójce szczęśliwców.

Luke w końcu unosi rękę, odwrócone zapałki wystają z jego zamkniętej dłoni.

Felix ciągnie jako pierwszy...

Czerwona główka.

Wypuszcza wstrzymywane powietrze. Widzę, że chciałby się odchylić do tyłu, jego ulga jest aż tak oczywista. Jest jednak zbyt męski i zbyt świadomy dyskomfortu reszty, by to zrobić.

Ciągnie Briggs...

Czerwony łepiek.

Wymieniamy z Lukiem spojrzenia.

Jedno z nas umrze.

Widzę, że mężczyzna przygotowuje się, by zostać. Wcześniej tylko raz widziałam taki wyraz na jego twarzy, gdy gasiliśmy pożar, który nagle nas okrążył. Ogień poruszał się, jakby kierował nim sam diabeł, a Luke miał wtedy minę skazańca.

Oboje wtedy przeżyliśmy. Być może przeżyjemy i to.

Podsuwa mi pięść, wystają z niej dwie zapałki. Szanse pół na pół.

Nie zastanawiam się. Biorę jedną.

Potrzeba ułamka sekundy, aby zarejestrować jej barwę.

Czarna.

Czerń oznacza... śmierć.

Powietrze ulatuje mi z płuc.

Spoglądam na kolegów z brygady, którzy patrzą na mnie z litością i przerażeniem.

– Wszyscy kiedyś umrzemy, nie? – mówię.

– Sara... – zaczyna Briggs, który, jak mi się wydaje, lubi mnie bardziej niż koleżankę z pracy czy przyjaciółkę. – Pójdę za ciebie – mówi. Jakby jego odwaga miała jakieś znaczenie. Przecież nie będziemy mogli się spotykać, jeśli zginie.

Ściskam w dłoni spaloną zapałkę.

– Nie – odpowiadam z determinacją. – Już postanowiliśmy.

Mam zostać.

Oddycham głęboko.

– Kiedy będzie po wszystkim – mówię – proszę, niech ktoś opowie moim rodzicom, co się stało.

Próbuję nie myśleć o rodzinie, którą ewakuowano wcześniej w tym

tygodniu z resztą mieszkańców miasta. Mama, która odcinała skórki z moich kanapek, gdy byłam małą, i tata, który tak bardzo się zdenerwował, kiedy oznajmiłam, że zgłosiłam się na ochotnika na ostatnią zmianę. Patrzył na mnie, jakbym już nie żyła.

Miałam spotkać się z nimi w domku myśliwskim mojego dziadka.

Ale do tego nie dojdzie.

Feliks kiwa głową.

– Dasz radę, Burns.

Wstaję. Reszta się nie rusza.

– Idźcie – rozkazuję w końcu. – Będzie tu za kilka dni. – Jeśli nie godzin.

Widzą, że żarty się skończyły, bo nie spierają się i nie ociągają. Ściskają mnie kolejno i mocno tulą.

– Powinno być inaczej – szepcze mi do ucha ostatni w kolejce Briggs.

Powinno, mogło, byłoby. Nie ma powodu, by to teraz roztrząsać. Cały świat powinien być inny. Jednak nie jest, i tylko to się liczy.

Przez duże okno obserwuję, jak odchodzą. Luke wyprowadza z garażu konia, a Briggs i Felix wsiadają na rowery, założywszy na ramiona plecaki.

Długo po ich odejściu zaczynam zbierać swoje rzeczy. Zerkam na plecak wypełniony sprzętem pozwalającym przetrwać oraz antologią dzieł Edgara Allana Poego, nim kieruję wzrok na strzelbę dziadka. Naoliwiony metal wygląda wyjątkowo zabójczo.

Nie ma czasu na strach. Nie, póki nie wezmę się do roboty.

Może zginę, ale przynajmniej zabiorę ze sobą tego skurwiela z piekła rodem.

ROZDZIAŁ 2



Nikt nie wie, skąd wzięli się czterej jeźdźcy. Wiadomo tylko, że pewnego dnia pojawili się na swoich rumakach, przemierzając miasta i wioski. A kiedy jechali, ludzka technologia załamywała się jak fale uderzające o skały.

Nikt nie wiedział, co to oznaczało, szczególnie gdy czterej jeźdźcy zniknęli równie nagle, jak się pojawili.

Nie odtworzyliśmy elektroniki, ale zaczęliśmy racjonalizować niewytłumaczalne zjawiska: to rozbłysk słoneczny. Terrorysty. Zsynchronizowane impulsy elektromagnetyczne. Szkoda, że żadne z tych tłumaczeń nie miało sensu – ale były bardziej logiczne niż jakaś biblijna apokalipsa, więc z trudem przełknęliśmy te czerstwe historie.

Wtedy ponownie pojawił się Zaraza.

Przez długi czas po wyjeździe moich kolegów z brygady – byłej już ekipy – siedzę przy stole, wodząc palcami po wypolerowanej drewnianej kolbie strzelby dziadka, przyzwyczajając się do jej ciężaru.

Poza ćwiczebnym strzelaniem do puszek przez ostatnie dwa tygodnie od lat nie miałam broni w rękach.

W swoim życiu strzeliłam z tej strzelby do jednego stworzenia – bażanta, którego śmierć nawiedzała moje sny, gdy miałam dwanaście lat.

Ale teraz będę musiała użyć jej ponownie.

Wstaję, rzucając kolejne spojrzenie przez okno. Rower i przyczepka,

którą przypięłam z tyłu, stoją na podjeździe. Przywiązałam do niej torbę z jedzeniem, apteczkę i inne niezbędne rzeczy. Dalej rozciąga się kanadyjska dzicz. To wzgórza otaczające nasze miasto o nazwie Whistler. Któż by pomyślał, że jeździec zawita akurat tu, do tego zapomnianego zakątka globu?

Podchodzę do lodówki i wydaję piwo – świat może się kończyć, ale pieprzyć to, jeśli jest ten bursztynowy napój.

Otwieram butelkę, przechodzę do pokoju dziennego i próbuję włączyć telewizor.

Nic.

– Na litość boską. – Mam umrzeć straszną, okropną śmiercią, a akurat dziś telewizor postanawia przestać działać.

Uderzam go otwartą dłonią.

Wciąż nic.

Mamrocząc przekleństwa, z których dziadek byłby dumny, kopię bezużyteczny sprzęt bardziej ze złości niż z czegokolwiek innego.

Ekran budzi się do życia, pojawia się ziarnisty wizerunek prezenterki, choć jej twarz wypaczona jest przez kolorowe paski i wykrzywiona z powodu marnej jakości sygnału.

– ...najprawdopodobniej porusza się przez Kolumbię Brytyjską... kieruje w stronę Oceanu Spokojnego... – Trudno wychwycić słowa kobiety, bo z głośników dobiega również szum. – ...po jego przybyciu mamy raporty o Gorączce Mesjanistycznej... – Wystarczy, by Zaraza przejechał przez miasto, a jego obywatele zostają zainfekowani.

Badacze – ci, którzy pozostali, poświęcając się pracy nawet po upadku technologii – wciąż nie wiedzą zbyt wiele o tej pladze, prócz tego, że jest wysoce zaraźliwa, a rozprzestrzenia się głównie przez jeźdźca. Nadano jej nazwę Gorączka Mesjanistyczna, ale potocznie mówi się po prostu o Gorączce. Nazwę tę wymyślili agenci, a świat podzielił się na nich, świętych i grzeszników.

Wyłączam telewizor, biorę plecak i broń, a następnie wychodzę, gwizdząc utwór przewodni z *Indiany Jonesa*. Może jeśli będę udawać, że to film przygodowy, a ja jestem bohaterką, nie będę tyle myśleć o tym, co

muszę zrobić, aby ocalić swoje miasto i resztę świata.

Większość dnia i sporą część wieczoru spędzam na rozbijaniu obozu przy autostradzie numer 99, trasie, którą najprawdopodobniej obierze jeździec. I, dobry Boże, mam nadzieję, że zjawi się tu, gdy wciąż będzie jasno. I tak nawet za dnia nie potrafię za dobrze wycelować, więc nocą mogę zastrzelić siebie zamiast jego.

Wiedząc jednak, jakie mam dziś szczęście, dostrzegam spore ryzyko, że to spieprzę. Może Zaraza podąży inną drogą lub zda się na spryt i nadjedzie z innej strony. A może mnie minie, a ja nawet tego nie zauważę.

Może, może, może...

A może nawet tak dzikie, przerażające rzeczy mają w sobie odrobinę logiki.

Biorę strzelbę i dodatkową amunicję, i przysuwam się bliżej drogi. Układam się i czekam.

Przybywa wraz z pierwszym śniegiem.

Cały świat jest cichy, gdy następnego ranka miękkiej, białej koc płatków spowija krajobraz i zmienia kolor asfaltu na perłowy. Ciągłe pada, i wygląda to niedorzecznie pięknie.

Nagle ptaki odlatują z drzew. Wzdrygam się, gdy widzę je wszystkie nad sobą, ich sylwetki ciemnieją na tle zachmurzonego nieba.

Następnie z kilku różnych kierunków dochodzi wycie wilków. Od tego dźwięku przeszywa mnie dreszcz. To jakby ostrzegawcze nawoływanie, pobudka, po której ożywa reszta lasu. Uciekają obok mnie i drapieżniki, i ofiary. Szopy, wiewiórki, zające, kojoty – wszystko oddala się pospiesznie. Pośród nich zauważam nawet pumę.

Zaraz wszystkie zwierzęta znikają.

Biorę drżący oddech.

Nadchodzi.

Kucam w ciemnym lesie, ściskając w dłoniach strzelbę. Sprawdzam komorę z nabojami. Wyjmuję wszystkie i ponownie ładuję, aby mieć pewność, że są na swoich miejscach. Wszystko ustawiam i poprawiam

chwyt.

Kiedy sprawdzam dodatkową amunicję w kieszeniach, wszystkie włoski na karku stają mi dęba. Powoli unoszę głowę i patrzę na opuszczoną autostradę.

Najpierw go słyszę. W chłodnym powietrzu poranka roznosi się echo końskich kopyt. Z początku tak cicho, jakbym je sobie wyobraziła, ale zaraz dźwięk przybiera na sile, aż widzę jeźdźca.

Tracę cenne sekundy, gapiąc się na... to coś.

Siedzi na białym rumaku i chroni go złota zbroja. Na plecach ma łuk i kołczan. Blond włosy przyciska złota korona, a jego twarz jest anielska i dumna.

Niemal nie można na niego patrzeć. Jego widok zapiera dech w piersi. Ten mężczyzna jest zbyt imponujący, zbyt złowieszczy. Tego się nie spodziewałam. Nie oczekiwałam, że zapomnę o sobie i swoim zabójczym zadaniu. I że poczuję się... poruszona. Ale nie strachem czy nienawiścią.

Przytłacza mnie postać pierwszego z czterech jeźdźców Apokalipsy.

Zarazy Zwycięzcy.

ROZDZIAŁ 3



Nikt nie wie, dlaczego pięć lat temu jeźdźcy przybyli na Ziemię ani dlaczego zniknęli niedługo później. Nie wiadomo również, dlaczego tylko Zaraza powrócił, by siać spustoszenie pośród żyjących.

Oczywiście wszyscy mają na to odpowiedzi, jednak większość z nich jest tak prawdopodobna jak istnienie Wróżki Zębuszki. Nikt jednak nie miał szansy, by zapytać o to samych jeźdźców.

Możemy więc tylko się domyślać.

Wiemy natomiast, że pewnego dnia, siedem miesięcy temu, podano nowe informacje.

Jeździec widziany był w okolicach Parku Narodowego Everglades na Florydzie. Na pojawienie się kolejnych wiadomości musieliśmy poczekać około tygodnia. Mówiono, że dziwna choroba zbiera żniwo w Miami.

I wtedy obwieszczono pierwsze zgony. Nagłośniono historię kobiety, która przez kilka godzin była jedyną tragicznie zmarłą osobą. Liczba zgonów zaczęła jednak szybko wzrastać. Śmierć rozprzestrzeniała się gwałtownie, wyludniając Miami, potem Fort Lauderdale i Boca Raton. Przesuwała się po Wschodnim Wybrzeżu Stanów Zjednoczonych wraz z trasą mrocznego jeźdźca.

Tym razem, gdy przemierzał miasto, nie padała technologia, lecz ludzie. Wtedy ludzkość zrozumiała, że powrócił Zaraza.

Wpatruję się w jeźdźca. Nie jest człowiekiem, tak samo jak jego

wierzchowiec nie jest koniem.

Kiedy widziałam go po raz ostatni w telewizji, przemierzał Nowy Jork z łukiem w dłoni, strzelając do uciekających, rozwrzeszczanych ludzi.

Musiałam obejrzeć ten reportaż z pięć razy, zanim w to uwierzyłam. Potem już nie mogłam na to patrzeć.

Ale oto jest. Zaraza we własnej osobie.

Stuk, stuk, stuk. Koń porusza się wolno. Śnieg gromadzi się na ramionach i włosach jeźdźca. I w jakiś sposób te białe płatki dodają mu dziwnego, obcego piękna.

Nie ruszam się, pełna obaw, że para wydobywająca się z moich ust go zaalarmuje, ale on wydaje się zupełnie nie przejmować swoim otoczeniem. Nie musi tego robić. Nikt prócz mnie nie zgodziłby się dobrowolnie podejść tak blisko do ucieleśnienia śmiertelnej choroby.

Nie odrywając wzroku od Zarazy, unoszę strzelbę. Potrzebuję zaledwie kilku sekund, by wziąć go na muszkę. Ustawiam cel na jego pierś, bo tylko w nią mam szansę trafić. Żołądek zaczyna mi się kurczyć, gdy obserwuję go przez celownik broni.

Widziałam ludzką śmierć. Widziałam ciała spalone tak, że nie można było ich rozpoznać, i czułam obrzydliwy swąd palonego mięsa.

Mimo to... waham się z naciśnięciem spustu.

Nigdy nikogo nie zabiłam prócz tego nieszczęsnego bażanta. Ponieważ istota, którą mam przed sobą, wygląda jak żyjący i czujący człowiek, zapominam, że nim nie jest, że podróżuje po Ameryce Północnej, siejąc chorobę. To wystarczający powód do walki z samą sobą.

Mocniej chwytam broń i zamykam oczy. Jeśli to zrobię, przeżyją moi rodzice, Briggs i Felix, a także Luke. Moi koledzy z brygady i ich rodziny. Cały świat przeżyje, jeśli uwolnię go od Zarazy.

Muszę tylko przesunąć palec o centymetr.

Nigdy nie uważałam się za tchórza, ale przez tę jedną chwilę niemal się wycofuję.

Pieprzyć moralność, Burns. Niech twoja śmierć nie pójdzie na marne.

Wciągam powietrze, wypuszczam je i naciskam spust.

BUM!

Odgłos wystrzału jest niemal tak szokujący jak odrzut, a echo niesie się po cichym lesie.

Jeździec przede mną stęka, a siła pocisku zrzuca go z konia. Rumak staje dęba, wierzgając w powietrzu i wydając z siebie przerażone rzenie, po czym puszcza się galopem.

Robi mi się niedobrze.

Zaraz się porzygam.

Wierzchowiec wciąż galopuje.

Może to on rozsiewa chorobę, a nie mężczyzna. A może obaj.

Nie mogę ryzykować.

– Przepraszam – szepczę, ponownie celując.

Tym razem łatwiej nacisnąć spust. Może dlatego, że już to raz zrobiłam i jestem gotowa na odrzut, huk wystrzału i zapach prochu. A może zabicie zwierzęcia jest łatwiejsze niż człowieka – bez względu na to, że żadna z tych istot nie jest tym, czym się wydaje.

Rumak porusza przednimi nogami, jego ciało wykrzywia się na chwilę, a z gardła wydobywa się agonálny jęk. Koń opada na bok jakieś trzydzieści metrów od swojego pana i przestaje się ruszać.

Przez dłuższą chwilę próbuję złapać dech.

Zrobione.

Dobry Boże, naprawdę to zrobiłam.

Odkładam broń i kieruję się w stronę drogi, nie spuszczając jeźdźca z oka. Jego zbroja została uszkodzona. Nie wiem, czy śrut przebił napierśnik, czy po prostu tak rozorał metal, ale widzę, że kilka odłamków dosięgnęło również pięknej twarzy.

Gorąca żółć pali mnie w gardło. Wokół jego głowy tworzy się kałuża krwi i mimo że jego oblicze jest poranione, udaje mu się jęknąć.

– O Boże – szepczę. To wciąż żyje.

Ledwo zdążam się obrócić, nim wymiotuję.

Jego oddech jest rżący. Zaraza wyciąga do mnie rękę, dotyka palcami mojego buta.

Odskakuję, piszcząc, i niemal upadam na tyłek.

Nie wiedziałam nawet, że znalazłam się tak blisko.

Muszę to zakończyć.

Na niepewnych nogach biegnę z powrotem po broń.

Dlaczego ją tam zostawiłam?

Przez panikę nie pamiętam, pod którym drzewem ją położyłam, a jeździec wciąż żyje.

Przestaję szukać i idę do małego obozowiska, które sobie urządziłam. Pomiędzy moimi rzeczami znajdują się zapalniczki i benzyna do zapalniczek.

Ręce mi się trzęsą, gdy je biorę. Wracam do Zarazy, poruszając się mechanicznie.

Naprawdę zamierzam to zrobić? Wpatruję się tępo w trzymane w dłoni przedmioty. Jeździec wciąż żyje, a ja zamierzam spalić go żywcem. Kobieta, która pracuje w straży pożarnej.

Śmierć w ogniu nie jest przyjemna. Właściwie to jeden z najgorszych sposobów na rozstanie się z tym światem. Najwyraźniej nie nienawidzę Zarazy wystarczająco mocno, ponieważ ledwo mogę znieść myśl o tym, co zamierzam zrobić.

Podchodzę do jeźdźcy i otwieram buteleczkę z benzyną. Przygryzam wargę, aż zaczyna krwawić, obracam naczynie i wylewam jego zawartość. Oblewam ciało od głowy do stóp. Muszę na chwilę przerwać, by ponownie wymiotować.

Butelka jest pusta.

Ręce trzęsą mi się tak mocno, że nie potrafię utrzymać w palcach wyciągniętych zapalek i wciąż je upuszczam. W końcu uspokajam się na tyle, by przytrzymać jedną, ale problem powraca przy potarciu jej o pudełko.

Jeździec ponownie chwyta mnie za kostkę.

– ...rooszeeee... – jęczy przez zniszczone usta.

Łkam. Wydaje mi się, że błaga.

Nie patrz na niego.

Potrzebuję pięciu prób, ale w końcu udaje mi się odpalić zapalniczkę. Nie chcę jej jednak puścić. Gdybym mogła, wpatrywałabym się w ogień tak długo, aż poparzyłabym sobie palce. Niestety dłoń mi się trzęsie i zapalniczka wypada.

Ubranie Zarazy natychmiast staje w ogniu i słyszę, jak mężczyzna wydaje agonalny jęk.

Smród palonego ciała unosi się, gdy płomień się rozprzestrzenia.

Z opóźnieniem zdaję sobie sprawę, że zbroja blokuje wzrost ognia, spowalniając tę już i tak okropną śmierć. Ciało pali się jednak zbyt mocno, by go dotknąć. Inaczej mogłabym zdjąć napierśnik lub zdeptać płomienie.

Zaczynam mieć suche torsje. Nie jestem pewna, czy mogłabym zadać tej istocie okrutniejszą śmierć.

Krzyczy, aż już dłużej nie może.

Nikt nie zasługuje na taki los. Nawet zwiastun apokalipsy.

Cofam się, ale moje nogi się poddają.

Nie traktuję tego, co zrobiłam, jak szlachetnego czynu. Nie czuję się bohaterką, która ratuje świat.

Czuję się jak morderca.

Powinna spakować sobie piwo albo nawet pięć. Tego nie da się oglądać na trzeźwo.

Nie mam jednak wyjścia. Przyglądam się, jak na jego ciele tworzą się pęcherze, jak jego skóra czarnieje i się spala. Obserwuję, jak Zaraza umiera powoli, z każdą chwilą coraz bardziej się męcząc. Zostaję w tym miejscu na kilka godzin, siedzę na poboczu opuszczonej drogi, którą już nikt nie podróżuje. Przez cały ten czas moimi świadkami są jedynie drzewa, stojące w bezruchu niczym wartownicy.

Śnieg zbiera się wokół jego ciała i po chwili topnieje przy tłących się resztkach.

W pewnym momencie odrywam od niego wzrok i orientuję się, że konia nie ma, a ślad krwi ciągnie się do lasu. Rozum podpowiada, bym wzięła strzelbę i poszła za śladem, aż znajdę zwierzę, aby je dobić.

Wiem, że to byłoby racjonalne, ale nie oznacza to, że tak zrobię.

Wystarczy śmierci na ten dzień. Jutro dokończę zadanie.

Niebo ciemnieje. Mimo to siedzę nieruchomo, aż zimno przenika mnie aż do kości.

W końcu żywioł zapędza mnie do namiotu. Rozkładam sztywne kończyny, wciąż jest mi niedobrze i jestem obolała. Nie wiem, czy choroba niesiona przez tego stwora już mnie dopadła, czy to po prostu objawy zaniedbania jedzenia i picia oraz braku schronienia i ciepła w ten chłodny dzień. Tak czy inaczej, czuję się okropnie chora. Jakbym była o krok od śmierci.

Opadam na śpiwór, nie trudząc się wchodzeniem do środka.

Wykonałam zadanie.

Zaraza nie żyje.

ROZDZIAŁ 4



Budzi mnie ręka zaciskająca się na moim gardle.
– Spośród wszystkich podłych ludzi, którzy stanęli na mojej drodze, ty jesteś najgorsza.

Natychmiast otwieram oczy.

Bestia w ludzkim ciele pochyła się nade mną, jej twarz znaczą krwawe dziury, a skóra jest zwęglona i powykręcana i w kilku miejscach jej brakuje.

Nie poznałabym go, gdyby nie oczy.

Anielskie, błękitne tęczęwki. Takie, które zawsze widnieją na malunkach na sklepieniach kościołów.

To jeździec.

Zmartwychwstał.

– Niemożliwe – mówię cicho.

Czuję woń prochu i palonego ciała.

Jak mógł to przetrwać?

Mocniej zaciska dłoń na mojej szyi.

– Głupi człowiek. Naprawdę sądziłaś, że nikt nigdy nie próbował tego, co ci się nie powiodło? Próbowano zastrzelić mnie w Toronto, wypatroszyć w Winnipeg, wykrwawić w Buffalo i udusić w Montrealu. Próbowano jeszcze wielu rzeczy w innych miastach o nazwach, których zapewne nie znasz, bo was, ludzi, nie obchodzi nic prócz was samych.

Ktoś już tego... próbował?

I poniósł porażkę.

To jak kubek zimnej wody wylanej na głowę. Oczywiście, że ktoś próbował go wykończyć. Powinnam była o tym wiedzieć, ale nie oglądałam nagrań, nie słyszałam raportów z tych prób. Ktokolwiek starał się go uśmiercić, nie zdołał ostrzec opinii publicznej, że tego stwora nie można zabić.

– Gdziekolwiek się udam – ciągnie – zawsze jest ktoś taki jak ty, komu się wydaje, że może mnie zabić, aby ocalić ten podły świat.

Trudno patrzeć w jego groteskową twarz, która mimo wszystko wygląda znacznie lepiej niż wtedy, kiedy zostawiałam za sobą zwęglone resztki jeźdźca.

Zaraza przyciąga mnie do siebie.

– A teraz zapłacisz za to, że ośmieliłaś się to zrobić.

Unosi mnie, szarpiąc za szyję.

Sen już dawno odszedł w niepamięć. Chwytam go za rękę, piszcząc, gdy czuję pod palcami kości i ścięgna.

Jakim cudem używa tej kończyny, skoro nie ma w niej żadnych mięśni? Mimo to jego uścisk jest nieustępliwy, jak z żelaza.

Zaraza wyciąga mnie z namiotu i rzuca na ziemię. Moje dłonie i kolana zanurzają się w płytkim śniegu.

Chwilę później czuję wbijające mi się w plecy kolano. Mężczyzna wodzi rękami po moim ciele, szukając dodatkowej broni. Drzę. Dotyka mnie nagą kością. Wkłada dłoń do moich kieszeni i wyciąga scyzoryk oraz zapałki.

W głębokim błękicie świtu las wydaje się złowieszczy. Panuje w nim grobowa cisza, jego mieszkańcy dawno odeszli.

Zaraza kończy inspekcję.

– Poddajesz się tak bez walki? – pyta szyderczo, kiedy wciąż leżę u jego stóp. – Wcześniej ci się do niej paliło. Dosłownie.

Nadal próbuję zrozumieć fakt, że kupka zwęglonego mięsa, od której wczoraj odeszłam, w jakiś sposób się zregenerowała. I mówi.

– Nie masz mi nic do powiedzenia? Hm? – Chwilę później chwyta mnie za nadgarstki i wiąże mi je nad głową szorstką liną, którą – jestem

pewna – zabrał z moich rzeczy. – Pewnie tak jest lepiej. Przemowy śmiertelników zawsze pozostawiają wiele do życzenia.

Zmniejsza się nacisk na moje plecy.

– Wstawaj – rozkazuje.

Zrozumienie polecenia zajmuje mi zbyt wiele czasu, więc zostaję podciągnięta za pomocą liny. Znów mogę mu się przyjrzeć.

Jest jeszcze bardziej potworny, niż pierwotnie zakładałam. Nie ma włosów, nosa ani uszu, a jego skóra jest cała czarna. Ledwo przypomina człowieka i na pewno nie powinien żyć.

Złota zbroja pozostaje na swoim miejscu, wygląda na nienaruszoną, mimo że powinna być podziurawiona kulami i osmolona. Nie widzę zbyt dobrze jego ramion, ale muszą być w kiepskiej kondycji, wnioskując po metalu, który luźno na nich wisi. A jego dłonie... nie są niczym więcej jak białymi kośćmi ze zwisającymi z nich fragmentami skóry, podobnie jak kostki nóg i stopy.

W pasie przewiązany jest kocem, który musiał mi zwędzić, gdy spałam. Krzywię się na tę myśl.

Prowadzi mnie do drogi, ciągnąc za związane nadgarstki. Kulę się na widok białego rumaka czekającego cierpliwie na swojego pana. Bok zwierzęcia wciąż pokryty jest szkarłatną krwią. Kiedy wierzchowiec mnie dostrzega, prycha z niepokojem i się odsuwa.

Nie bacząc na zachowanie konia, Zaraza przywiązuje linę do tyłu swojego siodła.

Spoglądam na moje ręce i jego wierzchowca.

– Co robisz?

Ignoruje mnie, dosiadając rumaka.

– Nie zabijesz mnie? – pytam w końcu.

Obraca się, a jego pokiereszowana twarz wygląda na pełną goryczy.

– O nie, nie dam ci umrzeć. To za szybkie. Cierpienie jest dla żywych. I zadam ci go całkiem sporo.

ROZDZIAŁ 5



Przez cały dzień Zaraza jedzie autostradą, spinając konia w szybkim tempie, przez co muszę za nim biec, bo w przeciwnym razie ciągnie mnie za nadgarstki. Niewielką pociechę stanowi to, że pracowałam w straży pożarnej, a nie za biurkiem, więc jestem przyzwyczajona do wielogodzinnego wysiłku fizycznego. Mimo to, choć jestem w stanie nadążyć za jeźdźcem na koniu, jest mi cholernie niewygodnie, a niedługo później moje ciepłe ubranie przesiąknięte jest potem.

Przemierzamy Whistler, więc obserwuję znajome okolice. To moje miasto, tu się urodziłam, tu jeździłam na snowboardzie zimą, a latem pływałam w jeziorze Cheakamus. To tutaj nauczyłam się prowadzić samochód, po raz pierwszy się zakochałam i przeżyłam swój pierwszy pocałunek, a także każdą inną rzecz, która coś dla mnie znaczyła. Muszę się z tym wszystkim pożegnać, gdy opuszczamy miasto.

Biegnę kilka godzin, aż moje nadgarstki pokrywają się krwią i dopada mnie zmęczenie.

Nie mogę tak bez końca.

Nie pomaga fakt, że jeździec nie podpowiada, kiedy i czy w ogóle się zatrzyma. Każdy kilometr ciągnie się bez końca. Gdy Zaraza nareszcie zbacza z autostrady, chce mi się płakać ze szczęścia. Mam gdzieś, jakie przerażające rzeczy dla mnie szykuje. Może się na mnie wyżywać, jeśli tylko to dotychczasowe piekło się skończy.

Przemierzamy zaśnieżoną drogę, aż docieramy do jakiegoś domu.

Następnie – dzięki Ci, Boże – zatrzymujemy się przed budynkiem.

Zaraza nie patrzył na mnie od rana. Nawet teraz zeskakuje z konia i przywiązuje lejce do najbliższej latarni, zupełnie nie poświęcając mi uwagi, jakbym była niewidzialna. Kiedy jednak obchodzi wierzchowca, staje się jasne, że o mnie nie zapomniał.

Wciągam gwałtownie powietrze na jego widok. Wrócił anielski wygląd, jak wtedy, gdy go widziałam po raz pierwszy. Znaczna część poranionej tkanki na jego twarzy się uleczyła. Wciąż są pewne czerwone i bardziej lśniące miejsca, gdzie ciało zasklepia się po śrucie, ale w tej chwili ludzka postać ma usta, nos, uszy i wszystkie inne ważniejsze elementy. Nawet włosy, choć złote pasma są na tyle krótkie, że ledwie można byłoby wsunąć w nie palce.

Nie potrafię przestać na niego patrzeć. Chciałabym, by wynikało to z osłupienia wywołanego przerażeniem, ale tak nie jest.

Jest boleśnie piękny, ma smutne niebieskie oczy i wysokie kości policzkowe, a także wspaniałą zuchwę. Drży mi ręka, gdy próbuję założyć przepocone włosy za ucho.

Co się ze mną dzieje?

– Podobała ci się przebieżka? – pyta.

– Wal się. – Nie mam siły, by dodać do tego jadu.

Krzywi się, odwiązując moją linę od siodła.

Podobnie jak twarz, jego ręce też znacznie wydobrzały. Nie widać już kości, ścięgien, żył czy innych wnętrzności, które wystawały jeszcze kilka godzin temu. Kończyny wyglądają jednak na zaczerwienione i pokrywają je strupy.

Odwraca się ode mnie, więc zerkam na złoty łuk i kołczan, które ma na plecach.

Strzelał z niego do ludzi, w przyszłości uśmierci jeszcze więcej osób. Świat ma przerażane, bo ten stwór nie może umrzeć, a nie zaprzestanie swojego działania.

To tyle, jeśli chodzi o zniszczenie go.

Koc wciąż pozostaje owinięty wokół jego pasa, a nagie stopy i nogi – również niemal w całości uleczone – powinny wyglądać komicznie, ale

jeździec to wspaniały mężczyzna.

Przyglądam mu się dłużej niż to konieczne i, Boże, wybacz, mimowolnie zauważam, że każdy fragment jego ciała jest równie przyjemny jak jego twarz. Ma szerokie ramiona i wąskie biodra, przez co mam ochotę wydłubać sobie w tej chwili oczy. Powinna istnieć jakaś zasada zabraniająca ślinienia się na widok faceta, którego próbowało się zamordować.

Zaraza szarpie linę. Klnę i potykam się, próbując za nim nadążyć, gdy idzie do domu.

To dwukondygnacyjny budynek. Ładny, ale dość nietypowy – obity deskami, z zielonymi drzwiami i pokrytymi śniegiem donicami pod oknami.

Dlaczego, u licha, jeździec przybył do takiego miejsca?

Zaraza zatrzymuje się przed wejściem i kopniakiem dostaje się do środka. Jeden ze sposobów na otwarcie drzwi. Innym byłoby naciśnięcie pieprzonej klamki, jak robi normalny człowiek.

Wciąga mnie do wnętrza, jakbym była jakimś agresywnym psem, którego musi trzymać na smyczy.

Wnioskując po panującej ciszy, jasne jest, że właściciele tu nie ma. Wyjechali zapewne, usłyszawszy informacje o ewakuacji. Dzięki Bogu. W tej chwili każde inne miejsce pobytu jest lepsze niż to.

Zaraza przemierza salon, ciągnąc mnie za sobą. Teraz, gdy już nie biegnę, odzywa się ból w moim ciele. Nadgarstki pulsują, a przepocone ubranie ziębi skórę. I nawet nie chcę myśleć, jakie będę miała rano zakwasy w nogach.

Jeździec przywiązuje linę do poręczy schodów na jeden... dwa... trzy węzły.

– Wiesz, że w chwili, gdy spuścisz mnie z oka, będę próbowała uciec – oznajmiam.

– Wyglądam, jakbym się tym przejmował, człowieku? – pyta, mocniej zaciskając ostatni węzeł.

– Nie wiem, brakuje zbyt wielu kawałków twojej twarzy.

To nie jest prawda, ale nie przeglądał się jeszcze w lustrze, więc o tym

nie wie.

Wpatruje się we mnie przez dłuższą chwilę, jego niechęć w stosunku do mnie jest niemal namacalna. Następnie idzie na górę, dźwięk jego kroków niesie się po domu.

Nie żartowałam o tej ucieczce. W chwili, gdy znika mi z oczu, rzucam się do węzłów, jakby zależało od tego moje życie. Bo przecież tak właśnie jest.

Desperacko szarpię za supły, które więżą mnie przy balustradzie (kiedy jeździec nauczył się robić takie dobre węzły?), gdy wraca, niosąc świeże ubranie. I taśmę klejącą.

Brakuje nam jeszcze tylko skórzanych ochraniaczy jeździeckich i łopatki do bicia, aby ruszyć z tą imprezą. Nie wątpię jednak, że Zaraza planuje zadać mi cierpienie. Zapewne tak jest lepiej. Nie sądzę, by należało pieprzyć faceta, którego próbowało się zabić. A przynajmniej nie pierwszej nocy.

Rzuca ubrania na kanapę, nie spuszczać przy tym ze mnie oka. Element po elemencie zdejmuję z siebie zbroję. Pod spodem ma resztki koszuli, która rozpadając się, ukazuje jego nagi tors.

Nawet będąc poranionym, jest wyjątkowym mężczyzną. Ma spore mięśnie, grube ramiona, ładnie wyrzeźbioną pierś i nedorzeczny kaloryfer na brzuchu.

Skóra wciąż jest zaczerwieniona w kilku miejscach. Musiał niewyobrażalnie cierpieć, jadąc na koniu w ten mroźny dzień, owinięty u dołu kocem, ubrany w metalową zbroję podrażniającą przypalone ciało.

Po chwili widzę, że nie tylko rany znaczą jego skórę. Na dekolcie ma wypisane jakieś połyskujące litery, niczym kołnierz. Drugi taki ciąg ma na kościach biodrowych, ale znika on pod krawędzią koca. W słabym świetle te napisy lśnią bursztynowo.

Wpatruję się w niego, zafascynowana. Widywałam już wcześniej tatuaże, ale nie takie, które świecą. Jeśli nieśmiertelność nie byłaby wystarczającym dowodem na jego pozaziemskie pochodzenie, one z pewnością by nimi były.

Napinają się jego bicepsy, gdy sięga do koca. Odwracam wzrok, by

niczego nie zobaczyć.

Niedługo później Zaraza staje przy mnie, trzymając taśmę klejącą. Ma na sobie jeansy i flanelową koszulę. Ten ubiór jest zupełnie inny od stroju, w którym po raz pierwszy go zobaczyłam, ale zaskakująco dobrze na nim leży, biorąc pod uwagę, że większość mężczyzn nie jest tak wysoka czy dobrze zbudowana.

Patrzy na mnie przenikliwym spojrzeniem niebieskich oczu, rozwijając taśmę.

– Ponieważ byłaś tak uprzejma i wyjawiałaś swoje intencje... – Owija taśmą węzły na barierce, po czym i te przy moich nadgarstkach, pozbawiając mnie nadziei na ucieczkę. – Myślę, że to cię na chwilę unieruchomi.

Rozrywa taśmę i odrzuca rolkę na bok.

Piorunuję go wzrokiem, ale to na nic. Nie zwraca już na mnie uwagi.

Podchodzi do pieca i zajmuje się rozpaleniem w nim ognia.

– I co teraz? – pytam. – Będziesz mnie więził, aż padnę wycieńczona chorobą?

Plagą, której objawów jeszcze nie doświadczyłam – a może jednak? Trudno powiedzieć, bo pod względem kondycji przypominam w tej chwili zwierzaka rozjechanego trzy dni temu na autostradzie.

Zaraza nieznacznie obraca głowę w moją stronę, ale nie przerywa rozpalania ognia. Potrzeba kilku minut, by zaczęły trzaskać płomienie, i kolejnych, by poczuć ciepło.

Mężczyzna siada przed piecem, plecami do mnie, i ociera twarz dłonią.

– Błagałem – mówi w końcu. – Ranny i krwawiący, prosiłem o miłosierdzie, ale żadnego nie okazałaś.

Kurczy mi się żołądek.

– Nie wzbudisz we mnie wyrzutów sumienia – kłamię, bo z pewnością może to zrobić. Już zrobił. Było mi przykro, jeszcze zanim nacisnęłam spust, i ponownie, gdy upuściłam zapalnik. Niczego to nie zmienia, ale czułam się winna. I dalej tak jest. Czuję w gardle gorzki, słonawy smak.

– Nie spodziewam się wiele po waszym gatunku – mówi, wciąż na mnie nie patrząc.

– To ty przybyłeś, by nas zniszczyć – przypominam, jakbym musiała się bronić. Nie wiem, po co się trudzę.

– Ludzie wykonali świetną robotę, by zniszczyć samych siebie, i to bez mojej pomocy. Jestem tu tylko, by dokończyć dzieło.

– I zastanawiasz się, dlaczego nie okazałam ci litości.

– Litość – rzuca tym słowem jak przekleństwem. – Gdybyś tylko wiedziała o ironii swojej sytuacji, człowieku...

Znów kieruje swoją uwagę na ogień, opierając podbródek o zaciśniętą dłoń. Najwyraźniej rozmowa dobiegła końca. Dłuższą chwilę wpatruje się w płomienie, w którymś momencie chyba naprawdę zapomina o moim istnieniu.

Odpywam myślami do mojej rodziny. Najbardziej na świecie pragnę, by byli na tyle daleko, aby nie dopadła ich choroba rozsiewana przez jeźdźca.

W przeciwieństwie do innych plag, Mesjanistyczna Gorączka nie podlega prawom nauki. Można przebywać kilometry od Zarazy, zamknąć się w domu, a i tak zostać jej ofiarą. Nie jest jasne, jak daleko od jeźdźca należy być, by jej uniknąć, wiadomo tylko, że umierają ludzie znajdujący się w miastach, które odwiedza. I tyle.

Jeszcze nie umarłaś, przypomina mi głosik w głowie.

Minął już cały dzień, odkąd stanęłam z nim twarzą w twarz. Pewnie powinnam się już gorzej poczuć.

A skoro już przy tym jesteśmy...

Przestępuję z nogi na nogę. Bolą mnie nie tylko nadgarstki, lecz także nogi. Burczy mi w brzuchu od Bóg wie jak dawna, no i pęcherz zaraz mi eksploduje.

Chrząkam.

– Muszę skorzystać z toalety.

– Rób, co musisz, tam, gdzie stoisz. – Zaraza nadal wpatruje się w płomienie, jakby potrafił wyczytać z nich przyszłość.

Jest mi coraz łatwiej nie odczuwać wyrzutów sumienia z powodu tego, że go postrzeliłam i podpaliłam.

– Jeśli zamierzasz utrzymać mnie przy życiu – mówię – muszę jeść,

pić, spać, srać i sikać.

Już tego żałujesz, koleżko?

Wzdycha i wstaje. Podchodzi do mnie, jego postawa jest władcza. Zaraza nie jest potworem, który mnie rano obudził, co niepokoi mnie jak nic innego.

Ubrany w jeansy, flanelową koszulę i robocze buty wygląda boleśnie ludzko. Nawet jego oczy, które wydawały się nie z tej ziemi, gdy go po raz pierwszy zobaczyłam, teraz są pełne życia. Życia i agonii.

Wciska palce pod taśmę przy moich nadgarstkach i rozrywa ją jednym płynnym ruchem.

Zapamiętać: sukinsyn jest silny.

Zdejmuje całą taśmę i odwiązuje linę od barierki. Trzymając jej koniec, prowadzi mnie korytarzem i zatrzymuje się dopiero, gdy docieramy do łazienki.

Pierwszy problem pojawia się już w chwili, gdy Zaraza zamyka za nami drzwi.

Spoglądam na jego masywną, zastawiającą wejście sylwetkę.

– Chciałabym czegoś, co nazywa się „prywatność” – mówię.

– Znam to pojęcie, człowieku – odpowiada, krzyżując ręce na piersi. – Ale ważniejszym pytaniem pozostaje: dlaczego uważasz, że ci się ona należy?

Prycham i odwracam się od niego.

Drugi problem pojawia się, gdy próbuję rozpiąć spodnie. Już prawie nie mam czucia w palcach, nie mówiąc o zręczności potrzebnej do tego zadania.

Niech to szlag.

– Potrzebuję pomocy.

Zaraza opiera się o drzwi.

– Nie udzielę ci żadnej.

– Och, na miłość...

– Boską? – kończy za mnie, unosząc brwi. – Naprawdę uważasz, że On ci pomoże?

Porusza tym moją ciekawość, ale nie czas teraz na rozwiązywanie

tajemnic wszechświata.

Wypuszczam powietrze.

– Słuchaj, jeśli żałujesz, że zatrzymałeś mnie przy życiu, to mnie zabij, ale jeśli nadal się przy tym upierasz, doceniłabym, gdybyś ściągnął mi te pieprzone spodnie.

– Cierpiałabyś, robiąc pod siebie? – pyta.

Waham się. Musi wiedzieć, że to trudne pytanie.

Która odpowiedź nie przysporzy mi kłopotów?

– Tak – mówię w końcu, stawiając na prawdę. – Przysporzyłoby mi to kłopotu.

Nadal opiera się o drzwi.

– Jak mówiłem, odmawiam udzielenia pomocy.

Nie wychodzi jednak, więc jestem po prostu wdzięczna, że mam toaletę, w której mogę się wysikać.

Zaciskam zęby, próbując rozpiąć spodnie. Lina wrzyna się w moje otarte nadgarstki, które w proteście odpowiadają bólem. Zajmuje to mnóstwo czasu, ale w końcu udaje mi się rozpiąć jeansy, następnie je obciągnąć i opuścić też bieliznę.

Zaraza patrzy na mnie beznamiętnie, mimo że widzi wszystkie moje intymne części ciała w pełnej krasie.

Niech mnie ktoś zabije.

Krzywi się.

– Przykro mi – mówię – ale jeśli cię to brzydzi, możesz wyjść. – I dać mi w spokoju skorzystać z toalety.

– Wypróżnij się, człowieku. Mam już dość tego stania.

Klnąc pod nosem, spełniam polecenie.

Jeździec Apokalipsy przygląda się, jak sikam.

Ze wszystkich zdań, jakie można stworzyć w naszym języku, tego akurat się nie spodziewałam w swojej głowie. Tłumię szaleńczy śmiech. Umrę, ale najpierw polegnie moja godność.

Wycieram się, spuszcza wodę, po czym podciągam spodnie – co trwa nawet dłużej niż ich opuszczanie – i myję ręce.

Przynajmniej mam wodę. W odróżnieniu od elektryczności, wodociągi

nie ucierpiały. Nie rozumiem tego, ale nie zamierzam narzekać. Pomogło to przy wielu pożarach, które wybuchły po tym, jak nastął koniec świata.

Kiedy kończę, jeździec wyprowadza mnie z powrotem na korytarz, ciągnąc za linę tak mocno, że niemal mnie powala. Ponownie przywiązuje mnie do balustrady i wraca przed piec.

– Tym się właśnie zajmujesz? – pytam. – Jeździsz od miasta do miasta i włamujesz się do ludzkich domostw?

– Nie – rzuca przez ramię.

– Więc dlaczego się tu zatrzymaliśmy? – dociekam.

Wzdycha, jakbym go nużyła – i pewnie tak jest, ale, szczerze mówiąc, czeka go jeszcze wiele nauki, bo jak na razie *nic* nie widział – i mnie ignoruje.

Zaczynam zauważać, że to jego stały numer.

Spoglądam więc na swoje poranione nadgarstki.

– Co się stało z innymi? – pytam spokojniej.

– Jakimi innymi? – odpowiada szorstko.

Naprawdę się dziwię, że zareagował.

– Innymi, którzy próbowali cię zabić.

Jeździec odwraca się od ognia, a w jego lodowatych oczach odbija się blask płomieni.

– Wykończyłem ich.

Nie dostrzegam na jego twarzy żadnych wyrzutów sumienia.

– Zatem jestem pierwszą ofiarą porwania? – sonduję.

Prycha.

– Ledwie ofiarą – mówi. – Ale cię zatrzymam i zrobię z ciebie przykład. Być może wtedy wasza nikczemna rasa przemyśli swoje zachowanie, zanim zechce mnie zniszczyć.

Dopiero teraz rozumiem powagę sytuacji, w której się znalazłam.

Powiedział, że nie pozwoli mi zbyt szybko umrzeć i że będę cierpieć.

Przeszywa mnie dreszcz niepokoju. Zakrwawione nadgarstki i zakwasy w nogach mogą być najmniejszymi z moich zmartwień.

Jestem pewna, że najgorsze jeszcze przede mną.

ROZDZIAŁ 6



Wciąż nie jestem chora.

I nadal żyję – choć niezbyt się z tego cieszę.

Następnego dnia wszystko boli o wiele bardziej. Moje nadgarstki pulsują mocno, ramiona są sztywne od wielogodzinnego trwania w jednej pozycji, żołądek próbuje strawić sam siebie, a nogi pozostają nieużyteczne z powodu zakwasów.

O, i wciąż jestem przywiązana do tej barierki.

Udogodnieniem było tylko kilka szklanek wody, które przyniósł mi Zaraza. Jedną niechcący na siebie wylałam, przez to, że wciąż miałam związane ręce i Bóg mnie nienawidzi. Sytuację poprawiło też to, że jeździec był miły i ponownie zaprowadził mnie do łazienki, żeby nie musieć „wąchać mojego obrzydliwego smrodu”.

Nienawidzę tego pięknisia.

– „Słowem, rzetelnym bądź sam względem siebie” – mamrocę pod nosem. Ten wers z *Hamleta* nagle przyszedł mi na myśl. Chociaż te słowa straciły nieco na znaczeniu z powodu ich nadużywania, wciąż działają na mnie tak samo. – *A jako po dniu noc z porządku idzie...*[\[1\]](#) – Urywam na widok Zarazy.

Wczoraj miał na sobie jeansy i koszulę, ale dziś włożył czarny strój, który idealnie na nim leży. Zarówno materiał, jak i krój ubrania sprawiają, że wygląda jednocześnie archaicznie i futurystycznie, choć nie potrafię dokładnie określić dlaczego. Może to nawet nie ciuchy –

może to ta korona lub łuk i kołczan, które zarzucił sobie na ramię. Cokolwiek to jest, wygląda dystyngowanie i nieziemsko.

– Odwiążę cię od barierki, człowieku – mówi na powitanie – ale wiedz, że jeśli spróbujesz uciec, postrzelę cię i ponownie tu przyciągnę.

Wpatruję się w dekolt rozpiętej ciemnej koszuli, zauważając fragment tego jaśniejszego tatuażu.

– Słyszałaś? – pyta.

Mrugam i unoszę wzrok do jego twarzy.

Ostatnie rany zagoiły się i nawet w pełni odrosły mu włosy. Pełna regeneracja trwała cały dzień. Jakież to zniechęcające.

– Jeśli zwieję, jestem trupem. Kumam.

Marszczy brwi, przyglądając mi się przez chwilę, nim chrząka. Ciągnie mnie do kuchni.

Kopie butem krzesło.

– Siadaj.

Krzywię się, ale wypełniam polecenie.

Zaraza odsuwa się, by pozaglądać do szafek. W końcu otwiera lodówkę i wyjmuje sos Worcester i bochenek chleba. Kto w dzisiejszych czasach mrozi pieczywo?

– Oto twoje pożywienie – mówi, rzucając mi je. Jakimś cudem udaje mi się złapać buteleczkę sosu. Chleb uderza mnie w głowę. – Będziesz musiała jeść podczas biegu – ciągnie. – Nie mam zamiaru marnować dziś czasu na ludzkie potrzeby.

Wpatruję się w sos. Czy jeździec naprawdę uważa, że mogłabym to wypić?

Ciągnie za linę, idąc do drzwi, więc muszę wstać i podnieść bochenek, który upadł na podłogę. Kiedy wiąże linę do siodła, udaje mi się wsadzić dwie grube kromki do ust i kilka do kieszeni. Ruszamy, więc jestem zmuszona wyrzucić resztę, aby skupić się na podążaniu za koniem.

Natychmiast orientuję się, że dziś nie będzie jak wczoraj. Bardzo bołą mnie nogi i nie mam siły. Każdy krok jest bolesny i żaden strach nie jest w stanie zmusić mnie do tak szybkiego i długiego biegu, jaki mnie czeka.

Udaje mi się przebiec z dwadzieścia, może dwadzieścia pięć

kilometrów, nim upadam mocno na drogę.

Koń szarpie pod wpływem nagłego ciężaru i parska, niemal wyrywając mi ręce z barków. Lina wrzyna się w ciało, więc krzyczę, gdy pojawia się oślepiający ból.

Ale to nie koniec. Nacisk na nadgarstki i ramiona jest prawie nie do zniesienia. Sapię, przygotowując się na ponowny krzyk, ale upadek był tak gwałtowny i niespodziewany, że skradł mi dech.

Zaraza musi wiedzieć, że upadłam, musi czuć opór. Jestem pewna, że usłyszał mój krzyk, ale nawet nie obraca głowy.

Nienawidziłam go wcześniej, ale w jego okrucieństwie jest coś, co rani bardziej niż nóż.

Jest tu, by zniszczyć ludzkość, więc czego się spodziewałaś?

Muszę unieść głowę, gdy jestem ciągnięta za koniem, by uchronić ją przed urazami. Wczorajszy śnieg prawie cały już stopniał, więc goły asfalt jest jak papier ścierny dla moich pleców. Niemal czuję, jak warstwy mojej grubej garderoby ścierają się pod wpływem ruchu. Kiedy się przetrą... nie wiem, ile zdoła wytrzymać ludzkie ciało.

Wcześniej nie miałam okazji, by się o tym przekonać.

Jednak zanim mam szansę poczuć drogę na nagiej skórze, Zaraza zatrzymuje konia przed kolejnym domem.

Opieram głowę o ramię, całkowicie wyczerpana bólem. Jak przez mgłę widzę, że jeździec odwiązuje linę od siodła.

Podchodzi do mnie i złowrogo się zatrzymuje.

– Wstawaj.

Jęczę w odpowiedzi. Wszystko tak cholernie mnie boli.

Chwilę później pochyła się i mnie podnosi.

Wydaję z siebie jęk. Nawet jego dotyk boli. Zamykam oczy i kładę policzek na jego złotej zbroi, gdy niesie mnie do domu.

Nie widzę, gdy trafia pod drzwi – po prostu to słyszę, bo z wnętrza domu dobiegają krzyki.

– O Boże! – rozbrzmiewa kobiecy głos. – O Boże, Boże...

Unoszę powieki. Patrzy na nas kobieta w średnim wieku, na jej twarzy maluje się skrajne przerażenie.

Dlaczego się nie ewakuowała? Co sobie myślała?

– Zatrzymamy się tu – mówi jeździec, mijając ją.

Zaskoczona kobieta podrywa głowę, obserwując, jak Zaraza wchodzi do jej domu.

– Nie w moim domu! – krzyczy.

– Mój więzień potrzebuje pożywienia, snu i twoich udogodnień – ciągnie jeździec, jakby w ogóle się nie odezwała.

Za nami słyszę, jak gospodyni się krztusi, nim w końcu mówi:

– Musicie wyjść. Natychmiast.

Ale to nic nie daje. Zaraza wchodzi po schodach. Już na górze otwiera drzwi kopniakiem, a właścicielka domostwa nie może nic zrobić. Jeździec wnosi mnie do skromnie umeblowanej sypialni i nogą zamyka za nami drzwi.

Sadza mnie na łóżku, po czym się cofa i krzyżuje ręce na piersi.

– Spowalniasz mnie, człowieku.

Leżąc, piorunuję go wzrokiem.

– Więc mnie uwolnij. – Albo zabij. Szczerze mówiąc, śmierć byłaby w tej chwili łaskawsza.

– Już zapomniałaś o moich słowach? Nie zamierzam cię wypuścić, lecz zadać ci cierpienie.

– Dobrze ci idzie – mówię cicho.

Jego pełne dezaprobaty spojrzenie tylko potęguje się na moje słowa. Dziwne, powinien być po nich zadowolony.

Wskazuje na łóżko.

– Śpij – nakazuje.

Och, gdyby to było takie proste.

Nawet czując się, jakbym była bliska śmierci, nie potrafię zasnąć, zwłaszcza że promienie słoneczne wciąż wpadają przez okna, a zza drzwi dociera do mnie histeryczne zawodzenie właścicielki domu.

– Musisz najpierw rozwiązać mi ręce – mówię, unosząc je.

Nieufnie mruży oczy, ale podchodzi i rozwiązuje linę.

Nachyla się.

– Żadnych sztuczek, człowieku.

Ponieważ w tej chwili mogłabym być tak bardzo podstępna.

Po uwolnieniu nadgarstków krew napływa mi do dłoni i zaczyna się bolesne mrowienie. Jęczę cicho.

– Jeśli oczekujesz mojej litości, spotka cię rozczarowanie – mówi Zaraza, cofając się do drzwi.

Szczerze mówiąc, facet jest wkurzający – mimo że jest irytująco przystojny. Właściwie to może być jeszcze gorsze, jak najbardziej znieawidzony typ mężczyzny: piękny drań.

Patrzę na niego, gdy krzyżuje ręce na piersi, po prostu obserwując mnie z niewielką odrazą na twarzy.

Odwzajemniam to uczucie.

– Nie zasnę, gdy będziesz się tak na mnie gapił – mówię.

– Szkoda.

No i tak właśnie będzie.

Siadam i sztywnymi ruchami zdejmuję wierzchnie ubranie, które jest niemal całe zniszczone. Odrzucam je na bok, wchodzę pod kołdrę, próbując nie drżeć na myśl, że leżę w pokoju gościnnym kobiety, która niedługo umrze na chorobę roznoszoną przez Zarazę.

To strasznie pokręcone.

Pod okryciem pocieram nadgarstki. Przygryzam dolną wargę, gdy uświadamiam sobie, że są zbyt poranione, by ich dotykać. Nawet miękka pościel drażni otartą skórę.

Zaraza siada na podłodze, opierając się o drzwi, a jego niewypowiedziany komunikat jest dość jasny: nigdzie nie pójdę.

Obracam się na bok, aby choć przez pięć sekund móc udawać, że ten stwór nie istnieje, tak samo jak cała ta sytuacja.

Leżę przez jakiś czas, na tyle długi, że zaczynam się zastanawiać, czy któryś z moich kolegów ze straży pożarnej przetrwał Gorączkę. Znów obawiam się o rodziców. Zmuszam się, by wyobrażać ich sobie w starym domku myśliwskim dziadka, gdzie grają w pokera przy kominku, jak robili, gdy byłam mała.

Sądzą, że nie żyję.

Pamiętam łzy taty, które polały się na początku tego tygodnia. Jego

szok. Był dumny, gdy wstąpiłam do straży pożarnej. Nie chciał, żebym szła na studia. Nie miało znaczenia to, że od małego miałam obsesję na punkcie literatury angielskiej, a pewnego razu w Halloween przebrałam się za Edgara Allana Poeego (taka byłam genialna), czy to, że spędzałam weekendy na pisaniu wierszy. Po przybyciu jeźdźca studia były jedynie pięknym marzeniem.

Tata stwierdził, że to zbyt niepraktyczne. No i co miałabym zrobić ze zdobytym tytułem?

Zastanawiam się, co powiedziała by w tej chwili...

– Jeźdźcu? – wołam.

Cisza.

– Wiem, że mnie słyszysz.

Nie odpowiada.

Wzdycham.

– Serio? Będziesz mnie tak ignorował?

Wzdycha ciężko, co potwierdza moje przypuszczenia.

Bawię się luźną nitką z narzuty.

– Ciągnęliśmy zapałki – zaczynam – aby wybrać tego, kto cię zabije.

Zaraza wciąż milczy, ale czuję, że wbija we mnie wzrok.

– Zostało nas czworo – ciągnę. – Ja, Luke, Briggs i Felix. Pracowaliśmy razem na posterunku, przez kilka dni przed twoim przybyciem ostrzegaliśmy mieszkańców o konieczności ewakuacji. Oczywiście nie mieliśmy pewności, że przejedziesz przez nasze miasto. Whistler nie jest duże, ale leży przy drodze numer 99. W wiadomościach mówiono, że nią podróżowałaś. – Urywam na chwilę. – Zanim ciągnęliśmy te zapałki, inni strażacy wyjechali wraz z rodzinami. Zostali tylko ci, którzy nie mieli bliskich. – W moich myślach pojawia się twarz taty.

Masz rodzinę, tak samo jak Felix, Briggs i Luke. Nie masz po prostu męża i dzieci, a tylko dlatego wzięliście ostatnią zmianę.

Mniej osób cierpiałoby po naszej stracie.

– Zostaliśmy we czwórkę – ciągnę – i pomyśleliśmy, że może...

– Dlaczego mi o tym mówisz? – przerywa mi.

Zastanawiam się.

- Nie chcesz wiedzieć, dlaczego do ciebie strzelałam? – dociekam.
- Wiem, dlaczego do mnie strzelałaś, człowieku – mówi ostrym tonem.
- Chciałaś powstrzymać mnie przed rozsiewaniem plagi. Wszystkie te usprawiedliwienia nic dla mnie nie znaczą, to tylko wymówki.

Milknę.

Próbowałam ocalić świat. Pragnę wyznać, że nie jestem tak zła, za jaką mnie uważa, jednak w jakiś sposób słowa te palą mnie w gardło niczym kwas.

W pomieszczeniu na dłuższą chwilę zalega cisza.

- Masz rację – mówię w końcu, obracając się do niego twarzą. – Tak. Moje powody się dla niego nie liczą, nie zmienią faktu, że go postrzeliłam i podpaliłam. Że nie posłuchałam, gdy prosił o litość.

Jeździec opiera przedramiona o ugięte kolana i wpatruje się we mnie przenikliwie.

- Co chcesz zyskać, zgadzając się ze mną? – pyta.
- Jesteś tym, którego zwą Zaraza Zwycięzca – odpowiadam. – Wiesz w ogóle, kiedy wygrywasz kłótnię?

Marszczy brwi.

Ponownie zaczynam bawić się nitką.

- Wiem, że to nic dla ciebie nie znaczy, ale przepraszam.
- Za co?
- Za zabicie cię, a przynajmniej za usiłowanie. – Ściśle rzecz biorąc, dwukrotnie, bo zapewne przeżył postrzał tylko dlatego, że jest nieśmiertelny.

Parska cichym śmiechem.

- Kłamstwa. Mówisz mi to teraz tylko dlatego, że jesteś moim więźniem i obawiasz się tego, co z tobą zrobię.

Prawda, że boję się przerażającej zemsty, którą szykuje, ale...

- Nie – mówię. – Nie żałuję, że próbowałam cię zabić. Jednak absolutnie nie podoba mi się to, co ci zrobiłam, i wiedz, że odcisnęło to na mnie piętno, ale nie żałuję swoich decyzji. Mimo to przepraszam.

Jeździec milczy przez długą chwilę, obserwując mnie.

- Śpij – mówi w końcu.

Tak też robię.

[\[1\]](#) William Shakespeare, *Hamlet*, przeł. Józef Paszkowski.

ROZDZIAŁ 7



Budzę się w środku nocy, wyrwana ze snu odgłosem płaczu. Mrugam i rozglądam się.

Myślałam, że wszyscy się ewakuowali...

Sięgam do stojącej na stoliku nocnym lampki naftowej, ale orientuję się, że nie ma tu żadnej.

To nie jest mój pokój. Nie moje mieszkanie.

Wspomnienia ostatnich dni wracają, otrzęzwiając mnie niczym zimna woda pod prysznicem.

Ciągnięcie zapalek, strzelanie do Zarazy, okropny bieg, do którego zostałam zmuszona, aż nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Powraca zarówno świadomość, jak i przeciągły ból.

Nawarzyłaś piwa, Burns, to teraz musisz je wypić.

Z zamyślenia wrywa mnie dźwięk płaczu, przypominam sobie o właścicielce domu. Ile godzin minęło, odkąd się tu pojawiliśmy?

Dwanaście? Mniej więcej.

Ponownie szukam ręką lampki – ponieważ prąd raz jest, a raz go nie ma, ludzie trzymają pod ręką lampy naftowe i kaganki. Przesuwam palcami po stoliku, ale odnajduję co innego. Wyczuwam szklanekę i dzbanek.

Czy Zaraza mi to zostawił?

Wyrzucam z głowy tę myśl. W jego wypadku wydaje się to zbyt miłe.

Odkrywam się, wstaję z łóżka i przechodzę korytarzem, gotowa udać

się do miejsca, z którego dochodzi płacz, a słyszę go z pomieszczenia w głębi domu. Waham się jednak.

Co zamierzasz zrobić, Saro? Pocieszyć ją? Jesteś nieznajomą grającą Złotowłosą w jej domu. Sądziś, że chce mieć z tobą cokolwiek wspólnego?

Stoję w miejscu, ponownie to rozważając, aż odzyskuję jasność umysłu.

Dwukrotnie omiatam wzrokiem ciemny korytarz, szukając Zarazy. Wracam i zaglądam do pokoju. Panuje mrok, ale nie tak gęsty, by skryć obecność jeźdźca. Pomieszczenie jest puste.

Nie ma go.

Nie daję sobie czasu na rozmyślanie, gdzie się podział. Nie wiem, ile czasu zostało do jego powrotu.

Nie zamierzam trwonić ani chwili.

Zmuszam się, by zignorować płacz kobiety. Nie mogę jej teraz pomóc. Umrze jak reszta – jak ja powinnam umierać – i nie mogę nic na to poradzić.

Chcę jej powiedzieć, że próbowałam. Próbowałam, lecz jeźdźca nie da się zabić, i bardzo mi przykro, ale nie sądzę, by ktokolwiek z nas wyszedł z tego cało.

Choć mi się udaje. Dziś. Teraz.

Biorę ubrania, które wcześniej rzuciłam przy łóżku. Wkładam je najciszej, jak potrafię. Szamoczę się z guzikami, bo ręce zaczynają mi się trząść.

Szybko, szybko, zanim wróci.

Wkładam buty i podchodzę na palcach do okna. Otwieram je i krzywię się z powodu zimnego podmuchu wiatru, który porusza moimi włosami i trafia prosto do płuc.

Cholera. Naprawdę nie chcę wychodzić w taką noc.

Waham się. Czy mogłabym zostać z Zarazą? Mimo wszystko nie chce mnie zabić.

Pragnie tylko mojego cierpienia.

I czeka mnie więcej biegu, więcej krwawiących nadgarstków, więcej dni, gdy nie zdołam nadażyć. I to przy założeniu, że Zaraza nie

stwierdzi, iż powinnam cierpieć jeszcze bardziej niż do tej pory. Raczej nie mam ochoty tu zostać, by sprawdzić, jakie wymyśli kreatywne kary.

Podaję decyzję i popycham moskitierę. Chwilę później słyszę cichy trzask, gdy ląduje ona na ziemi.

Głęboki wdech dla odwagi.

Przerzucam nogi za parapet. Na zewnątrz znów pada śnieg, jego warstwa leży na trawie. Denerwuję się. Siedzę na piętrecie, mogę połamać sobie nogi. Byłoby to kiepskie, ale możliwe lądowanie. Powoli więc opuszczam się z okna, aż zwisam, trzymając się rękami, i dziękuję losowi, że praca w straży pożarnej wzmocniła siłę górnej części mojego ciała.

Puszczam się.

Przez chwilę lecę, ale zaraz się to kończy i trafiam stopami w podłogę. Prostuję się powoli. Żadnych skręconych kostek, połamanych kości – przynajmniej raz mam szczęście.

Rzucam domowi ostatnie przelotne spojrzenie i uciekam.

Biegnę w kierunku drogi, mimo że nie mam na to siły.

Jestem wolna. Cholera, jestem wolna!

Za plecami słyszę słaby syk, który mylę z wiatrem, aż czuję, że coś jak nóż wbija mi się w ciało tuż pod prawą łopatką.

Dławię się z bólu i potykam, gdy wokół rany rozchodzi się ciepło.

Umysł podpowiada, że to krew. *Krwawisz, ponieważ masz w plecy wbitą strzałę.*

Powinnam była wiedzieć, ale kiedy zobaczyłam pusty pokój, nie mogłam nie zareagować.

Nadzieja matką głupich.

A teraz – Jezus, Maria i wszyscy święci – palenie z rany zatyka mi gardło.

Nie spoglądam nawet za siebie, zmuszając się do kontynuowania ucieczki. Wiem, co zobaczę. Dumnego Zarazę z łukiem w dłoni, celującego do mnie niczym myśliwy na polowaniu.

Dopadnie mnie, jeśli się zatrzymam.

Biegnę, śnieg skrzypi pod moimi butami, gdy zmierzam do skraju lasu.

Jeśli do niego dotrę, może zdołam uciec.

Przy kołysaniu tułowia i każdym ruchu rąk strzała wchodzi głębiej w mięśnie.

Przetrwałaś gorsze urazy, Burns. Przechodziłaś przez ogień, gdy płomienie lizały twoją skórę, a ciało się gotowało. Przeżyjesz.

Przeżyję... jeżeli grot nie został nasączony trucizną... lub nie umrę z powodu plagi. Próbuję nie myśleć o tym drugim. Staram się nie zastanawiać, co będzie, jeśli uda mi się uciec. Co, jeśli zwieję tylko po to, by umrzeć potem na Gorączkę?

Jestem już prawie w lesie, gdy trafia mnie kolejna strzała. Grot wchodzi w lędźwie.

Ponownie się potykam, niemal upadam na kolana. Wydaje się, że ta strzała nie weszła tylko w mięśnie. Odczuwam dziwne szarpanie za każdym razem, gdy się ruszam.

Słyszę tętent kopyt galopującego konia.

Uciekaj!, krzyczę na siebie w duchu, a wokół mnie wirują płatki śniegu.

Zataczam się, zmuszając do ruchu.

Szybko tracę siły, czuję, że podarte ubranie coraz bardziej nasiąka krwią, a materiał staje się lodowato zimny.

Jeździec potrzebuje niecałej minuty, by do mnie dotrzeć. Z pyska jego rumaka wydobywa się para.

Mimo że nie śmiem popatrzeć na mężczyznę, czuję, że Zaraza wbija we mnie przenikliwe spojrzenie. Ucieczka jest daremna, ale nie chcę się zatrzymywać.

Słyszę brzęk jego zbroi, gdy zsiada z konia. Jego buty chrzęszczą na śniegu i martwych gałązkach.

Pokonuje odległość między nami w dwóch długich krokach. Chwyta za drzewce strzały.

– Nie...

Bezlitośnie wrywa ją z mojego ciała. Krzyczę, gdy grot rozcina więcej mięśni.

W milczeniu odrzuca strzałę na bok. Czuję kolejny przyprawiający

o mdłości ruch, gdy chwyta drugą strzałę wystającą z moich pleców.

Proszę. Mam to na końcu języka, ale podświadomie wiem, że tego właśnie pragnie – żebym błagała o darowanie życia, tak, jak sam to robił. Zaciskam zęby. Niech go szlag, nie dam mu tej satysfakcji.

Kiedy wyrywa drugą strzałę z mojego ciała, ból jest tak wielki, że uginają się pode mną nogi. Czuję strużki krwi ciekące mi po plecach i zaciskam usta, bo znów robi mi się niedobrze.

– Ponieważ udowodniłaś, że jesteś tak samo niegodna zaufania jak reszta twojego gatunku – mówi, a jego głos rani równie mocno jak broń – nie będziesz spała. To luksus, na który już cię nie stać.

Brutalnie ciągnie mnie za rękę, odczepiając linkę, którą miał przytroczoną do pasa.

Próbuję się bronić.

– Co robisz? – pytam, zaczynając poważnie panikować.

Tylko nie sznur. Nie znowu.

O Boże.

Dociera do mnie, że próbowałam uciec, ale mi się nie udało, i od tej chwili wszystko będzie znacznie gorsze.

Jeździec klęka na śniegu i wiąże mi ręce. Na jego twarzy maluje się wściekłość i pogarda.

Umrę, jeśli zaraz nie ucieknę.

Kopię go mocno w udo. Ale tylko się kołysze.

Zaciska węzły na moich nadgarstkach, a ja wrzeszczę pod wpływem oślepiającego bólu. Zaciska usta, gdy dosiada rumaka.

– Nie – błagam. – Nie, nie, nie. – Mamroczę niemal bez sensu, a kilka łez wymyka mi się z oczu.

Mam otwarte rany na plecach, a noc jest tak zimna, że chłód przedziera się przez ubranie i pali skórę.

– Dlaczego to robisz? – niemal szlocham.

Spogląda na mnie.

– Zapomniałaś już, co sama mi zrobiłaś? – Ciągnie za linkę. – Wstawaj.

Nie ruszam się. Nie mam siły.

Jeździec nie obraca się jednak, by sprawdzić, czy wykonałam rozkaz.

Spina konia i cmoka.

Zwierzę rusza, więc mam tylko chwilę, aby odpowiednio ustawić stopy, zanim będę zmuszona do marszu.

I znów się przemieszczamy.

ROZDZIAŁ 8



Nie mam pojęcia, jak długo wędrujemy w tę zimną, ciemną noc, ale czuję, jakby trwało to w nieskończoność. Mam zdrętwiałe ręce i sztywne z zimna nogi, a moje plecy pulsują dziwnym bólem, przez który mam wrażenie, że to nie tylko uszkodzone mięśnie.

Mimo to Zaraza się nie zatrzymuje.

Koń początkowo idzie wolno, ale nie sędzę, żeby jeździec okazywał mi w ten sposób litość. Wydaje mi się, że raczej chce przedłużyć moje cierpienie tak bardzo, jak to tylko możliwe. Zaraz jednak koń przyspiesza, aż kłus przechodzi w galop, który zmienia się w cwał.

Przez chwilę udaje mi się nadażyć. Chociaż tyle. Pomimo wszystko w jakiś sposób dawałam radę.

Ale nikt prócz tej nikczemnej nieśmiertelnej istoty nie zdoła się w nieskończoność regenerować. Brak snu, kiepskie posiłki, zimno i rany doprowadzają do wycieńczenia – nie mam już siły.

Potykam się i padam na zaśnieżoną drogę. Nie mogę się podnieść. Jestem wleczone za uniesione ręce, przynajmniej jedna wyskakuje z barku.

Krzyczę. Nie potrafię nad tym zapanować.

Moje ciało płonie, można oszaleć od takiego bólu.

Nie wiedziałam nawet, że można tak bardzo cierpieć i, Boże, Boże, niech to się już skończy, błagam, przepraszam, że strzeliłam do Twojego ukochanego jeźdźca, ale niech ta agonia się wreszcie skończy.

Niestety, nic z tego. Jeśli Bóg jest litościwy, to na pewno nie dla mnie.

Jestem ciągnięta po śniegu, zimno oddziałuje na mnie tak bardzo, że niemal pali. Jakąkolwiek ochronę stanowiły moje ubrania, już po niej. Czuję na plecach szorstką, lodowatą drogę, i nie wiem, gdzie kończy się cierpienie, a zaczyna moja osoba. Mam jedynie świadomość, że nigdy czegoś takiego nie doświadczyłam.

Krzyczę, aż zdzieram gardło. Ręce zaraz zostaną oderwane od mojego ciała. Nie ma mowy, by to się inaczej zakończyło. Cierpię tak bardzo, że mam wręcz nadzieję, że naprawdę wyrwie mi ręce, bym mogła szybko się wykrwawić.

Ale tak się nie dzieje.

Ból się nie kończy, jest go tak cholernie wiele. Płonę, choć nie ma ognia. Spalam się. *Proszę, niech to się już skończy, proszę, błagam...*

ROZDZIAŁ 9



Odzyskuję świadomość przez agonalny ból w ramionach. Krzyczę, gdy moje ręce zostają uwolnione i cierpienie nieco łagodnieje.

Obraz rozmazuje mi się przed oczami, pozostają tylko barwne plamy, a moje ciało pulsuje w najgorszy z możliwych sposobów. Dlaczego wszystko mnie tak boli?

Wokół mnie kolory zaczynają się wyostrzać, aż ukazuje się twarz. Widzę przed sobą anioła, choć jego oblicze wciąż jest rozmyte.

Jestem w niebie?

Czy powinnam odczuwać tu aż taki ból?

Kładę drżącą dłoń na twarzy mojego towarzysza, widzę, że mam zakrwawione nadgarstki i sine palce. Anioł wzdryga się i odsuwa.

– Umarłam? – wydaje mi się, że pytam, ale nie dostaję odpowiedzi. – Zostań ze mną – mamroczę. Po omacku szukam jego dłoni. Kiedy ją znajduję, splatam z nim palce. – Proszę.

Nie powinnam wypowiadać tego słowa.

Dlaczego?

Chodzi o jakąś litość, ale w tej chwili niezbyt pamiętam...

Wszystko staje się coraz bardziej odległe.

Ściskam i trzymam mocno jego dłoń.

– Zostań ze mną – powtarzam.

Jednak zarówno anioł, jak i reszta świata odpływają.

Mrugam i widzę nad sobą chropowaty sufit. Przez chwilę moje życie wydaje się normalne, mój umysł jest wolny od wspomnień.

Ktoś ściska moją dłoń, więc oszołomiona obracam głowę. I wtedy go widzę.

Krzyczę.

Nie ma nic – nic – bardziej przerażającego niż urzekająca twarz Zarazy i złota korona, która spoczywa dumnie na jego głowie.

Puszcza moją rękę, jakby go parzyła, i dopiero wtedy orientuję się, że ten sukinsyn ją trzymał. Kolejną chwilę zajmuje mi zrozumienie, dlaczego ten fakt napełnia mnie tak oślepiającym gniewem.

Ucieczka od jeźdźca. Strzały w plecach. Przywiązanie do konia i zmuszenie do biegu. Upadek. Wleczenie. Ból. Umieranie.

Sapię na te wspomnienia. W tym samym momencie z pełną mocą wraca cierpienie.

– Żyję...

Wydaje się to niemożliwe w świetle wszystkiego, przez co przeszłam. Czuję się, jakby mnie rozszarpano.

– Cierpienie jest dla żywych – odpowiada Zaraza.

Rozglądam się po pomieszczeniu, w którym się znajdujemy. To kolejny pokój gościnny, zapewne w następnym domu, który jeździec postanowił zaanektować.

Wsuwam rękę pod pomiętą pościel. Przyniósł mnie tu, położył na łóżku, i zapewne tkwię w nim od tego czasu.

Nie umiem powiedzieć, czy ten scenariusz mnie przeraża, czy też pozbawia strachu.

Nie pozwolił mi umrzeć. Zamierza pozwolić mi wydobrzeć...

Tylko po to, bym jeszcze bardziej cierpiała.

Podnoszę się, tłumiąc krzyk wywołany intensywnym bólem w plecach.

– Dlaczego tu jestem? – pytam.

– Nie pozwolę ci umrzeć.

Znów nie wiem, czy ta pomoc jest miłym gestem czy klątwą.

Oczywiście, że tym drugim, głupia krowo. Przecież nie ratuje cię, by z tobą romansować.

– Postrzeliliś mnie, związałeś i wlokłeś po śniegu. – Samo wypowiedanie tych słów sprawia, że przeszywa mnie dreszcz.

Wpatruje się we mnie tymi swoimi niebieskimi oczami.

– Tak.

Poruszam ramieniem, które jest mocno obolałe.

– Mam zwichnięty bark – oznajmiam, przypominając sobie, kiedy to się stało.

Jeździec wpatruje się we mnie przez dłuższą chwilę, wyglądając cholernie anielsko, aż w końcu kiwa głową.

Patrzę na siebie. Zniknęła moja koszulka. Została zastąpiona ubraniem kogoś innego – jakiejś puszystej kobiety z przestarzałą garderobą, sądząc po jaskrawych kwiatowych wzorach.

Ktoś widział mnie półnagą. Patrzę na Zarazę, który przygląda mi się biernie.

To zapewne on, co oznacza, że w tej chwili wie, jak wygląda i moja vagina, i moje cycki.

Ech. Dlaczego ja?

Przesuwam rękę, ale ruch jest ograniczony. Podwijam rękaw i zauważam, że moje nadgarstki owinięto miękkim, białym bandażem.

Naciskam jeden z nich.

Czy Zaraza się o mnie zatroszczył?

Pamiętam, w jaki sposób wyrywał groty strzał z moich pleców.

Niemożliwe, by...

Moje rozmyślenia przerywa pulsowanie w plecach. Siadam, by zmniejszyć nacisk na nie, aż nagle czuję spoczywający na brzuchu materiał.

Unoszę koszulkę i patrzę na swój tors, który również jest zabandażowany.

Dotykam opatrunku.

– Kto to zrobił?

Zaraza rzuca mi nieczytelne spojrzenie.

– Ty? – pytam w końcu.

Czuję przerażenie, zażenowanie i... coś jeszcze na myśl, że mnie

rozebrał i opatrzył. Próbuję wyobrazić sobie, jak obmywa i opatruje moje rany, ale jakoś nie potrafię tego zrobić. I nie chcę.

Zaciska na chwilę usta.

– Zapamiętaj moją dobroć.

– Dobroć? – mówię z niedowierzaniem. – Przecież to ty zadałeś te rany.

I będziesz to powtarzał, aż mnie złamiesz.

Rety, miał rację, gdy obiecywał cierpienie.

Unosi się jego warga, jakby powstrzymywał grymas.

Wstaje i góruje nade mną.

– Nie próbuj znów uciekać, śmiertelniku – ostrzega, po czym wychodzi.

– Zaraza! – krzyczę po raz pierdylionowy.

Milczę i nasłuchuję.

Nadal cisza.

Oczywiście, że może mnie złapać w dwie sekundy, ale kiedy naprawdę go potrzebuję, nigdzie go nie ma.

– Zaraza!

Wydaje mi się, że w oddali słyszę jęk, który szybko przywraca mnie do rzeczywistości.

Ktoś oprócz nas tu jest?

Myśl tę przerywają ciężkie kroki. Otwierają się drzwi i pojawia się w nich wyglądający jak księżę z bajki jeździec.

Najpierw patrzy na łóżko, gdzie powinienam się znajdować, po czym opuszcza wzrok na podłogę, gdzie siedzę.

– Co robisz poza posłaniem, człowieku? – pyta, patrząc na mnie podejrzliwie.

Ponieważ oczywiście jestem gotowa ponownie spróbować uciec.

– Potrzebuję pomocy. – To wyznanie głęboko rani moją dumę.

Jeździec marszczy brwi, wchodzi do pokoju i zamyka za sobą drzwi.

– Chyba rozumiesz, że nie zamierzam ci żadnej udzielić, biorąc pod uwagę naszą historię.

Naszą historię. W jakiś sposób sprawia, że wydaje się, jakby była między nami cała saga.

– Wiem – odpowiadam.

Czeka, bym kontynuowała, ale kiedy stoi tu, wyglądając niczym wymuskany model, zapominam języka w gębie.

– Eee – mówię, wodząc palcem po podłodze. Plecy okropnie mnie bołą.

– Muszę skorzystać z łazienki. – Ta sytuacja niczym się nie różni od chwil, gdy wcześniej go o to prosiłam, a mimo to, ponieważ teraz jestem nie tylko związana, lecz także ranna, moje osłabienie sprawia, że czuję się bezbronna.

Właśnie dlatego siedzę na podłodze. Próbowałam samodzielnie wstać i udać się do łazienki. Nie wiedziałam jednak, że okażę się aż tak słaba, a moje rany będą tak bardzo bolesne.

Przemierzyłam połowę drogi do drzwi, nim się poddałam.

No i oto jestem.

Przez dłuższą chwilę Zaraza nie reaguje. Zbliża się w milczeniu. Spinam się nieco, gdy klęka przy mnie. Wiem, że prosiłam o pomoc, ale mimowolnie przypominam sobie całe cierpienie, jakiego stał się sprawcą.

To straszny zwrot akcji, ponieważ muszę polegać na osobie, przez którą znalazłam się w tej sytuacji.

Zaraza wsuwa pod moje ciało ręce i mnie podnosi. Krzyczę, gdy ten ruch wywołuje falę ostrego bólu. Ku mojemu upokorzeniu biorę jeźdźca za szyję, by zmniejszyć nieco nacisk na plecy.

Pozycja ta sprawia, że znajduję się niekomfortowo blisko jego ust i mam nieszczęście zauważyć, że jego górna warga jest pełniejsza niż dolna.

W milczeniu niesie mnie do łazienki i sadza na sedesie, mimo że wciąż mam na sobie spodnie. Wskazuję palcem jeansy, które zakrywają dolną część mojego ciała. Krój spodni jest babciny, sama z pewnością nie ubrałam się w coś takiego.

Co oznacza...

Ech.

Widział mnie nagą.

Jeździec przygląda mi się bacznie.

– Jeszcze raz spróbuj uciec...

– Tak, tak – mówię. – Nigdzie się nie wybieram.

Krzywi się i wychodzi, zamykając za sobą drzwi. Musi wiedzieć, że nie jestem w stanie nigdzie się ruszyć, inaczej nie zostawiłby mnie tu samej.

Albo wie, że może znów do ciebie strzelić, jeśli tylko spróbujesz zwać.

Korzystam z toalety i spuszczam wodę.

– Zaraza! – wołam, opierając się całym ciężarem o umywalkę, do której udało mi się doczłapać, by umyć ręce.

Kiedy się zjawia, praktycznie opadam w jego ramiona.

Tym razem, gdy biorę go za szyję, jestem zbyt obolała, by czuć jakiegokolwiek upokorzenie.

Trąca nogą drzwi do mojego pokoju i kładzie mnie na łóżku.

– Myślałam, że zabroniłeś mi spać – mówię, gdy wyciąga spode mnie ręce.

Z tak niewielkiej odległości widzę krystaliczny błękit jego oczu. Jest to barwa nieba w pogodny dzień. Ponad nimi znajduje się korona, stanowiąc ponure przypomnienie o tym, kim jest.

Mruży oczy, a kąciki zaciśniętych ust kierują się ku dołowi.

– Nie każ mi żałować tej uprzejmości.

Chyba naprawdę musi zdefiniować sobie na nowo to słowo.

Nim mam szansę odpowiedzieć, wychodzi z pokoju i ponownie zostaje sama.

Mijają niemal dwa dni, nim jestem w stanie opuścić łóżko o własnych siłach.

Do tego czasu Zaraza mnie karmi, a także zanosz mi do łazienki i przynosi z niej.

Innymi słowy, chwile te były super.

Albo i nie.

Kiedy nie ma go ze mną, śpię. Śnią mi się dziwne rzeczy, na przykład, że niedaleko mnie znajdują się rodzice, ale nie mogę się do nich dostać. Czasem coś szepczą, czasem krzyczą, a na koniec tylko kaszlą i znikają mi z oczu.

Kiedy na chwiejnych nogach wychodzę na korytarz, cieszę się, że

w końcu mogę się poruszać. Nie żebym całkowicie wyzdrowiała. Wszystko mnie boli, nawet płuca, i nie powinnam wstawać, ale muszę iść zrobić siku, a mam dosyć wołania Zarazy.

Dopiero gdy korzystam z toalety i pochylam głowę nad umywalką, aby się napić, postanawiam pozwiedzać dom, w którym przebywam.

Wychodzę z łazienki i przez moment nasłuchuję. Jeśli jeździec jest w pobliżu, nie ujawnia swojej obecności. Wątpię jednak, by tu przebywał. Teraz, gdy wypracowaliśmy pewnego rodzaju rutynę, kiedy wielokrotnie go wołam, a on czasami przychodzi, zaczynam myśleć, że znajduje się w tym budynku tylko wtedy, gdy przynosi mi jedzenie i picie lub pomaga skorzystać z toalety.

Nie będę rozważać faktu, że się mną zajmuje. Zamierzam pamiętać, że postrzelił mnie w plecy – dwukrotnie – i włókł mnie po śniegu, aż ból stał się tak wielki, że straciłam przytomność. Mam zamiar pamiętać, że wciąż przemieszcza się z miasta do miasta, rozsiewając chorobę i ciągnąc mnie ze sobą.

Jesteśmy wrogami, kropka. Nie zapomniał o tym od chwili, gdy do niego strzeliłam. Ja również powinnam pilnować, by o tym pamiętać, bez względu na to, jak bardzo mi pomaga.

Bzyczenie sprawia, że patrzę na sufit. Nade mną świeci lampa. To pierwsze, co zauważam w tym domu. Luksus, o który ostatnio jest trudno. Szczęściarze. W moim mieszkaniu nie było elektryczności. Miałam lampę naftową i kilka kaganków.

Przechodzę korytarzem, zmierzając do czegoś w stylu salonu, za którym jest kuchnia. Teraz, gdy zajęłam się najpilniejszymi potrzebami, pomimo bólu czuję burczenie w pustym brzuchu.

W tej chwili wszystko będzie lepsze niż przedziwne mieszaniny pokarmów, które przynosi mi Zaraza, jak na przykład musztarda i nieugotowany makaron. Zgaduję, że jeździec nie ma za wiele pojęcia o kulinarnych zwyczajach ludzi.

Powietrze w tym miejscu jest stęchłe, jakby pomieszczenie pozostawało zbyt długo zamknięte podczas upału i jakby zepsuły się niektóre produkty spożywcze.

Moją uwagę przykuwają wiszące na ścianach rodzinne zdjęcia. Ścisza mi się żołądek. Łatwo zatracić się w najbardziej przerażających aspektach apokalipsy i zapomnieć o tym, że dotknięci nią ludzie mieli rodziny.

Przesuwam wzrokiem po fotografiach, które są rozwieszane w porządku chronologicznym. Najpierw krępujące zdjęcia z dzieciństwa – te, gdy rodzice fotografują cię nago i uważają, że jesteś uroczy. A potem, kiedy jesteś starszy, odwiedzają cię kumple i zaczynają się z nich nabijać.

Następnie są fotografie maluchów i bezzębnych przedszkolaków. Dalej są rodzinne zdjęcia, które wyglądają na stare, bo widoczna na nich kobieta nosi wielki koronkowy kołnierz, jej mąż patrzy przez grube okrągłe okulary, a dwaj synowie mają na głowie takie same fryzury z dłuższymi włosami z tyłu.

Dotykam ramki, uśmiechając się na ten widok. Ile lat mają teraz ci chłopcy? Są po trzydziestce? Czterdziestce? Mają własne rodziny?

Zdjęcia kończą się wraz z korytarzem i wchodzę do salonu.

Tłumię jęk.

Na granatowej kanapie leży mężczyzna ubrany jedynie w bokserki i jest z nim coś nie tak. Odsloniętą skórę znaczą setki guzków. Ku mojemu przerażeniu niektóre z nich są otwarte i sączy się z nich krew oraz ropa. Na ten widok robi mi się niedobrze.

Podczas kilkuletniej pracy strażaka widziałam wiele okropieństw, ale nic podobnego do tego.

W powietrzu unosi się nieprzyjemna woń, której wcześniej nie wyczułam. To zapach choroby – zgnilizny.

Gość złapał Gorączkę.

Wstydzę się, bo mam ochotę uciec od tego człowieka tak daleko, jak to tylko możliwe. Z pewnością zaraża.

Jesteś świadkiem, Burns. Tak właśnie wygląda koniec. Poświęcenie, a jeśli zajdzie taka konieczność, śmierć.

Wracam spojrzeniem w górę. Mężczyzna ma brązowe szpakowate włosy, a na twarzy wypisane zmęczenie, które podpowiada, że jest po

czterdziestce. Przekrwione oczy wpatrują się we mnie beznamiętnie, gdy jego klatka piersiowa unosi się lekko i opada.

Dobry Boże, ten człowiek nadal żyje.

ROZDZIAŁ 10



Z araza chciał, żebym to zobaczyła. Doskonale o tym wiem. Fizyczne cierpienie to tylko część kary. To jej kolejny element – obserwowanie najbardziej odrażającej śmierci.

Nie, nie tylko obserwowanie. I nie tylko bezsilność wobec niej, lecz także towarzyszenie jeźdźcowi niczym współsprawca i odegranie roli w roznoszeniu plagi.

Znieruchomiła, patrzę na tego mężczyznę i próbuję sobie przypomnieć wszystkie historie, które słyszałam o chorobie.

W wiadomościach wspominali o wrzodach. Mówili, że pęcznieją i pokrywają całe ciało. I że pod koniec pękają jak przejrzałe owoce, a ludzkie ciało rozpada się od środka.

Nazwali to martwicą – gnijący żywy organizm.

Włoski na rękach stają mi dęba. Powinnam cierpieć na tę chorobę. Nie, powinnam już na nią umrzeć. Zamiast tego żyję i jestem na tyle zdrowa, by obserwować tego umierającego mężczyznę.

Ponownie przyglądam się otwartym wrzodom na jego ciele. Takiej śmierci nie spotyka się już w dzisiejszych czasach. Ma miejsce w starych horrorach i opowieściach o średniowiecznej Europie. Nie było jej tu, gdzie jeszcze niedawno jeździły samochody, latały samoloty, dzwoniły telefony i istniał internet.

Ale współczesny świat się skończył. Poległ po przybyciu jeźdźców. A teraz wszyscy starają się przetrwać w czasach, w których straciliśmy

niemal wszystko.

Mimo że mam ochotę uciec, stawiam niepewny krok naprzód. Do cholery, przecież jestem strażakiem. Przywykłam do codziennego widoku okropieństw i do ich naprawiania. Podchodzę, zauważając, że mężczyzna próbuje śledzić mnie apatycznym wzrokiem.

Żywy i świadomy.

Kucam przed nim, wyczuwając woń amoniaku i ekskrementów. Zaraza pomaga mi przy korzystaniu z łazienki, ale najwyraźniej nie był tak życzliwy wobec naszego gospodarza – czy kimkolwiek jest ten mężczyzna.

Ponownie się waham. Częściowo martwię się, że chcąc pomóc, pogorszę tylko jego stan. Nie wspominając o tym, że istnieje spora szansa, że złapię tę chorobę, a wtedy nie będzie to przyjemna śmierć. Ale przecież przebywałam w towarzystwie Zarazy znacznie dłużej niż ten człowiek. Byłam wieszona, postrzelona, ciągnięta po śniegu i nadal żyję – nietknięta przez Gorączkę.

Jakoś mnie ona ominęła.

Ale nawet gdyby tak nie było, nawet jeśli po prostu mnie jeszcze nie dopadła, co gorszego się stanie? Będę cierpieć? Kuszę los, aby zrzucił na mnie straszniejsze rzeczy niż dotychczasowy ból. A jeśli umrę? Cóż, przynajmniej nie będę musiała dłużej znosić obecności jeźdźca.

Zamierzam skupić się na pozytywnym myśleniu.

Biorę mężczyznę za rękę. Jest rozpalona.

Próbuje wydusić coś przez zaschnięte gardło i słabo kręci głową.

– Nie... powinnaś... Chory... – szepcze.

Ściskam jego dłoń.

– W porządku – mówię łagodnie. – Jestem tu, by pomóc.

Zamyka oczy.

– Wszyscy... martwi – jęczy i się krzywi. – Ostatni...

Żołądek mi się kurczy. Woń zgnilizny może pochodzić nie tylko od niego, lecz także od innych... którzy są teraz trupami.

Przez cały czas, gdy odzyskiwałam siły, nie zauważyłam, że w tym domu byli inni ludzie.

Przespałaś większość czasu, przypominam sobie.

A mimo to może coś słyszałam... Może moje sny nie były tylko majakami, lecz odgłosami, które docierały do mojego pokoju, gdy spałam i z którymi mój umysł musiał się zmierzyć.

Znów kieruję swoją uwagę na mężczyznę, który musiał patrzeć na chorobę i śmierć tych, którzy tu z nim byli. I musiał przeczuwać, że odejdzie jako ostatni i nikt się nim nie zajmie.

Wierzchem dłoni dotykam jego czoła i szyi. Jest rozpalony. I kiedy spoglądam ponad guzy i rany, przez które jego ciało przybrało groteskowy wygląd, widzę, że ma popękane i pełne strupów usta.

Podrywam się i zmierzam do kuchni. Biorę ręcznik i wkładam go pod kran. Przeglądam szafki, wydaję pustą szklankę i butelkę whisky i wracam do zlewu.

Napełniam szklankę wodą, biorę przygotowane rzeczy i idę do salonu, próbując nie myśleć o tym, że mam w tym domu wygodne łóżko, a ten mężczyzna musi leżeć na kanapie. Czy to sprawka Zarazy? Czy moje posłanie należało do gospodarza?

Kładę wszystko na ławie i mokrym ręcznikiem zaczynam ostrożnie ocierać mu twarz i szyję. Skrupulatnie przesuwam materiał w dół jego ciała, próbując unikać bolących miejsc.

Biorę szklankę z wodą i whisky. Unosząc obie te rzeczy, pytam:

– Co wolisz?

Nie ma nawet chwili wahania. Mężczyzna spogląda na whisky.

– Dobry wybór.

Wylewam wodę na dywan – bo nikt nie będzie przejmował się kałużą – i napełniam szklankę do połowy alkoholem.

Wsuwam rękę pod plecy mężczyzny i unoszę go na tyle, by mógł przełknąć, ignorując przy tym własny ból, który mnie przeszywa. Drugą ręką przytykam mu szklankę do ust.

Przełyka jej zawartość w pięciu sporych haustach.

– Więcej – chrypi, choć jego głos zdaje się być silniejszy.

Ponownie napełniam naczynie do połowy i znów poję go jego zawartością. I powtarzam rytuał raz jeszcze.

To wystarczająca ilość alkoholu, by zwalić człowieka z nóg, ale chyba o to chodzi. Nie można pokonać choroby jeźdźca. Ona zawsze kończy się śmiercią. W tej chwili mogę sobie jedynie wyobrazić cierpienie tego mężczyzny.

Kiedy gospodarz wychyla trzecią szklanekę, chcę ją ponownie napełnić, ale on lekko unosi rękę. Wystarczy.

– Dziękuję – rzezi.

Kiwam głową i przelękam ślinę przez nagle ściśnięte gardło. Biorę rozpaloną dłoń mężczyzny w swoje ręce.

– Chcesz, żebym została? – pytam. Nie dodaję, że przez kilka godzin. Nawet w obliczu śmierci nie potrafię nazwać jej po imieniu.

Mężczyzna zamyka oczy, odpręża się pod wpływem whisky, po czym ściska moją rękę, co biorę za potwierdzenie.

Kciukiem rysuję kółka na jego skórze i powoli zaczynam recytować wiersz Poego.

– *Patrz – oto czarny śmierci tron, wśród dziwnych – pustych, dzikich stron...* [2].

Wypowiadam wersy *Miasta na morzu*, które przeczytałam i zapamiętałam dawno temu. Kiedy kończę, zaczynam *And Thou art Dead, as Young and Fair* Byrona, po czym dorzucam kilka wersów z *Makbeta* oraz losowo wybrane wiersze i fragmenty prozy. Być może ludzkość dawno temu przestała interesować się tymi autorami, ale ich ponadczasowe słowa są teraz jeszcze bardziej odpowiednie.

Leżący obok mnie chory nie otwiera ponownie oczu, ale co jakiś czas obraca nieznacznie głowę w moją stronę, dając znać, że słucha.

W którejś chwili przestaje się ruszać. Jego świszczący oddech zwalnia, a głowa opada. Siedzę na piętach, trzymając go za rękę, przyglądając się, jak klatka piersiowa przestaje się unosić. Nawet wtedy nadal go trzymam. Puszczam, dopiero gdy jego skóra robi się zimna.

Nie zapytałam go o imię. Trzymałam go za rękę i złagodziłam jego cierpienie, a widok choroby będzie mnie prześladował do końca moich dni, ale nie zapytałam go o imię.

Będzie mnie to dręczyć.

Chwytam whisky i pociągam kilka łyków. Wkładam sobie butelkę pod pachę. Wiem, że będę jej potrzebować, i to niebawem. Bez wątpienia czeka mnie męka.

Cierpienie dopiero się rozpoczęło.

[2] Edgar Allan Poe, *Miasto na morzu*, przeł. Antoni Lange.

ROZDZIAŁ 11



Dom opuszczamy niecałą godzinę po śmierci bezimiennego mężczyzny. Zaraza prowadzi mnie, trzymając rękę na moim ramieniu, a jego złoty kołczan i łuk cały czas mam przed oczami.

Stanowią przypomnienie, co on może mi zrobić.

Jego rumak na nas czeka, lejce nie są przywiązane. Zwierzę po prostu stoi, jakby nie miało nic lepszego do roboty niż czekanie na swojego pana.

Zaraza bierze linę, która była wepchnięta do sakwy. Rozwija ją i jeden koniec wiąże wokół moich nadgarstków, które wciąż pokryte są bandażami.

Na widok skrępowanych dłoni powraca cały mój ból.

Ponowny bieg. Powinnam się była domyślić.

Jednak zamiast przywiązać drugi koniec do siodła, przekłada linę przez jedną ze szlufek.

Unoszę brwi. A to ci nowość.

Zaraza unika patrzenia mi w oczy, gdy obraca się w moją stronę i chwyta mnie za boki. Mimo że przez ostatnie dwa dni nosił mnie do łazienki, wciąż wzdrygam się, gdy jego palce znajdują się pod moimi pachami. Zanim mam szansę coś zrobić, jeździec sadza mnie na koniu. Chwilę później siada za mną.

Skóra trzeszczy, gdy mężczyzna mości się w siodle. Syczę z bólu, kiedy przyciska moje plecy do swojej zbroi. Obejmuje mnie lewą ręką, kładąc

dłoń na moim podbrzuszu. Drugą bierze lejce.

Przysuwa się.

– Jeśli zeskoczysz – ostrzega, a jego ciepły oddech owiewa mi ucho – znów będziesz musiała biec.

Nie wątpię, ale w tej chwili mogę myśleć jedynie o tym, jak jednocześnie odrażająca i intymna jest ta bliskość.

Zaraza cmoka, a koń rusza.

Jadę z jednym z jeźdźców Apokalipsy.

Ja pierdzielę.

To się nazywa miejsce w pierwszym rzędzie podczas końca świata.

Nawet przy całym tym bólu, który mnie przeszywa, jazda jest o wiele lepsza niż bieg ze skrępowanymi nadgarstkami za koniem.

– Byłam naprawdę bliska śmierci, co? – pytam, mając na myśli czas, gdy włókł moje ranne ciało.

– Musisz mówić?

Jaki przyjemniaczek.

– Musisz rozsiewać chorobę?

Nie odpowiada, choć czuję, że wpatruje się w moje plecy.

– Dlaczego mnie ocaliłeś? – naciskam.

– Nie ocaliłem cię, człowieku. Utrzymuję cię przy życiu. To różnica. A robię to, byś mogła cierpieć. Chyba jasno się wyraziłem.

Dotykam swojego torsu. Pod warstwami pożyczonego ubrania znajdują się wciąż zabandażowane rany.

– Zadałeś sobie sporo trudu, by utrzymać mnie przy życiu.

– Prawda – mówi i zaraz dodaje: – Ale dręczenie cię sprawia mi radość.

– Jego słowa są pełne goryczy, a jednak...

Nie wierzę mu. Boże, chciałabym, bo nim gardzę, ale mu nie wierzę. Nie do końca. I nie wiem dlaczego.

Przez dłuższą chwilę jedziemy w milczeniu, nasze ciała kołyszą się w rytm chodu konia, nim ponownie się odzywam:

– Gdzie nauczyłeś się oczyszczać i opatrywać rany? – pytam.

– Ma to jakieś znaczenie? – rzuca.

Zerkam na niego przez ramię i widzę jego chłodne niebieskie oczy, gdy wiatr zarzuca mu kilka kosmyków blond włosów na twarz.

Co za marnotrawstwo piękna.

Zaraza zaciska zęby i po chwili znów kieruje spojrzenie na drogę.

– Chyba nie ma. Po prostu jestem wdzięczna. – Naprawdę tak jest. Uznałam, że nie jestem gotowa na śmierć, nawet jeśli w tej sytuacji może się ona wydawać łatwiejszym wyjściem.

– Nie obchodzi mnie to – mówi z chłodem.

Najwyraźniej jest w dobrym nastroju.

Albo i nie.

– Ale... – Czuję, że się wkurza, lecz i tak kontynuuję: – Nie zachorowałam.

– Jaka spostrzegawczość, śmiertelniku.

– To szczęście, czy kontrolujesz to, kto zostanie dotknięty tą plagą? – pytam.

– Urodziłaś się ze wszystkimi sprawnymi organami?

Nie widzę wyrazu jego twarzy, więc nie mam pojęcia, do czego zmierza.

– Tak... – mówię ostrożnie.

– To dobrze – odpowiada. – W takim razie oczekuję, że użyjesz tego, co masz pod czaszką.

Cholera. Trochę zabolalo.

– Więc kontrolujesz chorobę.

Milczy.

– Oszczędziłeś mi jej – dodaję.

– Ponownie upierasz się, że moje pobudki są altruistyczne. Nawet przez chwilę nie zakładaj, że cenię sobie twoje życie. Żyjesz tylko po to, aby zaspokajać moją żądzę zemsty.

Tak, jak sobie chcesz.

Patrzę na jego opaloną dłoń, która wciąż spoczywa na moim brzuchu.

– Dokąd jedziemy?

Westchnienie Zarazy świadczy o jego ogromnym znużeniu.

– To znaczy – ciągnę niezrażona – gdzie znajduje się twój ostateczny cel?

To pytanie prześladowuje ludzi na całym świecie. Dokąd zmierza Zaraza?
– Nie mam celu, człowieku – odpowiada. – Będę jeździł, dopóki nie wykonam zadania.

Aż wszyscy będziemy martwi. Właśnie o to mu chodzi.

Będzie jeździł na koniu po świecie, aż zarazi nas wszystkich.

Ta prawda ciąży na moim sercu jak kamień.

Mężczyzna obejmuje mnie mocniej w talii.

– Wystarczy tej częściej gadaniny. Zmęczyły mnie twoje pytania.

Nie daję temu wiary, ale po ostatniej odpowiedzi uznaję, że też nie chce mi się z nim gadać.

Jeździemy więc w strasznej, niepokojącej ciszy, przy czym jeździec rozsiewa plagę.

Dzień ustępuje nocy, gdy zatrzymujemy się przy jakimś domu. Ostrożnie zerkam na jednokondygnacyjny budynek, gdy Zaraza zsiada z konia.

Mam wielką nadzieję, że ktokolwiek tu mieszkał, zdołał się ewakuować.

Jeździec mnie chwyta. Cały dzień siedziałam przed nim na koniu, więc udaje mi się nie wzdygnąć, gdy mnie dotyka.

Wpatruję się w niego, gdy pomaga mi zsiąść. To dziwne uczucie – bycie zależnym od kogoś, kto zarówno cię skrzywdził, jak i o ciebie zadbał. Jestem związana, więc muszę polegać na tym człowieku nawet w tak prostej czynności jak zejście z konia. Orientuję się, że pragnę jego dobroci, współczucia, i to choćby w najmniejszym stopniu. Całkowicie niedorzeczne jest dla mnie to, że oczekuję takich uczuć, biorąc pod uwagę, że jest zły i sam wpakował mnie w tę sytuację.

Zaraza patrzy mi w oczy i po raz pierwszy jego spojrzenie wolne jest od gniewu czy goryczy. Oczywiście w chwili, gdy o tym myślę, ponownie staje się nerwowy.

Nogi się pode mną uginają, gdy stawia mnie na ziemi.

– Jezus, Maria i wszyscy święci – klnę pod nosem. Mam otarte uda i bolą mnie mięśnie nóg.

Patrzę w niebo. *Rozumiem, Boże, nie jestem Twoją ulubioną osobą.*

Jeździec nie poświęca mi kolejnego spojrzenia, tylko odchodzi. Chwilę później czuję szarpnięcie, gdy ciągnie za linę.

– Chodź, człowieku – woła przez ramię.

Jakże nim pogardzam.

Kuśtykam w jego stronę, przyglądając się z dezaprobatą, jak kopie w drzwi. Wciąga mnie do środka.

Potrzebuję chwili, by mój wzrok przywykł do ciemności. W pomieszczeniu unosi się zapach stęchlizny, jakby przez dłuższy czas nie było wietrzone. Para ulatuje mi z ust, co jeszcze bardziej utwierdza mnie w przekonaniu, że właściciela od dawna tu nie ma.

Zaraza podchodzi i chwyta moje ręce.

– Znasz zasady – mówi, rozwiązując węzły. – Jeśli uciekniesz, moja życzliwość się skończy.

Zerkam na zwisający z jego ramienia kołczan, z którego wystają lotki złotych strzał. Wciąż czuję groty, które wbiły się w moje ciało. W odpowiedzi zaczynają pulsować mi plecy.

– Uczepiłeś się tego słowa, co?

Życzliwość.

Życzliwość jest wtedy, gdy przyniesiesz drewna staruszkom, którzy nie mają pieniędzy, by je kupić. Życzliwość to ciepły uścisk czy miękki uśmiech.

Życzliwość to nie ten sukinsyn i jego zachowanie.

Lina opada, a ja przyglądam się Zarazie, pocierając zabandażowane nadgarstki. Podchodzę do kominka. Właściciele zostawili polana, zapalki i stare gazety. Biorę je i zaczynam budować palenisko, umieszczając podpałkę w kilku miejscach. Przez cały czas ignoruję jeźdźca, którego wzrok czuję na plecach.

– Skończyłeś? – wołam.

Cisza.

– Z czym, człowieku?

– Z gapieniem się na moje plecy. Napatrzyłeś się wystarczająco? – pytam z pogardą.

– To ma mnie obrażać? – Wydaje się szczerze zdumiony.

Jeśli chce, by mu to wyłożyć...

– Tak.

Prycha.

– Spróbuję o tym pamiętać, gdy po raz kolejny zarzucisz mnie tymi zajadłymi słowami.

Czuję, że jest zadowolony z tej swojej riposty.

Dobra odpowiedź, jeźdźcu. Naprawdę mi teraz dopiekleś...

Patrzę na niego przez ramię. Jego zbroja i korona połyskują w ciemności.

– Ale z ciebie czubek.

Marszczy brwi.

– Gdybyś miał wątpliwości, to też należy traktować jako zniewagę – dodaję. Obracam się do kominka i skupiam na jego zawartości.

Zaraza stoi w miejscu przez dłuższą chwilę, więc zastanawiam się, co robi. Mam nadzieję, że umiera z upokorzenia, choć jakoś wątpię, by tak było.

Jakiś czas później wychodzi z pomieszczenia, dzwonienie jego zbroi jest coraz bardziej odległe. Zamyka drzwi i słyszę szum wody.

Też przydałaby mi się kąpiel. Śmierzę jak koń, jestem przepocona i kto może wiedzieć, ile brudu jest pod bandażami. Ale mycie wymagałoby poproszenia o pomoc przy zdjęciu opatrunków, a nie jestem gotowa, by wołać Zarazę.

Zapalam wciśniętą pomiędzy szczapy drewna gazetę, po czym siadam i obserwuję rosnące płomienie.

Po raz pierwszy, odkąd wyciągnęłam spaloną zapałkę, mam chwilę dla siebie, która nie jest podsycana adrenaliną, strachem i bólem. Próbuję nie myśleć o tym, co to oznacza. Łatwiej pojąć to, co się dzieje między mną a jeźdźcem, gdy ten próbuje mnie skrzywdzić. Niezbyt łatwo, gdy jest tylko irytujący.

Przez dłuższy moment moje myśli błądzą bez celu. Można by sądzić, że mądrze wykorzystam ten czas – aby zaplanować ucieczkę czy wymyślić, jak obezwładnić jeźdźca – ale nie. Moja głowa jest dziwnie pusta.

Na półce nad kominkiem stoi kolekcja małych porcelanowych figurek.

Przyglądałam się po kolei wymalowanym twarzom. To takie specyficzne hobby – zbieranie takich postaci. Widok tych przedmiotów przypomina, jak wielu ludzi żyje na świecie. W tej chwili całe miasta pustoszeją, bo ich mieszkańcy uciekają, próbując przetrwać.

Wyobrażam sobie wszystkie te dzikie zakamarki Kanady, a każdy z nich jest teraz domem dla tysięcy przesiedleńców czekających na przejazd jeźdźca. Toczy się obecnie śmiercionośna zabawa w kotka i myszkę, z tym że wszyscy jesteśmy gryzoniami.

Spoglądam na babcine jeansy i niemodną koszulę. Pośród tych tysięcy są też moi rodzice.

Serce mi się ściska. Nie wiem, dlaczego wracam do nich myślami. Przypuszczam, że to wyrzuty sumienia.

Planowaliśmy się spotkać w domku myśliwskim dziadka – małej chatce położonej kilkadziesiąt kilometrów na północny zachód od Whistler.

W głębi duszy wiem, że nigdy tam nie dotrę.

– Jedźcie – powiedziała im. – Muszę dokończyć ewakuację miasta.

Wspomnienie wciąż boli.

– Nie zgrywaj bohaterki – odparła mama. – Wszyscy opuszczają posterunki.

– Muszę wykonywać swoją pracę.

– Umrzesz, jeśli będziesz ją wykonywać! – wykrzyknął tata. A nigdy nie krzyczał.

– Tego nie wiesz.

– Cholera, Saro, wiem. I ty również. Jakie jest prawdopodobieństwo przeżycia w tej sytuacji?

Nie było żadnego. Ludzie albo unikali Mesjanistycznej Gorączki, albo na nią umierali. Wiedziałam o tym, tak samo jak tata i cały świat.

– Ktoś musi pomóc tym rodzinom – powiedziałam.

Ojciec przestał mnie słuchać. To był jedyny raz, gdy widziałam, jak płakał.

Zapewne uważa, że już nie żyję.

Według jego wiedzy naprawdę tak jest.

Zamyślona dotykam policzka i wyczuwam wilgoć.

– Co za niespodzianka. Spodziewałem się, że znów zechcesz uciec.

Instynktownie spinam się na dźwięk głosu Zarazy.

Odchrząkuję i pospiesznie ocieram oczy.

Nie dam mu przyjemności oglądania mojego smutku.

– Rozumiem, że nie masz dobrego mniemania o ludziach – mówię, obracając się do niego – ale to po prostu... Jezu!

Stoi na drugim końcu pomieszczenia, jego włosy wciąż ociekają wodą i cały jest nagi.

ROZDZIAŁ 12



O Boże. – Zakrywam oczy. – Włóż coś na siebie! Nikt nie chce tego oglądać!

Marszczy brwi.

– Wasze ludzkie poczucie przyzwoitości jest zupełnie niedorzeczne.

Mimo całej wiedzy tego faceta, w jego edukacji istnieją spore luki. Nie ma na przykład pojęcia, co sprawia, że ludzie czują się cholernie zażenowani.

– Co nie zmienia faktu, że oglądanie twojego gołego tyłka nie znajduje się na mojej krótkiej liście rzeczy do zrobienia podczas apokalipsy.

Nie żeby miał brzydkie ciało. To znaczy, gdyby okoliczności były inne...

– Nie rozumiem, dlaczego mówisz mi takie rzeczy, gdy chcę, byś cierpiała – oznajmia.

– Włóż po prostu jakieś gacie.

Naprawdę, tylko o to mi chodzi.

Zbliża się do mnie i widać wszystko – dosłownie wszystko – jak na dłoni. Przyglądam się błyszczącym bursztynowym tatuażom, które są dziwne i piękne. Przenoszę spojrzenie do jego szerokich ramion i zwężającego się ku dołowi tułowia. Sięgam wzrokiem niżej, do jego brzucha, a następnie...

Może to przez siedzenie przy ogniu, ale nagle chciałabym się powachlować.

– Proszę.

– Przejął się, gdy błagałem o litość?

To niedorzeczne.

– Nie, ale...

– Nie – zgadza się. – Z tego właśnie powodu nie odpowiem na twoją prośbę.

Nie rozumie jednak faktu, że postrzał w twarz i gapienie się na imponujący przykład męskiej postaci to dwie zupełnie różne formy cierpienia. Nie, cofam to, nie znajdują się one nawet na tej samej płaszczyźnie. Są jak homofony: można je określić tym samym słowem, ale mają całkowicie różne znaczenie.

– Naprawdę wyznajesz zasadę „oko za oko” – mamroczę.

Z pewnością tym przedstawieniem kieruje starotestamentowy Bóg.

– Naprawdę zamierzasz mnie zmuszać, bym oglądała cię nagiego? – dociekam.

– Jeśli ci to przeszkadza. – Podchodzi do ognia i, poważnie, nawet nie potrafię wyrazić, jak trudno tam nie patrzeć.

To naprawdę twardy orzech do zgryzienia (choć jestem pewna, że jeździec nie załapałby żartu).

Powoli dociera do mnie, że Zaraza wykorzystuje ciepło z kominka, by się wysuszyć. Co oznacza, że będzie tu stał przez dłuższą chwilę.

Czas na mnie.

Zamierzam odejść, ale mnie ubiega. Obraca się i wychodzi z pomieszczenia, a jego mocne mięśnie spinają się przy każdym ruchu.

– Połóż się na kanapie i zdejmij koszulę – rzuca przez ramię, wychodząc.

Zamieram.

Jest nagi i chce, bym i ja się rozebrała...

Co, u licha?

Jestem mocno zdumiona. Nie wyczułam w nim zainteresowania seksem – prócz tego, że ochoczo paradował tak, jak go stworzono. Co nie powstrzymuje mnie przed złapaniem za pogrzebacz. Jeśli czegoś spróbuje, zrobię z niego miazgę.

Jestem tylko... oszołomiona całym tym pomysłem.

Spinam się, gdy słyszę jego zbliżające się kroki. Chwilę później wchodzi do salonu. Rozluźniam się odrobinę, gdy widzę, że włożył swoje czarne ubranie. Ma nawet buty. Brakuje jedynie złotych regaliów.

Po wszystkich tych groźbach pozostania nagim, jakoś szybko z tego zrezygnował.

W dłoni trzyma coś małego.

Zatrzymuje się na mój widok, ponieważ nadal mam na sobie koszulę i ściskam pogrzebacz.

Wzdycha.

– Niech będzie i tak.

Przemierza pomieszczenie w kilku długich krokach.

Biorę zamach, zupełnie jak te idiotki w horrorach, ale to na nic. Zaraza odbiera mi broń, chwyta za kark i ciągnie do kanapy. Rzuca mnie na nią twarzą, po czym wbija mi kolano w plecy.

– Ludzie – mamrocze.

Tracę dech. Wiję się, ale to prowadzi donikąd.

Chwilę później słyszę trzask materiału, gdy Zaraza rozdziera mi koszulę.

Wsuwa palce pod bandażę i ciągnie, co powoduje nagły ból, gdy odzywają się moje rany. Opatrunek również puszcza. Rozrywa się, jakby był zrobiony z papieru.

Wszystko to boli. Nie sądzę, by jeździec specjalnie mnie krzywdził, ale każdy jego dotyk rozpala moją poranioną skórę.

Jednak w którymś momencie to się kończy. Moje ciało pokrywa się gęsią skórką, kiedy owiewa mnie chłodne powietrze.

Przez chwilę nic się nie dzieje, po czym znów czuję ciepłą dłoń jeźdźca. Dotyka mnie jednak tylko przelotnie.

– Siadaj – nakazuje.

Co?

Przyciskając podarte resztki koszuli do piersi, spełniam jednak polecenie.

– Zdejmij to – mówi zirytowanym głosem.

Wypuszczam drżący oddech.

Nie chcę tego robić, bo bez względu na to, jak bardzo on jest bezpośredni w kwestii nagości, ja taka nie jestem. Choć teraz... przypominam sobie, w jaki sposób byłam wleczone po asfalcie, a także bezlitosne spojrzenie Zarazy, gdy ostatnio mu się sprzeciwiłam.

Nie mam do czynienia z człowiekiem. Nie zawaha się, aby mnie skrzywdzić, jeśli nie wykonam polecenia.

A jestem zmęczona oporem. Czuję się... bezradna wobec tej niepowstrzymanej siły.

Zrzucam materiał, próbując zrobić, co w mojej mocy, aby zakryć rękami piersi.

Zaraza sięga do moich pleców, ma rozłożone palce. Dotyka delikatnie, ale i tak się wzdrygam.

– Trzymaj to z przodu – mówi zza mojej głowy.

Patrzę na to, co mi daje. Potrzebuję chwili, by rozpoznać gazę.

Bandaże. Zamierza mnie opatrzyć.

Wzdycham drżąco, co brzmi niemal jak szloch. Dobra, może zaczęłam płakać. Moja reakcja zmienia się nagle w pełen czkawki rechot. Nie mogę przestać się śmiać. Po moich policzkach płyną łzy, a ja nie jestem pewna, czy się śmieję, czy płaczę, bo...

Bo, rety, postrzeliłam go i podpaliłam, a nawet teraz chce mi się rzygać na myśl, że zrobiłam komuś coś takiego, mimo że był zwiastunem apokalipsy. A koszmar wcale się tu nie kończy. Byłam związana i zmuszona do biegu za tym nieśmiertelnym stworzeniem, które sądziłam, że zabiłam, tym samym, które zabije nas wszystkich. I byłam wleczone, wyrwano mi bark, nie wspominając o podziurawionych plecach i nogach. Musiałam także patrzeć na najbardziej okrutną śmierć człowieka, a teraz jestem opatrywana, choć wydawało mi się, że zostanę upokorzona i, ech, ten koszmar wcale się nie skończy, bo Zaraza jest bezbożnym psycholem, którego nie satysfakcjonuje niszczenie życia, jakie znamy. Musi zrobić ze mnie przykład.

Przestaję się śmiać, ale nie wiem, czy to, co teraz się ze mną dzieje, można nazwać płaczem. Ryczę głośno, gdy mój umysł próbuje ogarnąć wszystko, czego doświadczyłam.

– Mam nadzieję, że ci się to podoba – mówię przez łyzy.

– Tak – odpowiada bez humoru. – Proszę. – Podaje mi rolkę gazy. Wciąż trzęsąc się od emocji, biorę bandaż i owijam go wokół torsu, po czym mu podaję. Powtarzamy tę czynność wielokrotnie, aż moje rany są zakryte.

Ocieram oczy, odchrząkuję i biorę się w garść.

Oddycham głęboko.

Będzie dobrze – albo nie będzie, ale to też w porządku.

Kiedy wydaje mi się, że odzyskałam głos, mówię przez ramię.

– Doceniam wysiłek, ale jeśli nie oczyszczę ran, wda się zakażenie. – To nie jest pewne, ale to jak ruletka.

Przypuszczam, że powinnam być wdzięczna za tę odrobinę życzliwości.

– To nie jest konieczne – mówi jeździec.

– Co masz na myśli? – pytam, próbując rozszyfrować tę zagadkę.

– W twoje rany nie wda się zakażenie.

Obracam się do niego.

– Skąd wiesz?

Patrzy w niebo, jakby próbował odnaleźć Boga i Jego cierpliwość.

– Ponieważ to ja kontroluję wszystkie zakażenia.

Poważnie? Nie tylko powstrzymuje chorobę, by mnie nie zaatakowała, lecz także nie musi czyścić mi ran, by nie wdało się zakażenie?

– To po co w ogóle zmieniać bandaże? – dociekam, ponownie patrząc przed siebie.

– Tak wielka rana wymaga opatrzenia, by prawidłowo się wygoiła – mówi. Odrywa bandaż z rolki i wiąże. – A teraz daj nadgarstki.

Wypełniam polecenie, dziwnie zahipnotyzowana tą sytuacją – i Zarazą, jeśli mam być szczerą.

Pochyla się nad moimi rękami, a złote włosy opadają mu na oczy, gdy odwija bandaż. Z tej perspektywy wygląda bardzo niewinnie, co jest dziwne w przypadku mężczyzny, w dodatku takiego, który zabił już tyle osób. Być może to wynik jego delikatności, a może w końcu widzę (bardzo znikomy) przeblysłk człowieczeństwa.

Marszczę brwi, wpatrując się w jego pochyloną głowę.

– Dlaczego to robisz?

– Cierpienie jest dla żywych.

Nie wiem, dlaczego spodziewałam się innej odpowiedzi. I rozumiem. Skrzywdziłam go, więc i on zrobi mi krzywdę. Oboje podążamy za scenariuszem. Choć nie pojmuję tej chwili. Kiedy obserwuję, jak się o mnie troszczy, jaki jest czuły. To dość niepokojące, że oczekuję odpowiedzi innej niż to, że chce mojej krzywdy.

Ale jeśli istnieje odmienne wyjaśnienie, nie jest mi dane go poznać.

ROZDZIAŁ 13



Kąpiele będą stanowiły problem.

Następnego dnia stoję tyłem do wanny, wpatrując się w Zarazę, który zasłania drzwi własnym ciałem. Oboje znajdujemy się w niewielkiej łazience w nowym domu, w którym postanowiliśmy się przespać.

Podobnie jak poprzedni, także ten jest cudownie pusty. I bonus: jest tu prąd, co oznacza ciepłą wodę, a to z kolei oznacza czysty tyłek.

Jedyną ku temu przeszkodą jest psychol, który uważa, że ucieknę, pomimo że wielokrotnie zostawiał mnie już w łazienkach – do diabła, zostawiał mnie samą w sypialniach, salonach i kuchniach. Wie, że ostudził mój zapał do ucieczki. Nie rozumiem więc, dlaczego uważa, że akurat teraz powinien tu zostać.

– Okej, musisz wyjść – mówię, wpatrując się w gigantyczną, przypominającą człowieka postać.

Krzyżuje ręce na złotej zbroi. Tym sposobem daje mi znać, bym go do tego zmusiła.

– Możesz tego nie wiedzieć, ale ludzie nie przyglądają się ablucji innych osób. – Przynajmniej tak mi się wydaje, ale może w społeczeństwie istnieje seksualna dewiacja, o której nie wiem. Zdarzają się przecież dziwniejsze rzeczy – na przykład pojawienie się na Ziemi gościa, który stoi teraz przede mną.

– Jeśli chcesz dłuższej smyczy, musisz zasłużyć – mówi wyniośle.

– A może już zasłużyłam we wszystkich tych chwilach, gdy puszczałeś mnie samą do toalety?

– Byłaś zbyt słaba, by mi się sprzeciwić – odpowiada.

– Wczoraj nie byłam.

Wpatruje się we mnie.

Wyrzucam ręce w górę.

– Będę naga i mokra. Wiesz, jak zimno jest na zewnątrz?

Nie odpowiada.

– Na tyle, by odmrozić sobie cycki – odpowiadam.

Nadal zero reakcji. Brak nawet śmiechu. No jasne. Jestem pewna, że facet nie ma żadnego poczucia humoru.

– Proszę – bezwstydnie uciekam się do zebrania.

– Proszę? – powtarza. – Zapomniałaś o naszej historii? Prosiłem, a ty się nie zlitowałaś. – Opiera się o drzwi. – Kap się, człowieku, albo i nie, ale ja stąd nie wyjdę.

Naprawdę rozważam rezygnację z kąpieli. Nie jestem pruderyjna, ale nie cieszy mnie obnażanie się przed stworzeniem, które stara się wykończyć całą cywilizację.

Ale i tak wszystko sprowadza się do kwestii praktyczności. Mam na sobie krew, błoto i Bóg wie co jeszcze. Stanowię zagrożenie biologiczne.

Posyłając Zarazie nieprzyjazne spojrzenie, puszczam ciepłą wodę i zaczynam się rozbierać.

Jeździec nie ma problemu z nagością, próbuję sobie wmówić, gdy ściągam spodnie. Przypomina mi się jego nieodziane ciało. Nie wiedział, że powinien być zawstydzony.

Uspokaja mnie to tylko w niewielkim stopniu.

Sięgam do bandaża na torsie, ale natrafiam na pewien problem. Gdziekolwiek jeździec zawiązał koniec gazy, nie potrafię do niego dosięgnąć. Szarpię się bezskutecznie, aż Zaraza odchodzi od drzwi.

Odsuwa moje ręce i odwraca mnie plecami do siebie. Już mam zacząć protestować, gdy słyszę rozdarcie.

Kiedy kończy, pochyla się i mówi mi do ucha:

– Proszę.

Krzywię się, stojąc twarzą do ściany, a on wraca na swoje miejsce.

Do czasu, aż wanna jest pełna cudownie ciepłej wody, pozbywam się ubrania i opatrunków.

Zaraza omiata wzrokiem moje ciało w zupełnie beznamiętny sposób, tak samo jak przedtem. Byłby równie zainteresowany, gdyby zamiast mnie stała tu lampa.

Powinnam czuć ulgę. Gdyby był zbyt zajęty ocenianiem każdej mojej niedoskonałości, mogłabym paść z zażenowania.

Jednakże jego obojętność z jakiegoś powodu mi przeszkadza. Nie jestem pewna, czy chciałabym zaimponować mu ciałem (fuj), czy irytuje mnie jego brak jakiegokolwiek reakcji na widok nagiej kobiety. Ludzie mają wyrobione opinie w kwestii damskich sylwetek (niektórych dupków nie można w tym temacie uciszyć), a kompletny brak zainteresowania Zarazy przypomina mi tylko o tym, że nie jest on człowiekiem.

Wchodzę do wanny, woda jest bardzo ciepła. Wzdycham, gdy się zanurzam.

Po drugiej stronie łazienki jeździec odkłada łuk i kołczan przy ścianie, a następnie opiera potylicę o drzwi. Błądzi po mnie wzrokiem, nie niegrzecznie czy z niecznymi intencjami, ale z ciekawością i lekkim zainteresowaniem.

Zastanawiam się, czy to dla niego dziwne i nowe. Kobiety, nagość, kąpiele, bieżąca woda – cały ten kram. Przecież nie urodził się na tym świecie, więc to nie są dla niego oczywiste sprawy.

Zanurzam się głębiej, pławiąc się w ciepłe.

Minęło tak wiele czasu, odkąd brałam porządną kąpiel.

Przeważnie były to lodowate prysznice, podczas których musiałam się spieszyć, by nie umrzeć. Dziś mam zamiar tu zostać, póki nie pomarszczą mi się opuszki palców.

– Skąd jesteś? – pytam, by zabić czas.

Zaraza marszczy brwi.

– Nie stąd.

Oczywiście.

Biorę kostkę mydła domowej roboty oraz myjkę i zaczynam od palców u stóp. Myję całe ciało, szorując skórę, aż zaczyna piec, ale jest czysta. Wokół mnie pływają resztki krwi i brudu.

Nie ma szamponu czy odżywki do włosów – co nie jest zaskakujące, biorąc pod uwagę, że to ostatnio towary luksusowe – więc używam mydła i masuję palcami skórę głowy, wiedząc, że fryzura będzie śmieszna, gdy włosy już wyschną.

Ale przypuszczam, że lepsze to niż brud.

Gdy już pozostałe części ciała są czyste, niechętnie zabieram się do pleców. Kiedy tylko dotykam ich myjką, czuję ból w ranach. Niestety to nie jest największy problem. Jest sporo miejsc, do których nie mogę dosięgnąć, bez względu na to, jak bardzo się staram.

A próbuję naprawdę z całych sił.

Słyszę dzwonienie metalu, gdy Zaraza się porusza.

Zerkam na niego podejrzliwie, gdy klęka przy wannie. Bierze ode mnie myjkę, drugą ręką chwytając mnie za ramię, więc się spinam.

Patrzy mi w oczy.

– Robię to tylko dlatego, że boli mnie widok twojej żalostnej kąpieli – ostrzega. Otwieram usta, ale nim mam szansę odpowiedzieć, chwytam mnie za kark. – Pochyl się.

Wkurzona, że tak mnie traktuje, waham się, ale w końcu ulegam i obejmuję nogi.

Odsuwa mi mokre włosy na bok, aż obsypuje mnie gęsia skórka.

To tylko chłód w powietrzu, wmawiam sobie.

Zaciskam zęby, gdy Zaraza myje moje rany, choć jego dotyk jest zaskakująco delikatny. Mimo to skóra wciąż boli.

– Jak łatwo uszkodzić twój rodzaj – mruczy, ponownie przeciągając myjką po świeżo zabliznionej ranie.

To prawdopodobnie najbliższe przeprosin słowa, jakich mogę się po nim spodziewać, i to chyba wystarczy. To znaczy, przynajmniej nie próbował mnie zabić, jak ja jego.

Ale tylko dlatego, że pragnie twojego cierpienia.

Kiedy kończy, oddaje mi myjkę i wraca pod drzwi. Siada, opierając się

o nie plecami. Kładzie sobie łuk na kolanach, ponownie przybierając pozę więziennego strażnika.

Woda jest już brudna i szybko stygnie, mimo to waham się przed opuszczeniem wanny. Plecy bolą mnie w miejscach szorowania i jestem podenerwowana.

Dziwnie się przy nim czuję. Nie wiem, czy to dobre, czy też złe uczucie, ale na pewno szalone.

Podciągam nogi do piersi i opieram policzek o kolano.

– Wciąż nie wiesz, jak mam na imię – mówię.

– Nie muszę wiedzieć – odpowiada, odsuwając z twarzy kosmyk włosów. – Wystarczy „człowiek”.

– Nie, nie wystarczy.

Mruży oczy.

– Sara – informuję go. – Mam na imię Sara.

Marszczy brwi.

– Jakie to ma znaczenie? – pyta. – Wszyscy jesteście tacy sami.

– Rety, wiesz, jak sprawić, by dziewczyna czuła się wyjątkowo.

Krzywi się.

– Nie jesteś wyjątkowa. Żadne z was nie jest. Jesteście podłymi, brutalnymi istotami.

– Powiedział gość, który zabija tysiące ludzi.

– Nie cieszę się tym – mówi.

– Ja również się tym nie cieszyłam. – Wspomnienie, jak krwawił, leżąc na drodze, a jednak nie umierając, nadal jest żywe w mojej pamięci.

– Prawie dałem się nabrać.

Parskam śmiechem.

– W takim razie nie jesteś tak dobry w odczytywaniu ludzkich intencji, jak w ocenianiu ich.

Przechyla głowę na bok.

– Może – zgadza się – ale przecież nie muszę ich odczytywać, prawda?

Musi nas tylko zabijać.

Milczymy przez chwilę. Jeździec przygląda się swojej broni, a ja siedzę w chłodnej już wodzie.

– Masz jakieś imię? – pytam. – Inne niż Zaraza Zwycięzca?

Odkłada łuk.

– Nie zostało mi nadane.

Nie rozważam faktu, że z tej wypowiedzi wynika, iż istniał ktoś oprócz niego, kto mógł mu je nadać.

– Dlaczego nie?

Patrzy na mnie ostro.

– Nie potrzeba imienia, by mieć cel. To ludzie wymagają imion dla każdego źdźbła trawy na ziemi.

Ponieważ nadawanie imion ucłowiecza. Kiedy nadasz czemuś imię, uznajesz jego istnienie. Biorąc jednak pod uwagę to, że misją Zarazy jest zabicie tak wielu ludzi, ilu tylko zdoła, widzę, dlaczego ma on problem z ucłowieczeniem czegokolwiek.

Nie nadano mu imienia. Przyzwyczajam się do tej myśli.

Odsuwam na bok moją silną niechęć do niego. Częściowo mi go żal. Nie ma nawet imienia.

Ciesz się, Saro. Inaczej mogłabyś go ucłowieczyć.

A to byłoby złe?

– Więc... mogę nazywać cię Zarazą? – pytam.

Przechyla głowę.

– To tylko nazwa.

Tylko nazwa. Jak ironicznie to zabrzmiało z ust tego, który chwilę temu orzekł, że go nie nazwano. A może niewłaściwie o tym myślę. To my nadaliśmy mu miano Zarazy Zwycięzcy. Przecież nie miał tego wypisanego na piersi, gdy przybył na Ziemię, ani nie złożył takiego oświadczenia, masakrując miasta.

Ponownie się w niego wpatruję. Naprawdę rani oczy. Dobrze, że nie ufam takim pięknościom. Ten z pewnością jest najprzystojniejszym, jakiego w życiu widziałam, a równocześnie najgorszym – może z wyjątkiem jego braci, ale ponieważ oni gdzieś zniknęli... to on pozostaje najbardziej złym.

Wstaje i zakłada na ramię najpierw łuk, potem kołczan.

– Chodź – mówi. Zdejmuje ręcznik z wieszaka i mi go rzuca. Nie udaje

mi się go złapać, więc większa część materiału ląduje w wodzie. – Wiem, że skończyłaś kąpiel – ciągnie, nieświadomy mojego wrogiego spojrzenia – i mam ochotę wyjść z tej latryny.

– To nie jest latryna – mówię, wstając i owijając się ręcznikiem. – To łazienka.

Kręci głową i otwiera drzwi.

– Jak łaźnia – rzuca. Nie umyka mi ironia w jego słowach.

– To znaczy?

– Tylko ludzie mogli umieścić wygodkę obok zbiornika do zażywania kąpieli.

Dla mnie to rozsądne. To znaczy, srasz, a potem się kąpiesz. Co mu się w tym nie podoba?

– A jak ty byś to zaaranżował? – pytam, przechylając głowę, by wytrzeć włosy.

Trzyma otwarte drzwi.

– Nie obok siebie.

O, to wyjaśnił.

– Oczywiście, same problemy, żadnego rozwiązania – rzucam.

Patrzy na mnie przez ramię, odchodząc korytarzem.

– Nie trzeba mieć gotowego rozwiązania, aby rozpoznać problem, gdy się go widzi.

– Twoim rozwiązaniem byłoby zapewne spalenie wszystkich klozetów. Prawda? Tych złych, obrzydliwych rzeczy. Trzeba się ich pozbyć!

Idący przede mną Zaraza rechocze.

– Tylko człowiek wymyśliłby tak nedorzeczne rozwiązanie.

– Drwiłam z ciebie!

– Myślałem, że drwina powinna być obraźliwa – mówi, patrząc na mnie. – Z tego, co zauważyłem, to ty porównałaś właśnie swój gatunek do wygodek.

Ech. Zrobiłam to, prawda?

– Nie rozumiesz – odpowiadam.

– Bo nie masz racji.

To się nigdy nie skończy. Moglibyśmy się tak spierać do końca świata.

– Zapomnij – mamrocze, zostawiając go, by poszukać jakichś ubrań.

W głównej sypialni znajduję kobiece koszulki, spodnie i wszystko inne. Rzeczy są nieco za małe, ale udaje mi się znaleźć spodnie, w których nie wyglądam jak szynka w siatce, i koszulkę, która zakrywa najważniejsze fragmenty ciała.

Ubrana schodzę do salonu. Dech więźnie mi w gardle na widok jeźdźca. Światło zachodzącego słońca, którego promienie wpadają przez okno, sprawia, że jego włosy jaśniejają prawdziwym złotem. Serce mi się ściska w ten sam sposób jak wtedy, gdy zobaczyłam Kaplicę Sykstyńską.

To piękno tak oszałamiające, że czujesz się bliżej Boga.

Zapominam o kłótni i o tym, że jesteśmy wrogami. Przez chwilę czuję w piersi dziwny ból.

Tak blisko Boga...

Który pragnie nas wszystkich uśmiercić.

ROZDZIAŁ 14



Skosztuj.

— – Absolutnie nie.

– No weź, spróbuj – nalegam.

– Powiedziałem, że nie.

Jeśli chodzi o poranki z Zarazą, ten jest świetny. O brzasku słońce otuliło świat miękkim różem, a moje ręce choć raz nie zostały związane. Trzymam w nich termos zawierający moje osobiste zbawienie.

Szturcham łokciem siedzącego za mną jeźdźca.

– Przecież jesteś ciekawy.

– Chyba wiem lepiej.

Ktoś tu bierze wszystko zbyt dosłownie.

Podsuwam mu termos, niezrażona protestami. No przecież podaję mu gorącą czekoladę. Chcę się w dodatku przekonać, czy gość może przełykać płyny. Do tej pory nie widziałam, by dotykał jedzenia lub picia.

Wbija mi w biodro rękę, którą trzyma mnie przed sobą w siodle.

– Zamilknieisz, jeśli skosztuję?

– Nie, ale przecież tak naprawdę wcale nie chcesz, bym milczała.

Moje słowa podkreśla równomierne stukanie kopyt konia, którego w duchu nazwałam Trixie Skillz. Jestem pewna, że to ogier (choć nie sprawdzałam, bo w przeciwieństwie do niektórych wiem, jak ważna jest czyjaś intymność), ale nieważne.

Wymyśliłam sobie całą historię. Trixie Skillz, szlachetny rumak, niegdyś żył ubogo i w strachu, pokazując na ulicach sztuczki za marchewkę i zboże, ale Zaraza go ocalił. I teraz są nierozłączni. Koniec.

Jeździec bierze ode mnie termos i unosi go, by lepiej zbadać zawartość.

– Jeśli to trucizna, człowieku, ponownie przywiążę cię do siodła i zmuszę do biegu.

Prycham.

– Zarazo, jeśli byłaby to trucizna, miałabym poważniejsze problemy niż kolejne spotkanie z asfaltem. – Na przykład konanie.

Zerka na mnie, po czym na termos.

– Nie wiem, dlaczego nie przerywam tego... nękania.

Bo je lubisz, chciałabym rzec, ale milczę. Naprawdę jestem przekonana, że jakaś część Zarazy – być może maciupenka część, ale mimo wszystko – zaczyna lubić moje towarzystwo, włącznie z nękaniem.

Dobra, może „toleruje” byłoby lepszym słowem. Tolerujemy się pomimo całej tej nienawiści. To dziwaczna relacja, ale ponieważ on nie chce umrzeć ani mnie zabić, utknęliśmy razem.

Po przyjrzeniu się zawartości termosu jeździec unosi go do ust.

Cholera, robi to! W końcu coś wypije!

Waha się, po czym odsuwa termos od siebie, przechyla go i wylewa jego zawartość.

Przez chwilę patrzę oniemiała na ciekący brązowy płyn, po czym rzucam się do działania.

– Ty bezbożniku! – Wyrywam mu naczynie. – Mogłeś zwyczajnie odmówić.

– Odmówiłem.

– Ale na poważnie.

– Tak zrobiłem.

Sprawdzam zawartość, wciąż została przyzwoita porcja czekolady.

Spoko.

Zaraza kładzie mi dłoń na plecach, gdy piję ciepłą dobroć.

– Dlaczego nie jesz i nie pijesz? – pytam w końcu.

– Bo nie muszę – odpowiada zwięźle.

– No i?

– No i? – powtarza, jakby urażony. Zerka na mnie, może po to, by się upewnić, że pytam poważnie. – Nie rozumiem. Dlaczego mam jeść czy pić, skoro nie muszę?

– Ponieważ to fajne i można poznać ciekawe smaki. Cóż, poza ciastem owocowym ciotki Milly. To akurat smakuje jak brudna dupa. Ale tak, jedzenie jest pyszne, tak jak ta gorąca czekolada, którą wylałeś.

– Powiedz – mówi – jeśli będę pobłażał sobie jak człowiek, w jaki sposób będę lepszy?

O rety.

– A czy musimy wszystko sprowadzać do jakiejś wzniosłej bitwy między dobrem a złem? To tylko jedzenie.

Nie odpowiada przez tak długą chwilę, że wydaje mi się, iż w ogóle tego nie robi, ale w końcu mówi:

– Przemyślę to, co mi powiedziałaś.

Oboje milczymy.

Nie znoszę ciszy.

To znaczy, zazwyczaj dobrze czuję się sama ze sobą. Zawsze mogę rozmyślać o kwestiach filozoficznych, literackich, historycznych czy politycznych. A kiedy mi się znudzi, w mojej głowie pojawiają się myśli dotyczące przyziemnych spraw, jak na przykład tego, by na czas opłacić podatki, jak logistycznie zebrać rodzinę w moim maleńkim mieszkaniu lub na które używane książki przepieprzyć wypłatę.

W tej chwili mój umysł nie jest jednak tym starym, niezawodnym kumplem, którym był niegdyś. Za każdym razem, gdy pojawia się cisza, moje myśli krążą wokół ofiary Gorączki, której pomagałam, lub tego, że z każdym przemierzonym przez nas kilometrem umiera coraz więcej ludzi. A najgorzej jest, gdy myślę o istocie za moimi plecami. Wciąż jestem jej więźniem, ale im więcej czasu z nią spędzam, tym bardziej pogmatwane są moje uczucia.

Kładę rękę na końskiej szyi.

– *Całą trwożną mocą wzroku wpatrywałem się w głąb mroku, jakbym stanął nad otchłanią nie widzianą w ludzkich snach...* [3] – mamrocze

pod nosem.

– Co ty tam mówisz? – pyta Zaraza.

– Cytuję *Kruka*. To wiersz Edgara Allana Poego.

Jeździec prycha.

– Powinienem być wiedzieć, że ten przebłysk elokwencji nie był twoją zasługą.

– Potrafisz w ogóle mówić, nie obrażając mnie przy tym? – rzucam.

Przysięgam, że drań próbuje zabić mój dobry nastrój.

– Oczywiście. – W jego głosie słyszę zadowolenie z siebie. – Po prostu istnieje w tobie tak wiele rzeczy, które można obrażać.

Gdyby ta czekolada nie była taka cenna, wylałabym ją na jego świńską głowę, nie przejmując się konsekwencjami.

Jeździec chyba czeka, aż zacznę pyskować – szczerze mówiąc, uwielbiam werbalne sparingi z nim – ale wyśmiał Poego, więc nie zamierzam się odzywać.

Kiedy cisza się przeciąga, mówi cicho:

– Podobał mi się ten fragment poezji.

Prycham.

Nie dam się złapać, piękniśiu. Nie, mimo że tego pragnę, bo to Poe.

Przeczესuję palcami grzywę Trixiego, jego biała sierść jest jedwabista w dotyku.

– Opowiedz mi o sobie – nakazuje Zaraza.

Jeżę się na ten ton. Powiedział to z taką wyniosłością, jakbym musiała mu służyć. Nie wspominając o tym, że kiedy ostatnio próbowałam z nim rozmawiać, był chamski.

– Nie.

Milczy. Niemal czuję, jak wbija wzrok w tył mojej głowy.

– Dziwna z ciebie istota – oznajmia. – W jednej chwili twierdzisz, że się nie zamkniesz, w następnej odmawiasz mówienia.

Próbuje mnie podejść. Gdybym nie wiedziała lepiej, powiedziałabym, że naprawdę ma ochotę na rozmowę.

Wzdycha.

– Człowieku, wzbudziłaś moje zainteresowanie, co jest szczególnym

osiągnięciem. Nie marnuj szansy.

– Marnuję szansę? – Co za gość. – Odmawiając rozmowy z tobą? – Naprawdę uroczo. – Powiem ci, co jest szczególnym osiągnięciem. Wkurzenie mnie.

Śmieje się.

– To znaczy, że ten twój piekielny charakterek nie jest dla ludzi typowy?

Podjudza do kłótni.

– Chcesz coś o mnie wiedzieć? – Niemal krzyczę. – Dobra. Nie nazywam się człowiek, a Sara Burns. Mam dwadzieścia jeden lat. A tydzień temu zostałam uprowadzona przez nieznośnego jeźdźca. Z tym również chcesz się spierać?

Jestem gotowa na wojnę.

– Hmmm – mruczy tylko.

Nie rzuca zjadliwych komentarzy ani przemądrzałych uwag. Tylko pomrukuje.

Mogłabym go teraz zabić.

– A czym się przeważnie zajmujesz? – docieka.

Muszę zerknąć przez ramię, by się upewnić, że rozmawiam z tym samym facetem, który chwilę temu ze mnie drwił.

Patrzy na mnie zupełnie niewinnie.

Krzywię się.

– Czym się zajmowałam – warczę. W tej chwili niczym poza (radosnym) spowalnianiem jeźdźca (każdy ma jakiś sposób na wywoływanie dreszczyku, nie?). Patrząc przed siebie, dodaję: – Byłam strażakiem.

Bębni palcami w moją talię.

– Lubiałaś to?

Wzruszam ramionami.

– To była moja praca. Nie definiowała mnie. – Nie w sposób, w jaki kształtowała moich kolegów z brygady, którzy przez całe życie marzyli o byciu strażakiem. Wzdycham. – Zawsze chciałam studiować język angielski – przyznaję. Nie wiem dlaczego.

– Tak? – pyta kpiąco. – Ale mówisz całkiem dobrze, choć czasami trochę dziwnie.

– Nie chciałam iść na studia, żeby uczyć się języka – wyjaśniam i dopijam resztkę czekolady. Wkładam termos do sakwy przy siodle. – Chodzi o literaturę napisaną po angielsku. Chciałam zgłębiać dzieła Shakespeare’a, lorda Byrona i mojego ulubieńca, Poego.

– Poego – powtarza jeździec, przypominając sobie to nazwisko, które padło wcześniej. – Dlaczego nie studiujesz prac tych poetów?

Żal ma posmak goryczy w moim gardle, a nie mam już czekolady, by się go pozbyć.

– Na Ziemię przybyło czterech jeźdźców i powstał chaos.

Kiedy wjeżdżamy do Squamish, miasto jest opuszczone, tak jak na to liczyłam.

Mijamy stację benzynową z zardzewiałymi od lat nieużywanymi dystrybutorami, ale budynek sklepu wciąż wypełniony jest produktami spożywczymi, orzechami i słodyczami.

Latarnie gazowe ciągle się świecą, choć słońce stoi wysoko na niebie. Najwyraźniej ewakuowano ludzi i nie miał kto zgasić świateł.

Podobnie jak na stacji, punkty handlowe w mieście też są pełne towarów. Wszystko wskazuje na to, że ich właściciele uciekli, nim mieli okazję pochować produkty. Do kilku miejsc się włamano i skradziono zapasy.

Pod warstwami ubrania czuję mrowienie. Mogło się to zdarzyć zaledwie kilka godzin temu, a mimo to nie ma tu żywej duszy. To niepokojące uczucie, gdy przejeżdżamy przez miasto, którego ulice powinny być pełne ludzi. Teraz wydaje się ono... nawiedzone.

Jak musi wyglądać Quebec i Ontario oraz inne wschodnie prowincje, które Zaraza już minął? Jak musi wyglądać Wschodnie Wybrzeże Stanów Zjednoczonych?

Bez względu na to, czy wyjdę z tego żywa, świat już nigdy nie będzie taki sam.

Zaraza skręca na główną drogę, przemierzając miasto, a ja nie mam

zielonego pojęcia, jaki jest jego plan. Jest za wcześnie, by zająć dom jakiegoś nieszczęśnika, a do tej pory tylko po to zbaczał z kursu.

Kiedy zbliżamy się do szpitala, zaczynam czuć się nieswojo.

– Co robisz? – pytam.

– Twoje kruche ciało potrzebuje udogodnień.

Z rosnącym niepokojem patrzę na szpital. Udogodnień, czyli bandaży.

Rano się skończyły.

– Nie potrzeba mi więcej opatrunków – mówię pospiesznie.

– Owszem, potrzeba ci – odpowiada łagodnie. – Naprawdę uważasz, że muszę tam wejść, by umarli? Przestań, Saro, przecież wiesz, że wystarczy, iż pojawię się w mieście, by skazać je na zagładę.

Patrzę na niego. Wiem, że powinnam rozważać jego słowa, ale moje myśli zatrzymały się na fakcie, że naprawdę użył mojego imienia.

Ciągnie, niestrudzony:

– Nie ma znaczenia, czy wejdę do tego szpitala. Ludzie i tak umrą, zwłaszcza ci przebywający w tym miejscu.

Nie mówi niczego nowego, ale po prostu nie chcę, aby ci, którzy są chorzy i zbyt słabi, by uciec, patrzyli, jak śmierć przechadza się pomiędzy nimi.

Istnieje szansa, że władze dołożyły starań, aby ewakuować także pacjentów. To możliwe. Możliwe też jednak, że najsłabsi zostali porzuceni.

Chwytam jeźdźca za rękę, gdy coś przychodzi mi do głowy.

– Sklep wielobranżowy – mówię, jakbym odkryła lek na raka. – W sklepie będą mieli bandaże.

Zaraza spogląda na moją dłoń na swoim ramieniu.

– Widziałaś jakiś po drodze?

– Przynajmniej trzy. – W tych czasach małe punkty handlowe i duże sklepy są na każdym rogu.

Jeździec mruży oczy.

– I uważasz, że powinienem się tam udać?

– Oczywiście.

– Zatem postanowione – mówi stanowczo.

Czy... przekonanie go naprawdę było takie łatwe?

Przez chwilę niemal w to wierzę, ale Trixie Skillz idzie naprzód, a budynek szpitala coraz bardziej się przybliża.

– A co ze sklepem? – Zerkam przez ramię na Zarazę.

Patrzy na mnie ponuro.

– Przecież mam sprawić, byś cierpiała.

[3] Edgar Allan Poe, *Kruk*, przeł. Stanisław Barańczak.

ROZDZIAŁ 15



Szpitala zawsze są pierwszym wyborem. W tej jednej kwestii filmy mają rację. Kiedy tylko ludzie zaczęli chorować, udali się do placówek medycznych, zakładając, że nowoczesna medycyna zdoła ich wyleczyć. Z pewnością sytuacja miała wyglądać lepiej niż w przypadku tych biedaków, którzy złapali dżumę. Przecież przez te wszystkie wieki studiowaliśmy choroby i próbowaliśmy je zwalczyć, więc z pewnością posiadaliśmy to, co niezbędne do powstrzymania tej epidemii.

Myliliśmy się.

Zaraza zsiada z konia, z łukiem i kołczanem na plecach, i patrzy na budynek. Z tej odległości widzę kilka przerażonych osób za oknami. Jedną z nich jest kobieta, która trzyma różaniec i porusza ustami, modląc się.

Bóg cię nie ocali, chcę jej powiedzieć. To właśnie On pragnie twojej śmierci.

Jeździec odwraca się do mnie i chwyta mnie w pasie.

– Chodź, Saro, i stań twarzą w twarz z tymi, którzy niebawem umrą.

– Nienawidzę cię – mówię, gdy zdejmuję mnie z siodła.

– Ach, nienawiść. Kolejna wyraźnie ludzka emocja. – Stawia mnie na ziemi.

Najwyraźniej nie tylko ludzka, skoro jeździec sam ma jej w sobie całkiem sporo.

Idzie w kierunku dwuskrzydłowych drzwi, wyglądając przy tym jak

mężny rycerz w zbroi. Po raz pierwszy w swoim nędznym życiu próbuje normalnie je otworzyć. Ale nie puszczają.

Nic w tym dziwnego, szpitale mają specjalne mechanizmy zabezpieczające.

Jeździec odwraca się w tył i patrzy na mnie przelotnie, a w jego oczach iskrzy determinacja. Jednym szybkim ruchem obraca się, wyciągając rękę, i uderza pięścią w drzwi jak młotem.

Metal skrzypi i się wgina, ale, o dziwo, nie ustępuje. Serce mi przyspiesza, gdy przyglądam się Zarazie. To jak horror, w którym złoczyńca próbuje włamać się do domu, by zabić przebywające w nim dzieci. Ale to jest prawdziwe życie, a jeździec jest szatanem z krwi i kości.

Z nadnaturalną siłą uderza w drzwi po raz drugi, a te zapadają się do środka z metalicznym zgrzytem.

Zaraza odsuwa się na bok, gdy włącza się alarm. Patrzy na mnie szaleńczo.

– Panie przodem.

W pewnych aspektach ta wizyta nie jest tak zła, jak się spodziewałam, a w niektórych jest nawet gorsza. Jest zbyt wcześnie, by ludzie zapadli na Gorączkę, więc w środku przebywa tylko garstka pacjentów i personel. Jednak wszystkie te przerażone miny... Żołądek kurczy mi się na samo wspomnienie, gdy oddaliśmy się od szpitala, a te pieprzone bandaże wiszą przymocowane w sakwach po obu stronach siodła Trixiego.

Zaraza zmusił mnie, bym przyjrzała się każdej z osób. Wszystkim, którzy zostali skazani na śmierć. Skłamałabym, gdybym stwierdziła, że cieszył się, robiąc to – był jak zawsze ponury – ale czy ma to jakiegokolwiek znaczenie? I tak zmusił mnie do patrzenia na tych nieszczęśników, wiedząc, że mnie tym zrani.

– Mam nadzieję, że jesteś zadowolony – mówię, gdy szpital niknie daleko za nami.

Przytrzymuje mnie mocniej.

– Nie wiesz, człowieku? Nigdy nie jestem zadowolony, więc jadę dalej.

Nie mam na to odpowiedzi. Dopada mnie głęboki smutek. W końcu tylko to odczuwam. Nie złość na Zarazę – choć mam do niego trochę pretensji – lecz żal z powodu tych ludzi, którzy za kilka dni po prostu przestaną istnieć. Smutek mnie pochłania.

Milczę tak długo, że Zaraza to zauważa.

– Nie zamierzam sprawić, by to doświadczenie było dla ciebie przyjemne. Gdybym tego pragnął, byłabyś martwa.

Można by pomyśleć, że jeździec próbuje zracjonalizować swoje działania. Oznaczałoby to jednak, że czuje skruchę, a wiem, że tak nie jest.

Patrzę przed siebie, skupiając wzrok na zardzewiałej pralce, która stoi na poboczu.

– Żadnych ciętych uwag? – pyta Zaraza dłuższą chwilę po tym, jak nie uzyskał ode mnie odpowiedzi. – Muszę powiedzieć, że jestem prawie zawiedziony.

Czego on ode mnie chce? Nie wystarczy, że każdy z tych postojów coś we mnie zabija?

Nie odzywam się nawet wtedy, gdy zbliżamy się do jakiegoś domu – jednego spośród wielu. Jest opustoszały, a ja jestem w tak kiepskim nastroju, że mi to zwisa.

Jeździec zsiada z konia, wydaje się zdenerwowany. Zsuwam się posłusznie na ziemię, nie czekając na jego pomoc. Prowadzi mnie na ganek, jego zbroja lśni w słabym świetle wieczoru.

Jednym płynnym ruchem unosi nogę i otwiera drzwi kopniakiem. Nie czeka na mnie, tylko wchodzi, choć wiem, że gdybym próbowała uciec, natychmiast by mnie dopadł. Prawdopodobnie nawet tego pragnie.

Kiedy wchodzę za nim do pustego domu, odwraca się do mnie.

– Dlaczego się nie odzywasz?

A nie tak dawno temu pragnął mojego milczenia. Nie wiedział wtedy jednak, że są na świecie lepsze rzeczy niż jazda w samotności.

– Nie chce mi się z tobą gadać.

Zbliża się w kilku długich krokach i chwytając mnie za podbródek.

– Kiedy ostatnio sprawdzałem – mówi, stukając palcem w mój policzek
– nie byłeś moim więźniem dobrowolnie.

Na mojej twarzy pojawia się zgorzkniały uśmiech, ale i tak nie mam w sobie siły, by się z nim kłócić.

Puszcza mnie i prycha.

– Dobra, dąsaj się, człowieku. Ale nie przyniesie ci to korzyści. Oni i tak umrą.

Dlaczego wciąż musi do tego wracać?

Pocieram skronie.

– Chcesz, bym cierpiała, więc cierpię. Weź sobie to swoje zwycięstwo i zostaw mnie w spokoju – mówię w końcu.

Spogląda na mnie surowo.

– To nie jest nawet początek cierpienia, człowieku. Mogę to pogorszyć. O wiele.

Jestem tego pewna, ale w tej chwili głównie mnie to obchodzi.

Odwracam się, by od niego odejść. Chcę jedynie znaleźć pusty pokój, w którym zdołam zwinąć się w kulkę i będę mogła udawać, że nie widzę tych twarzy, ilekroć zamknę oczy.

Zatrzymuję się przy wyjściu z pomieszczenia.

– Przy całej tej swojej prawości – mówię przez ramię – naprawdę jesteś bezdusznym draniem.

ROZDZIAŁ 16



Przywykłam już do okradania ofiar Zarazy. Robię to za każdym razem, gdy zajmujemy czyjś dom. Kradnę łóżka, pożywienie, wodę i – jeśli nie mają szczęścia – ich czas. Zaraza może odbierać im życie, ale ja zabieram wszystko inne.

I zaczynam się z tym godzić. Cóż, przynajmniej na tyle, na ile radziłby sobie z tym każdy w mojej sytuacji.

Następnego ranka wchodzę do kuchni i widzę, że na przeciwległej ścianie wiszą starodawne narty i śniegowce. Na zewnątrz deszcz siecze zązarcie o szyby, a wiatr porusza drzewami.

Pocieram ręce, wdzięczna za trzaskający ogień, który rozpałił Zaraza. Być może pogoda na zewnątrz jest paskudna, ale tutaj jest naprawdę przyjemnie.

Ulewa niemal zagłusza dochodzące z końca korytarza chlapanie. Piękniś zażywa kąpieli.

Lodowatej, myślę sobie, gdy podchodzę do szafek. Nie ma tu prądu, a co za tym idzie, także ciepłej wody.

Burczy mi w brzuchu, co przypomina mi, że od wczoraj nic nie jadłam. Otwieram drzwiczki po kolei. W sumie znajduję dwa słoiki ogórków, jedną puszkę fasoli i nadgniłą cebulę.

Pycha.

W kuchni stoi lodówka, ale wnosząc po tym, że nie ma prądu, wątpię, by coś z jej zawartości nadawało się do spożycia. Mimo to mogę się mylić,

bo czasami ludzie napełniają je lodem jak za dawnych czasów.

Otwieram drzwiczki.

– Wow.

Bimber. Całe rzędy bimbru. Patrzę na nie, gdy to, co niegdyś było zapewne lodem, wypływa na podłogę.

Z ciekawości biorę jedną butelkę, odkręcam i wacham.

Krzywię się. To nie jest bimber, lecz bardzo kiepski bimber.

– A ty się spodziewałaś, że dobrowolnie wypiję twój napój.

Piszczę, a butelka wypada mi z ręki. Jeździec błyskawicznie rzuca się do przodu i łapie naczynie, ratując nas przed oblaniem sfermentowanymi siuškami.

– Ostrożnie, Saro – mówi, gdy staje prosto, stawiając butelkę na blacie.

Jego ochrypły głos nadaje mojemu imieniu intymne, egzotyczne brzmienie. Nie podoba mi się, jak pięknie dźwięczy ono w jego ustach.

Włosy mężczyzny ociekają wodą. Wpatruję się w ciemniejsze pasma, które są teraz koloru pszenicy, nim przenoszę wzrok na wysokie kości policzkowe, gdzie kilka kropel wody całuje jego skórę. Opuszczam spojrzenie do jego ust – pełnych, ładnie ukształtowanych warg.

Rumienię się.

Staje za mną, nieświadomy moich myśli, z umiarkowanym zainteresowaniem rozglądając się po kuchni. Bosymi stopami wchodzi w kałużę, gdy chce zajrzeć do lodówki.

– Niewiele, co? – mówi, przesuwając słoiki. Kiedy to robi, zauważam...

– Boże! Ciasto!

To tylko kawałek, starszy niż mój dziadek, i zapewne złamię przynajmniej trzy zasady etykiety, jedząc go przed południem, ale kogo to obejdzie? To ciasto.

Niezbyt delikatnie próbuję odepchnąć Zarazę, by je porwać. Po przyjrzeniu się stwierdzam, że to szarlotka (mój ulubiony wypiek) i że została jedna czwarta porcji. W sam raz dla dziewczyny, by zjadła bez wyrzutów...

Jeździec przygląda mi się ostrożnie, gdy kładę ją na stole, a następnie oddalam się tylko na chwilę, by poszukać sztućca.

On też wyjmuje widelec z szuflady i podchodzi do stołu.

– Co robisz? – pytam, gdy zajmuje miejsce naprzeciwko mnie.

Odpowiadając, spogląda na moje usta:

– Chciałaś, żebym spróbował ludzkiego jedzenia.

Przeskakuję wzrokiem pomiędzy ciastem a jego widelcem.

– Poważnie? – To chyba sposób na ułagodzenie wczorajszej okropności.

Na tę myśl gaśnie nieco mojego entuzjazmu.

Byłaś gotowa podzielić się z nim gorącą czekoladą, Saro.

Ale szarlotka znajduje się znacznie wyżej na liście dobroci.

Weźmie tylko kęs.

Nie będzie mu smakować, chce tylko dowieść swego.

Bez słowa przesuwam ciasto w jego stronę.

Jeździec wpatruje się w nie przez chwilę, nim nabiera sporą porcję na widelec. Unosi go, jakby robił to milion razy wcześniej, i po chwili wahania wkłada do ust.

Przyglądam się mu z dziwną fascynacją. Potrzeba naprawdę sporo, by odciągnąć mnie od łakoci, ale widok Zarazy, który je po raz pierwszy, w zupełności wystarcza. Przez cały ten czas jego twarz pozostaje bez wyrazu.

Nie smakuje mu. Chwalić Pana, nie smakuje mu.

Odkłada widelec i patrzy na mnie z powagą.

– Miałaś rację.

Tak? W jakiej sprawie? Zdezorientowana, marszczę brwi.

– Faktycznie można się cieszyć nawet czymś, czego się nie potrzebuje.

– Podnosi widelec i bierze kolejny kęs.

– Co robisz? – Wstydzę się niepokoju, jaki słyszę w moim głosie.

– Jem.

– I... smakuje ci? – sonduję.

– Oczekujesz oficjalnych przeprosin? – pyta. – Pragniesz, bym przyznał, że się myliłem?

Pragnę, żeby nie rozkoszował się moim kradzionym ciastem.

– Wydawało mi się, że wspominałaś coś o tym, że jedzenie jest równią pochyłą prowadzącą ku moralnej deprawacji – mówię, przyciągając

blaszkę z powrotem do siebie i również biorąc kęs.

Jest suche, a ja wolę świeże, jeszcze ciepłe. Jednak to i tak niebo w gębie.

Jeździec przeciąga ciasto na swoją stronę stołu.

– Zastanawiałem się nad tym. – Nabiera pełny widelec. Kolejny kęs znika w ustach tej bestii. – Pożywienie samo w sobie nie jest złe.

Znów ciągnę blaszkę do siebie.

– Ale pobłażanie sobie pewnie jest.

Teraz, gdy wiem, że może jeść, napięcie znika. *Oddaj mi szarlotkę! Tylko o to proszę.*

– Być może – przytakuje. Pałaszuje kruchy deser i bierze przy tym największe na świecie kęsy.

Ciasto szybko znika, większość w gardle gościa siedzącego naprzeciwko mnie, który nawet nie musi jeść.

Ja pierdzielę.

Kiedy kończy, rozsiada się wygodnie, zakładając obutą stopę na kolano. W tej sytuacji jest coś przeraźliwie normalnego. Kobieta i mężczyzna jedzący razem śniadanie. Łatwo wyobrazić sobie jeźdźca bez złotej korony, zbroi i broni. Łatwo wyobrazić go sobie jako mężczyznę.

A to bardzo, bardzo niebezpieczne.

– Myliłem się – mówi cicho, wpatrując się we mnie niebieskimi oczami.

– W jakiej sprawie? – pytam z roztargnieniem, wygrzebując okruchy z blaszki.

Tak, jestem żalosna.

– Konsumpcji.

Unoszę głowę.

Patrzy zbyt bezpośrednio. Nie wiem, czego ode mnie chce.

Wzruszam ramionami.

– Spoko.

Zerka na moje usta.

– Czasami posługujesz się tak dziwnym językiem.

Wytyka to facet, który nazywa łazienkę latryną.

Odwracam wzrok, zauważywszy, jaki jest przystojny, gdy zachowuje

się uprzejmie.

Spoglądam na zawieruchę za oknem. Cały czas leje. Z doświadczenia wiem, że przy takim chłodzie deszcz będzie wręcz lodowaty.

– Proszę, nie jedźmy dziś – wrywa mi się.

– Prosisz? – W jego oczach rozpała się ogień.

Kurde.

Uwielbia to słowo.

Skrzypi jego krzesło.

– Człowieku, właśnie zdecydowałaś, jak będzie wyglądał nasz dzień.

ROZDZIAŁ 17



Pieprzyć chłód, a wraz z nim jeźdźca.

Szczękam zębami nieprzerwanie, gdy Trixie Skillz prze naprzód. Nawet pod warstwami ubrania i wełnianym kocem, który na siebie zarzuciłam, moje ciało nie przestaje się trząść.

Chyba jestem jedyną Kanadyjką, która nie znosi zimna. Wszyscy inni mówią: „Hej, patrz, wyszło słońce, to nic, że jest mróz, wystarczy mi podkoszulek!”. Tymczasem ja jestem skrzyżowaniem człowieka z kostką lodu.

Jestem pewna, że podmieniono mnie przy porodzie.

– Dłu-ugo... je-e-szcze? – pytam, choć przez drżenie trudno mi mówić.

Umrę z powodu wychłodzenia ciała. Czyż nie byłaby to ironia? Ofiara Zarazy umiera z wyziębienia – nie przez roznoszoną przez niego chorobę, lecz przez żywioł.

Jeździec spogląda mi w oczy, trzymając mnie mocno przy swojej metalowej zbroi.

– Nie jestem pewien – mówi. – Mogłabyś ładnie zapytać i pomóc mi podjąć decyzję.

To znaczy, mogłabym ponownie poprosić i spieprzyć całą sprawę.

– Albo mogłabyś milczeć, byśmy mogli jeździć całą noc.

Obracam się do niego.

– Je-esteś najbardziej du-umnym palantem, ja-akiego po-oznałam!

Ponownie patrzę przed siebie, ciaśniej owijając się mokrym kocem.

Kiedy to wszystko się skończy, pojedę do Meksyku. Założę się, że tam nikt nie zamierza na śmierć.

Myliłam się, sądząc, że Zaraza zareaguje jakoś na mój wybuch. Jedziemy dalej, czas wlecze się w nieskończoność. Mijamy kilka wiosek tak małych, że można je przegapić podczas kichania. Deszcz nieco słabnie, by po chwili przybrać na sile.

W którymś momencie przestaję się tak bardzo trząść, ale nie dlatego, że udaje mi się rozgrzać. Gdzieś z tyłu głowy kołacze mi świadomość, że to zły znak. Mam sztywne palce, którymi trudno ruszać, i opadają mi powieki.

Dopiero kiedy wełniany koc ześlizguje się ze mnie i spada na drogę, Zaraza zwraca na mnie uwagę.

– Nie wrócę po to – oznajmia.

Kołyszę się na siedzeniu z zamkniętymi oczami.

Mam to gdzieś. Nie jestem pewna, czy wypowiadam słowa na głos, wiem jedynie, że nagle ramię Zarazy znajduje się w idealnym miejscu, by oprzeć o nie głowę.

Zamykam oczy, ledwie wyczuwając, jaki jest spięty.

– Sara?

– Hmm? – Nie unoszę powiek.

– Sara.

Odplynę na trochę...

– Sara. – Obraca ku sobie moją twarz. Mrugam, gdy omiata ją wzrokiem i skupia się na moich ustach.

Wygląda na zdenerwowanego.

– Nie jest z tobą dobrze.

Nie jest co?

Słyszę, że klnie pod nosem, po czym cmoka i mocniej mnie obejmuje. Trixie cwałuje, przez co lodowata woda ochlapuje mi nogi.

– Dlaczego nic nie mówiłaś? – ryczy Zaraza. A może to ryczy deszcz i wiatr...

– Mam cie-erpieć.

Prycha i wydaje mi się, że mówi:

– Ale nie tak. – Byłoby to jednak niedorzeczne, ponieważ właśnie tak mam cierpieć.

Przy następnym zakręcie Zaraza ciągnie lejce, a koń podąża błotnistą dróżką.

Zerkam na niego, deszcz ze śniegiem posklejał mu włosy. I to tyle z wcześniejszej kąpieli, piękniśiu.

– Do-okąd je-edziemy? – pytam. Język wydaje się dziwnie duży i nieforemny w moich ustach.

– Chyba ponownie przeceniłem twoją wytrzymałość.

To jedyna odpowiedź, jaką słyszę.

Jakiś kilometr dalej widzę stary, żółty dom. Zaraza nie zwalnia, aż znajdujemy się przy jego drzwiach.

Zeskakuje z rumaka i bierze mnie na rękę. W trzech długich krokach zbliża się do wejścia. Kopie drzwi, które się otwierają.

Rozlegają się krzyki.

Nie, tylko nie ludzie.

– Z drogi! – ryczy jeździec.

Rzucam okiem na parę w średnim wieku i stojącą za nią dwójkę dzieci.

Nie.

Zaraza stawia mnie przed opalanym drewnem piecem i przytrzymuje, gdy się trzęsę.

Ściskam jego rękę i zmuszam się, by otworzyć oczy.

– Nie możemy tu zostać – mówię słabym głosem.

– Potrzebuję koców – rozkazuje. Nawet na mnie nie patrzy.

Powieki wciąż mi opadają.

Ciało jest ciężkie, tak ociężałe.

– Proszę – mamroczę. Wiem, że to niewłaściwe słowo, ale nic nie mogę na to poradzić. Jak inaczej mam błagać o czyjeś życie?

– Cicho. Koce! I więcej drewna.

Ktoś odgarnia mi włosy. Chciałabym zobaczyć kto, ale moje powieki są zbyt ciężkie, by je unieść. W końcu czuję się bezpiecznie. Jedyne, czego w tej chwili potrzebuje moje ciało, to opieka. Zaczynam się rozluźniać, ponownie układając głowę na jego ramieniu.

Co za dziwnie wygodne miejsce do spania.

Dzieci!

Znów próbuję się podnieść.

– Ciii, Saro. Jestem.

Kto?

Nie dzieci.

Nie dzieci!

Dochodzę do siebie powoli, po trochu odzyskując przytomność. Okrywa mnie góra koców, znajduję się przed piecem, w którym wesoło trzaska ogień. Wpatruję się w niego, poszukując odpowiedzi na swoje pytania.

Poruszam się pomału, jakbym wypiła tamten ohydny bimber, po czym postanowiła przebiec maraton, by na końcu zostać przejechaną przez pociąg towarowy. Wczoraj nie był mój najlepszy dzień.

Jęczę, obracając się powoli.

Kiedy tylko się poruszam, czuję na skórze chłodny wiatr.

Co, u licha?

Jestem naga?

Na mojej talii leży ręka, która przywodzi mi na myśl stalową opaskę.

Cholera jasna, co tu się dzieje?

Mój umysł na chwilę zwalnia.

Nie.

Nie, nie, nie!

Nieeee!

Zerkam przez ramię i widzę, że Zaraza tuli mnie na łyżeczkę, jakbyśmy byli kochankami. Z tego, co widzę, nie ma na sobie koszuli.

Oddychaj, Burns.

– Czy my...? – Nawet nie potrafię dokończyć tego pytania.

– Byłaś mocno wyziębiona.

O. Oczywiście. To logiczne wyjaśnienie całej sekwencji wydarzeń. Nie pieprzyłam się z najbardziej zniechęconym stworzeniem na Ziemi. To przecież by było najbardziej...

Dlaczego w ogóle o tym myślę?

Chwytam koce, przyciągam je do siebie i siadam, zasłaniając się nimi tak szczelnie, jak to tylko możliwe.

– Gdzie jesteśmy?

Zaraza również siada, wyglądamy przez to jak para, która niedawno figlowała.

– W domu – odpowiada.

Co za głupie pytanie...

Z oddali słyszę przytłumione głosy.

– Nie, nie możesz tam iść.

– Ale jestem głodna.

– To naprawdę jeździec?

– Chcę pogłaskać jego konia!

– Wracać do swoich pokojów, natychmiast!

Słyszeć tupot małych stóp.

Żołądek mi się ściska. Dzieci. No tak. Przecieram oczy, pragnąc, by ostatnia doba odeszła w niepamięć.

Dzieci. Pod tym samym dachem co Zaraza.

– Nie daj im umrzeć – szepczę.

– Wszyscy umierają, Saro.

Zamykam oczy. Wszystko tak bardzo mnie boli. Ciało, serce, umysł.

Umrą.

Obracam się do niego, przyciskając do siebie koc. Widnieją na nim samochody wyścigowe. To kocyk chłopca, oddany, by było mi ciepło. Czasami takie szczegóły bolą najmocniej.

– Szczerze – mówię – to największa bzdura, jaką od ciebie usłyszałam.

Mruży oczy.

– Wszyscy ludzie umierają – upiera się, zupełnie nie rozumiejąc.

– Co nie oznacza, że muszą już dziś! – syczę, próbując mówić cicho, by tamta rodzina mnie nie słyszała.

– Nie umrą dziś. Zostało im kilka dni.

Nagle nie mogę na niego patrzeć, nie mogę znieść jego bliskości.

Zabije dzieci. Dzieci!

Oczywiście, że już zabijał dzieci. Tysiące. W tej chwili dzieje się to

jednak na moich oczach i po prostu nie mogę tego znieść.

Zaraza bez słowa podaje mi kupkę ubrań, niewątpliwie coś pożyczonego od właścicielki tego domu. To może być najgorsza część tego wszystkiego. Jeździec dba o mój komfort, zsyłając chorobę na dzieci.

Wsparty z tyłu na przedramionach, przygląda się, jak zakładam te ciuchy, już nie tak niezainteresowany moim ciałem jak ostatnio, gdy widział mnie naga.

Chyba mam omamy.

W końcu patrzę mu w oczy.

– Zmieniłeś zdanie?

– Nie.

Zaciskam zęby i patrzę na niego oskarżycielsko, a on spogląda na mnie, lecz w jego spojrzeniu nie widzę cienia wyrzutów sumienia.

– Nie przybyłem, by spełniać twoje zachcianki – oznajmia nieczułym, pustym głosem. – Lecz po to, by zniszczyć świat.

ROZDZIAŁ 18



Potrzeba trzech dni, by zabić człowieka. Czterech, jeśli nie ma się szczęścia.

Ta rodzina ma wyjątkowego pecha.

Nie wiem, czy to natura tego zadania, czy może Zaraza robi to specjalnie (aby mnie ukarać za wkurzanie go lub „pójść na kompromis” i dać tej rodzinie trochę więcej czasu), ale mijają cztery długie, pełne bólu dni, nim rodzina umiera. Matka, ojciec, syn i córka. Wszystkich zabiera ta głupia, bezsensowna plaga.

Zostajemy w tym domu przez cztery dni, bo Zaraza upiera się, bym wyzdrowiała. Przez cały pobyt tam jest wycofany, gdy ja wbrew woli rodziny troszczę się o nich. Woleliby, żebym odeszła. Przynajmniej do chwili, gdy są zbyt słabi, by zająć się sobą nawzajem.

– Dlaczego on to robi? – pyta Helen na dzień przed śmiercią.

Kłęczę przy jej łóżku.

– Nie wiem.

– Dlaczego cię ocalił? – docieka.

– Próbowałam go zabić – wyjaśniam. – Trzyma mnie przy życiu, by móc mnie karać.

Kręci głową.

– Nie sądzę – mamrocze. – Może mieć swoje powody, ale nie wydaje mi się, by karanie było jednym z nich.

Skóra mrowi mnie, gdy słyszę te słowa, i po raz pierwszy w tej sytuacji

czuję się niepewnie.

Dlaczego jeździec miałby mnie trzymać, jeśli nie dla zemsty?

Przypominam sobie całe to dręczenie, które musiałam znieść, i wraca moja pewność. Helen po prostu nie wie, przez co przeszłam. I tyle.

Jako pierwszy umiera ojciec. Był dużym, umiejętnym facetem, więc mogło się wydawać, że wytrzyma najdłużej. Zamiast tego czwartego dnia nad ranem zamyka oczy i wypuszcza ostatni drżący oddech. Umiera na łóżku dzielonym z żoną.

Do tego czasu Helen jest zbyt słaba, by wstać. Udaje mi się odciągnąć od niej jego ciało, ale kobieta nie pozwala mi usunąć zwłok z pokoju.

– Dzieci nie powinny go widzieć... takiego – protestuje słabo.

Wciągam go do łazienki, więc Helen leży kilka metrów od jego zimnego, gnijącego truchła. I mimo że sama jest bliska śmierci, ma świadomość tej przerażającej sytuacji.

Następny umiera syn. Zanim się to dzieje, przenoszę go do sypialni rodziców, aby Helen mogła tulić go w ostatnich chwilach życia.

Sama odchodzi dwie godziny po nim.

Ostatnia jest Stacy, ubrana w piżamkę w jednorożce córeczka, która leży, wpatrując się w sufit usiany połyskującymi gwiazdkami. Wołała mamę, gdy dopadła ją gorączka, płakała za tatą, gdy wrzody zaczęły pękać na jej skórze, a ciało bolało ją bardziej, niż mogła znieść.

Trzymałam ją za rękę, przez cały czas głaskałam po głowie, udając mamę, by zaznała przynajmniej odrobiny spokoju. I odeszła jak inni członkowie tej rodziny. W ciszy. Jakby wyszła z pomieszczenia i poszła do innego. Jej pierś unosiła się coraz wolniej i wolniej, aż przestała się ruszać.

Było to dwadzieścia minut temu. A może godzinę. Czas płata figle, gdy najmniej się tego spodziewasz.

Siedzę przy jej łóżku, trzymając ją za rękę, chociaż wiem, że ona nie żyje. Jako strażak musiałam być gruboskórna, ale to... to zupełnie coś innego.

Była tylko dzieckiem. I umarła ostatnia. Nie było z nią nikogo prócz kobiety będącej niegdyś strażakiem, która obserwowała jej odejście

z tego świata.

Słyszę, że za moimi plecami uchylają się drzwi.

– Czas jechać – mówi Zaraza.

Odsuwam włosy z twarzy. Kładę rękę Stacy na jej piersi, wstaję i podchodzę do wyjścia.

Staję tak blisko jeźdźca, że czuję ciepło jego ciała.

– Dlaczego musisz mordować dzieci? – pytam ochryplym szeptem.

Kładzie rękę na moim ramieniu, wyprowadzając mnie z pokoju.

– Wolałabyś, by doświadczyły powolnej śmierci?

– Wolałabym, żeby w ogóle nie umierały.

– Co by się według ciebie stało, człowieku, gdy odeszliby ich rodzice? Kiedy te dzieci zostałyby same? Zdołałyby się wyżywić? Upolowałyby coś sobie?

Nie potrafię mu odpowiedzieć. Ostatecznie tylko piorunuję go wzrokiem.

– Widzisz – mówi – wiesz, że moje słowa są prawdą, choć ich nienawidzisz.

– Dlaczego w ogóle musisz zabijać? – pytam, gdy prowadzi mnie korytarzem.

– Dlaczego musiałaś niszczyć świat? – odpowiada pytaniem.

– Nie niszczyłam go.

– Niszczyłaś. Podobnie jak ja nie muszę dotykać człowieka, by go zabić, ty nie musiałaś osobiście podpalać świata, by płonął.

Pocieram oczy. Za każdym razem, gdy rozmawiamy, czuję, jakbym waliła głową w mur, raniąc się, lecz pomimo wysiłku donikąd nie dochodząc.

– Dlaczego to musi być tak okropne? – szepczę. – Te wrzody, rany...

– To plaga. Nie powinna być przyjemna.

Wyprowadza mnie na zewnątrz, gdzie czeka Trixie. Zaraza przymocował przy siodle zabrane z domu rzeczy. Po wszystkim, co tu zaszło, czuję się jak rabuś, który okrada zmarłych. Wiem, że nie potrzebują już jedzenia czy kurtek, mimo to nie mogę się do tego przekonać.

Odrętwiała wsiadam na konia, Zaraza jest za mną już chwilę później. I tak po prostu pozostawiamy za sobą ten dom i tragedię jego mieszkańców.

Odjeżdżamy jakiś kilometr, nim Zaraza wyjmuje z sakwy kanapkę i mi podaje.

– Nie jadłaś – mówi.

Obracam ją w dłoniach.

– To ty... ją dla mnie zrobiłeś?

– Zasmakował mi dżem. Pomyślałem, że też go lubisz.

Tak, zrobił ją dla mnie. Ten sam gość, który rozsiewa śmiertelną chorobę, zrobił mi kanapkę z dżemem, bo nic dziś nie jadłam.

Zaciskam mocno powieki i wzdycham głęboko. Dlaczego to musi być takie skomplikowane? Nie mógłby pozostać w tym małym pudełku w mojej głowie, na którym jest napisane: „Zło”? Te chwile, gdy jest czuły i troskliwy, powoli mnie łamią.

Otwieram oczy, odpakowuję kanapkę i widzę, że pomiędzy grubymi kromkami domowej roboty chleba znajduje się słuszną porcją dżemu.

Nie umyka mi, jakie to podobne do ciasta – dwie chrupiące powierzchnie, a w środku słodkie owocowe nadzienie. Unoszę kanapkę do ust i biorę kęs.

Niezła. Nie wiem, dlaczego wydawało mi się, że będzie inaczej. Może założyłam, że kanapki z samym dżemem są niedobre. Może wydawało mi się, że po tak okropnym dniu wszystko będzie smakowało jak błoto.

Zamiast tego smakuje jak przyjemność. Jedząc, wyobrażam sobie Zarazę w zagraconej kuchni, robiącego mi kanapkę tuż obok lodówki, na której magnesami przyczepiono dziecięce rysunki, podczas gdy ja na końcu korytarza obserwowałam, jak mała dziewczynka malowała swój ostatni obrazek.

Słodki smak w moich ustach nabiera goryczy. Biorę kilka wdechów, nim odgryzam kolejny kęs.

– Nie podobało mi się obserwowanie ich śmierci – przyznaje za moimi plecami Zaraza.

Opuszczam kanapkę.

Podczas czterodniowego pobytu w tamtym domu był wycofany. Myślałam, że stał za tym inny powód.

– Dlaczego więc nie pojechaliśmy dalej? – Można było ruszyć i zatrzymać się tylko na jedną noc.

– Musiałaś odpocząć – odpowiada.

Z roztargnieniem dotykam bandaża na nadgarstku.

Powiedziałam Helen, że ocalił mnie tylko po to, by móc mnie karać.

Odparła, że raczej nie, że według niej nie to było powodem.

Ale zatrzymuję te myśli dla siebie.

– Jednak ich zaraziłeś – mówię.

– Tak – zgadza się. – I będę rozsiewał plagę, aż nadejdzie mój czas. Nie podoba mi się jednak widok ich śmierci.

Jedziemy przez cały dzień, mijając szereg małych, opuszczonych wiosek. Przestałam mieć tak otarte uda od siodła jak wcześniej, a plecy już tylko swędzą mnie w miejscach, w których goją się rany.

Pogoda również postanowiła mi odpuścić, słabe zimowe słońce świeci nad nami jasno. Wciąż jest cholernie zimno, ale hej, przynajmniej nie pada. Może być.

Po lewej przy drodze rosną drzewa, po prawej połyskują wody zbiornika wodnego Howe Sound. Pośrodku znajduje się kilka wysepek, dalej brzeg stałego lądu. Widok zapierałby dech w piersi, gdyby nie rzędy zardzewiałych samochodów, które tu utknęły.

Bezużyteczne pojazdy stoją na poboczach. To chyba jedno z miast, które czeka na rządowy program sprzątnięcia. Przybycie jeźdźców, przez które straciliśmy prąd, uwięziło również tysiące ludzi w autach.

Nawet gdy zamykam oczy, wciąż widzę makabryczne obrazy wypadków – rozbitych samochodów z ludźmi znajdującymi się w środku. Nie rozmawiamy o pierwszej fali ofiar, nie od ponownego przybycia Zarazy, ale tak wielu ludzi zginęło tamtego dnia – w wypadkach samochodowych, lotniczych, w szpitalach, gdy maszyny podtrzymujące życie przestały działać oraz wydarzyło się wiele innych rzeczy, których nikt się nie spodziewał.

Zardzewiałe samochody wokół mnie stanowią smutne przypomnienie dnia, w którym zmienił się świat. Zaraza nawet nie patrzy na pojazdy. Razem z Trixiem mają na uwadze tylko horyzont.

Jedziemy nieustannie, nie zatrzymując się nawet na posiłek. Okazuje się, że jeździec przygotował mi aż trzy kanapki z dżemem, wziął mi też słoik z karczochami i puszkę anchois. Nie mam siły, by mu powiedzieć, że nie będzie chciał siedzieć tuż za mną, gdy otworzę puszkę z rybami.

Choć mogłabym przekonać go, by spróbował... żeby zobaczyć, jak mu będzie smakować ludzkie jedzenie.

Zjeżdżamy z głównej drogi, gdy niebo szarzeje. Mijamy kilka domów – niektóre są ciemne, a w nielicznych pali się jasne światło lamp naftowych – nim w końcu skręcamy na podjazd jakiegoś nieszczęśnika.

Moskitiera trzaska na wietrze, piszcząc przy tym niesamowicie. Zauważam, że okna zabito deskami. Jasne, że ktokolwiek tu mieszkał, dawno się wyniósł.

Takie budynki nie są rzadkością. Może studnia na podwórku wyschła albo pompa przestała działać, może dom znajdował się za daleko od cywilizacji, skoro samochody są do niczego. Może krewny wziął właścicieli do siebie, a może umarli i nikt nie chciał kupić budynku położonego na zadupiu. Historie takich domostw są różne, ale wszystkie prowadzą do tego samego – porzucenia.

Słyszałam o całych opustoszałych miejscach, w których nie ma już nikogo. Las Vegas, Dubaj...

Myśl o tych bogatych miastach, które w tej chwili są jak kości na pustyni, których błyszczące atrakcje pokrywają się kurzem i popadają w ruinę, sprawia, że przeszywa mnie dreszcz.

Oto czarny śmierci tron, wśród dziwnych – pustych, dzikich stron... [4] – przychodzą mi na myśl słowa Poe'go.

Wracam wzrokiem do domu przed nami. Zaraza mówił, że nie podobał mu się widok umierania tamtych ludzi. Zastanawiam się, czy właśnie dlatego teraz wybrał to miejsce.

Jeździec zajmuje się wierzchowcem, gdy wchodzę do środka. Po omacku dotykam ściany, aż znajduję włącznik światła. Wciskam, licząc

na to, że będzie tu prąd.

Na chwilę żarówka się rozjaśnia, ale zaraz strzela i światło znika równie nagle, jak się pojawiło.

– Cholera.

Chyba powinnam się cieszyć, że zniszczenia nie są większe. Przez ostatnie lata gasiłam więcej pożarów wywołanych przez spięcia instalacji elektrycznych niż tych naturalnych. Wszystkie te udogodnienia są również niebezpieczne.

Zaraza staje za mną, zdejmując swoją ciężką zbroję. Kładzie łuk i kołczan na najbliższym stole, po czym układa na nim resztę. Jako ostatnią zdejmuje koronę i przeczesuje włosy palcami.

To takie ludzkie. Zastanawiam się, czy o tym wie.

– Światło? – pyta.

– Nie działa. – Podchodzę do kolejnego przełącznika, naciskam, ale nic się nie dzieje. – Na pewno nie działa.

Rozglądam się po salonie, szukając świec, lamp, knotów, zapalek – czegokolwiek, co może rozświetlić to pomieszczenie po zmroku. Zaraza wychodzi na zewnątrz, pozostawiając mnie samą.

Wraca chwilę później, niosąc kilka rzeczy. Mija mnie, idąc w stronę kuchni.

Słyszę syk odpalanej zapalniczki i chwilę później jeździec zapala kaganek, który musiał wziąć z ostatniego domu, w którym się zatrzymaliśmy.

Podaje mi lampę, po czym idzie ciemnym korytarzem. Przyglądam mu się, nasłuchując, jak otwiera kolejne drzwi. Słyszę stłumiony zgrzyt uchylanej bramy garażowej, a za chwilę równy stukot kopyt na betonie, gdy wprowadza Trixiego do środka.

Unoszę kaganek i się rozglądam. Połowę mebli zakryto prześcieradłami, a resztę pokrywa kurz.

Podchodzę do kominka. Na półce wciąż stoją zdjęcia. Biorę jedno i przecieram kciukiem. Pod spodem widzę portret dwudziestolatki o puszystych lokach. Biorę kolejne, pocieram i widzę grupę dzieci ze zmrużonymi oczami i z rękawkami do pływania. Wszystkie są w strojach kąpielowych.

Odstawiam zdjęcie, gdy obsypuje mnie gęsia skórka. Wydaje się, że panujące w tym domu życie brutalnie przerwano. Niezależnie od tego, czy mieszkańców zabrała śmierć czy ewakuacja, dom szybko opustoszał.

W przyszłości będą wyglądały tak całe miasta.

Nie będzie to tylko Vegas czy Dubaj. Będzie tak w każdym miejscu, które odwiedzi Zaraza. W tej dystopijnej przyszłości ktoś taki jak ja będzie podążał od domu do domu, omijając niepogrzebane zwłoki, które pozostawiono w środku.

Wzdrygam się na tę myśl.

Drzwi do garażu otwierają się i zamykają, w salonie słychać ciężkie kroki jeźdźca. Przynosi ze sobą kilka polan drewna. Zerka na mnie, nim wkłada je do kominka.

Godzinę później płonie ogień, w salonie migocze kilka świec. Z którejś szafy Zaraza wyjął materac i kilka nadgryzionych przez mole koców, bym mogła przespać się w cieple.

Siedzę na legowisku z kolanami podciągniętymi pod brodę i popijam wodę ze starego glinianego kubka (studnia nadal działa), wpatrując się w płomienie. Zaraza leży na materacu obok mnie, krzyżując nogi w kostkach.

– Dlaczego im pomagałaś? – pyta.

W jego oczach odbijają się tańczące płomienie. Nawet oświetlany przez ogień wygląda jak anioł.

Diabeł też był aniołem.

– Komu? – dociekam.

– Tej rodzinie. A wcześniej tamtemu mężczyźnie.

Serio?

Przyglądam się jego twarzy, a moje serce nieproszone przyspiesza, bo głupie hormony nie potrafią rozróżnić złej istoty od przystojnego mężczyzny.

– Jak mogłabym im nie pomóc? – pytam w końcu.

– Wiesz, że i tak umrą – mówi.

Co za zimne, pragmatyczne rozumowanie. Jakby środki prowadzące do celu nic nie znaczyły wobec ostatecznego rezultatu.

– No i? – Patrzę z powrotem na płomienie. – Jeśli mogę złagodzić ich cierpienie, zrobię to.

Czuję, że patrzy na mnie, a jego spojrzenie jest gorętsze niż ogień.

– Nie robisz tego tylko po to, by ukoić ich ból, prawda? – pyta. – Lecz także własny.

Co za sprytny mały jeździec.

Zaciskam na chwilę usta i marszczę brwi.

– Masz rację – mówię. – Cierpienie jest dla żywych, a ty mnie do niego zmusiłeś. – Obserwowanie choroby tych dzieci, gdy dławili się własnymi płynami ustrojowymi, słuchanie ich płaczu... – I gardzę tobą przez to.

– Nie spodziewam się niczego innego po człowieku, który spalił mnie żywcem.

Obracam się do niego rozgniewana.

– Wciąż chodzi o twoje cierpienie, co? Zabijasz wszystkich mieszkańców miast, ale przecież chodzi tylko o to, że to ty zostałeś skrzywdzony. Wiesz co? Zapolowałam na ciebie jak na pieprzone zwierzę, bo na to zasłużyłeś. I wielokrotnie bym to powtórzyła. – Czy na pewno? Niewielka zdradziecka część mojego umysłu nie jest już taka pewna. Niezrażona tą myślą, kontynuuję: – Zabijasz nas z okrucieństwem i nienawidzisz nas za to.

Milczy po moim wybuchu, tylko bacznie się we mnie wpatrując.

– Częścią życia – mówię – jest odczuwanie bezsensownego bólu. – Mogłabym mu opowiedzieć tysiąc historii o niesprawiedliwości tego świata. Ale po co się trudzić? Ma w dupie problemy ludzkości.

– Jestem, czym jestem – mówi stanowczo. Brzmi niemal... na pokonanego. – Przybyłem z misją i zamierzam ją wypełnić.

– A kto ci ją powierzył? Bóg? Diabeł? – Wyrzucam ręce w górę. – Pieprzony zajaczk wielkanocny? Myślałam, że jesteś Zarazą Zwycięzcą, a nie jakimś cholernym chłoptasiem na posyłki!

– Uważaj, człowieku – ostrzega niebezpiecznym tonem.

– Mam uważać? Jeśli tak bardzo boisz się moich słów, to spraw, bym umilkła.

Przebiegłam. Zdaję sobie z tego sprawę, gdy tylko kończę mówić.

Zaraza wyzywająco unosi brwi. Chwilę później odrywa kawałek zakurzonego prześcieradła, które zakrywa pobliską kanapę. Wstaje i skręca materiał w dłoniach. Wygląda złowieszczo.

Kłęka przede mną, patrząc mi w oczy. I wkłada mi bawełnę do ust.

Nigdy wcześniej nikt nie próbował mnie zakneblować.

Przez chwilę jestem oszołomiona, ale zaraz staję się rozwścieczonym bykiem. Upuszczam kubek z wodą i walczę z Zarazą, który wiąże mi skrawek materiału za głowę. Nie udaje mi się zrobić nic więcej, jak tylko uderzyć go w twarz, nim popycha mnie, aż ląduję głową na materacu. Przyciska kolano do moich pleców.

Podryguję szaleńczo, próbując go z siebie zrzucić, ale jest silniejszy, więc moje wysiłki zdają się na nic.

Słyszę kolejne rozdarcie materiału, zaraz zostają związane również moje nadgarstki.

Piszczę przy kneblu.

– Fffyyy fukinfynieeee! – ryczę.

Mocno mnie wiąże. Kiedy kończy, kuca przede mną i podnosi mnie.

Błąd.

Unoszę nogę i kopię go w tę jego śliczną buźkę.

Odchyła się i chwyta mnie za kostkę.

– Nogi też mam ci związać?

– Fabijeee fieeee!

Trzyma mnie za stopę, czekając jak matka dzieciaka, który rzuca się ze złości.

Szarpię kilkakrotnie nogą, ale nic to nie daje. Gość rzuca parę gróźb, ale nie jestem zainteresowana całkowitym związaniem.

Kiedy przestaję z nim walczyć, puszcza moją stopę i pociera swoją twarz w miejscu, w które go uderzyłam.

– Muszę przyznać, że jak na człowieka bijesz całkiem mocno.

– Faaal fie, fupku!

– Jestem zdziwiony, że tak się złościysz. Przecież to ty zasugerowałaś, bym cię uciszył.

Ponownie piszczę.

– Uspokój się, mały człowieczku. Może wtedy cię uwolnię.

Mały?

Obraca się w kierunku płomieni i patrzy w ogień.

Siedzę naprzeciwko niego, wrząc i dysząc.

Kiedy tylko dostanę szansę, kopnę go w te jego świętoszkowate jaja.

Mija sporo czasu, gdy tak siedzimy obok siebie, choć mentalnie jesteśmy oddaleni.

W końcu Zaraza patrzy na mnie.

– Gotowa, by się przyzwoicie zachowywać?

– Faaal fie!

– Nie? Hmm, może potrzeba ci więcej czasu.

Duma to samotny żołnierz, stojący na warcie, choć nikogo innego to nie obchodzi. Myślałam, że szkolenie w straży pożarnej zabrało większość mojej dumy, ale nie.

W końcu się uspokajam. Złoszczenie się na jeźdźca Apokalipsy za wykańczanie ludzkości jest jak gniewanie się na lód za to, że jest zimny.

Kładę się na boku, ignorując ból, który czuję w rękach.

Zaraza bez słowa mnie rozwiązuje. Najpierw wyjmuję knebel, a kiedy go nie wyklinam, zdejmuję również materiał z moich nadgarstków.

Siada z powrotem i gapi się w ogień. Patrzę na niego i na kominiek, a następnie odwracam się plecami, zwijam na materacu i nakrywam kocem.

Noc jeszcze młoda, ale mam dosyć tego dnia. Dosyć Zarazy i jego makabrycznej misji. Dosyć żalu i gniewu, a także innych emocji, które się we mnie kotłują.

Czuję jego wzrok na plecach, jakby położył na nich rękę, ale mam to gdzieś. Zamykam oczy, próbując zasnąć.

Moje ciało jest bardziej zmęczone, niż mi się wydaje, więc chwilę później odpływam.

[4] Edgar Allan Poe, *Miasto w morzu*, przeł. Antoni Lange.

ROZDZIAŁ 19



V*ancouver – 18 km.*

Z rosnącym przerażeniem wpatruję się w tablicę.

Do tej pory byłam świadkiem przejazdu jeźdźca przez wioski i małe miasteczka. Ale Vancouver jest ogromne.

Mieszkają tu setki tysięcy ludzi. Zapewne zostali już zawiadomieni o ewakuacji. Miasto z pewnością opustoszało...

Jedziemy autostradą, a z każdą kolejną godziną jestem coraz bardziej spięta.

Dzicz ustępuje miejsca przedmieściom. Domy położone po obu stronach drogi są przeważnie skryte za drzewami i krzewami, ale po naszej prawej stronie widać zza nich wodę.

W zasięgu wzroku nie ma żywej duszy.

Im bliżej miasta jesteśmy, tym domy stają się mniejsze, a zabudowa gęstsza. Tutaj, na przedmieściach, zauważam pierwszą oznakę życia. W oddali dostrzegam rowerzystę i słyszę krzyki.

Stukot końskich kopyt nagle staje się ogłuszający. Przypomina mi to chwilę, gdy Zaraza wyjeżdżał z za rogu, kiedy czaiłam się na niego w lesie.

Nie powinnam więc się dziwić, gdy rozlega się dźwięk wystrzału.

Ale jestem zaskoczona. Niemal spadam z siodła.

Jeździec mocniej mnie ściska.

– Trzymaj się.

Cmoka, a Trixie puszcza się cwałem.

Przemierzamy autostradę z zawrotną szybkością. Słysząc kolejny strzał i następne, gdy kilku straceńców próbuje wymierzyć sprawiedliwość.

Żadna kula nie dosięga jednak celu. Mimo że odgłosy wystrzałów nikną w oddali, Zaraza nie zwalnia rumaka.

Droga rozwidła się, oddzielając dziewięćdziesiątą dziewiątą od pierwszej. Jeździec instynktownie pozostaje na głównej. Nie wiem, czy jest tego świadom, ale to dobra decyzja.

Przemierzamy autostradę i most, chwilę później wjeżdżamy do Parku Stanleya. Jest tu gęsta, dzika roślinność, mimo to moje ciało gotowe jest na kolejny atak. W mieście, w którym żyje tak wiele osób, musi być ich więcej.

Park się rozmywa, drzewa zlewają się w całość, tworząc jednolite zielone tło.

Za parkiem znajdują się przecznice wieżowców, po prawej stronie szklane szyby w stalowych ramach błyszczą w popołudniowym świetle. Pomiedzy ich skupiskami przebłyskuje ocean.

Zauważam to wszystko, nim ponownie rozlegają się strzały.

Zaraza szarpie lejce, kierując wierzchowca w boczną uliczkę, prowadzącą w stronę wody. Wysokie budynki stoją niczym wartownicy po obu stronach drogi, którą pędzimy.

Nie słyszę za wiele ponad tętentem końskich kopyt i coraz głośniejszymi strzałami. Jeśli zjechanie z autostrady miało w czymś pomóc, tak się nie stało.

Podobnie do mnie, inni ludzie – a słysząc, że jest ich całkiem sporo – postanowili się poświęcić, by zabić jeźdźca. Zastanawiam cię, czy oni również założyli, że może on umrzeć.

Słyszę obok siebie świst kuli. Jeśli dalej tak będzie, w końcu oberwę.

Zauważam ludzi w wejściach do budynków i oknach. Niektórzy z bronią w rękach biegną ku nam drogą.

Wjechaliśmy w prawdziwą zasadzkę.

Bez ostrzeżenia Zaraza zrzuca mnie z rumaka. Jestem tak zaskoczona,

że zapominam krzyknąć, gdy upadam.

Uderzam o asfalt z taką siłą, że aż ciemnieje mi przed oczami. Odzywają się wszystkie moje stare rany.

Z przodu rozlega się więcej wystrzałów.

Kilka osób biegnie ulicą, próbując mierzyć do jeźdźca.

Przede mną Zaraza przygotowuje łuk i strzałę. Nie trzyma mnie już, więc może strzelać do napastników. Widzę, jak jakiś człowiek wypada z okna na drugim piętrze, kolejny osuwa się na ziemię za drzewem, gdzie kuczał.

Oddalając się ode mnie, jeździec unieszkodliwia tych, którzy go atakują, czasami obracając się w siodle do tyłu. Przyglądam mu się przez pewien czas, aż przypominam sobie, kim jestem.

Pracujesz jako strażak, Burns. Wstawaj i działaj.

Podnoszę się i stawiam nogę za nogą. Wydaje mi się, że nic sobie nie złamałam, ale na udzie będę mieć solidnego siniaka.

Poruszam się powoli, kulejąc, ale przecież nie planuję uciekać. Rozglądam się po ulicy, szukając rannych.

Podchodzę do najbliższej ofiary, wychudzonego mężczyzny, którego włosy (przynajmniej te, które mu zostały) są bardziej siwe niż brązowe.

– Czy jest pan... – Urywam, gdy widzę krwawą dziurę na jego szyi. Ale nie zrobił mu tego Zaraza. Kula, która nie trafiła jeźdźca, znalazła sobie nowy cel.

Mężczyzna próbuje coś powiedzieć, ale jedynie otwiera i zamyka usta, wytrzeszczając w szoku oczy. Pojawiają się tylko krwawe bańki na jego szyi.

Dla niego już nic nie można zrobić.

Biorę go za rękę, kopiąc jego broń na bok. Nie będzie mu teraz potrzebna.

– Wszystko dobrze – mówię uspokajająco. Oboje wiemy, że to kłamstwo. – Jestem. Nie zostawię pana.

Ścisną moją dłoń i nadal porusza ustami. Przysuwam się, by spróbować usłyszeć, ale dociera do mnie jedynie charczenie, które wydostaje się z jego gardła.

Kiwam głową, zachowując się tak, jakbym wiedziała, co powiedział. Jego usta zwalniają, aż nie pozostaje już nic do powiedzenia. Wciąż ściska moją rękę, ale podnosi wzrok ponad mnie, za mnie, a jego uchwyt się rozluźnia.

Pieprzona śmierć. Poważnie, pieprzyć tę sukę, która zabierze nas wszystkich.

Puszczam go, wstaję i rozglądam się, szukając kolejnej osoby.

Nieco dalej kobieta próbuje wstać, ale jedna ze złotych strzał jeźdźca wystaje z jej piersi. Podbiegam do niej, ignorując ból uda.

Czas się rozmywa, gdy przechodzę od jednej osoby do drugiej, dając z siebie, co tylko mogę, choć nie jest tego za wiele. W końcu zwracam na siebie uwagę jakiegoś sanitariusza. Dołącza do mnie, co z kolei nie uchodzi uwadze pewnego lekarza.

Im dłużej przebywamy na ulicy, tym więcej ludzi wychodzi z budynków, w których się schronili. Gardło mi się ściska na ten widok.

Właśnie tego Zaraza nie widzi w swojej misji wykończenia nas wszystkich. Tego, że w ludziach obok najgorszych cech istnieją też te najlepsze.

Wszyscy pracujemy w ponurej ciszy. Nikt się nie odzywa, ale niemal słyszę myśli otaczających mnie osób.

Czy jesteśmy zarażeni?

Czy jest dla nas za późno?

Ile zostało nam czasu?

Kiedy zaczniemy się źle czuć?

Powietrze przeszywa seria krzyków.

Unoszę głowę. Klęczę właśnie obok jakiegoś mężczyzny, lekarz znajduje się po jego drugiej stronie.

W oddali widzę, jak Zaraza na swoim białym rumaku cwałuje z powrotem ulicą, a na jego zbroi i twarzy widać krew.

Co on zrobił?

Trzyma łuk ze strzałą, gotowy zabić każdego, kto przeciw niemu powstanie.

Sztywniej na ten widok. Niemal uwierzyłam, że nastął koniec naszej

wspólnej przygody.

Powinnam jednak wiedzieć lepiej. Zaraza Zwycięzca zawsze wygrywa.

– Co, u diabła? – rzuca sanitariusz. – Wrócił?

Wstaję, więc niektórzy na mnie patrzą.

Zaraza zaciska usta, rozglądając się czujnie, gdy przemierza ulicę. Kiedy mnie zauważa, wyraz jego twarzy się nie zmienia, ale mogłabym przysiąc, że widzę na niej nieco ulgi.

Dlaczego tak bardzo mu na mnie zależy?

Wierzchowiec przyspiesza, kierując się w moją stronę.

Biegnij, nakazuje irracjonalny głosik w mojej głowie – jakby miało to w jakiś sposób pomóc teraz, gdy Zaraza już mnie spostrzegł. Zamiast tego przechodzę na środek ulicy, z dala od zebranych.

– Co robisz? – woła za mną lekarz.

Ignoruję go, wpatrzona w jeźdźca, który przestaje zwracać uwagę na napastników. Nie musi już tego robić. Wcześniejsze strzały umilkły.

Cisza sprawia, że serce podchodzi mi do gardła. Zaraza bez trudu zabił wszystkich napastników. Jaka siła stanie naprzeciw takiej mocy? Jest zbyt potężny, niepowstrzymany.

Zbliża się, pochyla w siodle, ale nie zwalnia. Nie wiem, co zamierza, póki nie wyciąga ręki.

A teraz, nawet wiedząc, że to mi się nie uda, uciekam. Nie wiem, co mnie podkusiło. Może tempo jego wierzchowca, może zacięty wyraz jego twarzy. A może to, że zarówno jeździec, jak i jego koń wyglądają, jakby skąpali się we krwi swoich wrogów.

Zmuszając obolałe nogi do pracy, biegnę ulicą w stronę autostrady. Tętent kopyt Trixiego jest coraz głośniejszy. Szybko ruszam rękami, starając się przyspieszyć.

Nie udaje mi się uciec za daleko, gdy Zaraza nagle mnie obejmuje. Kiedy szarpie, protestują moje niedawno zabliznione rany. Podnosi mnie jednak i sadza bokiem przed sobą.

– Trzymaj się, Saro – nakazuje, nie zwalniając.

Ponieważ koń porusza się szybko, nie jestem w stanie poprawić się w siodle, więc chwytam Zarazę w pasie i trzymam się mocno, gdy

zmierzamy w stronę wody. On również obejmuje mnie zaborczo, zabezpieczając dodatkowo przy sobie.

Po raz drugi mijamy wysokie budynki, przy czym zauważam strzelców leżących w kałużach ich własnej krwi, z ich ciał wystają strzały. Przestaję jednak patrzeć, gdy dostrzegam, że jedna z nich sterczy z oka mężczyzny. Wszystko to jest upiorne, brutalne i smutne.

Zaraza ich nie oszczędził. Nie jak mnie. I może myśleć, że mój los jest gorszy niż ich, ale wydaje mi się, że mam szczęście, siedząc na rumaku jeźdźca zamiast znajdować się po drugiej stronie życia.

Nagle budynki ustępują piaskowi i mam dobry widok na wylot ulicy. Wpatruję się w wodę i leżącą na niej wyspę.

Trixie biegnie po piasku, kopytami podrywa drobne ziarna. Minęło sporo czasu, odkąd byłam nad oceanem, ale nie mam szans, by się nim cieszyć. Suchy piasek ustępuje mokremu, a koń nie zwalnia.

– Co robisz?! – krzyczę do Zarazy, niezdolna oderwać wzroku od wody.

Ten tylko przyciąga mnie do siebie, ale nie odpowiada.

Dech więźnie mi w gardle przy końcu plaży, po czym nagle przyspiesza, gdy wierzchowiec wchodzi do wody.

Chwila, coś tu jest nie tak...

Spoglądam w dół.

– O Boże – mówię, wpatrując się w fale. – O Boże.

Rumak nie zanurza się w wodzie, lecz galopuje po niej.

Kopytami rozchlapuje ją dookoła, jakby ocean był zaledwie kałużą. Kilka kropel pada na mnie i na jeźdźca.

Jedziemy po wodzie.

Zaciskam mocno powieki, po czym ponownie je unoszę.

Wciąż znajdujemy się na powierzchni.

Nie wiem, dlaczego mnie to dziwi. Zaraza rozsiewa chorobę, tylko przejeżdżając przez miasto, i nie można go zabić. Co znaczy jeszcze jedna dziwaczna moc?

Jesteśmy daleko od lądu, gdy jeździec zwalnia konia. W tej chwili jestem w stanie – choć mozolnie mi to idzie – przerzucić jedną nogę przez siodło, by jechać twarzą do przodu, choć i tak w trakcie tego

manewru niemal spadam z rumaka.

Widzimy łąd ze wszystkich stron, ale poruszamy się po oceanie, a woda pryska mi na uda.

Zaraza pochyła się ku mnie, przyciska do mnie swoją pierś tak mocno, że muszę zgiąć się w pół.

Cholera, ależ jest ciężki.

– Możesz trochę się podnieść? – pytam.

Ignoruje mnie.

Typowe.

Mijają minuty, a on coraz bardziej na mnie naciska. Dzieje się to jednak na tyle powoli, że dopiero kiedy jeździec niemal na mnie leży, orientuję się, iż może nie robi tego celowo.

– Zaraza?

Cisza.

– Zaraza? – mówię nieco głośniej.

Nic. Niech to szlag, żołądek kurczy mi się z niepokoju.

Zaczynam się obracać, kiedy zauważam, że z ręki, którą trzyma lejce, kapie krew.

Coś jest nie w porządku. Bardzo.

Obracam się do niego, jak tylko mogę. Ma zamknięte oczy, jego twarz jest rozluźniona, a korona przekrzywiona na głowie. To ostatnie sprawia, że wygląda zarówno zawadiacko, jak i niewinnie.

Przykładam palce do jego szyi, szukając pulsu, ale nie jestem w stanie niczego wyczuć, kiedy kołyszemy się na koniu.

– Zaraza? Słyszysz mnie? – Próbuję go odchylić, aby uzyskać jakąś odpowiedź.

Jego głowa opada do tyłu, aż twarz kieruje się ku niebu, więc muszę złapać koronę, nim spadnie.

Ponownie przechyla się w siodle do przodu, bezwiednie układając policzek w zagięciu mojego ramienia. Obejmuję go, gdy jego ciało zsuwa się na bok.

Co się stanie, jeśli spadnie? Wyląduje na wodzie czy zacznie tonąć? Co się stanie z Trixiem – i mną, gdy do tego dojdzie?

Naprawdę nie chcę tego sprawdzać.

Tulę go niezgrabnie, jednocześnie próbując prowadzić konia w stronę najbliższej wyspy. Oczywiście, kiedy zbliżamy się do lądu na tyle, bym mogła mu się przyjrzeć, zauważam szczegóły – wiele ulic i budynków.

Cholera.

Ciągnę za lejce, zmieniając kurs i próbując ustabilizować Zarazę, który może być martwy. Tymczasowo, ale mimo wszystko nieżywy.

Jak mogło mi to umknąć? Słyszałam strzały i widziałam krew, gdy po mnie przyjechał. A teraz, gdy na niego patrzę, widzę, że ma kilkanaście krwawiących ran, a posoka jest zarówno na nim, jak i na mnie.

Na litość boską, wykrwawiał się na mnie, a ja wciąż nie byłam tego świadoma. Ukołysana równym tempem chodu konia i rozproszona faktem, że podróżujemy po wodzie.

Ostatecznie Trixie kieruje się w stronę innej części lądu. Do czasu, gdy rumak dociera do brzegu, ręce trzęsą mi się od utrzymywania Zarazy w siodle.

Dopiero gdy koń wchodzi na piasek, pozwalam sobie na odprężenie. Ciało jeźdźca osuwa się na bok, po czym oboje spadamy z rumaka.

Zaraza jęczy słabo, gdy upada, a nasze kończyny płaczą się ze sobą.

Żyje.

Wzdycham z ulgą. Nie wiem, czego innego spodziewałam się po kimś, kto jest nieśmiertelny.

I w ogóle nie wiem, dlaczego czuję ulgę.

Wydostaję się spod niego, po czym układam go na brzegu, zabieram mu broń i odrzucam ją na bok. Jest w znacznie gorszym stanie, niż mi się wydawało. Jego ubranie przesiąknięte jest krwią. Czerwony strumyk wypływa spod jego zbroi i wsiąka w piach. A jego napierśnik...

Niektóre kule przeszły przez metal, a złota blacha wygląda jak ser szwajcarski.

Element po elemencie rozpinam zbroję, krzywiąc się, gdy uwięziona pod nią krew wylewa się na piasek. Spoglądam na twarz Zarazy. Opalona zazwyczaj skóra jest teraz blada.

Dotykam jego policzka i czuję chłód.

Jego pierś unosi się przy płytkich oddechach. Przynajmniej nabiera powietrza.

A od kiedy chcesz, by oddychał?

Zdejmuję z niego mokre części garderoby, które tylko mogę. Kule trafiły go w ramiona i tors. Jego twarz została jednak nietknięta. Właśnie dlatego nie zauważyłam, w jakim Zaraza jest stanie. Byłam tak zafascynowana jego pięknem i intensywnością, z jaką się na mnie skupiał, że nie zauważyłam.

Zamieram na widok krwi krzepnącej w piasku przy jego głowie.

Odważę się?

Nie zastanawiając się nad tym za bardzo, unoszę go i badam potylicę. Niemal wymiotuję, gdy dotykam czegoś miękkiego. Zaraza wydaje pełen żałości dźwięk. Najwyraźniej cierpi.

Oczywiście, że go boli, przecież dotykasz rany na jego głowie, kretynko.

– Przepraszam – szepczę, niepewna dlaczego.

Rozglądam się. Trixie Skillz znajduje się niedaleko i podobnie jak jego właściciel ma ślady po kulach.

A mimo to koń niósł nie jednego, lecz dwóch jeźdźców przez ocean.

Biorę drżący wdech i rozglądam się po plaży. Po obu stronach linia brzegowa porośnięta jest drzewami. Daleko po lewej widzę pomiędzy nimi samotny dom.

Przynajmniej mamy gdzie się schronić.

Przesuwam głowę Zarazy, by spoczywała na moich kolanach. Nie wiem, dlaczego to robię ani czemu zdejmuję mu koronę, by pogłaskać go po włosach. Nawet pokryte krwią i mokre od słonej wody jasne loki są miękkie. Bardziej miękkie niż powinny być.

Kciukiem muskam jedną z irytująco doskonałych brwi. Jest poraniony i poobijany, a mimo to moje serce rwie się do niego.

To dlatego, że jest tak niedorzecznie przystojny, wmawiam sobie.

Ponownie wiodę kciukiem po jego czole.

– Przykro mi, że ci to zrobili – przyznaję. Tak samo jak przykro mi z powodu tego, co on zrobił im. To paradoks.

Głaszczę go po włosach, czekając, aż się uleczy.

Mogłabyś teraz uciec – zniknąć – gdy będzie dochodził do siebie. Nie będziesz musiała ponownie przed nim odpowiadać.

Moje nogi pozostają jednak pod jego głową.

Spowalniam go, próbuję sobie wytłumaczyć. Daję ludziom więcej czasu na ucieczkę. Świat utknął w beznadziejnej grze w kotka i myszkę i wiem, że jeździec zabije w końcu wszystkich, ale spowolnię jego działanie. A to już coś, prawda?

Zanim pierwsza kula opuszcza ciało Zarazy, nadchodzi mrok. Pocisk kręci się przez chwilę w dolnej części jego nogi, aż wypada nieszkodliwie na piasek.

Kilka minut później jeździec porusza się po raz pierwszy i słyszę jego ciężki oddech.

– Jestem tu – szepczę, ciągle głaszcząc go po włosach. – Trzymam cię. Nieruchomieje.

– Sara? – Mozolnie unosi powieki. Próbuje skupić na mnie wzrok.

– Cześć.

Unosi rękę i zakrwawionymi palcami dotyka mojego policzka.

– Nie uciekłaś.

Parskam śmiechem, w którym słychać drżenie.

– Zapewne powinnam – przyznaję.

– Zapewne – zgadza się.

Opuszcza rękę i ponownie zamyka oczy.

– Zaraza? Zaraza! – Moje krzyki są na nic, bo on znów jest nieprzytomny.

ROZDZIAŁ 20



Po tym, jak dwie kolejne kule wyskakują z jego ciała, uznaję, że czas się ruszyć. Słońce zniknęło za horyzontem jakieś dwadzieścia minut temu i odmrażam sobie tyłek.

Rzucam spojrzenie w kierunku domku na plaży. Ledwie widzę ciemny budynek. Dobrze, że nie ma tam światła, bo zamierzam się do niego włamać.

Wysuwam się spod Zarazy, biorę podziurawiony napierśnik i zakładam go luźno na siebie. Nawet bez lustra wiem, jak niedorzecznie w nim wyglądam. Zakrywa cały mój tors, tworząc iluzję, że jestem drobnej budowy. Ale nie jestem, po prostu jeździec jest wielki.

Postanawiam zostawić resztę zbroi i broń na piasku. Jak Zaraza dojdzie do siebie, to sobie po to wróci.

Wkładam koronę na swoją głowę (*pieprzona królowa nadchodzi*) i chwytam jeźdźca pod pachami.

Przygotowuję się, biorąc kilka głębszych wdechów.

– To zapewne zaboli – ostrzegam, choć wątpię, by mnie słyszał.

Zaczynam się przesuwac, ciągnąc go mozolnie w stronę domu. Zaraza jęczy, słabo ze mną walcząc.

– Jeśli możesz chodzić, to zachęcam – mówię. – W przeciwnym razie przestań się wiercić, bo cię upuszczę.

Przestaje, ale nawet bez jego oporu dotarcie do budynku zajmuje mi całą wieczność. Boże, ależ on ciężki. Potykam się dwukrotnie, za każdym

razem go tym budząc. Trixie Skillz kroczy wiernie za swoim panem.

Po dotarciu pod dom kładę Zarazę na ziemi i rozglądam się. Ze środka nie dochodzi światło, ganek zasypany jest igłami z drzew. Właściciele nie było przez dłuższą chwilę.

To zapewne domek letniskowy.

Podchodzę do ozdobnych drzwi. Cztery małe okienka pozwalają zajrzeć do środka. Domek wydaje się przytulny. Szkoda, że do czasu, gdy go opuścimy, będzie wyglądał jak miejsce potrójnego zabójstwa.

Pociągam za gałkę, bo nigdy nic nie wiadomo. Ludzie w moim miasteczku pod lasem rzadko używają zamków. Ale te drzwi ani drgną.

Spoglądam na szyby.

Będę musiała się jednak wysilić.

Zdejmuję kurtkę i owijam nią pięść. Mam nadzieję, że nie mam do czynienia z hartowanym szkłem. W przeciwnym razie nie pòjdzie mi zbyt dobrze.

Jednym płynnym ruchem uderzam w szybę.

– Ja pierdołę! – krzyczę, potrząsając ręką. Boli nawet pomimo kurtki. Patrzę na nietknięte okienko.

Pieprzone hartowane szkło.

I Jezu, jak to boli.

Za plecami słyszę ciężki oddech i nierówne kroki.

– Odsuń się, Saro.

Obracam się i spoglądam na jeźdźca szeroko otwartymi oczami. Nie wiem, czy jestem zdziwiona, czy czuję ulgę z powodu tego, że odzyskał przytomność.

Odsuwam się, a Zaraza kuśtyka do drzwi, przytrzymując się ściany, na której rozmazuje krew.

Chwyta za gałkę i wprawnym ruchem nadgarstka łamie zamek, a drzwi stają otworem.

Irytujące, jak łatwo to zrobił – jakby nie było to nic takiego.

Pomagam mu dostać się do środka, pozwalając, by się o mnie opierał, gdy prowadzę go w kierunku krzasiastej kanapy. Trixie wchodzi za nami.

Kładę jeźdźca, zdejmuję napierśnik i koronę, i odkładam je na podłogę.

Leżący przede mną ma zamknięte oczy i oddycha płytko, jakby znów stracił przytomność.

Chwytam jego mokrą koszulę i ją rozrywam. Odsuwam materiał na tyle, ile tylko mogę. Tors Zarazy pokryty jest wieloma sińcami i dziurami po kulach, a błyszczące tatuaże na jego piersi są zniekształcone z powodu obrażeń. Odnajduję kolejne postrzały na ramionach, szyi, rękach, nogach, a także tuż nad obojczykiem, gdzie leciutko dotykam skóry.

Jednak kiedy to robię, Zaraza otwiera oczy i patrzy na mnie.

– Co robisz? – pyta. Na jego twarzy malują się zarówno dezorientacja, jak i podejrzliwość.

To przez ten dotyk?

– Zajmuję się tobą.

Dopiero kiedy wypowiadam te słowa, naprawdę to do mnie dociera. Pomagam jeźdźcowi wydobrzeć. Pomagam, choć zupełnie niedawno to ja pociągnęłam za spust. Ledwie mogę w to uwierzyć.

Szok na jego twarzy musi odzwierciedlać mój własny.

Chwyta mnie za rękę, jego oczy jaśnieją, gdy na mnie patrzy.

– Nic mi nie jest, Saro.

Nie chce mojej pomocy. Tego się nie spodziewałam.

– Wcale nie. Masz w sobie tyle amunicji, że wystarczyłoby dla małej armii.

Próbuje usiąść.

– Gorzej już obrywałam.

Tak, wiem. Byłam przy tym. Spalenie żywcem jest zapewne na samym szczycie listy gównianych sytuacji, w których się znalazł.

Podchodzę do Trixiego, wciskam włącznik światła i kiedy lampa budzi się do życia, zaczynam przeglądać sakwy jeźdźca. Kiedy to robię, jedna z kul wyskakuje z boku rumaka i z głośnym brzękiem upada na podłogę. Biedny konik.

W końcu odnajduję whisky, którą przygarnełam na jednym z postojów. Potrzebuję nieco więcej czasu, by znaleźć bandaż, ale kiedy mam go w ręce, wracam do kanapy, na której leży rozciągnięty jeździec.

Zaraza przygląda się przyniesionym przeze mnie przedmiotom.

– To twoje – mówi, jakby nie chciał mieć z tym nic wspólnego.

Może obawia się mojej życzliwości bardziej niż ja jego uprzejmości.

– Ale dziś mam ochotę się podzielić – odpowiadam, rozwijając bandaż.

Chce się podnieść, ale nie pozwalam mu na to. Chwytam go za ramiona i zmuszam, by opadł na kanapę.

– Sam się uleczę – nalega, krzywiąc się na widok bandażu i alkoholu, który postawiłam na ławie.

– Tak, z pewnością. – Biorę krzesło z kuchni, siadam przed nim i otwieram butelkę, nadal wpatrując się w jego rany.

– Nie zgadzam się na to – mówi, ale nie próbuje mi uciec. Właściwie, gdybym nie wiedziała lepiej, powiedziałabym, że w jego oczach połyskuje ciekawość.

Nikt nigdy się o niego nie troszczył.

– Nie pytałam, czy się zgadzasz – oznajmiam, biorąc kawałek bandaża i wylewając na niego whisky.

– Irytująca kobieta.

Unoszę brwi i kiwam głową. Mogę być irytująca.

– Nie chcesz, żebym cierpiał? – pyta, śledząc wzrokiem moje ruchy.

– Nigdy nie chciałam – odpowiadam. – Nawet kiedy do ciebie strzeliłam.

Przesuwam nasączoną alkoholem gazą po pierwszej z jego ran.

Syczy, gdy whisky dotyka zranionego ciała.

– Kłamiesz, człowieku. To boli.

Został wielokrotnie postrzelony, a mimo to narzeka przy czymś takim?

– To dezynfekcja.

– Poradzę sobie bez tych twoich prymitywnych metod.

Och, no pewnie.

– Dobra. – Wstaję i idę do kuchni, gdzie przeszukuję szafki, aż odnajduję dwie szklanki. Nalewam do jednej z nich alkoholu i podaję ją jeźdźcowi.

Bierze ją, wacha zawartość i się krzywi.

– Aby złagodzić ból – wyjaśniam.

– Ma to jakieś znaczenie? – pyta, opuszczając naczynie. – Przejdzie z czasem.

– Och, na miłość... – Nalewam sobie podwójną porcję alkoholu i upijam spory łyk. Odstawiam szklanke, a potem butelkę.

Zaraza jest kiepskim pacjentem.

Ponownie biorę bandaż, zamierzając opatrzyć jego rany. Kiedy jednak wyciągam do niego rękę, chwytą ją.

– Saro – zaczyna miękko – przestań. Doceniam gest, ale nie trzeba.

Kiedy mówi, z dziury w jego szyi wychodzi kula.

To takie dziwne.

Patrzę mu w oczy.

– No dobrze. – Nie zamierzam mu pomagać na siłę, skoro tego nie chce.

Wstaję, biorę butelkę i moją szklanke. Już prawie wychodzę z salonu, gdy woła za mną:

– Dokąd idziesz?

– Wykąpać się. – Potrzebuję samotności.

Zamykam oczy i rozpiaram się wygodnie w wannie, opierając ramiona o jej brzeg i leniwie obracając szklanke z whisky. Prawie udaje mi się zapomnieć, jak bardzo gówniane stało się moje życie.

Z korytarza dochodzi szuranie i łoskot, gdy Zaraza coraz bardziej się zbliża. Chwilę później drzwi się uchylają. Unoszę powieki na tyle, by widzieć, jak jeździec kuśtyka, trzymając się za brzuch i niosąc swoją pełną szklanke.

– Chcę być sama – mówię, ponownie zamykając oczy. Nie zakrywam się. I tak już widział mnie nagą. Więcej niż raz. Poza tym wątpię, by ogarniało go pożądanie, kiedy ledwie stoi na nogach.

– Człowieku, wyraźnie zapomniałaś, że jesteś moim więźniem.

Kiedys nim byłam i musiał pilnować, bym nie uciekła, ale teraz nie jestem już tego pewna. To właśnie mnie niepokoi, choć w tej chwili mam to naprawdę gdzieś.

Prycham.

– Serio uważasz, że zwieję?

– Zrobiłaś to w Vancouver.

Nie otwieram oczu, bo nie chcę pozwolić, by zniszczył mi tę chwilę.

– Też dałbyś nogę, gdyby pędził na ciebie jeździec na koniu.

Parska śmiechem, ale zaraz milknie.

– Ten napój ma okropny smak – mówi po chwili.

Więc skosztował go, gdy nie patrzyłam. Podstępny jeździec.

– Alkoholu nie pije się dla smaku. – Upijam łyk z własnej szklanki.

Prycha.

Otwieram oczy i widzę, że dopija to, co mu nalałam.

Biorę więc stojącą nieopodal wanny butelkę i unoszę ją, proponując dolewkę.

Po chwili, w której z pewnością rozważał niegodziwość picia alkoholu oraz to, jak bardzo plami właśnie swoją duszę, bierze ode mnie butelkę i sobie nalewa. Ma ciężką rękę, zapewne nie wie, jak mocny jest ten trunek.

Patrzy na etykietę.

– Johnnie Walker Red Label – czyta. Patrzy na mnie. – Widziałem, jak dawałaś to umierającemu.

Ma na myśli bezimiennego człowieka, którego zabrała plaga. Zauważył, że poiłam go alkoholem?

– Picie łagodzi ból – mówię.

– Ludzie nie piją tego, by złagodzić ból – odpowiada. To stwierdzenie, a jednak mam wrażenie, że próbuje nakłonić mnie do dyskusji.

– Czasami tak. – Ale nie zawsze chodzi o ból fizyczny. – Ale owszem, nie zawsze. – Unoszę rękę, w której trzymam szklankę, do skroni i stukam się w głowę palcem wskazującym. – Czasami robią to, aby zmienić swój stan umysłu.

Zaraza milczy. Zamykam oczy i udaję, że nieświadoma jego obecności wciąż biorę błogą kąpiel.

– Zatrzaszczyłaś się o mnie w ten sam sposób, w jaki zajmowałaś się ludźmi – mówi w końcu. Jest coś takiego w jego głosie...

Unoszę powieki.

Widzę, że przygląda się mojej twarzy, w jego oczach błyszczy coś, co

wygląda jak pożądanie. Na ten widok zaczynam szybciej oddychać.

Co to za reakcja? Nie lubię go – serio. Chodzi tylko o to, że jest przystojny, a minęło sporo czasu, odkąd ktoś tak na mnie patrzył.

I to wszystko.

No i cóż, to, że wciąż ma rozchyloną koszulę aż do pępka i widać jego połyskujące tatuaże i muskularny tors. Kobieta musiałaby być martwa, żeby nie zareagować na ten widok.

Odrywa ode mnie wzrok i patrzy na swoją szklankę.

– Nie wiem, jak się z tym czuć.

Ma naprawdę ładne rzęsy. Gęste, ciemne i długie. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek wcześniej przyglądałam się czyimś rzęsom.

Dlaczego u niego je zauważyłam?

Wyrzucam te myśli z głowy.

– Ja też nie wiem, jak się z tym czuć – powtarzam po nim. O czym my w ogóle rozmawiamy?

Kiwa głową i unosi szklankę do ust. Bierze dwa łyki i się krzywi.

– To naprawdę ohydnie smakuje.

Śmieję się cicho.

– To dlaczego to pijesz?

Patrzy mi w oczy. Jego spojrzenie jest wymowne.

– Zmieniłaś już stan mojego umysłu. Chcę to odwrócić.

Mam ochotę powiedzieć mu, że to tak nie działa.

Zamiast tego upijam kolejny łyk.

– Wiem, o co ci chodzi.

Mruży oczy, obracając bursztynowym płynem w szklance.

– Powinnaś mnie zabić, a nie mi pomagać.

Posmak whisky kwaśniej mi w ustach. Wychyłam więc pozostały alkohol.

– Wiesz, że to niczego nie zmienia? – pyta.

– Wiem – mówię tak cicho, że sama ledwie to słyszę.

Wciąż będzie jeździł, zarażając ludzi w kolejnych miastach.

Woda stygnie, a ja nawet nie zaczęłam się myć. Kończę alkohol, odstawiam naczynie i zaczynam zmywać z siebie krew i brud, wiedząc,

że Zaraza cały czas mnie obserwuje. Tym razem nie proponuje mi pomocy przy umyciu pleców, a ja go o to nie proszę.

Kiedy na niego zerkam, widzę, że nie patrzy już na mnie ze swoim zwyczajnym chłodem. Właściwie to ma całkiem ludzkie spojrzenie.

Uświadamiam sobie, że tak właśnie wygląda tęsknota.

Walczę z pożądaniem. To samo czułam, gdy rozeszła się plotka, iż Tom Backer, w którym podkochiwałam się w liceum, chciał zaprosić mnie na randkę. Okazało się, że chodziło o Sarah (życie jest okrutne), ale przez błogą dobę czułam się anielsko, a w brzuchu miałam rój motyli.

Tak jak teraz.

Wypiłam całkiem sporo whisky, ale nie na tyle, by nie wiedzieć, że radość ze spojrzenia Zarazy na moje nagie ciało nie jest właściwą reakcją.

Ociera twarz, wygląda na zmęczonego i cierpiącego, jak powinien prezentować się gość, który został niedawno postrzelony. Wypija drugą szklanekę, którą sobie nalał (w której zmieściłyby się przynajmniej trzy kieliszki alkoholu). Bierze butelkę i swoje naczynie i wstaje na nieco chwiejnych nogach.

Chwyta klamkę, ale zatrzymuje się tyłem do mnie.

– Nie próbuj uciekać – ostrzega przez ramię. – Nie chcę cię gonić. Przelano dziś wystarczająco dużo krwi.

ROZDZIAŁ 21



Upiłam Zarazę.

Staje się to jasne, gdy wychodzę z łazienki. Zauważam go rozwalonego na kanapie z pustą butelką whisky w ręce, choć nigdzie nie widzę szklanki.

Kiedy jeździec upada, robi to z impetem.

Obraca ku mnie głowę.

– Miałaś rację – mówi, unosząc butelkę. – Mój stan umysłu został zmieniony.

Cóż, przynajmniej jest spostrzegawczy.

Przez chwilę wpatruje się w etykietę.

– Nie smakuje już tak źle.

Ile punktów piekielnych zarobiłam za upicie tego gościa?

Kiedy Zaraza znów się do mnie obraca, omiata wzrokiem moje odzienie. Chyba mu się ono nie podoba.

Udało mi się je znaleźć w szafie w głównej sypialni. Po wyglądzie tych ciuchów przypuszczam, że właściciele domu byli starszą, zamożną parą. Mężczyzna lubił mieć eleganckie, wyprasowane i równo poskładane spodnie, a kobieta przejawiała skłonność do falbanek i brokatu.

Była też duża, bo praktycznie tonę w śliskim czarnym topie i musiałam mocno zacisnąć pasek w fioletowych jeansach, by mi nie spadły.

I to było najlepsze, co udało mi się wyczarować.

Przechodzę obok niego, zmierzając do kuchni, bo burczy mi w brzuchu.

Mijam też Trixiego. Koń ułożył się po drugiej stronie pokoju, a dywanik pod nim nasiąknął krwią.

Kiedy stąd wyjdziemy, dom zdecydowanie będzie wyglądał jak miejsce zbrodni.

Kuchenne płytki pod moimi stopami są chłodne. Czas zobaczyć, czy znajdę tu jakieś pożywienie.

Otwieram spiżarnię, która jest pełna. Głębokie półki uginają się pod naciskiem żywności w puszkach i słoikach. Jest też suszone mięso i oszałamiający zapas alkoholu. Gdybyśmy musieli, moglibyśmy zabunkrować się tutaj na kilka tygodni – nie żeby Zaraza został gdzieś na tak długo.

Wygrzebuję paczkę makaronu i słoik sosu pomidorowego, a jeździec kuśtyka do krzesła w kuchni. Szybko zdrowieje, rany po kulach wydają się płytsze i nie są już krwawymi dziurami. Zdjął resztki koszuli, więc w tej chwili w pełni widać jego nagi tors.

Przygląda mi się przez dłuższą chwilę, milcząc, gdy gotuję makaron i podgrzewam sos (mamy tu prąd, jej!). Dopiero po przygotowaniu posiłku i wyjęciu kolejnej butelki alkoholu – tym razem bourbona – dołączam do Zarazy przy stole.

Nie zawraca sobie głowy makaronem, który przed nim postawiłam. Zamiast tego nalewa sobie sporą ilość alkoholu. Natychmiast wychyla zawartość szklanki.

Pije, jakby prosił się o katastrofę.

Patrzy na mnie.

– Dlaczego mnie nie zostawiłaś? – docieka, niemal rozpaczliwie oczekując odpowiedzi. – Mogłaś odejść.

Żołądek mi się kurczy, zapominam o parującym makaronie na talerzu.

Wciąż wraca do tego przekłętogo tematu. Miałam nadzieję, że go porzuci.

– Obawiałaś się, że cię odnajdę i skrzywdzę? – naciska.

Mogę skłamać. Zapewne się nie zorientuje. Jedynym problemem jest to, że nie przychodzi mi na myśl żadna dobra wymówka.

Otwieram usta, ale postanawiam nalać sobie drinka. On nie jest

trzeźwy, więc ja też nie muszę być.

Upijam spory łyk, po czym zdecydowanie odstawiam szklanę na stół.

– Nie wiem – odpowiadam, dolewając sobie alkoholu, po czym odsuwam butelkę. – Taka jest prawda. – Wpatruję się w pokryte strupami nadgarstki. – W Vancouver mogłam myśleć jedynie o pomaganiu ludziom, którzy ucierpieli podczas tego chaosu. – Biorę wdych i niechętnie patrzę w jego niebieskie oczy. – A kiedy znaleźliśmy się na plaży, mogłam myśleć jedynie o pomaganiu tobie.

Marszczy mocno brwi. Jeśli szukał pocieszenia, nie dostał żadnego.

– Dlaczego po mnie wróciłeś? – pytam. – W Vancouver.

Wygląda na urażonego.

– Jesteś moim więźniem. Nie zamierzałem cię uwolnić.

– Zepchnąłeś mnie z konia – wytykam.

Wyraz jego twarzy pozostaje nieczytelny.

– Zrobiłeś to, by mnie nie postrzelono, prawda? – pytam, wpatrując się w niego.

Jeśli Zarazę niepokoi fakt, że z nim zostałam i pielęgnowałam jego rany (a przynajmniej próbowałam), mnie dziwi to, że oszczędził mi bólu.

– Nie będziesz mi potrzebna martwa, Saro.

– Dlaczego? – dociekam. – Dlaczego jestem tu z tobą, podczas gdy inni leżą martwi na ulicach Vancouver?

Zaciska na chwilę usta.

– Ponieważ tak zdecydowałem.

Upijam kolejny łyk bourbona.

– To nie jest odpowiedź.

– Żadnej innej nie otrzymasz.

Niech go szlag. To przesłuchanie doprowadza mnie do szału.

Niechętnie wracam uwagą do makaronu, który nawijam na widelec i wkładam do ust. Kiedy tylko tam trafia, smakuję go niespiesznie.

Dobry Boże, zapomniałam, jak pyszne jest jedzenie, gdy wypije się wcześniej nieco alkoholu. Jeśli nie będę ostrożna, pochłonę w ciągu tego wieczoru dwutygodniowe zapasy – bo prawdopodobnie wszystko inne będzie smakować równie wyśmienicie.

Siedzący naprzeciwko mnie jeździec wpatruje się w moje usta. Odrywa jednak od nich wzrok i patrzy na swój talerz. Bierze widelec i próbuje nabrać makaronu, ale cienkie nitki uciekają pomiędzy zębami sztucca.

Śmieję się mimowolnie. Wstaję i podchodzę do niego. Przygląda mi się jasnymi oczami, wydaje mi się przy tym nieco odsłonięty. Chyba alkohol działa na nas oboje.

Pochylając się ponad jego ramieniem i próbując nie zwracać uwagi na jego wspaniały tors (*wstydz się, Saro, przecież on wciąż jest ranny*), biorę go za rękę, w której trzyma widelec.

– Co robisz? – pyta, patrząc na nasze dłonie. Jest coś takiego w jego głosie...

– Musisz obracać nim w ten sposób. – Manewruję niezręcznie sztuccem. – Potem nagarnąć. – Unoszę go, z końcówki zwisa makaron. – I w ten sposób jeść.

Nie widzę jego miny, a on sam nie odpowiada, więc wracam na miejsce, czując, że przegięłam, co jest niedorzeczne w świetle wydarzeń, które ostatnio miały miejsce.

Zaraza bierze mikroskopijny kęs makaronu. Miałam nadzieję na jego zachwyty, więc jestem rozczarowana. Wpatruje się w talerz, gdy przeżuwa.

– Nie powinienem tego jeść.

Nawet nie pytam o powód. Już wiem, że to jego dziwny pogląd na „ludzkie słabości”. Chyba odkrywa, że choć jego wola jest silna, ciało pozostaje słabe.

A skoro już jesteśmy przy jeźdźcach...

– Gdzie są pozostali trzej? – pytam. To jedno z wielu pytań dręczących ludzkość: gdzie podzieli się pozostali trzej jeźdźcy? Nie można zakładać, że tak po prostu zniknęli. Skoro Zaraza wciąż istnieje, to reszta pewnie też.

Mój towarzysz dźga widelcem makaron na swoim talerzu.

– Bracia wciąż są uśpieni – odpowiada, marszcząc brwi i wkładając kolejną porcję do ust.

Uśpieni?

– A kiedy się przebudzą?

Nie patrzy na mnie.

– Kiedy nadejdzie czas.

Pijany czy nie, Zaraza nadal potrafi ułożyć odpowiedź tak zagadkową, jak to tylko możliwe.

Pomimo wyrzutów sumienia z powodu jedzenia i picia szybko spożywa resztę makaronu i wypija większość bourbona.

Piję alkohol znacznie wolniej niż on. Można mnie nazwać tanią w utrzymaniu. Zamierzam powoli smakować trunka.

Opieram się na krześle.

– Po tym, jak przybyłeś na Ziemię, też pozostawałeś w uśpieniu? –
Minęło pięć lat, podczas których nikt o nim nie słyszał.

Kiwa głową, odsuwając talerz.

Chciałabym zapytać, gdzie w ogóle spał, że nie znaleziono go przez tak długi czas.

– Po co w ogóle to uśpienie? – Po co czekać?

– Istniała możliwość... – Urywa, zamyślony.

– Jaka? – naciskam.

Z powrotem skupia się na mnie.

– Możliwość, że ludzkość odkupi swoje winy. – Bierze szklanekę i kręci płynem. – Ale niestety, nawet koniec świata nie może zmienić zdeprawowanej natury twojego gatunku.

Ach, znów ta jego gadka. I to właśnie wtedy, gdy sądziłam, że na chwilę dał sobie spokój z narzekaniem na ludzi.

Unosi naczynie i wpatruje się w odrobinę cieczy, przy czym wygląda, jakby ciążyły mu powieki.

– To trucizna – mówi nagle.

– Mhm – zgadzam się, bo ściśle rzecz biorąc, tak właśnie jest.

Patrzy mi w oczy.

– Taki miałaś plan? Chciałaś mnie otruć?

Boże, a teraz to. Jakże idiotyczny pomysł, by próbować otruć nieśmiertelnego.

– Sam sobie nalewałeś – mówię.

To wydaje się go uspokajać. Nieco.

Nagle Zaraza wstaje, chwytając krzesło i przeciąga ku mnie. Siada okrakiem, kładąc ręce na oparciu, nieświadomy, jak seksownie wygląda w moich zdradzieckich oczach. Posyła mi jedno z tych swoich przenikliwych spojrzeń.

Odsuwam się od niego zdenerwowana.

– No co?

– Nie wiem – przyznaje. – Kiedy na ciebie patrzę, czuję... coś.

Wracam myślami do łazienki i jego pełnej pożądania miny. Czerwienieję się, a alkohol sprawia, że rumieniec jest gorętszy i bardziej rozległy niż ten, gdy jestem trzeźwa. Pilnuję, by moje spojrzenie pozostawało na jego twarzy, choć ma ochotę powędrować w kierunku torsu.

– Ale nie potrafię stwierdzić, czym jest to „coś” – ciągnie. – I wierz mi, Saro, doprowadza mnie to do szału.

Witaj w klubie. Przyjmujemy nowych członków.

– Jesteś człowiekiem – mówi. – A ja nie lubię ludzi. Nie powinienem cię lubić.

Przez chwilę nie oddycham.

Nie zadawaj tego pytania, Burns. Nie...

– Ale lubisz? – dociekam.

Patrzy na moje usta. Kciukiem dotyka mojej dolnej wargi, masując ją delikatnie.

– Boże, wybacz, ale tak.

ROZDZIAŁ 22



Przelykam ślinę, czując w brzuchu niepokojącą lekkość. Z tej odległości widzę tylko jego. Dostrzegam pozostałości po ranie od kuli na jego obojczyku i gęste złote włosy, które wciąż zlepione są krwią i słoną wodą. Wcale nie umniejsza to jego piękna. W jego niebieskich oczach okolonych gęstymi rzęsami widzę ocean.

A teraz patrzę na jego usta i tę pełną górną wargę, przez którą wygląda, jakby wiecznie się dąsał.

Nie ma pojęcia, jak jest przystojny. Skreślić to – to pojęcie zarezerwowane dla ludzi, którzy są atrakcyjni w swojej niedoskonałej postaci. Ta istota o anielskich rysach twarzy nie jest przystojna, lecz zapierająca dech w piersi. Jest ucieleśnieniem doskonałości. I czyż to nie jest kosmicznie niesprawiedliwe? To zwiastun apokalipsy. Nie musi być tak piękny, a jednak jest.

Wciąż wpatruje się w moje usta. W wyrazie jego twarzy jest coś pierwotnego i potężnego, jakby alkohol wzbudził w nim pragnienie zakazanych rzeczy. Ludzkich rzeczy.

Ponownie muska kciukiem moją dolną wargę, a ja czuję ten prosty dotyk dosłownie wszędzie.

Opuszcza rękę i się przysuwa. Nie jestem nawet pewna, czy jest świadomy, że przybliżył się do moich ust, od których nie może oderwać wzroku.

Znajdowałam się już blisko niego, ale nigdy aż tak.

Nie w takiej sytuacji.

Nie na tyle blisko, by nasze oddechy się mieszały.

Serce bije mi jak oszalałe, już tylko je słyszę.

On mnie pocałuje.

Ciepło rozprzestrzenia się po moim brzuchu.

Nie powinnam tego robić.

Nie mogę.

Nie zrobię.

Kładzie dłoń na mojej szyi, lekko unosząc mi podbródek, wciąż wpatrzony w moje usta.

Nasze wargi znajdują się tak blisko.

Tylko szybki dotyk, przekonuję samą siebie. Przecież to nie jest złe, nie? Tylko raz.

Nikt nie może winić mnie za ciekawość. Jeździec jest podobno Bożą sprawiedliwością i zemstą. Czy mogę postąpić źle, dając się dotknąć Jego jeźdźcowi?

Trochę nawet wierzę w te szalone rozmyślania. W tej chwili, gdy bourbon rozgrzewa moje wnętrze i zmiękcza silną wolę, jestem skłonna nagiąć każdą zasadę, aby na to pozwolić.

Zaraza się waha. W przeciwieństwie do mnie. Wyobrażam sobie, że może to być dla niego ostatnia chwila, by wybił to sobie z głowy zamiast się do tego przekonać.

I w tym momencie podejmuję decyzję.

Opuszczam nieco powieki i wpatruję się w jego wargi.

– Proszę – szepczę.

Palce na mojej szyi wbijają się mocniej w skórę, ale zaraz stamtąd znikają.

Magia pryska.

– Proszę? – Odsuwa się i patrzy z niesmakiem. – Teraz mi to mówisz?
– Ociera usta i podbródek, po czym się rozgląda, jakby właśnie się ocknął.

Wstaje, a ja mogę się na niego jedynie gapić. Nie mam mu nic do powiedzenia. Żadne słowa nie naprawią tej sytuacji, bo świadomie do

niej doprowadziłam.

Również chcę wstać, ale Zaraza kładzie rękę na moim ramieniu, uniemożliwiając mi to, jakbym teraz to ja była tą, która ściga jego.

Wzdycha, wyglądając nagle na tak wykończonego, jak powinien być, biorąc pod uwagę jego okropny dzień.

– Jest późno, Saro – mówi. – Lepiej idź spać, wyjeżdżamy wcześniej rano.

Wychodzi, zostawiając mnie, bourbona i to niepokojące uczucie, które, jak mi się wydaje, jest żalem.

Wiem, że powinnam czuć ulgę, może nawet triumfować, ale, jak mówi Biblia, duch wprawdzie ochoczy, ale ciało mdłe.

ROZDZIAŁ 23



Kac jest najgorszy.

Następnego ranka wmuszam w siebie naleśniki, które zrobiłam, choć zupełnie nie mam na nie ochoty, bo czuję mdłości.

Właśnie dlatego zazwyczaj nie piję.

Cóż, i chyba dlatego, że zazwyczaj stać mnie jedynie na bimber, a tymi siuškami nie trzeba się nawet upić, by mieć kaca.

Głaszczę Trixiego, który spędził noc w domu, a teraz stoi w kuchni, wachając naleśniki, jakby chciał ich skosztować.

Porzuciwszy talerz, wstaję i skupiam uwagę na wierzchowcu.

Głaszczę go po szyi.

– Wiesz, pod tą twoją twardą powierzchnią jest kobieta, która pragnie miłości i akceptacji – mówię do Trixiego.

– To ogier – odzywa się Zaraza, wchodząc do pomieszczenia.

Spinam się. To pierwszy raz dzisiaj, gdy dzielimy tę samą przestrzeń.

Staje obok mnie i również kładzie dłoń na szyi konia. Niech szlag trafi moje ciało, bo jestem świadoma każdego kawałka jego istoty.

– Nie słuchaj go, Trixie – mówię do konia, ignorując faceta.

– Nadałaś mu imię? – pyta z niedowierzaniem Zaraza.

Nie patrzy na mnie. To znaczy, ja również na niego nie patrzę, ale to on mnie wczoraj zostawił, więc...

Nie spojrzę na niego pierwsza.

Najwyraźniej kaca sprawia, że zachowuję się dziecinnie.

Głaszczę białą sierść rumaka. To barwa tak czysta, jak śnieg.

– Potrzebował imienia.

– Od trików? – pyta z niezadowoleniem. – Mój ogier jest szlachetny i lojalny, nie jest skłonny do podstępnych sztuczek.

To... nie dlatego nazwałam go Trixie.

– Nie możesz oceniać imienia, jakie mu nadałam – mówię – skoro sam nie pokusiłeś się o żadne.

Jeździec obraca się ku mnie i, na małe aniołki, samo jego spojrzenie powoduje, że czuję w brzuchu trzepotanie.

W końcu zbieram się na odwagę, by na niego popatrzeć. Wróciły regalia, a czarne ubranie ponownie jest całe, nieporozrywane. Jego zbroja jest gładka i nieskazitelna. Na plecach ma łuk i kołczan, ten drugi pełen strzał, choć jestem pewna, że wczoraj był pusty. To sztuczka równie przydatna, jak samouzdrawiające się ciało. Niesamowite.

Zaraza omiata wzrokiem mój strój – limonkowy top i kwieciste spodnie, w którym wyglądam jak dziecko artysty i cyganki – ale gdy unosi głowę, zatrzymuje spojrzenie na moich ustach.

Przypominając sobie wczorajszy wieczór.

Wciąż czuję na wargach jego kciuk i ten potencjalny pocałunek. Dzieliliśmy już kilka intymnych chwil, w każdej towarzyszyło nam inne uczucie, ale ten wczorajszy moment... Czuję, że się rumienię. Będę to pamiętać.

Zaraza wygląda, jakby był pełen żalu, ale nie mam pojęcia, czego dokładnie żałuje.

– Jadłaś? – pyta.

Odchrząkuję.

– Tak – mówię, zadowolona z tematu innego niż my.

Nie ma żadnego „my”, Burns.

– Spakowałam również trochę prowiantu – dodaję.

Sakwy wypełnione są smakołykami. Pomimo wczorajszego wieczoru spakowałam też alkohol.

– Dobrze, więc ruszajmy.

Wychodzimy z domu i kierujemy się na plażę, Trixie idzie za nami.

Mimowolnie rzucam okiem na miejsce, gdzie trzymałam Zarazę na kolanach. Jest za daleko, by dostrzec plamy krwi, które z pewnością wciąż znaczą piasek.

Obracam się do jeźdźca prowadzącego wierzchowca.

– Powinniśmy porozmawiać o wczorajszej nocy?

Zaciska na chwilę usta.

– O czym mamy rozmawiać, człowieku? – pyta w końcu.

Ach, więc rano granica została wyznaczona na nowo. W słabym świetle dzisiejszego dnia znów jesteśmy śmiertelnymi wrogami.

Wpatruję się w niego, po czym wzdycham. Nie wiem, czego chcę, ale z pewnością nie tego.

Chcę się obrócić do Trixiego, lecz nagle jeździec chwyta mnie w talii. Przez moment budzi się moja wybujała wyobraźnia. Czuję nawet to przekłete trzepotanie w brzuchu.

Ale Zaraza nie chce wracać do pozostawionych wczoraj spraw, bo zamiast wtulić się w moje ciało, wrzuca mnie na siodło i sam dołącza sekundę później.

Moje serce jak szybko urosło, tak prędko teraz się kurczy.

Dlaczego się tym martwię? Pieprzyć jego i to miękkie, słabe coś, co do niego czuję. Nie wierzę, że było mi go wczoraj żal, jakby był ofiarą, a nie napastnikiem.

Jak zwykle Zaraza przytrzymuje mnie jedną ręką, ale dziś wydaje mi się to niewłaściwe. Bezosobowe i zimne. Nawet gdy mnie nienawidził, pałał gorącymi emocjami. W tym momencie w jego dotyku jest obojętność, więc wolałabym wydłubać sobie oczy niż pozostawić sprawę takimi, jakimi są teraz.

Jeździec cmoka, a Trixie spieszy brzegiem w kierunku oceanu. Ledwie mam szansę zrozumieć, że znów będziemy jechać po wodzie, a już się w niej znajdujemy.

Kręci mi się w głowie, gdy patrzę w dół, obserwując pofalowaną powierzchnię. Wciąż wpatruję się w ocean, czekając, aż zacniemy poddawać się prawom fizyki i zostaniemy pochłonięci przez wodę, ale pozostajemy na jej stabilnej powierzchni.

Dopiero gdy przeskakujemy spienione fale, orientuję się, że zawroty głowy nie były efektem zdziwionego umysłu.

Koń i kac nie współgrają ze sobą.

Ruchy ciała rumaka powodują, że wszystko w moim żołądku przesuwa się na prawo, na lewo, na prawo...

Zostańcie na dole, rozkazuję w duchu naleśnikom.

Oddycham przez nos. *To minie, to minie...*

Nie, nie minie, nie minie, nie...

Przechyliłam się na bok. Nagle z powodu gwałtownego ruchu zwierzęcia tracę równowagę i zsuwam się z siodła.

– Sara!

Trafiam do wody i w głowie mam tylko jedną myśl – Ocean Spokojny jest zimny. Okrutnie zimny. Woda nie ma prawa być tak zimna. W porównaniu z nią lodowate kąpiele, które brałam, odkąd świat zaczął się kończyć, wydają mi się umiarkowanie chłodnymi.

Dopiero kiedy porażona zimnem opadam na dół, zaczynam rozumieć, że tonę, a woda nie przeciwstawia się dłużej nienaturalnej mocy jeźdźca.

Ocean wciąga mnie chciwie, jakbym była daniną, którą musi złożyć Zaraza, by bez szwanku przedostać się przez wodę.

Kopię i macham gwałtownie rękami, a moje głupie ubrania o krzykliwych barwach ciągną mnie ku głębinom.

W panice ledwie zauważam, że czyjaś ręka łapie mnie w tali, wyciągając z odmętów.

Dopiero na brzegu orientuję się, że to jeździec mnie ocalił. Nie mam jednak czasu, by skupiać się na tym małym szczególe, bo obracam się na bok, zaczynając opróżniać żołądek z jedzenia oraz słonej wody, której się nałykałam.

Żegnajcie, naleśniki.

Wymiotuję, aż nic we mnie nie pozostaje. Jednak moje ciało w to nie wierzy i nadal mam suche torsje.

– Nie zabijesz się! – ryczy Zaraza, a morska woda kapie z jego włosów. Wygląda na rozszluszczzonego, jego oczy są jasnoniebieskie.

Pocieram szyję, bo boli mnie gardło.

– Nie zamierzałam – mówię ochryple i siadam.
– Kłamiesz! – wrzeszczy. – Widziałem, jak rzuciłaś się z konia!
– Chciało mi się wymiotować – skrzeczę. – I tyle. – Odchrząkuję, skupiając się na nim. – A tak w ogóle, coś taki zmartwiony? – pytam, wstając na drżących nogach. Mrużę oczy. – Pokazałeś dziś dość jasno, że niezbyt ci na mnie zależy.

Te ostatnie słowa miały pozostać schowane w mojej głowie.

Jeździec piorunuje mnie wzrokiem, marszcząc brwi.

– Cierpienie jest...

Opadają mi ramiona.

– Dla żywych. Tak, tak, wiem.

Chwyta mnie za podbródek, zmuszając, bym na niego spojrzała. Patrzy mi w oczy, a jego źrenice promieniują gniewem.

Gwałtownym ruchem przyciąga mnie do siebie i całuje.

ROZDZIAŁ 24



Pocałunek jest agresywny. Wściekły. Niemal brutalny. Przypuszczam, że tylko taki do nas pasuje.

Dociera do mnie, że Zaraza mnie całuje, przywiera ustami do moich, a jego dotyk mnie parzy, gdy jeździec przyciąga mnie blisko siebie.

Mimowolnie chwytam go lodowatymi palcami za przedramiona, by się nie przewrócić.

Całuje mnie.

Nie mam siły, by ponownie wypowiedzieć „proszę” i to wszystko zatrzymać.

Bo chcę, by to trwało.

Po chwili staje się jasne, że Zaraza nie wie, co powinno się robić z wargami podczas pocałunku. Wkłada w niego cały swój (nienawistny) entuzjazm, ale jego usta są zupełnie sztywne.

To ja przejmuję prowadzenie i moje wargi zaczynają się ruszać. Jeździec podąża za mną, a cały ten jego gniew sprawia, że to niemal boli.

Czuję się, jakbym ponownie tonęła, zanurzam się w jego smaku i dotyku. Wszystko jest ostre – dreszcz na mojej skórze, palenie w gardle, jego brutalny pocałunek. Słona woda spływa po naszych twarzach i dostaje się do ust.

Nie wiem, jak długo pozostajemy złączeni, nim dociera do mnie, że jestem mokra, zmarzłam na kość i niedawno wymiotowałam (chyba mu to nie przeszkadza). I tak, całuję Zarazę.

Mimo wszystko potrzebuję sporej siły woli, by się odsunąć. Opadam do tyłu, udając, że moje słabe nogi straciły równowagę na piasku.

Jeździec oddycha ciężko, jego klatka piersiowa unosi się mozolnie. Zbliża się o krok, wpatrzony w moje usta.

Najwyraźniej chce kontynuować.

Ale zaraz potem widocznie bierze się w garść. Krzywi się, a zimne niebieskie oczy patrzą w moje.

– Nie będziesz ponownie próbowała się zabić.

– Nie próbowałam...

– Nie sprzeciwiaj mi się, Saro! – krzyczy, po czym dodaje nieco łagodniej: – Nie pozwolę ci umrzeć.

Nie ma sensu się tłumaczyć. Zaraza jest gotów wierzyć, że chciałam go otruć alkoholem, choć nie dostrzega oczywistego faktu – że sama też się nim trułam.

– Dobra – mówię. – To się już więcej nie powtórzy.

Kiwa głową, jego spojrzenie wraca do moich ust.

– Dobrze, dobrze.

Druga próba opuszczenia wyspy wychodzi lepiej niż pierwsza. Ma miejsce oczywiście po tym, gdy wracamy do domu, gdzie rozgrzewam się kolejną gorącą kąpielą i wkładam suche ubranie – na to wszystko nalegał Zaraza.

Dziwię się, gdy dociera do mnie, jak jeździec o mnie dba. To znaczy, odkąd mnie pojmał, wiem, że chce mnie żywą, ale to... takie inne. I nie wiem, czy mi się podoba.

Dotykam warg. Wciąż czuję na nich jego usta i choć nie rozmawialiśmy o tym, co się pomiędzy nami wydarzyło, ten temat wciąż jest między nami jak niechciany gość.

Opuszczamy dom i znów jedziemy po wodzie. Zaraza pilnuje, by trzymać mnie mocno w talii. To jednocześnie zabawne i nedorzeczne.

Gdybym ponownie chciała się „zabić”, raczej nie spróbowałabym tej samej metody.

Owiewa nas wiatr i pomimo kilku warstw ciepłych ubrań chłód dociera

do mojej skóry. Sprawę pogarsza fakt, że mój tors nie jest już pokryty bandażami, ponieważ rany zabiłszy się, więc mogłam się ich pozbyć. Dopiero teraz uzmysłowiłam sobie, że dzięki opatrunkom było mi cieplej.

Drzę, więc Zaraza przyciąga mnie bliżej siebie.

– Powiesz mi, gdy będzie ci za zimno – nakazuje, a jego ciepły oddech owiewa mi ucho.

Unoszę kciuki w górę.

– No pewnie. – Nie zamierzam spierać się z nim w tej sprawie.

Podążamy wybrzeżem na południe, pozostając tak daleko od lądu, jak się tylko da, by unikać ludzi, ale na tyle blisko, że widzimy wyraźnie brzeg po lewej stronie. Co jakiś czas w oddali dostrzegamy łódź czy kajak.

Dopiero po południu chmury przerzedzają się i wychodzi słońce. Ogrzewa moje włosy i odbija się w wodzie. Niedługo później zaczyna piec mnie twarz. Nie zdziwię się, jeśli wieczorem będę cała czerwona. Ale nie tylko tym się martwię.

Wiercę się na Trixiem Skillzie.

– Hej, Zaraza – mówię. – Muszę do kibla.

Zaciska palce na moim biodrze.

– Człowieku, mówisz niezrozumiałym językiem.

– Muszę do latryny – powtarzam drwiąco.

– Ach. – Umyka mu fakt, że się z niego nabijam.

Szarpie za lejce, kierując konia w stronę lądu. Dwadzieścia minut później falującą pod kopytami Trixiego wodę zastępuje stały ląd. Wzdycham z tego powodu z ulgą.

Jak okiem sięgnąć, otacza nas las. Nie ma żadnego śladu człowieka.

Pogodziłam się z faktem, że będę musiała sikać do dołka, ale zaraz znajdujemy utwardzoną dróżkę, a niedługo później schronisko ze sklepikiem.

Pracująca tam kobieta patrzy na nas, po czym rzuca się do biegu i niemal upada, próbując wsiąść na rower.

Za budynkiem znajduję smętną wygodkę, z której korzystam. Kiedy wracam, Zaraza przywiązuje do siodła koce i coś, co wygląda jak namiot.

– Co robisz? – pytam, zerkając na wierzchowca. W tej chwili rumak nie wygląda już jak nieziemski pomocnik Zarazy w rozsiewaniu plagi, a bardziej jak koń juczny.

– Zbieram rzeczy.

Zerkam na budynek. Znajduje się w nim sprzęt umożliwiający przetrwanie, od baniaków z wodą po domowej roboty krem z filtrem, od sprzętu przeciwpożarowego po liofilizowaną żywność.

No dobra.

– Dlaczego?

– Na wypadek, gdybyśmy nie znaleźli schronienia – mówi, zaciągając pasek.

Nigdy wcześniej nie było to problemem, ale do tej pory jechaliśmy drogami. W tej chwili jesteśmy tak jakby poza cywilizacją.

Spoglądam na horyzont, na którym gęste chmury przysłaniają słońce.

To naprawdę nie jest dobry dzień na biwakowanie.

Zaraza wraca do budynku i zmierza do części, która stanowi sklep łowiecki. Cała ściana wypełniona jest strzelbami i amunicją.

Kieruje się prosto do nich. Spokojnie zdejmuje dubeltówkę i patrzy na nią, jedną ręką trzymając za lufę, drugą mając w pobliżu drewnianej kolby.

Cała się spinam na widok broni w jego rękach. Nie wiem jednak do końca, co czuję. Nie jest to strach. Zaraza nie potrzebuje ludzkiej broni, by zabijać. Sam jest śmiercionośny. Może to po prostu sposób, w jaki patrzy na trzymany przez siebie przedmiot. Wyraz jego twarzy pozostaje nieczytelny.

Zaciska palce na strzelbie, napinają się jego mięśnie, po czym metal skrzypi, gdy mężczyzna zgina lufę, składając broń niemal na pół.

Patrzę na niego oniemiała, mój umysł potrzebuje niedorzecznie wiele czasu, aby pojąć fakt, że jeździec jest na tyle silny, by wygiąć metal.

Upuszcza broń na podłogę i sięga po kolejną. Nie przestaje, aż jest zniszczona każda jedna sztuka znajdująca się w tym sklepie – do diabła, udaje mu się nawet znaleźć jedną ukrytą pod ladą, i ją również wygina. Tworzy się z nich niezły stosik.

Właściciel wpadnie w furję, gdy to zobaczy.

Kiedy wszystkie strzelby są już wygięte, Zaraza zostawia je i spokojnie wychodzi.

– Gotowa do drogi? – pyta, mijając mnie.

Po raz ostatni zerkam na zniszczony arsenał i kieruję się do wyjścia.

– Noo... pewnie.

Milczymy przez dłuższy czas, gdy Trixie niesie nas przez nadbrzeżną gęstwinę.

– Żałuję, że tak wiele rzeczy zostało zniszczonych przez moje przybycie na Ziemię, ale broń nie jest jedną z nich.

Unoszę brwi, słysząc te słowa.

– Jestem zdziwiona – przyznaję.

– Dlaczego to, co powiedziałem, cię dziwi?

Obracam głowę w jego stronę.

– Nie chcesz, by ludzie pozabijali się nawzajem?

Na odpowiedź muszę poczekać dłuższą chwilę.

– Hmm – mruczy wreszcie. – Muszę to przemyśleć.

Najwyraźniej jest to prawda, bo znów zapada długie milczenie.

Do czasu, aż niebo staje się szarofioletowe, a cienie znacznie się wydłużają, nie udaje nam się znaleźć żadnego budynku. Jeździec kieruje Trixiego ku płaskiemu terenowi otoczonemu przez omszałe drzewa iglaste.

– Zatrzymamy się tu na noc – obwieszcza, zatrzymując konia.

Przez następną godzinę rozstawiamy obóz. Najpierw rozpalamy liche ognisko, wykorzystując do tego mokre drewno, więc wszystko tylko skwierczy i się kopci. Kiepsko, zważywszy na pojawiające się pierwsze krople deszczu.

Następnie stawiamy namiot, który po wyjęciu z torby okazuje się bardzo stary. Materiał to wodoodporny syntetyk, którego nikt już nie używa, o wyblakłej szarokasztanowej barwie. Aluminiowe rurki są pocięte i wyszczerbione.

Była to jedna z najdroższych rzeczy w tamtym schronisku. Szkoda, że wyrzucimy ten namiot w najbliższym mieście, do którego trafimy.

Marszczę brwi, gdy kończymy stawiać naszą konstrukcję, która nie tylko jest stara, lecz także mała. Będziemy musieli się do siebie przytulić, by się w niej zmieścić.

Moje zdradzieckie serce fika koziółka na tę myśl.

– Zrobiłeś to celowo – oskarżam.

– Co takiego? – docieka jeździec, stając po drugiej stronie naszego tymczasowego schronienia i otrzepując ręce.

– Znalazłeś tak mały namiot.

Obchodzi go i staje przede mną, krzyżując ręce na piersi. Jego zbroja i regalia znajdują się z boku, a jedwabisty czarny materiał koszulki opina jego szerokie ramiona i wąską talię.

– Mógłby być większy – zgadza się. Odchodzi, by rozłożyć inne rzeczy.

I tyle?

Przygryzam wargę. Deszcz zaczyna padać coraz mocniej, a wiem, że będzie jeszcze gorzej. Nie zamierzam spać dziś na zewnątrz. Nie mamy aż tylu koców.

Naprawdę będę musiała przytulić się do jeźdźca. Denerwuje mnie ta myśl, zwłaszcza że wciąż czuję na wargach jego pocałunek.

Rzucam ku niemu ukradkowe spojrzenia, gdy kuca przed ogniskiem, a dorzucone przez niego drewno skwierczy.

Dlaczego nie jest poruszony?

Czując, że mu się przyglądam, unosi głowę i przeszywa mnie spojrzeniem niebieskich oczu. Prostuje nieznacznie plecy, gdy dostrzega moją minę.

– O co chodzi, Saro?

Saro. Wypowiada moje imię jak modlitwę.

– O nic – odpowiadam i pocieram ramiona, bo pod warstwami ubrania obsypuje mnie gęsia skórka.

Zauważa to i marszczy brwi.

– Wcale nie „nic”. – Wstaje i się rozgląda. – Czego się boisz?

Nie zamierzam o tym rozmawiać. O nie.

Odsuwam włosy z twarzy.

– Wydawało mi się... że coś usłyszałam.

Marszczy brwi.

– Każdego, kto ośmieli się do nas podejść, czeka śmierć. Jesteś bezpieczna, Saro.

Nie, nie jestem. Nie przed nim i moim własnym sercem.

ROZDZIAŁ 25



Szczelniej okrywam się kurtką, wpatrując się w trzeszczące płomienie pomiędzy mną a Zarazą. Noc przyniosła chłód, którego nie przegnałby nawet spory ogień.

A to, co mamy, nie jest nawet w połowie przyzwoitym ogniskiem.

Deszcz leje, ale to nie wystarcza, aby wygnać mnie do Namiotu Zagłady.

Przynajmniej nasz ostatni posiłek spoczywa bezpiecznie na dnie mojego żołądka.

Nie nasz, poprawiam się. Mój.

Zaraza nie chciał jeść pożywienia, które mamy, nie napił się też wody.

– Nie potrzebuję tego – powiedział, gdy mu je zaoferowałam. – Ale ty tak.

Być może tego nie potrzebuje, ale wpatrywał się w jedzenie tak samo, jak wielokrotnie w moje usta.

Być może tego nie potrzebuje, ale już to polubił.

Trzymam blaszany kubek w dłoniach, herbata rozgrzewa mi palce.

Wzrok siedzącego po drugiej stronie ogniska Zarazy odczuwam jak dotyk kochanka. Czuję, jakby jego miękkie palce muskały moją nagą skórę.

Patrzę mu w oczy.

Dym zniekształca jego rysy, ale i tak widzę mocną zuchwę i pofalowane złote włosy. Siedzi z jedną nogą wyciągniętą przed siebie,

drugą przyciągnął do piersi.

Jeśli chłód ma na niego jakikolwiek wpływ, męczyzna nie okazuje tego.

Wpatruje się we mnie, a jego spojrzenie jest zarówno znajome, jak i dziwne. Sprawia, że pochylam głowę i zakładam kosmyk włosów za ucho, jakbym go kokietowała. Ten wzrok przypomina mi, że bez względu na intencje Zaraza wciąż jest cholernie przystojnym mężczyzną.

– No co? – pytam, obracając herbatą w pełnym wgnieceniu kubku.

To nie jest pieprzone wino, Burns. Nie musisz napowietrzać herbaty.

– Nie rozumiem twojego pytania.

Oczywiście, że nie.

– Wpatrujesz się we mnie – wyjaśniam. – Chcę wiedzieć dlaczego.

– Nie mogę na ciebie patrzeć bez powodu?

– To niegrzeczne tak się na kogoś gapić. – Wciąż nie podnoszę na niego wzroku.

– Obraża cię to? – pyta zaciekawiony.

Obraża mnie tylko fakt, że czuję się mile polectana jego spojrzeniem.

– Raczej niepokoi – odpowiadam. – Czuję się nieswojo.

– Dlaczego mnie to nie dziwi? – mamrocze do siebie. – Chcesz, abym zrozumiał twój rodzaj, a mimo to, gdy wykazuję nieco zainteresowania, potępiasz moją ciekawość.

Naprawdę nie mam pojęcia, co powiedzieć. Nie wiem nawet, czy jeździec ma rację, czy poskładał tylko kilka ładnych słów, robiących dobre wrażenie.

Nie mam jednak ochoty tego analizować.

– Dobra – mówię i upijam łyk herbaty, patrząc mu w oczy. – Gapię się do woli.

Przygląda mi się bezustannie.

– Tak zrobię.

Mam zamiar odwrócić wzrok, bo to dziwne, gdy ktoś tak otwarcie się w ciebie wpatruje, ale... A, pieprzyć to. Jeśli on chce się gapić, ja również będę.

Omiotam go spojrzeniem od czubka złotej korony przez ciemne ubranie

po skórzane buty. Patrzą na jego dłonie, które są dziwnie atrakcyjne jak na mężczyznę.

Oczywiście, Saro. Wszystko w nim jest atrakcyjne. Tylko ty dopiero teraz zaczynasz dostrzegać szczegóły.

Zaraza uśmiecha się i mogłabym przysiąc, że się prostuje, gdy dokonuję tej lustracji.

– Przyjemnie ci się patrzy? – pytam, mimo że sama również pozeram go wzrokiem. Uwaga ma być cięta, ale bardziej przypomina próbę wyłudzenia komplementu.

– Twoja postać wydaje mi się zaskakująco miła dla oka.

Jak zwykle jego słowa wywołują we mnie skrajnie różne emocje. Krew szybciej krąży mi w żyłach. Jestem miła dla oka? Takie może być malowidło. I w dodatku zaskakująco?

Kobieta nie powinna być zaskakująco miła dla oka. Powinna być supertwardzielką, której nie da się zapomnieć.

Zaraza marszczy brwi.

– Nie spodziewałem się tego, że będzie podobał mi się twój widok, tak jak nie spodziewałem się, że jedzenie i trunki staną się dla mnie czymś kuszącym.

Upijam kolejny łyk herbaty.

– A czego się spodziewałeś?

– Że nie będę poruszony ani dotknięty przez żadne ludzkie sprawy.

Powinna napełnić mnie nadzieją, ale... tylko przygryzam dolną wargę. Mamy tu pewnego rodzaju wzajemność. Tak jak ja wpływam na jego postrzeganie ludzi, tak on zmienia moje postrzeganie jeźdźców.

– Nie wspomniałeś jeszcze o Bogu – mówię.

Patrzy na mnie pytająco.

– Ciągłe mówisz, że nienawidzisz ludzi, że twoim celem jest wykończenie ich i że dziwne jest to, iż podobają ci się ich rzeczy, ale podczas wszystkich tych rozmów nie wspomniałeś o Bogu.

Zmarszczka pomiędzy jego brwiami się pogłębia.

– Dlaczego miałbym to robić?

Wzruszam ramionami.

– Czyż właśnie nie o Niego tu chodzi? O Jego gniew?

– Nie chodzi o Boga – odpowiada w końcu. – Tylko o ludzi i ich zatrważającą świat naturę.

Chwytam jakiś kijek i grzebię w ognisku, przez co w powietrze podrywa się snop iskier.

– Po prostu sądziłam, że to On stoi za twoim istnieniem – mówię.

Jeździec mruży oczy.

– Nie moją rolą jest omawianie z tobą powodów, dla których tu jestem.

– Więc Bóg niezaprzeczalnie istnieje? – naciskam. – Jest mężczyzną? Skłonił cię do tego? – Nie powiedział tego wprost, ale też nie zaprzeczył, gdy o tym wspominałam.

– Saro – mówi z rozdrażnieniem – z pewnością wiesz już, że istnieje coś poza tym śmiertelnym światem. Nie jestem ku temu wystarczającym dowodem? – No tak, ale dla porządku mógłby to wszystko potwierdzić. – Jeśli chodzi o płęć – ciągnie – tylko słaby ludzki umysł mógłby wyobrazić sobie istotę wyższą, a następnie mieć czelność ukształtować ją na swój obraz i nadać jej płęć. Bóg nie jest mężczyzną czy kobietą. Jest czymś zupełnie innym.

– To dlaczego wciąż używasz męskich zaimków? – dociekam.

– Ponieważ ty tak robisz.

Posyłam mu zdziwione spojrzenie.

– Skąd znam angielski? – pyta. – Skąd wiem, jak strzelać z łuku? Dlaczego noszę spodnie i napierśnik? Dlaczego wyglądam jak człowiek? Podobnie jak Bóg, zostałem stworzony jako coś, czego nie możesz pojąć. Jednak to – wskazuje na siebie – nie jest tym, czym naprawdę jestem.

– Nie... jest? – Mam problem z ogarnięciem tego.

– Jestem zarazą, Saro – mówi cicho – nie człowiekiem. Mam teraz ciało, głos i zmysły, ale nie dla mojego dobra, a dla twojego.

Nie będę kłamać, to może być najdziwniejsza rozmowa, jaką w życiu prowadziłam.

– Więc... – mówię, żeby podsumować temat. – Bóg nie jest mężczyzną.

Przechyla głowę na bok.

– Wydajesz się zdziwiona.

Tak?

Wiercę się.

– Nie, tylko...

– Tylko co? – pyta, kiedy nie kończę zdania. Po raz pierwszy nieco się przede mną otworzył.

– Nie wiem – przyznaję. Dźgam ognisko patykiem, który wciąż trzymam. – Czy On, Ona lub Ono jest w ogóle wyznania chrześcijańskiego? – Mimo wszystko o czterech jeźdźcach Apokalipsy dowiedzieliśmy się z Biblii.

Zaraza patrzy lekceważąco.

– Ludzie i te wasze nazwy i etykiety. Bóg nie jest chrześcijaninem, tak samo jak nie jest żydem, muzułmaninem, buddystą czy żadnym innym. Bóg to Bóg.

Odpowiedź, która nie usatysfakcjonuje nikogo.

Odchyła się i patrzy na mnie badawczo.

– W co wierzysz, Saro?

Puszczam patyk i upijam łyk stygnącej herbaty.

– Zanim przybyliście na Ziemię, w nic nie wierzyłam.

– W nic? – Patrzy, jakby oczekiwał wyjaśnień.

Wiedząc, jakie ma zdanie o wcześniejszym świecie, naprawdę nie chcę mu opowiadać o tym aspekcie mojej przeszłości.

– Mieliśmy naukę, która była pewnego rodzaju religią – mówię. – Przynajmniej dla mnie. Wyjaśniała, jak działał świat, zdradzała jego tajemnice.

– Wiem wystarczająco wiele o waszej nauce, Saro. Nigdy nie zdradziła najważniejszych tajemnic, jak je nazywasz. Czym jest dusza, dokąd udaje się po śmierci, co leży poza...

Unoszę rękę.

– Kumam, kolego.

Marszczy brwi na te słowa.

– Nie potrzebuję odpowiedzi na te pytania. Założyłam, że to życie jest wszystkim, co mamy, i łudzimy się tylko, że jest coś poza nim.

– Ale zmieniłaś zdanie? – docieka.

Uśmiecham się ze smutkiem.

– Trudno tego nie zrobić, gdy pojawiają się czterej jeźdźcy Apokalipsy i wszystko trafia szlag.

Przypominam sobie transmisję w telewizji, którą oglądałam na posterunku, niekończące się programy informacyjne. Polityków zastąpili przywódcy religijni, a każdy wyrażał swoje zdanie na temat Biblii, Koranu, Talmudu, sutr, hadisów, Wedy, Tanacha, Miszny, midrasz y i tysiąca innych religijnych tekstów, które nagle zaczęły wskazywać drogę do odkupienia. Słuchałam jednym uchem tych wszystkich księży, kaznodziejów, rabinów i imamów, błagających, aby ludzkość odnalazła Boga, nim będzie dla świata za późno.

– Tylko... do tej pory religia była sprawą wiary. Nie wydaje mi się, by tak samo opierała się na wierze teraz, gdy mamy dowód.

Nie przyznaję, że nadal trudno mi uwierzyć, choć mamy ten dowód w postaci czterech jeźdźców, którzy chcą nas wszystkich pozabijać. Jeżeli nagle wszyscy staliśmy się barankami przeznaczonymi na rzeź, to jaki jest sens życia? I, co ważniejsze, jeśli w tym życiu czeka mnie jedynie bolesna i przedwczesna śmierć, to czego niby mam oczekiwać po zaświatach?

Spodziewam się, że Zaraza zacznie mnie nawracać, ale tego nie robi. Posyła mi tylko to niepokojące spojrzenie.

Patrzę mu więc w oczy. Pomiedzy nami snuje się dym, deszcz moczy nasze ubrania. Nawet w świetle płomieni wyraźnie widzę jego niebieskie tęczęwki. Mają odpowiedni kolor, gdyż czuję, jakbym w nich tonęła. W nim.

Pod skórą rozchodzi mi się ciepło.

Słyszałam kiedyś, że można zakochać się w kimś, jedynie wystarczająco długo patrząc mu w oczy. To nie to (Boże, proszę, niech to nie będzie to), ale jednak coś.

Uderza to we mnie niczym piorun. Pomimo każdego ciosu, który zadaliśmy sobie nawzajem, pomimo jego prób zniszczenia mojego świata oraz tego, że mój świat usiłuje zniszczyć jego, Zaraza mnie pragnie.

A ja pragnę jego.

Nie wiem, kto robi pierwszy ruch. Wiem jedynie, że odstawiam herbatę, a on wstaje. Nie spieszmy się.

Miałam mnóstwo nocy, w których nie mogłam uznać, że ruszam się wystarczająco szybko, bo gdybym tylko zwolniła, uświadomiłabym sobie, że moje zachowanie było głupie i spowodowane desperacją. Kiedy uważałam partnera za irytującego, ale chciałam poczuć jego skórę na swojej, zapominałam o tym aż do rana.

Ale z Zarazą mamy bardzo dużo czasu, aby się odwrócić, wyznaczyć granicę na piasku, za którą biblijne stworzenie próbuje zniszczyć świat, a prosty człowiek stara się go powstrzymać. W tej chwili jeździec nie nienawidzi jednak ludzi tak bardzo, jakby tego chciał, a ja nie przeciwstawiam mu się tak, jakbym pragnęła w to wierzyć.

Zanim mam szansę się podnieść, klęka przede mną. Ogień, który do niedawna nas dzielił, w tej chwili płonie u naszego boku niczym strażnik.

– Nie potrafię stwierdzić, czy jesteś jak toksyna, czy bardziej jak tonik – mówi, kładąc dłoń na moim policzku. – Nawiedzasz moje myśli i wypełniasz żyły.

Zaraza naprawdę powinien popracować nad prawieniem komplementów.

Pociera kciukiem moją skórę.

– Powiedz, że czujesz to samo.

– Jestem twoim jeńcem – przyznaję, unikając odpowiedzi.

– To najmniejsze zło między nami. – Przysuwa się. – Powiedz – naciska.

Całuję go bez zastanowienia.

Przez długi, nieznośny moment nie porusza się.

A kiedy wydaje mi się, że się odsunie, wydaje cichy dźwięk – coś, co brzmi jak pragnienie, porażka i zaskoczenie zarazem. A potem naciska na moje usta, oddając pocałunek.

Z wahaniem wsuwa palce w moje włosy. Obejmuje moją twarz, całując mnie delikatnie, niesłychanie miękko.

Podążając za tą wskazówką, kładę dłoń na jego policzku, głaszcząc go

lekkie.

Odsuwa się, jego oczy błyszczą ciepłem.

– Saro...

Krzywię się, patrząc mu w oczy.

Nie chciałam tego, powinnam powiedzieć, ale słowa pozostają w mojej głowie.

Jego wzrok powraca do moich ust, a cokolwiek go powstrzymywało, odchodzi w niepamięć. Ponownie przywiera do moich warg, silniej i pewniej niż wcześniej.

Poprzedni pocałunek można by nazwać pomyłką, ale nie ten.

Całuje mnie ochoczo, przysuwając się, aż jego ciepła pierś przyciska się do mojej. Błądzą dłonią po jego twarzy, jakbym chciała zapamiętać jej rysy przez dotyk. Kciukami muskam jego zamknięte oczy i te niewiarygodnie długie rzęsy, które spoczywają teraz na policzkach.

Woń ziemi, dymu i lasu sosnowego wypełnia mi nozdrza, deszcz chłodzi odsłoniętą skórę. Jesteśmy tak daleko od cywilizacji, że Zaraza wydaje się raczej pełen magii niż straszliwej choroby.

Obejmuje mnie i bez przerywania pocałunku niesie do namiotu. Nie mam czasu obawiać się małej przestrzeni. Jeździec odsuwa klapy na boki i kładzie mnie na kocach. Klęka pomiędzy moimi nogami, poświęcając chwilę, by odłożyć na bok koronę, i wpatrując się w moją twarz.

Układa się na mnie, ponownie odnajdując moje usta. Niemal jęczę, gdy mnie przygniata. Minęło tyle czasu – stanowczo za dużo – odkąd to robiłam, a tęsknię za tą pociechą i połączeniem z kimś.

Dłonie jeźdźca drżą, gdy mnie dotyka, badając ostrożnie ciało. Zastanawiam się, czy to dla niego tabu – dotykanie kobiety, ofiary, którą oszczędził. Nurtuje mnie to, jak się z tym czuje. Po prostu zastanawiam się, co odczuwa. Co myśli. Nie wiem, kiedy zaczęłam się tym przejmować, ale w tej chwili, gdy jest tak blisko, wydaje się to ważne.

Rozchyłam jego wargi swoimi i zaczynam badać jego usta.

Znów wydaje dźwięk, tym razem mniej w nim zaskoczenia, a więcej pierwotnej żądzy. Całuje mnie mocno, więc nasz słodki akt staje się

bardziej mroczny i wygłodniały. Gdy ociera się o mnie biodrami, przerywam pocałunek, aby westchnąć z pragnienia.

– Saro – mówi niemal bez tchu. – Czuję... Czuję, że zatracam się w tym... W tobie. – Patrzy mi w oczy. – Czy to... miłość?

Natychmiast trzeźwieję.

Orientuję się, że trzymam ręce na jego plecach, przyciskając do siebie jego biodra, i obejmuję go nogami w pasie.

Poniosło mnie bardziej niż trochę...

Siadam, delikatnie go z siebie spychając. Odpuszcza niechętnie. Zwilżam wargi językiem, czując na nich jego smak.

Reszta pragnienia znika, pozostawiając po sobie chłód. Oddałam się Zarazie i byłam gotowa pójść na całość.

Kręcę głową.

– Nie, to nie miłość.

Wygląda na... rozczarowanego. Chyba.

Nie wiem dokładnie, co czuję ani dlaczego tak się dzieje. To jakaś chora mieszanina żądy, tęsknoty i głębokiej pewności, że to bardzo złe. Bardzo, bardzo złe.

– W takim razie co?

– Pożądanie – odpowiadam wprost.

Nie mogę spać. Nie w lesie, gdy lodowaty deszcz siecze w ścianki naszego namiotu. Chłód wbija swoje szpony w moją skórę nawet przez koc i wszystkie te warstwy ubrań.

Leżę na prowizorycznym pościeliu, drżąc i czując się całkowicie nieszczęśliwa.

Masz cierpieć, słyszę w umyśle słowa Zarazy. Jeździec poszedł gdzieś wiele godzin temu i nadal nie wrócił. Nie spodobało mu się to, co wcześniej powiedziałam, ponieważ pożądanie nie jest tak wzniosłe jak miłość. Albo dlatego, że samo odczuwanie czegokolwiek jest dla niego problematyczne.

Minęły godziny, więc najprawdopodobniej tylko czeka, bym zaczęła uciekać, żeby ukarać mnie w jakiś okrutny i niezwykły sposób. Wtedy

wrócilibyśmy do punktu wyjścia.

To mogłoby być dla nas dobre, gdyby wszystko było takie jak dawniej. Ale nie ma mowy, by tak się stało. Nie można cofnąć pocałunku lub „odzobaczyć” pożądliwego spojrzenia. Oboje mamy przerąbane.

Zaraza wraca późną nocą, gdy przestaje padać. Słyszę, jak jego buty chrzęszczą na sosnowych igłach. Nie próbuje się skradać.

Chwilę później odsuwają się klapy namiotu, przestrzeń wypełnia jego nieziemską sylwetką. Przez moment się nie rusza.

W końcu klęka obok mnie. Ostrożnie zdejmuje zbroję i po raz drugi tej nocy koronę, po czym układa się przy mnie.

– Zakładam, że nie spałeś – mówię. Mój głos wydaje się odbijać echem w ciszy.

Zaraza odzywa się dopiero po chwili:

– Nie muszę spać, ale mogę.

Zbliża się, z wahaniem mnie obejmuje i przyciąga do siebie.

Zamykam oczy, rozdarta pomiędzy rozkoszą jego dotyku a świadomością, że nie powinnam tego robić. Drzę przy nim z powodu niskiej temperatury.

– Jesteś zmarznięta – mówi zdziwiony.

Ja wręcz zamarzam.

– Nic mi nie jest.

Przysuwa się jeszcze bliżej, zarzuca na mnie nogę i nakrywa nieco własnym ciałem. Przeklęte przytulaski. Nawet nie mam siły się złościć, bo jestem tak cholernie wdzięczna za jego ciepło.

Podoba ci się też to, jak do ciebie pasuje...

– Postaraj się zasnąć – mówi głębokim głosem. – Jutro ruszamy o świcie.

Cudownie.

Nienawidzę wstawać tak wcześnie – a szczególnie gdy jest tak zimno.

Kiedy będzie po wszystkim, przeniosę się do Meksyku i będę spała tak długo, jak zechcę.

Moje zmarznięte na kość ciało, przyciśnięte do ludzkiego piecyka znanego również jako Zaraza, zaczyna się rozgrzewać. Niedługo później

opadają mi powieki.

Na granicy snu i jawy słyszę, jak jeździec mruczy przy moich włosach.

– To nie pożądanie czuję, droga Saro. I mam nadzieję, że jesteś tym choćby w połowie tak przerażona, jak ja.

Ale to prawdopodobnie tylko sen.

ROZDZIAŁ 26



Budzę się powoli, leniwie. Czuję wspaniałe ciepło. Rozciągam się, mój kręgosłup strzela, gdy wyginam plecy. Ręka, która obejmuje mnie w talii, ściska mnie mocniej, a dłoń gładzi moje plecy.

Unoszę powieki i spoglądam w niebieskie oczy.

Sztywniej. Twarz Zarazy znajduje się zaledwie kilka centymetrów od mojej, a reszta ciała przyciska się do mnie. Jest zaspany, ma zmierzwione włosy. Boli mnie widok tak atrakcyjnego mężczyzny.

W przeciwieństwie do mnie, jeździec nie wydaje się zdziwiony naszą bliskością. Przygląda mi się, jego spojrzenie pełne jest zarówno nieufności, jak i zafascynowania. Powoli mnie puszcza.

Całowanie, tulenie, a teraz wspólne spanie.

Coś ci to strasznie szybko idzie, Burns.

Ściśle rzecz biorąc, to nie jest pierwszy raz, gdy spaliśmy razem. Zdarzało się to też, gdy byłam skrajnie wyziębiona.

Czując się nieco uspokojona, odsuwam się od niego i przeczesuję palcami swoje falowane brązowe włosy. Nie patrzę na jeźdźca, próbując się pozbierać, ale, niech to szlag, czuję go tuż obok siebie.

Muszę się wydostać z tego namiotu.

Wkładam buty i wypełzam z niewielkiej przestrzeni, nie poświęcając Zarazie kolejnego spojrzenia.

Na zewnątrz słońce stoi wysoko na niebie.

To tyle, jeśli chodzi o wyruszenie o świcie...

Kłapa uchyla się za mną i wychodzi mój towarzysz. Na jego twarzy maluje się ponury grymas. Mężczyzna patrzy na mnie ze smutkiem. Potwór, który jest moim jeźdźcem, jest też samotną, melancholijną istotą.

Bierze zbroję i zaczyna ją zapinać, odwracając się ode mnie, a następnie zmierza do czekającego konia.

– Chodź, Saro – woła przez ramię. – Nasz wyjazd nieco się opóźnił.

Zerkam na namiot, uświadamiając sobie, że Zaraza nie zamierza niczego pakować. Pospiesznie zbieram więc kilka rzeczy i udaję się za nim.

Nie patrzy na mnie, gdy zakłada łuk i kołczan. Nie robi tego, gdy pakuję rzeczy z namiotu. Nawet nie zerka, gdy sadza mnie na koniu.

Nie zwraca na mnie uwagi, tak samo jak ja ignorowałam jego, kiedy wyszłam z namiotu. Mam to, na co zasłużyłam, co doprowadza mnie do szału. Jeździec wygląda na pewnego siebie i obojętnego. Kiedy jest taki wycofany, pragnę go jeszcze bardziej.

– Na pewno nie pakujemy namiotu? – pytam, po raz ostatni zerkając na nasze schronienie. Wygląda samotnie obok pozostałości ogniska. Istnieje spora szansa, że dziś również zatrzymamy się w jakiejś dziczy.

Zaraza podąża za moim spojrzeniem, patrząc z odrazą na namiot.

– Nie będziemy go już potrzebować. Dziś znajdziemy dom na noc albo w ogóle nie będziemy spać.

Istnieje kilka sposobów, aby kogoś zranić. Tym razem nie muszę do niego strzelać ani go podpalać, by wywołać ból. Wystarczy, że zachowuję się tak, jakby ubiegła noc była błędem.

A była?

Pragnę, by tak było, i Bóg jeden wie, jak kiepsko się teraz czuję. Ale nie dlatego, że pocałowałam jeźdźca. Ani dlatego, że się z nim przytulałam. Czuję się teraz podle, bo kilka godzin później on wciąż milczy, a ja już nie mogę tego znieść.

Doprowadza mnie to do szału.

Opowiadam mu przypadkowe historyjki z dzieciństwa, jak na przykład

to, że wybiłam sobie ząb, gdy potknęłam się o własne sznurówki, lub że mieliśmy z przyjaciółmi tradycję wskakiwania do jeziora Cheakamus, gdy tylko stopniał lód. Wyjawiam nawet, jak nabawiłam się tremy scenicznej (w gimnazjum upadłam przed całą klasą, gdy wchodziłam na podwyższenie, po czym nie potrafiłam wydobyć z siebie ani słowa).

Nie reaguje na nic, choć po tym, jak leżąca na mojej talii ręka zaciska się i rozluźnia, wiem, że słucha.

Próbuję więc poezji.

– *W głuchą północ, w snów tumanie, gdy znużyło mnie dumanie...* [5] – zaczynam *Kruka* Poego. Recytuję cały wiersz i znów po sposobie, w jaki jeździec mnie trzyma, zgaduję, że słucha.

Ale podobnie jak w przypadku moich historyjek, milczy, gdy kończę.

Sięgam więc po *Hamleta*.

– *Być albo nie być, to wielkie pytanie...* [6].

Cytuję sztukę tak długo, jak tylko potrafię, ale w końcu wersy mi się mieszają i porzucam monolog.

Zaraza wciąż mnie ignoruje.

Recytuję wiersz lorda Byrona *Darkness*, Emily Dickinson *Because I could not stop for Death*, wracam do Poego *Annabel Lee*, a przez ten cały czas jeździec nie wydaje z siebie żadnego dźwięku. Nie mówi mi nawet, że mam się zamknąć.

Poddaję się.

– O czym myślisz? – pytam w końcu.

Nie odpowiada.

Kładę dłoń na jego ręce spoczywającej na moim brzuchu i przyciskam ją do siebie.

– Zaraza?

Zaciska palce.

– Wczorajszej nocy nie mogłem zdecydować, czy bardziej przypominasz toksynę czy tonik – mówi. – Dziś odkryłem, że obie te rzeczy naraz.

Krzywię się lekko na jego słowa.

– Obudziłaś we mnie coś, czego istnienia nie podejrzewałem – ciągnie.

– A teraz, gdy jestem tego świadom, nie mogę tego ignorować. Obawiam

się, że staję się... podobny do ciebie. Że jestem jak pełen żądzny człowiek. Potrzebuję, by ta tęsknota odeszła.

– Tęsknota? – niemal dławię się tym słowem.

– Nie mów, że i to myślę – rzuca z goryczą. – Miłość, pożądanie, tęsknota, nie możesz zmienić moich uczuć. Znam swoje serce, Saro, mimo że dla ciebie jest ono obce.

W co ja się wpakowałam?

– Czego ode mnie chcesz? – pytam.

– Niczego! Wszystkiego! Kurwa – klnie, a padający z jego ust wulgaryzm jest szokujący. – To takie dezorientujące. – Już mam się odezwać, ale ciągnie: – Chcę ponownie skosztować twoich ust. Chcę cię tulić jak wczoraj w namiocie. Nie rozumiem, dlaczego tego pragnę, wiem tylko, że ta potrzeba we mnie tkwi.

Rumienię się. Czy to źle, że jest mi miło, gdy Zaraza przeżywa kryzys egzystencjalny?

Nie?

No dobrze.

– Miłość, tkliwość oraz współczucie to nieliczne cechy twojego gatunku, które mogą go odkupić – mówi. – A teraz mnie kuszą i jestem zupełnie rozdarty.

Czy kiedykolwiek byłeś w sytuacji, z której desperacko chcesz się wydostać, ale nie masz jak? Właśnie tak się czuję, siedząc na grzbiecie Trixiego Skillza i słuchając Zarazy mówiącego o swoich uczuciach.

– Czuję, że się ode mnie odsuwasz – przyznaje. – Im bardziej cię pragnę, tym bardziej jesteś mi nieprzychylna. I nie wiem, co zrobić.

Ale ja wiem.

– Przestań rozsiewać chorobę.

Parska gorzkim śmiechem.

– Nic nie zrobię w sprawie tego, kim jestem, tak samo jak ty nie poradzisz nic na to, kim jesteś.

Naprawdę o to chodzi? Ale przecież oszczędził mnie, co oznacza, że ma nad tym chociaż trochę kontroli.

– Jesteśmy zamknięci w swoich rolach – mówi. – I nie wiem, co począć

z tą niedolą.

Brzmi tak żałośnie, tak beznadziejnie.

Ściskam jego dłoń.

Znów pęka mi serce. Ten gość jest znacznie gorszy niż jakikolwiek znany mi człowiek, a mimo to czuję przy nim tak żywe emocje.

Wyciągam rękę, przyciągam głowę Zarazy do mojej i przywieram do jego ust.

Czuję jego agonię w tym pocałunku. Opiera czoło o moje.

– To niedola, Saro – powtarza. – Ale najśłodsza, jaką kiedykolwiek czułem. Nie chcę, by się skończyła.

Nienawidzę samej siebie, gdy mówię:

– Nie skończy się.

Jest środek nocy, gdy znajdujemy dom. Przejechaliśmy przez miasto, więc mieliśmy sporo innych możliwości, ale napędzany jakąś nadprzyrodzoną mocą Zaraza po prostu je minął.

Kiedy zsiadam z konia, mrużę oczy. Być może to tylko moja wyobraźnia, ale wydaje mi się, że widziałam słaby przebłysk światła w oddali. Kolejne miasto? Na samą myśl wraca strach z Vancouver. Wciąż słyszę strzały, widzę panikę i czuję ciepłą krew jeźdźca na swojej skórze.

Zaraza mnie omija, jego zbroja i broń brzęczą, gdy zmierza w stronę drzwi.

Chwyta gałkę i ją przekręca, z łatwością niszcząc zamek. Otwiera skrzydło drzwi, przy czym skrzypią zawiasy.

– Wiesz, że zawsze możesz zapukać? – pytam.

– I pozwolić, by twoi pobratymcy chwycili za broń? Chyba podziękuję, Saro.

Wchodzi, nie zadając sobie trudu, by zrobić to dyskretnie.

Zaraz słyszę szepty i pospieszne kroki.

– Kimkolwiek jesteście – woła mężczyzna – macie minutę na wyniesienie się z mojego domu, w przeciwnym wypadku odstrzelę wam łby.

Patrzę na Zarazę.

– Wygląda na to, że ten facet i tak złapał za broń.

Jest zbyt ciemno, bym mogła dostrzec reakcję jeźdźca, ale wiem, że musi mieć ponurą minę. Słyszę, że bierze swój łuk i przykłada do niego strzałę.

Kroki właściciela się zbliżają. Musi nieść lampę naftową, ponieważ przestrzeń wokół nas się rozjaśnia. Widzę zagracony salon, z bibelotami upchniętymi w każdym możliwym zakamarku.

Kiedy mężczyzna staje w drzwiach i widać jego sylwetkę w całej okazałości, Zaraza wypuszcza strzałę. Chwilę później gość krzyczy i upuszcza coś, co prawdopodobnie jest bronią.

– Co, do chuja?! – wrzeszczy.

Syczy kolejna wypuszczona strzała.

– Rusz się po broń, a strzelę znacznie celniej.

Mężczyzna unosi lampę nieco wyżej, przyglądając się jeźdźcowi. Klnie, gdy go rozpoznaje.

– Wynocha z mojego domu! – ryczy.

Odsuwam się, siła jego słów wystarczy, by mnie wygonić. Zaraza chwyta mnie jednak za przedramię, zatrzymując w miejscu.

– Zostajemy – mówi.

– Po moim trupie!

Z korytarza dociera więcej głosów. Zamykam oczy, gdy uświadamiam sobie, że to kolejna rodzina. Znów będę oglądać, jak umierają dzieci. Rozlegają się kroki.

– Prędzej diabeł zatańczy na moim grobie, niż zostaniesz moim gościem – mówi mężczyzna do Zarazy. Zerka na mnie. Posyła mi pełne okrucieństwa i złośliwości spojrzenie, jakby uważał mnie za coś gorszego od błota na jego butach. – I ta twoja kurwa.

Sekundę później jeździec robi dwa kroki w przód, chwyta mocno faceta za szyję i uderza nim o ścianę, aż pęka gipsowo-kartonowa płyta.

Kobieta – najwyraźniej żona gospodarza – wchodzi do przedpokoju, a krzyk więźnie jej w gardle, gdy widzi Zarazę duszącego jej męża. Zakrywa usta i zerka w stronę korytarza, w którym zostały dzieci.

– Co innego obrażać mnie – warczy Zaraza, zupełnie ignorując kobietę – a co innego ją. – Wskazuje mnie ruchem głowy. – Jedno wywoła mój gniew, drugie spowoduje bolesną śmierć. – Ścisła mocniej szyję mężczyzny. – Rozumiesz?

– Wy... nocha – stęka gospodarz.

Zaraza potrząsa nim lekko.

– Rozumiesz? – powtarza z niebezpieczną nutą w głosie.

Gość piorunuje go wzrokiem, na jego twarzy maluje się złowrogi wyraz, ale kiwa głową.

Jeździec go puszcza, a facet upada na podłogę.

– A teraz – mówi Zaraza, zwracając się do kobiety, która wciąż przygląda się całej scenie, zakrywając usta – moja towarzyszka potrzebuje strawy i posłania.

– Nie mamy jedzenia ani wolnych łóżek – mówi zimno gospodarz z miejsca, w którym leży, pocierając szyję.

W tej samej chwili postanawiam wyjść z tego domu. Słyszę za sobą jeszcze więcej gróźb, które rzuca jeździec. Nie mam siły przyglądać się, jak rujnujemy życie kolejnej rodzinie.

Z przodu ogródka znajduję duży kamień, siadam na nim i siedzę tak, aż drętwieją mi nos i dłonie.

Nie podoba mi się fakt, że jestem postrzegana jako sprzymierzeniec Zarazy. Być może czuję do niego pociąg, ale nie oznacza to, że popieram to, co robi.

W końcu słyszę, że ktoś zbliża się do mnie ciężkimi krokami.

– W środku czekają na ciebie posłanie i ciepły posiłek – mówi jeździec.

Kopię butem kępkę trawy.

– Nie trzeba.

– Zamierzasz więc tkwić tu całą noc? – pyta, zerkając na rozgwieżdżone niebo.

Zrobiłabym to, gdyby moje ciało było tak twarde jak wola.

– Dlaczego musisz zajmować ludzkie domy? – pytam.

Już w chwili, gdy to mówię, wiem, że nie robi tego, bo chce. Robi to dla mnie, ponieważ to ja potrzebuję jedzenia i odpoczynku. To mnie ma na

uwadze, nawet kosztem ofiar.

– Cały świat jest mój – oznajmia. – Nawet dom tego ogra. – Zerka gniewnie na budynek.

Może to chore wyrzuty sumienia ocalałej. A może poczucie winy z powodu zmiany priorytetów. Tak czy inaczej, słowa jeźdźca mnie kłują.

Cały świat jest jego. Oczywiście, że Zaraza Zwycięzca w to wierzy.

– Nie wystarczy zginąć z twojej ręki? – pytam. – Trzeba ją wcześniej całować?

Zasadniczo to właśnie się dzieje, gdy nakłania ludzi do swojej woli.

– Jeśli dobrze pamiętam, ostatnio ci się to podobało – mówi cicho, opuszczając spojrzenie do moich ust.

Cieszę się, że nie widzi mojego rumieńca. Odwracam wzrok.

– Jesteś na mnie zła? – pyta.

Wzdycham.

– Nie. To tylko... niedola – mówię, odnosząc się do jego wcześniejszych słów.

Przygląda mi się przez dłuższą chwilę.

– Wejdz do środka – zachęca.

Powoli zwracam wzrok na niego. Teraz, gdy na mnie patrzy, zauważam coś więcej niż przystojne oblicze. Po raz pierwszy dostrzegam wyraz współczucia w jego oczach.

A to ci nowość.

Cała moja determinacja rozsypuje się pod wpływem żaru w jego tęczęwkach. Nikt nigdy tak na mnie nie patrzył. Wstaję, oczarowana jego spojrzeniem. Na twarzy błąka mu się cień uśmiechu, gdy prowadzi mnie do wejścia.

Jeździec nauczył się czuć. Nie może wyjść z tego nic dobrego.

Nic a nic.

[5] Edgar Allan Poe, *Kruk*, przeł. Stanisław Barańczak.

[6] William Shakespeare, *Hamlet*, przeł. Józef Paszkowski.

ROZDZIAŁ 27



Nick Jameson to podły mężczyzna. Nie potrzebował jeźdźca na swoim progu, by się takim stać.

Jedyną dobrą cechą naszego gospodarza jest miłość do rodziny, ale nawet to uczucie jest zaborcze i samolubne. Wielokrotnie widzę białka oczu jego synów, którzy tylko przelotnie zerkają na ojca, a żona przeważnie trzyma głowę spuszczoną, patrząc pod nogi.

Następnego dnia Nick mi się przygląda, nienawiść wyraźnie maluje się na jego twarzy, gdy zaciska usta w wąską linię. Być może to Zaraza rozsiewa chorobę, ale wyraźnie widać, kogo wini za to Nick Jameson.

Spotykam się jedynie z nienawiścią aż do późnego popołudnia. Kiedy stoję na zewnątrz, przy skrzyni na lód, głaszcząc Trixiego, przychodzi do mnie żona Nicka – Amelia.

– Saro – woła, zbliżając się.

Zatrzymuję rękę na białej sierści konia.

– Tak? – Niechętnie na nią spoglądam. Na jej twarzy widać zaczerwienienie, które jest pierwszym objawem gorączki. Podobnie jak resztę rodziny, plaga chwyciła ją w swoje szpony.

– Jak stałaś się... towarzyszką jeźdźca? – pyta, zatrzymując się obok mnie.

Obracam się do Trixiego i ponownie głaszczę jego szyję.

– Próbowałam go zabić – odpowiadam bez emocji. – Ale on nie może umrzeć – dodaję, w razie gdyby to małżeństwo wpadło na jakieś

pomysły.

Amelia się przysuwa.

– Jak dawno to było? – docieka.

– Kilka tygodni temu. – A wydaje się, jakby minęła wieczność.

– Jakim cudem jeszcze żyjesz? – pyta niemal z niedowierzaniem.

Wsuwam palce w grzywę wierzchowca.

– W ten sposób mnie karze.

Po chwili pyta:

– Więc próbowałaś go zabić?

Słyszę w jej głosie, że nad czymś rozmyśla.

Obracam się całkowicie w jej stronę. Ma zaczerwienione, podpuchnięte oczy, a jej policzki są tak różowe, jakby ktoś ją niedawno w nie uderzył.

– To się nie uda – oznajmiam.

– Nie...

– Próby sprawienia, by oszczędził ciebie lub twoją rodzinę. Jeśli uważasz, że ocali cię przed śmiercią tak jak mnie, powiem ci, że tego nie zrobi. Odkąd mnie pojmał, zabijał wszystkich, którzy próbowali go wykończyć.

Patrzy mi w oczy.

– Dlaczego cię oszczędził?

Kręcę głową.

– Nie wiem.

To znaczy, nieustannie powtarza, że muszę cierpieć, ale już od jakiegoś czasu nie zadawał mi bólu.

– Nie ma więc nadziei? – naciska. – Nie ma sposobu, by pomóc mojej rodzinie?

– On nie wie, co to miłosierdzie – odpowiadam.

Czy na pewno? Czuje nienawiść, pożądanie, tęsknotę, być może od czasu do czasu zdarzy mu się litość...

Amelia pociera oczy.

– Nie mogę patrzeć na śmierć moich dzieci – mówi. – Nie rozumiesz? Dałam im życie. Były we mnie, potem w moich ramionach. Chroniłam je przez te wszystkie lata, więc jeśli istnieje jakaś szansa, sposobność, by je

uratować, proszę, powiedz mi.

Ponownie dopada mnie smutek. Zastanawiam się, kiedy do tego przywyknę. Kiedy zobojętnieję na cały otaczający mnie ból.

Patrzy mi w oczy.

– Czy było coś, co zrobiłaś? Jakiś układ...?

Przełykam ślinę. Chyba wiem, do czego zmierza.

– Amelio, gdybym mogła cokolwiek zrobić, zrobiłabym to. – Gdyby oddanie się jeźdźcowi mogło kupić życie, z chęcią bym to uczyniła. Ale to nie zda się na nic.

Z kącika oka wymyka jej się łza.

Biorę kobietę za rękę.

– Musisz wrócić do środka...

– Ma to jakieś znaczenie? – pyta sfrustrowana.

Ma rację, choć jej tego nie mówię. Zamiast tego prowadzę ją do sypialni.

– Odpoczywaj – mówię jej, stojąc w drzwiach. Nicka nigdzie nie widać.

– Przyniosę twoim synom wody.

W domu panuje cisza, gdy idę do kuchni. Gdybym nie wiedziała lepiej, powiedziałabym, że jestem tu sama. Dopiero gdy przechodzę obok pokoju któregoś z chłopców, słyszę zza drzwi chrapliwy męski szloch. Nie muszę otwierać drzwi, by wiedzieć, że Nick załamał się pod wpływem nieszczęścia.

Niedługo po tym, jak docieram do kuchni, otwierają się drzwi frontowe i słychać ciężkie kroki oraz dzwonienie zbroi Zarazy. Moje głupie serce przyspiesza. To, co do niego czuję, jest jak agonia. Czysta, surowa agonia.

Wyjmuję szklankę z szafki, gdy jeździec staje za mną. Odsuwa mi włosy i składa czuły, niespieszny pocałunek na karku.

Zatracam się w tym na chwilę. Długą chwilę.

– Pozwalasz mu się dotykać?

Zaskoczona, niemal upuszczam szklankę. Obracam się i spoglądam zza jeźdźca na Nicka, który stoi po drugiej stronie kuchni. Jego oczy są szkliste od gorączki, a na twarzy maluje się wyraźny wstręt.

Bezwiednie przenoszę wzrok na Zarazę, który choć raz nie ma swojej zwyczajowej opanowanej miny. Jeździec wygląda na bezbronno, niewinno i trochę niepewno siebie.

Patrzy mi w oczy i widzę, że zastanawia się, czy zrobił coś złego.

I już rozumiem.

Dotykam jego twarzy.

W porządku, chcę mu powiedzieć.

– Kurwa, nie wierzę.

Wracam spojrzeniem do Nicka. Może być chory i słaby, ale wstręt w jego oczach jest wyraźnie widoczny.

– Myślałem, że jesteś tylko pieprzoną dziwaczką – mówi – co byłoby i tak złe...

Zaraza staje przede mną.

– Stąpasz po kruchym lodzie, Nick – mówi, przerywając mu. – Mam nadzieję, że nie zapomniłeś moich wcześniejszych słów.

Mężczyzna spogląda na mnie tak, iż wiem, że to nie koniec tematu, ale wycofuje się w stronę korytarza.

Oddycham głęboko. Muszę tam iść z wodą dla jego żony i synów, co oznacza, że znów będę miała z nim do czynienia.

– Za każdym razem, gdy osłabiasz moją wiarę w ludzką niegodziwość, taki człowiek przypomina mi, dlaczego muszę wyeliminować twój gatunek – mówi jeździec.

Mam kilka zastrzeżeń, ale nie werbalizuję ich.

– Powinniśmy ruszać – mówię zamiast tego. – Tu nie jest nasze miejsce.

Nie „twoje”, lecz „nasze”.

– Nie, Saro. Zostaniemy, aż śmierć zrobi swoje.

Chce, byś cierpiała. Nawet teraz, kiedy się o niego troszczyłaś, tuliłaś go, całowałaś...

– Więc tak właśnie ma być? – pytam.

– Jesteś moim więźniem.

Idiotka z ciebie, Burns. Zależy ci na kimś, kto ma cię gdzieś.

Moje uczucia do niego to agonia. Straszna, miazdząca agonia.

Obracam się do niego.

– Jeśli tak właśnie jest, trzymaj łapy i usta z dala ode mnie.

Zaraza to wróg. Nie mogę o tym zapominać.

ROZDZIAŁ 28



Dwie noce później rozpalona gorączką ręka przyciska się do moich ust, budząc mnie ze snu.

– Nawet nie piśnij – rozkazuje szorstki głos.

Mrugam gwałtownie.

Co się dzieje?

Mrużę oczy w ciemności, częściowo spodziewając się przystojnej twarzy Zarazy, ale patrzy na mnie ktoś inny, jego oblicze jest pulchniejsze i brzydsze niż jeźdźca.

Czuję na szyi ukłucie ostrego metalu.

– Wstawaj – nakazuje szeptem Nick.

Mój umysł szaleńczo próbuje nadążyć za wydarzeniami. Broń. Nick. Pobudka w środku nocy.

Odrzucam wełniany koc i zsuwam się z sofy.

Popycha mnie przez salon w kierunku tylnych drzwi.

– Wychodź po cichu.

Czuję strach, ale bardzo słaby. Przeżyłam zbyt wiele pożarów, aby śmiertelnie się bać. Jedynym, co pcha mnie naprzód, jest nedorzeczne zmartwienie, że jego żona czy synowie zostaną w to wciągnięci lub, co gorsza, będą tego świadkami.

Z jednego z odległych pokoi dochodzi mokry kaszel.

Mają wystarczająco dużo zmartwień.

Wychodzę z domu, moje bose stopy drętwieją, gdy idę po świeżym

śniegu. Cały czas sypie. Płatki opadają mi na twarz i splątane włosy.

Żadne ogrodzenie nie oddziela ogrodu Nicka od lasu. Widzę skrzynię na lód i miejsce, gdzie wcześniej stał koń. Trixiego nie ma, zapewne tak jak i jeźdźca, którego nie widziałam już od czasu obiadu.

Nick lufą broni popycha mnie do przodu.

– Idź.

Jeśli mu się uda, wiem, jak to się skończy. Wejdziemy do lasu, z którego wróci tylko jedno z nas.

Ale nie zamierzam do tego dopuścić.

– Gdzie jest Zaraza? – pytam.

– To znaczy, twój chłopak? – rzuca z pogardą mężczyzna. Nic i nikt na tym świecie nie wypleni z niego tej nienawiści.

– To nie jest mój chłopak.

Muszę tylko poczekać, aż dotrzemy do lasu. Trudno kogoś zastrzelić, gdy drzewa wszystko zasłaniają.

– Nie? – pyta, udając zdziwienie. – Więc kurwisz się z tym czymś, by zyskać na czasie?

Rodzina tego gościa znajduje się o krok od śmierci, a on przejmuje się moim życiem seksualnym?

– Wiesz, nawet za bardzo cię nie winię – ciągnie za moimi plecami. – Kto by nie chciał dobrać się do takiego ciacha, gdyby nadarzyła się okazja? Ale ty – mówi oskarżycielsko – ty odwróciłaś się plecami do własnego gatunku, gdy zaczęłaś pieprzyć się z tym potworem.

Nie trudzę się nawet zaprzeczaniem. Prawda mnie nie ocali.

– Co chcesz osiągnąć, zabijając mnie? – pytam, wchodząc pomiędzy pierwsze iglaki na skraju jego posesji. Prawie nie czuję już nóg.

Muszę coś zrobić, i to szybko.

– Pomścić rodzinę.

Unoszę brwi, chociaż tego nie dostrzeże. Wiem, że jeździec lubi mnie całować, ale wątpię, by moja śmierć nim wstrząsnęła.

– Zaraza się nie przejmie – mówię. – Zabijając mnie, jedynie odbierzesz mi życie, to wszystko.

But mężczyzny trafia mnie w plecy i upadam na śnieg.

Tracę wszystkie szanse na ucieczkę. Mam zbyt zmarznięte stopy, moje ciało jest wychłodzone. Straciłam tylko czas na pogaduchy z tym rozwścieczonym facetem.

– Co znaczy kolejna śmierć? – pyta, patrząc na mnie. – Kiedy i tak wszyscy umrzemy. Z ochotą pozbędę się takiej zdradzieckiej kurwy.

Nic do tej pory – ani jeźdźcy, ani plaga, ani niedziałająca elektronika – nie zdawało mi się naprawdę apokaliptyczne. Nawet te puste miasta, z których uciekli mieszkańcy. W tej jednak chwili, gdy leżę w śniegu z bronią przyciśniętą do pleców, zaczyna dopadać mnie rzeczywistość. To naprawdę koniec świata. Ponieważ nawet jeśli wcześniej było ciężko, nie zwracaliśmy się przeciwko sobie. Nie w taki sposób.

Obracam się i patrzę na strzelbę.

Nick odciąga rygiel i wkłada nabój.

Cholera, on naprawdę zamierza to zrobić.

Wpatrując się w lufę, myślę, że śmierć od kuli nie jest najgorszą z możliwych.

– Odłóż broń. – Spokojny głos dobiega zza moich pleców.

Oboje z Nickiem spoglądamy w ciemny las.

Stojąc w poświacie księżyca, wyglądając jak jakiś bóg, Zaraza trzyma łuk, gotowy do strzału, a jego korona połyskuje w słabym świetle.

Nick mocniej chwyta za broń.

– Ocal moją rodzinę, a ją wypuszczę.

– Nie targuję się ze śmiertelnikami. – Zaraza podchodzi, nie spuszczając mężczyzny z oka.

– Nie zbliżaj się! – woła Nick. – Jeśli chcesz, by żyła, trzymaj się z dala, jeźdźcu!

To wszystko jest złe, jak przerwana nitka w splocie.

– Zapewniam cię, że nie zamierzam.

Nabieram powietrza. Uspokaja mnie sam widok opanowanego Zarazy.

– Zastrzelę ją! – grozi Nick. Jego gniew przekształca się w panikę, gdy zemsta coraz bardziej wymyka mu się z rąk.

– Zrób to, a zginiesz.

Patrzę na Nicka i widzę moment, gdy stwierdza, że zabicie mnie i tak

jest lepszym wyjściem.

Nie dostrzegam jednak chwili, gdy pociąga za spust.

Powietrze porusza się przy moim uchu i wtedy...

Bum!

Wzdrygam się na ten odgłos.

Dobry Boże.

Chwytam się za pierś, ale spodziewany ból nie nadchodzi. Dopiero gdy udaje mi się wziąć kilka niepewnych oddechów, uświadamiam sobie, że nie zostałam trafiona.

Szybciej niż jestem w stanie zareagować, ciało Nicka zaczyna podrygiwać pod gradem strzał. Mężczyzna stęka, upuszcza broń i opada na kolana. Łapie się za pierś, z której wystają strzały.

Patrzę przez ramię na Zarazę, który się zbliża, a na jego twarzy maluje się ponura determinacja.

– Decyzja o jej śmierci nie należy do ciebie – mówi.

Przysuwam się na czworakach do Nicka i odrzucam broń daleko, żeby nie mógł po nią sięgnąć. Sprawdzam jego obrażenia, włącza się moje przeszkolenie medyczne. Nieważne, jak mocno go nienawidzę. I tak oceniam stan jego ran.

– Nie... dotykaj mnie... ty plugawa dziwko – dyszy. – Jesteś tylko... jego kurwą.

Słyszę naprężenie oliwionego drewna, a kiedy unoszę głowę, Zaraza celuje w Nicka kolejną strzałą.

– Tym razem pozwolę ci na te nikczemne słowa – mówi jeździec – ale to się już nie powtórzy.

Oddech mężczyzny wydaje się mokry.

– Obaj wiemy... że to prawda. Ile razy... obciągała ci... fiuta, nim...

Strzała głośno wbija się w jego ramię. Facet wydaje zniekształcony jęk.

– Jeszcze raz wystaw na próbę moją cierpliwość, człowieku.

– Zrób to – nalega Nick. – Będzie szybciej... niż śmierć... którą zadajesz... mojej rodzinie.

– Nie – mówię do Zarazy. Powstrzymał mężczyznę przed zastrzeleniem mnie, ale ten nie stanowi już zagrożenia.

Jeździec podchodzi, patrząc na rannego, wciąż w niego celując.

– Jeśli wiem coś o litości, to tylko dzięki Sarze.

O rety.

A niedawno mówiłam Amelii, że jeździec nie jest do niej zdolny.

Zmieniasz go, tak jak on zmienia ciebie.

Nick musi pragnąć śmierci, bo mówi:

– Pieprzę ciebie i tę cipę...

Ostatnia strzała wbija się w jego szyję, więc gość dławi się własnymi słowami.

– Podły człowieku – mówi Zaraza, stając nad konającym – mogłeś spędzić ostatnie chwile, błagając o ocalenie rodziny, ale okazałeś tylko nienawiść, jaką masz w sercu.

Nie słyszę odpowiedzi, ale wątpię, by była miła. Nie trzeba nawet minuty, by Nick się wykrwawił. Odchodzi z tego świata ze złowrogim spojrzeniem.

Opuszczam ramiona z wyczerpania.

Zaraza zawiesza łuk na ramieniu i klęka obok mnie. Przesuwa dłońmi po moim ciele.

– Jesteś ranna? – pyta zaniepokojony.

Kręcę głową, wstając.

– Nic mi nie jest.

Bierze mnie za rękę.

– Myliłem się, Saro. Ten przeklęty dom nie jest wart nawet mojego gniewu. Chodź. – Prowadzi mnie do Trixiego.

Patrzę na konia, po czym na swoje zmarznięte stopy.

– Eee, potrzebuję butów... i kurtki... i biustonosza. I wszystkiego innego.

Zaraza patrzy na mnie, taksując wzrokiem pożyczoną piżamę i moje bose stopy. Przysięgam, że kawałek po kawałku odtwarza wydarzenia, które miały miejsce – to, jak zostałam wyciągnięta z łóżka i zawleczona do lasu, aby Nick wykonał na mnie wyrok.

Zdaje sobie sprawę, że mężczyzna chciał mnie zabić, by go zranić? A gdyby mu się udało, czy jeździec przejąłby się moją śmiercią?

Zaraza bez słowa bierze mnie na ręce.

Wydaję okrzyk, osuwając się w jego ramiona.

– Co robisz?

– Pomagam ci – odpowiada, niosąc mnie w stronę domu. Kładzie mnie na podłodze w salonie, w którym ogrzewanie stanowi tylko kilka dogasających węgli. Klęka przede mną i pociera moje zmarznięte stopy.

– Dlaczego to robisz? – pytam, obserwując go uważnie.

Kręci głową, ale nie odpowiada.

Kiedy jest mi już ciepło, zaczynam się ubierać. W domu panuje cisza.

Wyruszamy niedługo później. Mimo że jest środek nocy i śnieg pada intensywniej, czuję ulgę – że żyję, że opuszczamy ten dom, że Zaraza znajduje się za moimi plecami i obejmuje mnie mocno w talii.

Ledwie docieramy do autostrady, gdy jeździec mocno ciągnie za lejce, zatrzymując konia.

Rozglądam się zdezorientowana.

– Co się...

Obraca moją głowę i przywiera do moich ust, drugą ręką przyciągając mnie do siebie. To pocałunek desperata. Jakby próbował mnie wchłonąć. Jego pierwotna niezręczność zniknęła i została zastąpiona dzikością.

W końcu się odsuwa, jego wargi są nabrzmiące, a niebieskie oczy błyszczą.

– Byłaś zbyt blisko śmierci.

Jakby dopiero teraz to do niego dotarło. Oto mam odpowiedź na wcześniejsze pytanie – moja śmierć dotknęłaby jeźdźca.

Dyskretnie przyciskam dłoń do galopującego serca. Coś dla niego znaczę. Szok.

Obrzuca wzrokiem ciemny horyzont, cmoka, i ponownie jedziemy.

– Jak długo zamierzasz trzymać mnie w niewoli? – To niemal zabawne pytanie, zważywszy na to, jak poplątana stała się nasza relacja.

Milczy.

Unoszę głowę i widzę, że intensywnie mi się przygląda.

– Będziemy razem jechać, póki moje zadanie nie zostanie wypełnione – mówi.

Do zakończenia misji. To takie proste stwierdzenie, ale mieści się w nim tak rozległe, niewyobrażalne zadanie. Przemierzyć cały świat na końskim grzbiecie, przyglądając się, jak miliony ludzi umierają z powodu choroby. Ile śmierci będę musiała zobaczyć, nim się załamie? Ilu groźnym sytuacjom przyjdzie mi stawić czoła?

To byłoby nie do zniesienia.

– Mam więc przemierzyć z tobą cały świat?

– Tak – odpowiada z zadowoleniem.

Umrę.

Może nie z ręki Zarazy, ale w którymś mieście znajdzie się ktoś, kto zrobi to, czego nie udało się Nickowi.

Od początku taki był plan, Saro. Od chwili, gdy wyciągnęłaś spaloną zapalkę, wiedziałaś, że umrzesz. Nie użalaj się teraz nad sobą.

Oczywiście moje dalsze istnienie niepokoi mnie równie mocno jak zbliżająca się śmierć.

Patrzę na jego twarz w ciemności.

– Dlaczego ze wszystkich ludzi, którzy stanęli na twojej drodze, wybrałaś właśnie mnie?

Milczy przez dłuższy czas. Tak długo, że zakładam, iż mi nie odpowie. Już mam zamiar się odwrócić, gdy się odzywa.

– Poczulem, że Bóg nakazuje mi cię oszczędzić – mówi.

A to zaskoczenie. Wyobrażałam sobie, że rzuci coś o tym, że chciał zrobić ze mnie przykład dla innych, ale to...

Bóg mu polecił, by mnie oszczędził. Nie mam pojęcia, jak się z tym czuć.

Marszczy brwi.

– Myślałem... Przybyłem na ten świat, aby zwiastować Jego gniew, lecz tamtej nocy i każdej następnej zastanawiałem się...

Czekam, aż dokończy, ale tym razem cisza przedłuża się, aż uświadamiam sobie, że dostanę tylko tyle. To i tak o wiele więcej, niż udało mi się uzyskać wcześniej, więc może być.

– Jaki jest Bóg? – pytam.

– To temat, o którym nie mogę dyskutować ze śmiertelnikami.

Oczywiście.

– A możesz mi chociaż powiedzieć, jak tam jest? – naciskam.

– Ale gdzie? – Przesuwa rękę, która spoczywa teraz na moim ramieniu i kciukiem rysuje mi kółka na skórze.

– Nie wiem. Po śmierci? Poza życiem? – Wyciągam dłoń i chwytam płatki śniegu.

– Łatwiej by było wytłumaczyć niewidomemu, co to znaczy „widzieć” – odpowiada Zaraza. – Tego nie można zrozumieć wyłącznie przez czyjś opis, trzeba tego doświadczyć.

Jaki jest pożytek z jeźdźca Apokalipsy, skoro nie chce odpowiadać na twoje najciekawsze pytania?

Opuszczam rękę na udo.

– Możesz mi przynajmniej powiedzieć, czy ludzie mają dusze?

– Oczywiście, że mają dusze, Saro. – Słyszę rozbawienie w jego głosie.

– Nie byłoby mnie tu, gdyby ich nie mieli.

Ręka Zarazy wraca na swoje miejsce – na mój brzuch – i na jego palcu wskazującym czuję sygnet z okrągłym, ciemnym kamieniem.

Nie po raz pierwszy zdaję sobie sprawę, że tak naprawdę nie za wiele o nim wiem, choć go całowałam, spałam z nim, jechałam i spędzałam czas.

Delikatnie dotykam pierścienia. Zaciska nieznacznie palce.

– Opowiedz mi o swoim życiu – proszę, wciąż skupiona na sygnecie i dłoni, na której się on znajduje.

– Co mam powiedzieć? – Jego głos rozbrzmiewa za mną.

– Nie wiem, daj mi jakieś wspomnienie. – Cokolwiek, bym go poznała i by nie był dla mnie tylko jeźdźcem nie z tego świata.

– Moje wspomnienia by cię zaniepokoiły – odpowiada krótko.

W przeciwieństwie do mojej rzeczywistości, w której ludzie umierają okropną, bolesną śmiercią?

– I tak chcę posłuchać.

Wzdycha. Nie wiem, jak to robi, ale udaje mu się włożyć w ten prosty gest niechęć.

– A co chcesz wiedzieć? Mam ci opowiedzieć o pierwszych ludzkich

miastach? Pamiętam ich świt, bo obserwowałem próby ludzi zmierzające do wyróżnienia się spośród innych stworzeń. Widziałem, jak kierują wodę z rzek, jak sadzą pierwsze uprawy, jak wznoszą prymitywne domy, jak oswajają dzikie zwierzęta. Muszę przyznać, że zafascynował mnie widok człowieka kształtującego naturę w coś dobrego i pożytecznego. Potem powstały wioski, miasta, prawa, pojawili się królowie. Świat zaczął się zmieniać szybciej, a człowiek budował, tworzył, rekonstruował i podbijał. Byłem tam wtedy i jestem od tamtej pory. Stałem na starożytnych bazarach, chodziłem po rynkach, błądziłem po zamkach, zaułkach i wszystkich innych miejscach. Zatrzymywałem się w tysiącu różnych domów, całowałem czoła niezliczonych ludzi i spałem z każdym z nich. Przybyłem na Ziemię, a gdy jej dotknąłem, świat zaznał tragedii. – *O rety.* – Jestem Zarazą, moja pamięć jest dłuższa niż zapisana historia, dłuższa niż człowiek. Przybyłem przed nim i, droga Saro, przetrwam jego koniec.

ROZDZIAŁ 29



Wciąż jest ciemno, gdy jeździec zatrzymuje Trixiego przed kolejnym domem. Na sam widok budynku moje serce znacznie przyspiesza. Nie chcę tak szybko spotkać kolejnej rodziny.

Zaraza zsiada z konia.

– Poczekaj – nakazuje.

Podchodzi do ciemnego domu, otwiera furtkę i znika mi z oczu.

Czekając na niego, głaszczę grzywę wierzchowca. Co on może robić?

Chwilę później drzwi frontowe się otwierają, wraca Zaraza.

– Zatrzymamy się tu dziś – oznajmia.

Zeskakuję z Trixiego i ostrożnie wchodzę do budynku. Dopiero gdy wyczuwam zapach zbyt długo pozostawionych śmieci, dociera do mnie, że dom jest pusty. Odprężam się.

Podchodzę do włącznika światła i go wciskam. Budzi się zawieszona nade mną lampa.

Prąd. Super.

Zwiedzam budynek, włączając kolejne światła. Miejsce jest bardzo zaśmiecone, wszędzie piętrzą się stosy odpadków. Stare butelki i gazety, zniszczone książki, nadjedzone przez mole ubrania, a wszystko to ułożone w chwiejne kupki.

Przypuszczam, że ktokolwiek tu mieszkał, musiał zostać stąd wyprowadzony siłą, gdy zarządzono ewakuację. Nikt nie gromadzi tyle śmieci, by je potem po prostu porzucić.

Marszczę nos, czując woń zgnilizny. To nie tylko śmieci, lecz także zapach zwierząt. Idę do kuchni, w której stoi kilka aluminiowych misek, jedna wypełniona wodą, reszta pusta.

Zagadka rozwikłana.

Właściciel miał psy.

Zaraza klęczy przed piecem, a następnie wstaje, otrzepując ręce. Za jego plecami bucha ogień. Mężczyzna w jego świetle wygląda groźnie, niemal złowieszczo. Bierze łuk i kołczan i omija mnie.

– Śpij, Saro – mówi przez ramię. Jego głos jest tak szorstki, że gdyby nie całował mnie mocno chwilę temu, powiedziałabym, że jest na mnie zły.

– Dokąd idziesz? – pytam, niespokojna na myśl o jego wyjściu.

Zatrzymuje się i obraca twarzą do mnie.

– Patrolować teren – odpowiada. – Ludzie nieustannie na mnie polują. Czekają na spokojniejsze godziny, by rozstawiać swoje pułapki.

– Właśnie tym się zajmowałeś, gdy Nick...

Na to wspomnienie jego twarz przybiera ponury wyraz.

– Niestety tej nocy nie spostrzegłem zagrożenia, które miałem przed nosem.

To chyba dziwaczny sposób przeprosin.

Przygryzam wargę i kiwam głową.

– Dobrze... Bądź ostrożny. – Słowa te wydają się okropnie niezręczne. Dlaczego w ogóle pragnę, by mój nieludzki i nieśmiertelny porywacz był ostrożny? Co niby może mu się stać?

Zaraza się waha, wyraz jego twarzy złagodniał po moich słowach.

– Nie mogę umrzeć, Saro – przypomina cicho.

– Ale możesz zostać ranny.

Naprawdę, skąd biorą mi się te sentymenty?

Unosi się kącik jego ust.

– Przysięgam, że zrobię, co w mojej mocy, by nie zostać ranny. A teraz odpocznij. Wiem, że tego potrzebujesz.

No tak. Czuję się ociężała, gdy cała adrenalina wyparowuje z mojego ciała.

Kiedy Zaraza wychodzi, zaglądam do sypialni. Są tu dwa łóżka, oba mogę wykorzystać, choć jest też w nich coś odpychającego. Może to, że śmierdzą psami, a może to, że wokół nich znajdują się stosy starych ubrań, potłuczone talerze i brudne lalki. Nie mam ochoty spać w żadnym z tych pokoiów.

Biorę koce, które znalazłam poskładane na kanapie, i rozścielam je przed piecem.

Można by pomyśleć, że po tak koszmarnej nocy bezsenność dopadnie mnie na długie godziny, gdy w moim umyśle będą odtwarzać się sceny z domu Nicka, ale odpływam, kiedy tylko przykładam głowę do poduszki.

Nie wiem, ile spałam, ale budzą mnie kroki.

Zabije cię. On cię zabije.

Dopada mnie strach, więc siadam i wyjężam słuch.

Podchodzi do mnie przewiązany w pasie ręcznikiem Zaraza.

– Spokojnie – mówi, klękając z boku. Zakłada mi kosmyk kasztanowych włosów za ucho. – To tylko ja.

To tylko jeździec, istota, której obawia się cały świat. A jego widok przynosi mi niebywałą ulgę.

Biorę głęboki, choć drżący oddech.

– To był długi dzień.

Woda z mokrych włosów jeźdźca kapie między nami, ścieka mu także po torsie. Na widok jego nagiej skóry czuję ciepło. Światło ognia pada na każdą wypukłość jego sylwetki, której doskonałość dostrzegam nie po raz pierwszy. Wysokie kości policzkowe, pełne usta, które wyglądają jeszcze piękniej, gdy tańczą na nich cienie. I reszta, która jest wyraźnie męska, poczynając od wyrzeźbionych ramion aż do grubych bicepsów.

Opuszczam wzrok do jego torsu, mięśni piersiowych i kaloryfera na brzuchu. Niemożliwe jest patrzenie na niego bez zauważania świecących tatuaży, które w ciemnym pomieszczeniu rozjaśniają jego skórę.

Wyciągam rękę i śledzę palcem litery pod jego obojczykami, ułożone jak naszyjnik. Płoną złotym ogniem, ich forma jest dziwna, a zarazem

piękna.

Skóra Zarazy reaguje na mój dotyk, choć on sam się nie rusza, pozwalając mi badać swoje ciało.

– Co to? – pytam. Oczywiście, że to litery, ale napisy są w języku, którego nigdy nie widziałam.

Patrzy na mnie jasnymi oczami.

– Mój cel, zapisany na ciele.

Jeździec kładzie dłoń na mojej, zatrzymując ją na symbolach. Kieruje nią po nich.

– Ten tutaj znaczy „Boży wysłannik” – wyjaśnia, puszczając moją dłoń.

Unoszę brwi, nim wracam uwagą do jego piersi. Wiodę palcem przez kilka wyrazów i zatrzymuję się na tym, który mieści się na lewo od jego serca.

– A ten? – pytam.

– „Oddech Boga”.

Śledzę wyrazy. Skóra jest twarda pod moim dotykiem.

– Jaki to język? – dociekam.

– Uświęcony. – Śledzi wzrokiem moje ruchy.

Gdybym miała trochę więcej odwagi, podążyłabym palcami na dół, gdzie kolejne wyrazy i symbole na jego biodrach nikną pod ręcznikiem.

Ale niestety nie zdobywam się na to.

– Mówisz w nim? – pytam.

Ponownie bierze mnie za rękę, przytrzymując ją na swoim sercu.

– Saro, to mój ojczysty język.

Wpatruję się zdumiona w napisy. Wyczuwam jakąś obecność w tym ciemnym pomieszczeniu. Bliską. Widzę ją w spokojnym spojrzeniu jeźdźca i czuję w każdym uderzeniu jego serca.

Patrzę mu w oczy.

– Powiedz mi coś w tym języku.

Jego tęczy blyszczą.

– Nie mogę – mówi cicho. – Przemawianie w uświęconym języku oznacza przekazywanie woli boskiej światu.

Zabieram rękę i odsuwam się od niego.

– A czy już tego nie robisz? – Jak niby mam interpretować wędrówkę Zarazy po świecie i rozsiewanie choroby?

Przysuwa się, wyglądając drapieżnie i dziko.

– Co wypowiedziane, nie da się zapomnieć. Nie jest to przeznaczone dla uszu śmiertelników. Jednak... może zdołam podzielić się z tobą jakimś słowem.

Zapominam, jak się oddycha, gdy jego dech owiewa mój policzek, a usta – i reszta niemal nagiego ciała – znajdują się tak blisko.

Kiedy wydaje mi się, że podzieli się ze mną jakimś uświęconym słowem, mówi:

– Śpij, Saro. Będę cię strzegł.

Nie chcę spać. Ciągłe pod palcami czuję jego jedwabistą skórę naznaczoną tym, co zarazem dziwne i święte. Czuję się samotna, moje ciało łaknie partnera i, niech go szlag, tym partnerem jest Zaraza. Pragnę go. Całego. We mnie, wokół mnie, obok mnie. W myślach, w ciele, w życiu i na tak wiele różnych innych popieprzonych sposobów. Mam przerąbane, jestem całkowicie rozdarta.

Zaraza wstaje i wycofuje się w ciemne zakamarki domu. Mam ochotę go zawołać. Byłoby tak łatwo go do siebie przyciągnąć, zrzucić ten ręcznik i wciągnąć go na siebie, poczuć na sobie jego ciężar.

Czuję trwogę na myśl, że nie powstrzymuje mnie przed tym lojalność wobec ludzkości, a głęboka obawa przed odrzuceniem przez niego moich zalotów.

A istnieje ograniczona liczba podłych rzeczy, które dziewczyna może znieść w jeden dzień.

ROZDZIAŁ 30



Dobra wiadomość jest taka, że ten dom zaopatrzony jest w każde znane ludzkości pożywienie. A zła – data ważności wszystkich produktów minęła siedem lat temu.

To właśnie dostaje się, nocując w siedzibie rupieciarza.

Mamy przynajmniej kawę i śmietankę w proszku. Chciwie popijam ją z kubka, siedząc w kąciku śniadaniowym, a ta niewielka przestrzeń wypełniona jest brudnymi talerzami, pocztą i pustymi fiolkami po lekach.

Patrzę przez okno na pokryty śniegiem ogródek, grzejąc dłonie od kubka. Przenoszę wzrok na najbliższy stos śmieci. Na samym wierzchu leży ulotka z rysunkiem przedstawiającym jeźdźca.

Uwaga! Nadchodzi Zaraza!

Słowa zapisano na czerwono. Pod spodem znajduje się tekst opisujący poczynania jeźdźca i nawołujący mieszkańców do ewakuacji, najlepiej co najmniej na tydzień.

Obracam kartkę i niemal padam. Widzę swoją twarz. Nie jest idealnie sportretowana, przypomina raczej policyjny szkic. Jest szersza, z pełniejszymi policzkami i bardziej szpiczastym podbródkiem, ale to wciąż ja.

Podróżuje z tajemniczą kobietą!

Poniższy akapit mówi, że choć dowody sugerują, iż jestem jeńcem Zarazy, prawdopodobnie z nim współpracuję i należy omijać mnie

szerokim łukiem.

Jako ostatnia na kartce jest mapa Ameryki Północnej, czerwona linia znaczy Wschodnie Wybrzeże, przecina Kanadę i kończy się strzałką na dół, sugerującą, że jedziemy z Zarazą Zachodnim Wybrzeżem, co wydaje się dość dokładnym opisem naszej wędrówki.

Za moimi plecami otwierają się drzwi, budząc mnie z zamyślenia. Odsuwam od siebie kartkę.

Prawdopodobnie współpracuje z Zarazą. To ostrzeżenie nieustannie odtwarza się w moich myślach i czuję się jak zdrajca. Ta ulotka prawidłowo określiła moją sytuację, prawda?

– Sara! – woła jeździec, a ciężkie kroki kierują się w stronę kuchni.

Uśmiecha się, gdy na mnie patrzy, a wyraz jego twarzy jest tak niecodzienny i wspaniały, że pomimo mojego kiepskiego nastroju moje serce gubi rytm na ten widok.

– Wiedziałem, że cię tu znajdę – mówi.

Posyłam mu słaby uśmiech.

Wystarczy chwila, by zorientował się, że jestem zmartwiona.

Jego wesołość niknie.

– Co się stało?

Powinniśmy być wrogami, ale pomimo wszystko jakoś cię lubię. A, i reszta ludzkości też już to odkryła.

Kręcę głową.

– Jestem... zmęczona.

Podchodzi do mnie, ubrany w te wszystkie elementy zbroi. Nic tak nie dołuje dziewczyny jak ten facet odziany w swój najlepszy strój.

Pochyla się, wpatrzony w moją twarz, i dotyka kciukiem miejsca pod moim okiem.

– Jesteś wyczerpana – zauważa.

Czuję się okropnie. Najohydniej, jak tylko można się czuć.

– Cała ta wyprawa odciska na mnie piętno – przyznaję.

Stres, długie dni w siodle, odniesione rany, nieustające zimno, nieregularne posiłki – robię, co mogę, by jakoś to znieść, ale wystarczy uwaga Zarazy i cała fasada się sypie.

Wyczerpanie zapewne nie będzie tym, co cię zabije, przypominam sobie.
Jeździec marszczy brwi.

– Powinnaś odpocząć. Zostaniemy tu na... – Zerka przez okno. – ...
kolejne dwa dni.

Nie mam serca powiedzieć mu, że dwie doby raczej niczego nie zmieniają. Wcześniej nie miały większego znaczenia. Robiliśmy już takie przystanki.

Przy nim nigdy nie będzie łatwiej. Chociaż może się o mnie troszczyć, zawsze będzie odporny na rzeczy, które mogą mnie zabić, więc będzie na mnie naciskał bardziej, niż mogę wytrzymać.

Ale nie mówię mu o tym. Zamiast tego kiwam głową i posyłam mu kolejny słaby uśmiech.

Jego grymas się pogłębia.

– Nie podoba mi się to spojrzenie – mówi, wpatrując się w moją twarz.
– Twoje oblicze kłamie. Potrzeba ci więcej czasu? Trzy dni? Cztery? Dostaniesz je, tylko pozbądź się tego smutnego wzroku. Nie mogę go znieść.

Nie sądzę, by ktokolwiek powiedział do mnie kiedyś coś tak szczerego i miłego.

Pod wpływem impulsu mocno się do niego tulę. Początkowo jest sztywny, ale po chwili obejmuje mnie niepewnie i czuję, że tonę w jego ramionach.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Zaraza – wyznaję.

I w tym właśnie tkwi problem. Nie jest miły ani bezkonfliktowy, ale jest dobry.

Zamykam oczy i zaciągam się jego wonią. Pachnie tanim mydłem i boskością (nawet nie wiedziałam, że ktoś mógłby nią pachnieć, ale najwyraźniej to możliwe).

Muska ustami moje ucho.

– Zapomniałaś, że nie jestem człowiekiem, Saro.

Parskam śmiechem.

– Dobra. Jesteś dobrym zwiastunem apokalipsy.

Tuli mnie mocniej, opiera policzek o moją skroń.

– A ty jesteś współczującą kobietą. – Czuję, jak bawi się moimi włosami. – Zbyt współczującą, jeśli mam być szczery – dodaje pod nosem.

Pocieszam się faktem, że to, co zaczynam czuć, odczuwa również Zaraza. I być może oboje depczemy po naszych wartościach, ale przynajmniej robimy to razem.

Porzucamy ten dom dwa dni później. Tyle udało mi się wytrzymać w tym syfie. Nie mam świra na punkcie czystości, ale ten przybytek... Nawet kiedy jesteśmy już wiele kilometrów dalej, skóra mrowi mnie na samą myśl o nim.

Otrząsam się z zamyślenia na widok tablicy przed nami. Po wyjeździe z Vancouver przemieszczaliśmy się głównie bocznymi drogami, ale Zaraza w końcu wrócił na autostradę. A teraz widzę, co mi umknęło.

Gwałtownie wciągam powietrze.

Seattle – 87 km.

– Co się stało? – pyta jeździec.

– Jesteśmy w Ameryce.

Gdzieś między atakiem w Vancouver a moim bliskim spotkaniem ze śmiercią kilka dni temu musieliśmy przekroczyć granicę.

– Ach, Ameryka – mówi z niesmakiem, przywracając mnie do rzeczywistości. – Ci stąd są szczególnie podli.

Przeszywa mnie nedorzeczny strach.

– Zaraza, musimy zjechać z głównej drogi.

– Dlaczego? – docieka, szczerze zaintrygowany.

Wciąż mogę poczuć jego pokiereszowaną głowę, która leżała na moich kolanach. Nie jestem gotowa, by ponownie przez to przechodzić.

– Przed nami wielkie miasto – oznajmiam. – Większe niż ostatnio. – W Vancouver czekały na niego dziesiątki osób, ile będzie tym razem w Seattle? – Okrążmy je.

– Nie zjadę z kursu z powodu obecności ludzi.

To ostatnie, co mówi w tym temacie.

Mój strach wzrasta, w miarę jak zbliżamy się do metropolii. Stanie się

coś złego. Czuję to, tak jak wyczuwa się nadchodzącą burzę. Coś wisi w powietrzu.

Podobnie jak Vancouver, Seattle rozkręca się powoli. Najpierw mijamy senne miasteczka aglomeracji, które ustępują miejsca przedmieściom. Dopada mnie *déjà vu*, gdy mijamy te same typy zabudowań.

Zaraza mocniej ściska mnie w talii. Czy on również to czuje? Tę zapowiedź przemocy wiszącą w powietrzu?

Mocniej otulam się kurtką. Im dalej na południe, tym będzie gorzej. Portland, San Francisco, Los Angeles... Koszmar, który napotkaliśmy w Kanadzie, będzie się powtarzał. A nawet jeśli opuścimy Zachodnie Wybrzeże, zawsze znajdą się większe miasta, przez które będziemy musieli przejechać.

Cienie dopiero zaczynają rozciągać swoje szpony po ziemi, gdy skręcamy z autostrady, a Zaraza prowadzi Trixiego do dzielnicy starych domów, które wyglądają, jakby były zmęczone i postanowiły osiąść tu na dłuższy odpoczynek.

Jeździec prowadzi konia na podjazd jednego z budynków o ciemnych oknach, kopyta stukają na popękany asfalcie. Jasnozielona farba elewacji wydaje się wyblakła i zniszczona.

Zatrzymujemy się tuż przed drzwiami, Zaraza zsiada z wierzchowca. Chwyta gałkę, przekręca ją, niszcząc zamek, i wchodzi.

Zeskakuję z Trixiego Skillza i dostrzegam słabą poświatę lampy naftowej. Wchodzę i widzę leżącą na kanapie staruszkę, która ma okulary nisko na nosie. Zerka na nas, zapominając o trzymanej na kolanach książce.

Włamaliśmy się do domu czyjejś babci. Kiedy sądziłam, że horror właśnie się skończył, zaczął się kolejny.

– Zapewniam, że nie mamy nic cennego – mówi, jej głos jest zaskakująco spokojny jak na kogoś, kto zakłada, że jego dom został zaatakowany.

– Nie przyszedłem po twoje rzeczy – mówi Zaraza. – Tylko po gościnność.

Kobieta przygląda mu się z zaciekawieniem. Odkłada książkę i wstaje.

Wiek sprawił, że stała się okrągła, ale drzemie w niej pewna siła.

– Ruth – woła ochryply głos z drugiej części domu. – Kto przyszedł?

Czy ten człowiek nie słyszał włamania?

Kobieta przez dłuższą chwilę przygląda się Zarazie, przesuwając wzrokiem po łuku i koronie, a następnie skupiając się na jego twarzy.

– Wydaje mi się, że to jeden z jeźdźców Apokalipsy, kochanie. – Spogląda na mnie. – I przyprowadził ze sobą przyjaciółkę.

– Co do... – Dobiega do nas szuranie.

Szok Ruth znika. Kobieta zaczyna nas poganiać.

– Chodźcie, musieliście zmarznąć. Wejdźcie, na miłość boską, zamknijcie już drzwi.

Zaraza spogląda pytająco na gałkę, która zwisa pod dziwnym kątem. Zamykam drzwi za sobą.

Ruth zbliża się do mnie i pomaga mi zdjąć kurtkę. Muska suchymi dłońmi moje.

– Na niebiosa, dziewczyno! – wykrzykuje, biorąc mnie za rękę. – Zamarzłabyś tam. Jesteś jak lód. – Cmoka na Zarazę. – Wstydz się za to, że pozwoliłeś jej tak zmarznąć.

Zszokowany jeździec przygląda się staruszce, a ja próbuję się nie roześmiać. Wyraźnie widać, że nigdy wcześniej nie spotkał tak uroczej babuni.

W tej samej chwili z prowadzącego na lewo korytarza wyłania się kuśtykający mężczyzna.

– Na Boga Wszechmogącego! – Chwyta się za serce. – Nie żartowałaś, Ruthie – mówi, gapiąc się na Zarazę. Ostrożnie podchodzi bliżej, lustrując jeźdźca wzrokiem. – Jesteś prawdziwy?

Mój towarzysz unosi głowę niemal wyniośle, choć jego mina odzwierciedla raczej urazę niż arogancję.

– Oczywiście, że tak – odpowiada spokojnie.

Nagle mężczyzna wydaje z siebie ochryply krzyk.

– A niech mnie diabli. Chodźcie, siadajcie. *Mi casa es su casa.*

To najdziwniejsza sytuacja, w jakiej się znalazłam. Biorąc pod uwagę ostatnie tygodnie mojego życia, to już coś.

Idziemy za starszą parą do kuchni, Zaraza z dużo większą niechęcią niż ja. Wpatruje się w staruszków podejrzliwie, przesuwając rękę bliżej łuku. Najwyraźniej nie wie, co zrobić z ich gościnnością. Prawdę mówiąc, ja również.

Ruth krząta się koło kuchenki, podgrzewając wodę na herbatę, a mężczyzna wskazuje na drewniany stół.

– Siadajcie, proszę. Musicie być zmęczeni. – Wygląda za okno. – Kiepska pogoda na podróżowanie.

Tak jestem wdzięczna za to miejsce, że niemal wybucham płaczem. Minęło tyle czasu, odkąd inna ludzka istota potraktowała mnie z prawdziwą troską. Niemal zapomniałam, że ludzie są do tego zdolni.

Staruszek kuśtyka na drugą stronę kuchni, gdzie jego żona wyjmuje kubki.

– Siadaj, kochanie, ja to zrobię – mówi.

Kobieta prycha.

– To ty musisz usiąść – odpowiada. – Kolano da ci w nocy popalić.

– A tam! Ostatnio wszystko daje mi w kość. – Patrzy na mnie i puszcza oko, a Zaraza śledzi nas wzrokiem.

Ruth bierze kuchenną łopatkę i klepie nią męża, który próbuje odsunąć ją od kuchenki.

– Zajmę się tym. Przestań mnie pouczać przy gościach i siadaj.

Mężczyzna coś mamrocze, po czym mówi głośniej:

– Okazuje uczucie, jak tylko może.

Żona rzuca mu przez ramię ciepłe spojrzenie, gdy staruszek zajmuje miejsce naprzeciwko nas.

Jeździec przygląda się temu wszystkiemu z największą fascynacją.

– Jestem Rob, a to Ruth – przedstawia się mężczyzna.

Mój towarzysz kiwa mu głową.

– Jestem Zaraza, a to Sara – mówi, wskazując na mnie.

– Zaraza – powtarza Rob z podziwem w oczach. Przypominając sobie o mnie, obraca głowę i nią kiwa. – I Sara. Miło mi was poznać.

Rozglądam się, niemal równie zszokowana jak jeździec. Przywykliśmy już do pewnych utartych dialogów pomiędzy nami a naszymi

gospodarzami, a ten wyraźnie odbiega od scenariusza.

– Naprawdę? – docieka Zaraza, przyglądając się mężczyźnie. – Miło?

– Oczywiście! – potwierdza Rob, dla podkreślenia klepiąc ręką w blat.

– A jak często na twoim progu stawia się jeździec Apokalipsy?

Ruth zbliża się z kubkami parującej herbaty i rozstawia je przed nami.

– Dziękuję – mówię cicho, gdy podaje mi jeden.

Zaraza zerka na swój napój i porusza nosem, gdy go wącha.

Rob klepie żonę po boku, gdy ta siada przy nim.

– Dziękuję za herbatę. – Patrzy na nią i jest to tak intymne, że odwracam wzrok.

Odsuwając od siebie kubek, Zaraza rozsiada się wygodnie, a jego twarz przybiera wyraz czegoś pomiędzy niepokojem a nadzieją.

– Większość śmiertelników nie jest przychylna mojej obecności.

– Wyglądam, jakbym obawiał się śmierci? – pyta Rob.

Jeździec mruży oczy.

– Jestem stary, wszystko mnie boli, mój umysł nie jest już tak bystry. – Patrzy na Ruth. – Nasze dzieci dorosły i wyfrunęły z gniazda, w tej chwili ich dzieci są już niemal dorosłe. Jeśli ma nadejść koniec, cieszę się, że opuszczę ten świat wraz z żoną.

Na czole jeźdźca pojawia się zmarszczka.

– To nie jest dobra śmierć – przyznaje.

Nie wiem nawet, dlaczego stara się wypaść niekorzystnie w ich oczach. Przecież ci ludzie wyraźnie chcą go lubić.

– O wiele lepsza niż utrata świadomości, wspomnienia po wspomnieniu – dodaje Ruth. Drży. – Właśnie tak odeszła moja matka. Sama utrata kogoś jest wystarczająco okropna, ale obserwowanie, jak śmierć zabiera tę osobę po kawałku, aż nie zostaje nic prócz pustej skorupy? – Kręci głową. – Nie, są o wiele gorsze rodzaje śmierci niż Gorączka.

– Zamierzamy zostać na kilka dni – mówi Zaraza. – Sara potrzebuje pośłania, jedzenia i wody.

Znów wydaje się zniechęcać starszą parę. Jego wysiłki idą jednak na marne. Kiedy staruszkowie na mnie patrzą, robią to z przychylnością.

– Żaden problem – odpowiada Rob. – Jak mówiłem, *mi casa es su casa*.

Przyglądam się profilowi mojego towarzysza, gdy w końcu mnie oświeca. Nikt nigdy nie był dla niego dobry. Aż do tej chwili nikt go nie lubił, więc nie ufa tej parze, bo dlaczego miałby to robić? Ludzie go nienawidzą, ponieważ rozsiewa śmiertelną chorobę.

Biorę go za rękę, przez co ściągam na siebie uwagę naszych gospodarzy. Ignorując ich, przysuwam się do jeźdźca.

– Mogę porozmawiać z tobą przez chwilę na osobności?

Patrzy na nasze złączone ręce, a następnie na moją twarz. Bez słowa odsuwa krzesło i wstaje.

Idzie za mną do korytarza. Kiedy się do niego obracam, stoi blisko, jego ubranie styka się z moim.

– O co chodzi, Saro? – pyta, dotykając kosmyka moich włosów, jakby nie mógł się powstrzymać.

– Ci ludzie nie starają się nas oszukać. Naprawdę są podekscytowani twoją obecnością. – Co jest dla mnie szalone, ale hej, nikt nie prosił o moją opinię...

– Skąd o tym wiesz? – docieka, nie ukrywając, że jest sceptycznie nastawiony.

Unoszę ręce w geście bezradności.

– Po prostu wiem.

Wpatruje się we mnie, pocierając bezwiednie brodę, gdy to rozważa. Próbuje nie skupiać się na tym, jak seksowny jest ten niewielki gest.

W końcu kiwa głową.

– Dobrze. Spróbuję... zaufać tym ludziom, bo ty im ufasz.

Biorę go za rękę i ściskam jego dłoń. Mam zamiar puścić, ale mnie przytrzymuje.

– Saro – mówi. Drugą rękę dołącza do pierwszej, trzymając moją, jakby była darem.

Jedno spojrzenie w jego oczy i drzę. Patrzy przejmująco, jego twarz jest bardzo szczerą... Moje serce może nie być gotowe na jego słowa.

Zabieram dłoń i wracam do kuchni, nie patrząc, czy za mną idzie.

Chwilę później, zajmując miejsce, słyszę ciężkie kroki. Patrzy mi

w oczy, gdy siada. Potrafię wyczuć słowa, które chciał powiedzieć, nim od niego uciekłam.

Spogląda jeszcze przez moment, ale w końcu się rozluźnia i beztrąsko zarzuca rękę na oparcie mojego krzesła. Przysięgam, że każda komórka mojego ciała jest świadoma obecności tej ręki.

Ruth i Rob przyglądają nam się przez cały czas z niezmaconym spokojem. Pocę się na samą myśl o tym, co takiego mogą dostrzegać.

– Co więc was sprowadza do naszego domu? – pyta wesoło kobieta.

– Sara potrzebuje odpocząć i odzyskać siły – odpowiada Zaraza. Czuję na sobie jego wzrok. – Długie dni w podróży odciskają na niej piętno.

– Ach – wzdycha, pojmując jego słowa. – A co z tobą? Potrzebujesz łóżka?

Jeździec rozsiada się, wyciągając długie nogi.

– Jestem Zaraza Zwycięzca, pierwszy z czterech jeźdźców Apokalipsy, który przybył podbić wasz świat. Jestem nieśmiertelny, a mój cel jest niezachwiany. Nie potrzebuję niczego, by przetrwać.

No dooobra.

Ruth unosi brwi.

– Ale gdybyś chciał, mamy dodatkowe łóżko. A teraz – mówi, moszcząc się na krześle – jak się poznaliście? – Przeskakuje wzrokiem pomiędzy nami, popijając herbatę.

Jest przebiegła. Udaje, że nie bada mojej dziwnej relacji z jeźdźcem.

– Próbowałam go zabić – mówię.

Staruszka gwałtownie odstawia kubek na stół, najwyraźniej zszokowana moją odpowiedzią.

– Strzeliłam do niego ze strzelby dziadka – ciągnę – a potem podpaliłam jego ciało.

Obojgu gospodarzom brakuje słów.

Zapewne nie musiałam zdradzać aż takich drastycznych szczegółów...

Chyba Zaraza nie jest jedynym, który próbuje sabotować tę ich gościnność.

– Jest moim jeńcem – wyjaśnia jeździec.

Krzywię się, trzymając swój kubek. To stwierdzenie brzmi mocno

nieprawdziwie w moich uszach.

– Jeśli mogę zapytać, co planujesz z nią zrobić? – pyta Rob uprzejmie, choć widzę, że gotowy jest wyrzucić stąd Zarazę, jeśli udzieli złej odpowiedzi.

Mocniej ściskam kubek. Nie spodziewałam się, aby nieznajomi się mną przejęli, zwłaszcza tacy, którzy gotowi są gościć Zarazę pod swoim dachem.

– Zatrzymać ją – odpowiada mój towarzysz.

Ponownie na niego patrzę. Żołądek mi się ściska i próbuję sobie wmówić, że to strach, ale nie potrafię się oszukiwać.

Nie możesz się doczekać, by zobaczyć, co się stanie, Burns.

Starsza para nie sprzecza się z nim, ale widzę, że martwi ich ta odpowiedź. Mamy system sprawiedliwości i kary przewidziane za próbę zabójstwa, ale kara w postaci pojmiania...? To nie jest w porządku.

Jeździec odsuwa się z krzesłem i wstaje.

– Przepraszam, ale muszę iść do konia. Zajmijcie się czymś.

Odzywa się, jakby był pieprzonym królem zamku, a nie niechcianym gościem.

Wychodzi z domu bez słowa. Pod jego nieobecność w kuchni zapada bardzo nieprzyjemna cisza.

W końcu Ruth pyta:

– Dobrze się czujesz, moja droga?

Wodzę kciukiem po brzegu kubka.

– Tak. – Unoszę głowę. – To znaczy, w tym momencie wszystko w porządku, bo nie jestem martwa, co niewiele osób może powiedzieć o sobie. – Głos mi się łamie. Nie umyka mi fakt, że siedzę przy stole z kolejnymi dwiema ofiarami Zarazy.

Ruth pochyla się i kładzie dłoń na mojej. Ściska ją.

– Będzie dobrze – zapewnia.

Nie wiedziałam, że potrzebowałam tych słów, aż poczułam, że pieką mnie oczy. Kiwam głową, czerpiąc siłę z jej pociechy.

Kiepsko jednak korzystać z jej dobroci i odwagi, gdy to ona bardziej ich potrzebuje.

– Przepraszam – szepczę ochryple. – Za... wszystko. – Ale chodzi mi o coś więcej niż pojawienie się w ich życiu wraz z Zarazą. Przepraszam za te rodziny, którym odebraliśmy życie. Za porażkę w unicestwieniu jeźdźca i za uczucie do tego potwora. Za każde małe, popieprzone zło, które stało się moim udziałem, odkąd Bóg skazał nas wszystkich.

Rob macha ręką.

– Dostaliśmy nakaz ewakuacji. Wiedzieliśmy, co oznacza pozostanie tutaj – mówi, próbując złagodzić moje wyrzuty sumienia.

– Jeździec – zaczyna Ruth – nie... – Szuka właściwych słów. – ...nie zmusza cię do niczego wbrew twojej woli?

Chodzi jej o gwałt. Martwi się o to, czy on mnie gwałci.

– Nie, nie – zaprzeczam pospiesznie. Zaraza może i jest brutalny, ale na swój dziwny sposób jest również szlachetny. Prędzej odciąłby sobie rękę, niż wziął mnie wbrew mojej woli. – Nie myśli w ten sposób – przyznaję. – Jego rozumienie ludzi jest ograniczone do tego, co widział podczas swojej podróży i czego nauczył się ode mnie.

Ale czy to rzeczywiście prawda? Wciąż tyle o nim nie wiem.

– Jeśli się nie pogniewasz za śmiałość – mówi staruszka – jeździec może twierdzić, że jesteś jego więźniem, ale cię tak nie traktuje.

Dech więźnie mi w gardle. Nie chcę słyszeć jej następnych słów.

– Traktuje cię jak... cóż, jakby się tobą interesował.

Żołądek kurczy mi się nieprzyjemnie.

– Wiem – odpowiadam cicho. Nie mam odwagi, by przyznać, że to zainteresowanie nie jest jednostronne.

W tej samej chwili otwierają się drzwi i wraca Zaraza. Natychmiast patrzy mi w oczy, a w jego spojrzeniu gości jawna tęsknota.

Kiedy przeszliśmy od wzajemnej nienawiści do czegoś takiego?

Siada obok mnie, przysuwa bliżej krzesło.

– Głodna? – pyta, skupiając się całkowicie na mnie.

– Nie.

– To nie jest odpowiedź zgodna z prawdą – oznajmia.

– To jedyna, jaką dostaniesz – rzucam.

Oczywiście to wszystko, co potrzeba Ruth, by postawiła przed nami

talerz orzechów, owoców i sera.

Rob się przysuwa.

– Ile możesz zdradzić nam o swoim pochodzeniu? – docieka, zmieniając temat.

Zaraza niechętnie odwraca się ode mnie.

– To pytanie ma kilka odpowiedzi – mówi, zdejmując łuk i kołczan.

– Jesteś bytem chrześcijańskim? – docieka staruszek.

Powinnam była przewidzieć przebieg tego przesłuchania już na widok wiszącego na ścianie krzyża.

Zaraza zdejmuje pod stołem buty i krzyżuje nogi w kostkach. Nie wiem, czy ma pojęcie, że to niegrzeczne, ale wydaje się, że mu tak wygodnie. Ponownie kładzie rękę na oparciu mojego krzesła.

– Chrześcijańskim, muzułmańskim, judaistycznym, buddyjskim. Wszystkie te religie jednocześnie się mylą i mają rację – mówi. – Szczegóły nie są ważne. Chodzi o ogólny przekaz.

Czuję, jak bawi się moimi włosami, co sprawia, że pragnę się do niego przysunąć (uwielbiam, gdy ktoś drapie mnie po głowie).

– Moralność, a nie wiara – ciągnie – to właśnie liczy się dla Boga.

W oczach Roba błyszczy radość.

– Oczywiście – mówi. Parska zdumionym śmiechem, jakby ta rozmowa była zaskakująca, chociaż w sumie... taka właśnie jest. – Ach, nigdy nie sądziłem, że ten dzień nadejdzie. Jestem najszczęśliwszym z ludzi, ponieważ siedzę w towarzystwie dowodu na Jego istnienie. A ile wiesz na temat Biblii?

– To dzieło człowieka, nie Boga. Jaki pożytek z czegoś, w czym jest więcej kłamstw niż prawdy?

Spinam się, oczekując, że para na niego naskoczy, ale tak się nie dzieje. Jestem pewna, że Zaraza mógłby w tej chwili puścić bąka, a oni uznaliby to za czarujące.

– A co jest prawdą? – dopytuje Ruth, wracając z tacą jedzenia, i siada na krześle.

– To, że ja i moi bracia przychodzimy podbić tę ziemię i jeśli ludzie się nie zmienią, wszystko zostanie stracone, a was wkrótce czekać będzie

dzień sądu ostatecznego.

Naprawdę mógłby to jakoś zmiękczyć, a nie wytaczać najmocniejsze działa.

Rob się przysuwa.

– Jak mamy się zmienić?

– Wasza natura jest zepsuta – odpowiada Jeździec. – Wasze serca zatwardziały, a umysły egoistyczne i destrukcyjne. Zabiliście niewyobrażalną liczbę stworzeń, drwiliście z natury, odwróciliście się plecami do siebie nawzajem. Jeśli się nie zmienicie, zostaniecie zniszczeni.

Rob przeczesuje palcami krótkie siwe włosy.

– Trudna sprawa z tym naszym losem – podsumowuje ze smutkiem.

– Dlatego ludzkość wymrze – mówi Zaraza z taką pewnością, że muszą powstrzymywać dreszcz.

Nie wierzy, że jesteśmy w stanie się zmienić.

Rob ponownie się przysuwa.

– Ale istnieje szansa, że tak się nie stanie?

Jeździec się waha.

– Tak – odpowiada w końcu. – Istnieje. Dopóki Śmierć nie przybędzie na Ziemię i nie uzna jej za niegodną, dopóki sam Bóg nie wezwie nas z powrotem, istnieje taka szansa.

W nocy długo leżę rozbudzona, bo mój umysł nie chce się wyłączyć. Kiedy to w końcu robi, mój sen jest lekki. Wystarczy cichy śmiech czy głośniejsze słowo po drugiej stronie domu, by mnie rozbudzić.

Zaraza został ze starszą parą, rozprawiając o rzeczach, które nie do końca pojmuję. Po zasłyszanych słowach wnioskuje, że rozmawiali o Bogu i religii. Odnoszę wrażenie, że opowiedział im znacznie więcej niż mi.

Co zaskakujące, czuję ukłucie zazdrości. Nie mam zamiaru dyskutować z nim o Bogu, więc nie wiem, dlaczego mi to przeszkadza.

Pragniesz, by dzielił się najbardziej osobistymi myślami wyłącznie z tobą.

I pomyśleć, że wyznaje im rzeczy, których mi nie zdradził... Poza zazdrością i irytacją czuję się też zraniona.

Jesteś jego więźniem, a ciągle o tym zapominasz.

Po tej niespokojnej drzemce, która wydawała się trwać w nieskończoność, słyszę zgrzyt odsuwanych krzeseł, po czym powolne szuranie, gdy Ruth i Rob przechodzą przez dom. Nadstawiam uszu, ale nic nie słyszę.

Czy Zaraza został sam w ciemności?

Dopiero dłuższą chwilę później słyszę zgrzyt krzesła – co budzi mnie chyba po raz milionowy – i mocne kroki jeźdźca. Zmierza korytarzem w kierunku mojego pokoju.

Serce znacznie mi przyspiesza.

Czy idzie do mnie?

Myśl, która napełniała mnie wcześniej odrazą, teraz przynosi ekscytację.

Słyszę, że zatrzymuje się pod moimi drzwiami, ale cisza się przeciąga.

Co on robi?

Obraca się gałka, Zaraza wchodzi do środka. Ledwie widzę go w mroku. Jest większym cieniem na tle innych, gdy jego oszałamiająca sylwetka wypełnia wejście.

Podchodzi do łóżka, siada na podłodze i opiera się plecami o ścianę.

Nie wiem, co ze sobą zrobić – powinnam spać, ale nie śpię, i mam wrażenie, jakbym kłamała. Zaraza musi przecież wiedzieć, że jestem przytomna, prawda? Jestem pewna, że oddycham zbyt głośno i leżę zbyt sztywno.

– Na rosnącej liście moich wad znajduje się teraz tchórzostwo – mówi jeździec w mroku. – Przychodzę do ciebie jak złodziej w środku nocy, ponieważ obawiam się, że nie wysłuchasz mnie w świetle dnia – szepcze – a muszę wyznać wszystko, co leży mi na sercu.

Doobra. To powinno być ciekawe. No i jestem już całkowicie rozbudzona.

– Uważam cię za piękną, droga Saro. Bardzo piękną. Ale to takie ostre, jadowite piękno – jak groty moich strzał – ponieważ pamiętam, że nie

jesteś do mnie podobna. Pewnego dnia umrzesz, a ja coraz bardziej się tym niepokoję.

Zmuszam się, by oddychać i powstrzymać się od wydania zawstydzającego szlochu, który próbuje wydostać się z moich ust. Nikt nigdy tak do mnie nie mówił.

– Przyznaję – ciągnie – poraziło mnie to. W całej swojej egzystencji tak się nie czułem. Dopóki nie przybyłem do twojego świata, nie potrafiłem odczuwać. I zanim cię poznałem, moja zdolność przeżywania była ograniczona do gorzkiego palenia w brzuchu. Odczuwałem jedynie chęć zniszczenia całej waszej cywilizacji. Dopiero gdy cię poznałem, chociaż cię nienawidziłem, zrozumiałem słowa Boga. Miłosierdzie – mówi to z naciskiem, jakby było to szczególnie ważne. – Rozumiem już, że jest jeszcze dla was nadzieja, ponieważ ze złem idzie w parze także to.

Okej, jestem pewna, że koleś nie ma pieprzonego pojęcia, że nie śpię.

– I nie potrafię rozeznaczyć, czym to jest – kontynuuje. – Wiem tylko, że czuję to, gdy cię widzę i kiedy o tobie myślę. Kiedy jedziemy razem i cię trzymam, mam wrażenie, że wszystko jest dobrze. A kiedy się śmiejesz, myślę, że mógłbym naprawdę umrzeć. To nieznośna rozkosz, która wprawia mnie w zakłopotanie. Nie rozumiem, jak ból i pożądanie mogą współistnieć.

Wzdycha i spogląda w sufit.

– Kiedy mnie ignorujesz, spala mnie niepokój i czuję, jakby słońce odwróciło się od tego świata. Kiedy się do mnie uśmiechasz, kiedy patrzysz na mnie, jakbyś była w stanie dostrzec moją duszę, czuję... czuję, jakbym płonął, jakbyś to ty została powołana przez Boga, by zniszczyć mój świat.

Rozdziera mnie. Nikt nigdy nie powiedział do mnie czegoś takiego – nikt nigdy tak o mnie nie myślał – i nie potrafię się przed tym bronić.

Wstaje i podchodzi do drzwi. Zatrzymuje się.

– Na dobre czy złe – mówi przez ramię – zostałem nieodwracalnie przez ciebie zmieniony.

Dopiero kiedy jego kroki nikną w oddali, pozwalam sobie na płacz.

To, że pragnę jego ciała, jest już wystarczająco złe. Gdyby chociaż mój

pociąg tylko w tym się przejawiał... Jednak moje serce poddaje się słowom jeźdźca i boję się, że w końcu on zwycięży również mnie.

ROZDZIAŁ 31



Następnego ranka człapię do kuchni, gdzie na stole zastaję talerz zimnej jajecznicy i szynkę wraz z pustym kubkiem, torebką herbaty i termosem z gorącą wodą.

Dotykam palcem brzegu kubka, wyglądając przez najbliższe okno. Słońce stoi wysoko na niebie. Drapię się po głowie, płacząc brązowe włosy.

Spałam za długo – na tyle długo, że nasi umierający gospodarze przygotowali mi śniadanie.

Spinam się na dźwięk ciężkich kroków Zarazy. Nie wiem, czy powinnam pisać, czy wybiec z pomieszczenia.

– Dzień dobry, Saro.

Obracam się, próbując wyglądać normalnie, a nie jakbym usłyszała wczoraj rzeczy, których nie powinnam być świadoma.

– Ee, dobry.

Jeździec przygląda mi się uważnie, jego spojrzenie pełne jest tych poetyckich wyznań, które wczoraj składał.

Nie zachowuj się, jakbyś nie zapamiętała sobie skrupulatnie tych komplementów, by je później rozpamiętywać.

– Gdzie Ruth i Rob? – pytam, biorąc termos i przygotowując sobie herbatę.

Zaraza markotnieje.

– Choroba zaczęła zbierać żniwo.

Dopadają mnie wyrzuty sumienia i przez chwilę czuję się równie chora jak oni. Jem ich pożywienie i śpię w ich łóżku jak Złotowłosa, podczas gdy oni umierają z powodu plagi, którą dosłownie na nich sprowadziłam.

Jeździec podchodzi, wpatrując się przy tym w moją herbatę.

Kiedy się śmiejesz, myślę, że mógłbym naprawdę umrzeć.

– Rozumiem alkohol, ale nie pojmuję wcale kawy, a jeszcze mniej herbaty – mówi, całkowicie nieświadomy moich myśli.

Wzruszam ramionami.

– Pachnie i smakuje goryczą.

– Próbowaleś jej? – pytam, unosząc brwi i upijając łyk naparu.

Krzywi się.

– Wczoraj, gdy poszłaś spać, Ruth i Rob nalegali, bym skosztował.

Prycham.

– Nakłonili cię do spróbowania herbaty, podczas gdy mi nie udało się wlać w ciebie gorącej czekolady?

Co za gnojek.

Patrzy na mnie.

Upijam kolejny łyk i się uśmiecham. Mimo że rozmowa toczy się jak zwykle, dłoń, w której trzymam kubek, drży.

Uważam cię za piękną, droga Saro. Bardzo piękną.

Otaczają mnie jego wczorajsze słowa, nie potrafię zachowywać się normalnie w jego towarzystwie. Ech. Rozłożył mnie na łopatki.

Zerkam na przygotowane dla mnie śniadanie. Pomiedzy chorobą starszej pary a skupioną na mnie uwagą Zarazy, na samą myśl o jedzeniu kurczy mi się żołądek.

Czuję, jakbym płonął, jakbyś to ty została powołana przez Boga, by zniszczyć mój świat.

Pod wpływem impulsu obracam się do niego i całuję go w usta.

Chwyta mnie w talii i przyciąga do siebie, więc to, co miało być szybkim buziakiem, przeradza się w długi, leniwy pocałunek.

Przez chwilę zatracam się w nim, ale gdzieś po drodze się opamiętuję.

Odsuwam się, zawstydzona trzepotaniem w podbrzuszu. Czy to kiedykolwiek odejdzie, a może będę musiała zmagać się z tym dzień po

dniu, miasto po mieście, aż świat się skończy i pozostaną tylko ja?

Wciąż wpatrzony w moje usta, jeździec zbliża się o krok, gotowy, by wznowić pocałunek.

Kładę dłoń na jego piersi.

Patrzy na nią.

– Mam wierzyć, że nie chcesz mojego zainteresowania, gdy chwilę temu sama je wywołałaś?

Powiedzieć mu prawdę?

– Zarazo, ja... – *Nie mogę tutaj. Nie, gdy w sąsiednim pokoju umierają ludzie, a za ich śmierć odpowiedzialny jesteś ty.* Odchrząkuję. – Muszę iść do Ruth i Roba.

Jeździec patrzy w kierunku ich sypialni, jego twarz ma poważny wyraz. Bez słowa wychodzi z domu, a trzask zamykanych drzwi wybrzmiewa jeszcze długo po jego zniknięciu.

ROZDZIAŁ 32



Tym razem, gdy opiekuję się starszą parą, Zaraza postanawia mi pomóc. Jest w tym ujmująco kiepski i bardziej przeszkadza, niż się przydaje, ale zależy mu na tyle, by się postarać, a to jest dla mnie wystarczająco dobre.

Oczywiście nie chodzi tylko o to, że wywiązuje się kiepsko z powierzonych mu zadań. Jest też rozdrażniony, gdy pomaga parze podnosić się na łóżku, by mogli jeść i pić, kiedy jeszcze jest im to dane. Jego nastrój się pogarsza, ilekroć Rob mu dziękuje lub Ruth klepie go z czułością po rękę.

Gdybym nie wiedziała lepiej, uznałabym, że jeźdźcowi nie podoba się oglądanie, co zrobiła im jego choroba.

Pod koniec drugiego dnia, po kilku godzinach od wyjścia Zarazy z domu, idę do sypialni staruszków. Leżą w łóżku twarzami do siebie, trzymając się za ręce, ale oczy mają zamknięte. Z tego, co widzę na niewielkich skrawkach odsłoniętej skóry, i z zapachu wnioskuję, że wrzody na ich ciałach zaczęły się już otwierać.

– Panie, prosimy, obdaruj swego jeźdźca spokojem, gdyż zmaga się ze swoją ziemską powłoką – mówi Rob słabym, napiętym głosem. – Prosimy również o siłę dla Sary, kobiety, którą umieściłeś u jego boku. Trwa w roli, do jakiej ją powołałeś, i robi to z gracją, choć wydaje się głęboko dotknięta przez okoliczności...

Nie słucham dalej. Uciekam jak tchórz. Już ich życzliwość była

przesadą, ale to coś zupełnie innego.

Nie mogę. Nawet jeśli modlą się do swojego Boga o siłę, nie mogę... Nie mogę jeść ich pożywienia, spać pod ich dachem i przyglądać się, jak umierają straszną śmiercią, modląc się za mnie i Zarazę.

Chce mi się śmiać. Modlą się za tego, który jako jedyny jest odporny na Boży gniew.

Ale czy tak jest? Myśl ta jest cicha i łatwa do zignorowania.

Z daleka słyszę, że drzwi się otwierają, po czym rozlega się dźwięk ciężkich kroków jeźdźca. Ze wszystkich chwil, w których mógł wrócić, musiał wybrać właśnie tę.

Pojawia się w pokoju gościnnym, gdzie siedzę na skraju łóżka. Zakrywam oczy dłońmi, trzęsąc się.

– Saro? – pyta z wahaniem.

Opuszczam ręce i wpatruję się w nie.

– Nie daj im umrzeć – mówię łamiącym się głosem. Nie mogę na niego spojrzeć.

Wchodzi głębiej do pomieszczenia i zamyka za sobą drzwi.

– O co chodzi? – pyta.

– To dobrzy ludzie – odpowiadam, szlochając. – Nie zasługują na taką śmierć.

– Życie nie jest sprawiedliwe – mówi Zaraza. – Myślałem, że akurat ty powinnaś to wiedzieć.

– Cholera, ocaliłeś mnie! – Mój temperament daje o sobie znać. – Ich również możesz oszczędzić!

Następuje długa chwila milczenia.

– Ale tego nie zrobię.

Zmuszam się, by na niego popatrzeć. Muszę zignorować ból w jego spojrzeniu.

– Proszę.

Odwraca wzrok.

– Znów to przeklęte słowo.

Zapomniałam, jak go nie lubi. Pojawiają się wyrzuty sumienia i ból. Teraz zabije ich tylko dlatego, że to powiedziałam. I będzie się tym

cieszył.

Ale choć raz tak się nie dzieje. Zamiast tego po raz pierwszy wygląda na rozdartego.

Widzę, jak musi się przyłożyć, by wziąć się w garść.

– Nie – odpowiada stanowczo. – I nie proszę mnie więcej.

Wstaję, moja rozpacz przekształca się w coś gorętszego, okropniejszego, gdy wpatruję się w istotę, która mogłaby przegnać ich chorobę.

– Bo co? – dociekam, podchodząc do niego. Szturcham go w pierś. – Znowu mnie związesz? Będziesz mnie ciągnął za koniem, aż znajdę się o krok od śmierci? Wystawisz mnie na zimno, aż znów wpadnę w hipotermię?

Mruży oczy.

– Co za wspaniałe sugestie.

– Dlaczego chcesz ocalić mnie, a nie ich?

– Zamierzam sprawić, byś...

– Cierpiała. Wiem. Boże, wiem. – Odsuwam się od niego i siadam na łóżku wyczerpana.

Wpatruje się we mnie przez dłuższą chwilę, po czym podchodzi. Spinam się, co musi widzieć, bo się zatrzymuje. Następnie wyzywająco pokonuje resztę odległości między nami.

Siada obok, górując nade mną. Zamierzam wstać, ale kładzie dłoń na moim ramieniu.

Powinam ją zrzucić. Powinam się na niego wydrzeć lub wybiec z pokoju. Powinam zrobić sto różnych rzeczy. Zamiast tego przysuwam się i opieram głowę na jego ramieniu. Cała się trzęsę, gdy ponownie zaczynam mocno szlochać. Obejmuje mnie i wciąga sobie na kolana, tuląc do swojego masywnego torsu. Czuję się perwersyjnie komfortowo, chociaż to on jest sprawcą mojego cierpienia.

Przyciska policzek do mojej skroni, tuląc mnie tak mocno, że zastanawiam się, czy on również czerpie pociechę z mojej bliskości.

– Nie smuć się – mówi, muskając przy tym wargami moją skórę.

Kręcę głową przy jego piersi. Jego prośba jest niewykonalna. A jednak

im dłużej mnie tuli, tym mi lepiej.

Oddycham jego wonią.

– Nie przetrwam tego – szepczę, ujawniając swoje największe obawy.

Zaraza się spina.

– Przetrwasz – oznajmia – bo musisz.

Odsuwam się na tyle, by móc spojrzeć mu w oczy.

– Nie przetrwam – powtarzam. – Umrę, nim wykończysz świat.

Wtedy będzie jedyną istotą, która będzie cierpieć.

ROZDZIAŁ 33



Można poczuć nadchodzący koniec niczym wielką falę. Opływa cię, zakorzenia się w tobie. Dostaje się do płuc i przesącza do serca, a w końcu do umysłu. Ta straszna, okropna rzecz zwana śmiercią zmienia się z odległej ewentualności w nagłą pewność.

Kiedy nadchodzi wieczór, Ruth i Rob potrzebują coraz więcej troski, a gdzieś po drodze odczuwam, że do tej naszej małej imprezki dołącza śmierć, czając się w cieniu, czekając na właściwą chwilę, aby zabrać ich dusze. Starsza para również musi ją wyczuwać, ponieważ mimo że są słabi i bardzo cierpią, udaje im się przesunąć, by leżeć w swoich objęciach.

Zaraza przygląda im się z ciekawością, jakby nigdy wcześniej niczego takiego nie widział.

Ich skóra jest stara, kości też, tak jak i serca. I kochali się od tak długiego czasu. Staje się jednak jasne, że mimo wielu wspólnie spędzonych lat pożegnanie jest zbyt wczesne.

O wiele za wczesne.

Czuję ucisk w gardle. To... osobiste. Naprawdę intymne. I łamiące serce. Nieprzeznaczone dla moich oczu. Pochylam głowę, a w końcu wymykam się z ich sypialni.

Jeździec nie wychodzi za mną, postanawiając pozostać intruzem. Mija pięć minut, potem dziesięć.

Co on tam robi?

W końcu, gdy wydaje mi się, że upłynęła cała wieczność, ponownie otwieram drzwi i zaglądam do środka. Zaraza siedzi obok łóżka, jego duża sylwetka zajmuje cały fotel. Przygląda się parze z zakłopotanym wyrazem twarzy.

Ech, muszę pamiętać, że ten gość nie ma żadnych umiejętności społecznych.

Wchodzę, biorę go za rękę, pociągam, by wstał, i wyprowadzam z pokoju. Jest równie zdezorientowany jak wtedy, gdy dziwacznie przyglądał się staruszkom.

– O co chodzi, Saro? – pyta, kiedy zamykam za nami drzwi.

– To ich ostatnie godziny. Jestem pewna, że pragną spędzić je w samotności.

Patrzy na drzwi.

– Skąd wiesz, że chcą być... sami?

Wiem, że uważa ten mój dobór słów za dziwny – samotność oznacza dla niego podróżowanie przez wiele dni po nieznannej ziemi i brak rozmów. Na pewno nie trzymanie się za rękę z drugim człowiekiem i szeptanie o rzeczach, o których wie tylko ukochany czy ukochana.

Przygląda mi się, czekając na odpowiedź.

Jak mam to powiedzieć? Nie sądziłam, że będę musiała wyjaśniać komuś coś tak oczywistego.

– To znaczy, że chcą być sami, ale razem – mówię. – Chcą dzielić ostatnie chwile tylko ze sobą, a nie z nami. – Wciąż przygląda mi się ze sporą dozą zaskoczenia, więc kontynuuję wyjaśnienia. – Życie ma ograniczoną liczbę minut – mówię. – Kiedy znajdujesz kogoś, z kim warto spędzić ten czas, nie chcesz go dzielić z nikim innym. – A szczególnie jeśli chodzi o te ostatnie chwile.

Zaraza rozważa to przez dłuższy moment. W końcu pochyla głowę.

– Zostawię ich więc... samych.

Patrzę na niego uważnie.

– Dlaczego właściwie się im przyglądałaś?

Jeździec nie lubi widoku ludzkiej śmierci, mimo że tak często ją powoduje.

Waha się, nim mówi:

– Są zakochani.

Teraz to ja nie nadążam.

Kiedy widzi moją minę, wyjaśnia:

– To pierwszy raz, gdy widzę miłość między ludźmi. To... ciekawe, urzekające, więc interesuje mnie ta ludzka strona, która wcześniej była przede mną zakryta.

Nie wiem, co zrobić z tą wiedzą.

– Ale byłeś świadkiem tysięcy lat ludzkiej historii. Podczas całego tego czasu, w którejś chwili musiałeś widzieć miłość. – No przecież zawsze podkreślał, jaki jest ponadczasowy.

– Tak – odpowiada powoli. – Ale nie taką.

Nie tak żywe uczucie, widoczne w każdym oddechu. To w jakiś sposób ma decydujące znaczenie.

ROZDZIAŁ 34



Rob odchodzi pierwszy. Jest zimny, brzydki ranek. Budzi mnie słaby płacz Ruth. Choć dźwięk jest cichutki, jest w nim coś przeszywającego i po prostu wiem, że mężczyzna zmarł. Odeszła wielka miłość tej kobiety.

Spieszę do jej sypialni, mimo że w tej chwili nie ma powodu do pośpiechu. Zaraza już tu jest, trzyma w ramionach kruchą, naznaczoną ranami sylwetkę staruszka.

Jeździec patrzy na mnie ze smutkiem w oczach, w których brak jest nadziei. Nie rozumiem jego emocji, bo przecież to on upierał się, że para musi umrzeć.

Omijam go i klękam obok Ruth. Nawet jeśli ma silną gorączkę, płacze cicho. Przyciągam sobie krzesło i zostaję z nią, ściskając jej dłoń, gdy kobieta nadal łka.

Można by pomyśleć, że po całym życiu spędzonym z mężem nic nie ukoi jej żalu, ale niecałą godzinę po tym, jak weszłam do jej sypialni, okazuje się, że jej smutek przeminął jak przechodząca nad miastem ulewa.

– Niedługo z nim będę – mówi. – To prawdziwe błogosławieństwo, że możemy odejść z tego świata razem. I żyć w takich czasach, bym bez cienia wątpliwości wiedziała, że ponownie się z nim spotkam. I to niedługo. Mogłabym wręcz udawać, że tylko wyszedł z domu po zakupy.

Tyle że Rob nie wróci.

W jej oczach pojawia się smutek.

– Ale nie mogę uwierzyć, że to już koniec...

W tej samej chwili do pokoju wchodzi Zaraza, jest jak uosobienie Ponurego Żniwiarza. Ale to chyba tylko moje wrażenie, bo kiedy Ruth go widzi, posyła mu uśmiech.

Zamiast odpowiedzieć tym samym, jeździec patrzy na mnie z niepokojem. Zatrzymuje się z dala od łóżka.

– Nie wstydź się – mówi kobieta. – Podejdź bliżej.

Zaraza podchodzi w taki sposób, jakby staruszka była gotową do ataku kobrą. To niemal śmieszne, że jeździec Apokalipsy obawia się delikatnej, troskliwej Ruth.

Kobieta poklepuje łóżko obok siebie. Krzywię się. Wiem, jak bolesny musiał być dla niej ten ruch.

Zaraza ostrożnie siada na wskazanym miejscu.

Staruszka unosi powoli rękę i kładzie ją na jego policzku.

– Wybaczam ci, mój drogi.

Zaraza wygląda na zdezorientowanego.

– Ale co?

Wie jednak. Widzę to na jego twarzy. Ma świadomość, co wybacza mu kobieta, ale ukrywa fakt, że jest... wstrząśnięty.

– Nie masz przed sobą łatwego zadania – mówi staruszka. – Z jakiegoś powodu Pan dał ci czuć wszystko, co ludzkie: stratę, ból i całą resztę.

Nagle Zaraza wydaje się bardzo młody.

Dopiero teraz widzę to, co Ruth: on jest jednym z nas, nawet jeśli nie jest człowiekiem. Nie jest odporny na nasz ból, na naszą udrękę w sposób, w jaki by tego chciał. Musi je znosić jak swego rodzaju pokutę.

Kiedy to do mnie dociera, zmienia się cały mój świat.

Zaraza jest taką samą ofiarą apokalipsy jak ja.

Szlachetny, dzielny Zaraza, który musi się przyglądać, jak wszyscy umieramy, który musi sprawić, że umrzemy, chociaż męczy go śmierć. Nic dziwnego, że tak bardzo nas nienawidzi. Musi. Inaczej zamorduje setki tysięcy ludzi bez lepszego powodu niż ten, że mu kazano.

– Będzie dobrze. Kroczysz w Jego świetle – mówi Ruth prosto z mostu.

Cholera, ta kobieta leży na łożu śmierci i pociesza gościa, przez którego się w nim znalazła. Jeśli to nie jest szalone, to ja nie wiem, co takie jest.

Zaraza wzdycha ciężko, jakby tłumił w sobie silne emocje.

– Roba nie ma, by to powiedział – ciągnie kobieta – więc zrobię to za niego. Masz dbać o tę młodą damę, która ci towarzyszy, jasne?

Przygląda jej się w ten sam sposób, w jaki robił to pierwszej nocy, jakby widział ją po raz pierwszy.

Powoli kiwa głową.

– Przysięgam na swoje życie.

Czuję w swoim wnętrzu jakieś dziwne ciepło.

Staruszka posyła mu kolejny przyjazny uśmiech.

– A teraz, gdybyś był tak uprzejmy, bardzo chce mi się pić.

To wystarczy, by Zaraza natychmiast się podniósł. Obie przyglądamy się, jak wychodzi z pokoju. Dopiero gdy zamykają się za nim drzwi, staruszka zwraca się do mnie:

– Zbliź się, Saro.

Waham się. Teraz moja kolej, by usiąść na jej łóżku i wysłuchać ostatnich słów, choć nie mam na to ochoty. Dziecinna część mojej osoby uważa, że jeśli tego nie zrobię, kobieta pożyje dłużej, jakby jej choroba była klątwą, która może zostać złamana.

Niechętnie siadam na materacu i biorę ją za rękę.

Przygląda mi się uważnie.

– Rety, aleś ty młoda.

Teraz, kiedy jesteśmy same, wydaje się słabsza, bardziej krucha. Bez względu na to, ilu śmierci byłam świadkiem, zawsze zapominam, jak niesamowicie szybko przychodzi koniec w tej Gorączce.

– Tylko na zewnątrz – odpowiadam. Czuję, jakbym przeżyła już sto różnych żywotów, a każdy okropny i krwawy. Chyba to właśnie robi z człowiekiem ból – postarza duszę.

Ruth się śmieje.

– Jeśli to nie jest prawda... – Odpływa wzrokiem, nim ponownie na mnie spogląda. Ścisną moją dłoń, jej uchwyt jest zaskakująco mocny. – To, co robisz... – zaczyna.

Serce natychmiast mi przyspiesza. Mam okropne przeczucie, dokąd z tym zmierza.

– To... dobre – kończy.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Zupełnie jak Zaraza, ukrywam się przed prawdą jej słów. I zupełnie jak on, jestem zaskoczona tym, jak bardzo staruszka jest spostrzegawcza.

Patrzy na mnie chytrze.

– Wydaje mi się, że wiesz.

Wiję się pod jej baczny spojrzeniem.

– Żyję wystarczająco długo, by umieć rozpoznać znaki – ciągnie.

Jakie znaki?

– Może ci na nim zależeć. Możesz go nawet kochać, nie ma w tym nic złego – mówi.

– Nie kocham go – odpowiadam zbyt ochotczo. Moje słowa brzmią fałszywie nawet w moich własnych uszach, ale nie wiem dlaczego. Nie jestem przecież w nim zakochana.

Klepie mnie po dłoni.

– Ale w razie gdybyś jednak była, powinnaś wiedzieć, że to nic złego, więc nie musisz mieć z tego powodu wyrzutów sumienia.

Naprawdę? Kochanie istoty, która niszczy nasz świat? W najlepszym razie to przejaw złego smaku, w najgorszym to niewybaczalne.

– Miłość to wielki dar, którym możesz kogoś uraczyć lub który możesz otrzymać – mówi cicho. – Miłość jest jedynym, co może nas wyciągnąć z tego bałaganu. – Mruży oczy. – Rozumiesz, o czym mówię? Oczywiście, że tak. Od ich przybycia trąbi o tym każda religia. Choć kiedy mówi o tym Ruth – kobieta, która nie tylko opowiada o uczuciu, lecz także je przeżyła – w końcu przyjmuję te słowa na poważnie.

Staruszka wskazuje drzwi ruchem głowy.

– Ten chłopiec tam – tylko ona może nazywać ponadczasową istotę „chłopcem” – widział wiele ludzkich cech, ale większość z nich była okropna. Tylko dzięki tobie widzi piękno i znaczenie ludzkiej natury. – Ponownie ściska moją dłoń. – Pokaż mu, co w nas najpiękniejsze. Pokaż mu, że ludzkość godna jest odkupienia.

ROZDZIAŁ 35



Ruth odchodzi w mniej niż dwie godziny po naszej rozmowie. Poddaje się śmierci niemal z zapalem, jakby spotkała starą przyjaciółkę.

Kiedy umiera, dom wydaje się zimny i pusty, jakby wraz z jego właścicielami odeszła również jego dusza.

Inaczej niż w przypadku innych rodzin, u których się zatrzymaliśmy, Zaraza nie pozwala, by ciała staruszków gniły w ich domu. Zamiast tego widzę, że kopie w ogrodzie dużą mogiłę.

Wychodzę, by pomóc mu złożyć ciała do ziemi. Kiedy ich dotykam, włoski na karku stają mi dęba. Teraz, gdy nie mają już świadomości, uznaję ich szczątki za odrażające.

– W porządku, Saro – mówi Zaraza na widok mojego niepokoju. – Wejź do środka. Dokończę pochówek.

Opuszczam wzrok na ciała, ich postacie splecione w uścisku. Powinnam myśleć, że to dobrze, iż zostaną tak pochowani, ale na ten widok żółć podchodzi mi do gardła.

Zaraza kładzie rękę na moim ramieniu.

– Wejź do środka – powtarza nieco łagodniej.

Teraz to ja jestem tą słabą, która nie może znieść tego widoku, a on jest silniejszy, spokojniejszy.

Spełniam polecenie i przygotowuję sobie kąpiel w głównej łazience, przylegającej do sypialni gospodarzy. Proces ten trwa nedorzecznie długo, bo muszę nagotować sobie wody do wanny. Z drugiej strony, brak

prądu to pretekst do zebrania wszystkich świec i lamp naftowych w łazience.

Wzdycham, gdy w końcu wchodzę do wanny pełnej niemal parzącej wody. Wypełniłam ją po brzegi, bo mam ochotę się porozpieszczać.

W połowie mojej kąpieli Zaraza wraca do domu. Musiał mnie szukać, bo w końcu zagląda do głównej łazienki.

Moja pierwsza myśl na jego widok jest taka, że ten jego atrakcyjny wygląd jest niesprawiedliwy. Nawet ubłocony, gość jest najprzystojniejszym facetem, jakiego w życiu widziałam.

Kiedy mnie widzi, jego spojrzenie łagodnieje.

– Lepiej się czujesz?

Wzruszam ramionami, a ten ruch sprawia, że jeździec spogląda niżej. Pierwszy raz, gdy widział mnie nagą, jego spojrzenie było raczej klinicznie chłodne.

Ale teraz definitywnie tak nie jest. Im dłużej mi się przygląda, tym bardziej tęskny staje się wyraz jego twarzy.

Pieprzyć to.

– Chcesz dołączyć? – pytam, ponieważ dziś się rozpieszczęm.

Nie odpowiada, tylko rozpina zbroję.

Biorę to za „tak”.

To może być mój najlepszy – lub najgorszy – pomysł w życiu.

Zaraza przygląda mi się, gdy zdejmuje ostatnie części ubrania. Ma idealne ciało, jak wyrzeźbione. Jestem pewna, że teraz to ja mam tęskny wyraz twarzy.

Podchodzi do wanny, woda ciemnieje od ziemi, gdy do niej wchodzi.

Myślałam, że będzie tu dla nas sporo miejsca, ale kiedy jeździec siada, uświadamiam sobie, jak jest duży, nawet jeśli się nie wyciągnął.

Moja stopa ociera się o jego biodro, a jego noga więzi mnie na miejscu. Stykamy się w różnych miejscach i to nieco rozprasza. Bezwiednie przesuwam palcami po mojej nodze, powoli mnie rozpalając. Podrywam stopę, gdy dociera do jej podbicia.

– O czym myślisz, droga Saro? – pyta w końcu.

O tym, że zaraz się na ciebie rzucę.

– Dlaczego ich pochowałeś? – pytam zamiast tego.

Unosi moją nogę i przygląda się jej, po czym kładzie ją sobie na kolanie.

– Nie mówmy teraz o tych rzeczach. – Z rozmysłem przesuwam knykciami po podbiciu mojej stopy, uśmiechając się, gdy w odpowiedzi ponownie ją podrywam. – Dużo ludzi kąpie się razem? – pyta.

Tylko ci głupi.

– Nie.

Ściska moją stopę.

– Dlaczego więc mnie tu zaprosiłaś?

– Ponieważ lubię twoją bliskość – mówię cicho.

Unosi brwi. Chyba oboje jesteśmy zaskoczeni moją szczerością.

– Będziesz tego jutro żałować?

– Zapewne – odpowiadam.

Wraca wzrokiem do mojej nogi. Przez dłuższą chwilę wodzi dłonią w górę i w dół. Spinam się za każdym razem, gdy jego palce znajdują się na moim udzie.

– W jaki sposób człowiek dobiera sobie partnera? – pyta nagle.

Najwyraźniej Ruth i Rob nie dają mu spokoju.

– Przede wszystkim – mówię – nie nazywamy ich partnerami. Cóż, przynajmniej nie zazwyczaj. Mamy różne inne nazwy, takie jak chłopak i dziewczyna, mąż i żona, bratnia dusza, druga połówka.

Mruży oczy w sposób, który podpowiada, że bierze moje słowa zbyt poważnie. Cały czas przesuwam dłonią po mojej nodze. W górę i w dół. Przy siódmym takim ruchu czuję ucisk w podbrzuszu, a moje sutki stają się twarde jak kamyki.

Wie, do jakiego stanu doprowadza mnie jego dotyk?

– A jak znaleźć sobie... drugą połówkę?

Klepię dłonią powierzchnię wody – wszystko, by oderwać się od uwagi Zarazy. To i tak już kłopotliwe dla moich hormonów, ale w świetle tematu, na który rozmawiamy... Cóż, on przypomina mi, że to samotny świat, a ta dziewczyna nie miała nikogo przez bardzo długi czas.

– Nie wiem – odpowiadam. – Chyba po prostu. Tak naprawdę nie jest

istotne, jak, gdzie i kiedy kogoś poznasz. Chodzi raczej o to, jak się będziesz przy tej osobie czuł.

– A jak powinienem się czuć?

Ton jego głosu sprawia, że obsypuje mnie gęsia skórka i mimowolnie na niego zerkam.

Błąd.

Jego oczy błyszczą w sposób, który zdecydowanie nie pomaga mojemu sercu. Wciąż patrzę na jego nagi tors, jego umięśnione ciało jest miłe dla oka.

Skup się, Burns.

– Eee... powinieneś czuć się z nią dobrze. – Wodzę palcami po powierzchni wody. – Ale spotkanie się z kimś, posiadanie chłopaka czy dziewczyny, nie jest tym samym, co mieli Ruth i Rob. Oni byli bratnimi duszami, a z tego, co wiem, tacy wyciągają z siebie to, co najlepsze. – W przeciwieństwie do moich byłych, którzy budzili we mnie wszystko, co najgorsze.

– Tacy ludzie pragną być ze sobą cały czas – dodaje Zaraza, łącząc to z naszą wcześniejszą rozmową. Patrzy na mnie, jakby go właśnie olśniło.

– No tak – zgadzam się. Nie wiedziałam, jak pilnie mnie słuchał. – Wydaje mi się, że gdy znajdziesz kogoś takiego, chcesz spędzić z nim cały dany ci czas.

– A skąd wiadomo, że... znalazło się taką osobę? – naciska, patrząc mi w oczy.

Posyłam mu beznadziejne spojrzenie.

– Nie mam zielonego pojęcia. Nigdy nie spotkałam mężczyzny, przy którym bym się tak czuła.

Kłamczucha, szepcze zdradziecki głosik w mojej głowie. Ta rozmowa zbliża się niebezpiecznie do okropnej niezręczności.

Zaraza krzywi się na tę odpowiedź.

Zabieram stopę z rąk jeźdźca, zmieniając pozycję, przez co patrzy na moje odsłonięte piersi.

Wygląda na całkowicie nimi zafascynowanego.

Nie jest tak źle być pierwszą kobietą, z którą miał do czynienia ten

koleś. Moje ciało nie jest idealne, mimo to patrzy na nie, jakby wyszło spod ręki mistrza.

Co by się stało, gdybym poddała się temu spojrzeniu?

Może ci na nim zależeć. Możesz go nawet kochać, wracają do mnie słowa Ruth.

To nie jest miłość, ale jest to *coś*.

Pod wpływem impulsu, przesuвам swoje śliskie ciało na jego uda.

Nie myślę o tym, co robię.

Przysuwam się i całuję go w usta.

Kładzie dłonie na moim tułowiu, kciukami wodzi pod moimi piersiami, ale nic więcej. Tłumię jęk zniecierpliwienia. Przesunięcie się na jego kolana powinno być dostatecznym sygnałem na to, że chcę posunąć sprawy naprzód, ale Zaraza nie rozumie takich wskazówek, a nawet gdyby pojmował, jestem pewna, że jako szlachetny jeździec i tak nie dałby się skusić.

Będę musiała przejąć prowadzenie.

Biorę go za dłonie i kładę je sobie na piersiach.

Gwałtownie wciąga powietrze.

– Saro...

– Możesz mnie dotykać – mówię. – Chciałabym, byś mnie dotykał.

Jego ręce pozostają nieruchome.

Okej, jeśli nie zrobi niczego w ciągu kilku następnych sekund, mogę umrzeć z upokorzenia.

– Proszę – wymyka mi się niechcący.

Och, na miłość boską...

Zaraza jęczy.

– Nie powinienem – mówi wpatrzony w moją klatkę piersiową. – Nie, kiedy wypowiadasz to słowo i gdy oferujesz mi swoje ciało. Ale najwyraźniej... nie potrafię... ci się oprzeć.

Chwała Ci, Panie. Niemal szczytuję z powodu jego dłoni na moich piersiach.

– Nie wyobrażałem sobie, że będą tak miękkie – mamrocze. Patrzy na nie jak trzynastolatek, który po raz pierwszy odkrywa świerszczyki ojca.

Zaraz przysuwa się i bierze jeden sutek w usta. Sapię zszokowana na to uczucie. Dotyka mnie żołądź jego członka, który wydaje się twardy jak skała. W moim umyśle pojawia się nagle sporo brudnych myśli.

Jakby to było, gdyby we mnie wszedł? Ogarnia mnie wielka potrzeba, by się przekonać. Oboje gramy w bardzo niebezpieczną grę. A właściwie tylko ja w nią gram. Zaraza zapewne nie jest nawet świadomy, że bierze w niej udział.

Zwolnij, jeśli nie dla swojego dobra, to dla niego.

Przesuwa swoje dłonie niżej, gdy się odsuwam i wracam na swoją stronę wanny. Na jego twarzy wciąż widać pożądanie i wygląda, jakby się zastanawiał, czy się na mnie nie rzucić.

– Nie powinniśmy tego robić – mówię, w pełni świadoma, że daję mu sprzeczne sygnały. – Przynajmniej nie tutaj – dodaję, jakby to miejsce było w jakiś sposób święte, kiedy dosłownie chwilę temu gówno mnie to obchodziło.

– Dlaczego przejmujesz się zmarłymi? – pyta. – Są już ponad takimi sprawami.

Racja.

Mimo to mi się nie spieszy.

Biorę go za rękę i przyciskam ją do swojego policzka. Nieco pożądania ulatuje z jego oczu. Ciągnie mnie do siebie, ale zamiast kontynuować nasze zaloty, po prostu mnie trzyma. W jakiś sposób, pomimo tego, co robiliśmy jeszcze chwilę temu, jego uścisk jest czuły, błogi.

Dla niego to również trudne, przypominam sobie. Wciąż ma to swoje zadanie, ale rozumie jego grozę, a teraz i stratę.

Mimo to daje mi ukojenie. Przywieram do niego i pozwalam się tulić. Przyciąga do siebie moją głowę, czuję, że całuje mnie we włosy. Nie wiedziałam nawet, że tego potrzebowałam, ale tak właśnie jest.

– Spokojnie, Saro.

I straszna prawda jest taka, że w jego ramionach jestem spokojna.

ROZDZIAŁ 36



Kiedy opuszczamy dom starszej pary, w okolicy panuje cisza, a w powietrzu unosi się słaby zapach. To śmierć szykująca się na dłuższy pobyt. To cholernie denerwujące.

Pada, gdy wyjeżdżamy – co nie jest wcale zaskakujące, zważywszy na to, że podróżujemy wzdłuż północno-zachodniego wybrzeża Oceanu Spokojnego, miejsca, gdzie rodzą się burze.

Kiedy jesteśmy sami, możemy udawać. Zaraza może być moim wspaniałym, szlachetnym rycerzem, a ja mogę być jego dziwną towarzyszką, ale gdy znów znajdujemy się na otwartej drodze, gdzie niemożliwe jest ignorowanie znaków apokalipsy, oboje pamiętamy, jaka jest rzeczywistość.

Po raz milionowy próbuję zachować nadzieję, że moim rodzicom nic nie jest. Pogodziłam się z faktem, że już nigdy ich nie zobaczę, ale teraz, po śmierci Ruth i Roba, uświadamiam sobie, że mamę i tatę mógł spotkać ten sam los. I ta możliwość okropnie mnie przeraża, więc wybieram nadzieję, że udało im się ujść przed Gorączką.

Zaraza spina Trixiego Skillza do cwału, zmuszając niestrudzonego konia do ciągłego biegu. Właśnie w ten sposób wjeżdżamy do Seattle – z domami i latarniami ulicznymi, niedawno porzuconymi stajniami i długimi, pustymi witrynami sklepowymi, które rozmywają mi się przed oczami.

Doceniam tę szybkość. Skupiam się na koniu, nie chcąc zastanawiać

się, jakie paskudne powitanie czeka nas w jednym z największych miast Stanów Zjednoczonych. Mimo rozproszenia uwagi nie potrafię zmusić mojego ciała, by się odprężyło. Mięśnie mam spięte niemal do granic bólu, a moje kończyny się trzęsą – zarówno z powodu straszego chłodu, jak i rosnącego niepokoju.

Im dłużej jedziemy spokojnie – bez żadnych akcji – tym bardziej się boję. W zasięgu wzroku nie ma żywej duszy. Ani jednej wystraszonej duszyczki.

Dopiero gdy niskie, zniszczone budynki i nieczynne centra handlowe ustępują wyższym, rozsypującym się wieżowcom, zdaję sobie sprawę, że coś jest nie tak. Naprawdę nie w porządku. Ewakuowane miasta nie są tak puste, a zwłaszcza te duże. Zawsze można się na kogoś natknąć.

– Gdzie są wszyscy? – pytam.

Zapewne czekają z zasadzką, Burns.

Za moimi plecami Zaraza milczy, jakby zamyślony. Znów odczuwam lęk. Czy coś się zmieniło, gdy przebywaliśmy w domu Ruth i Roba? Czy Bóg dał sobie spokój i stwierdził, że nikt z nas nie jest wart odkupienia?

Jeśli byłaby to prawda, Einsteinie, też byś nie żyła.

W końcu zauważam mężczyznę z postrzępioną brodą i brudnymi brązowymi włosami, siedzącego pod ścianą wieżowca. Czuję dziwną ulgę na sam widok innej ludzkiej istoty, ale zaraz orientuję się, że tu wciąż coś jest bardzo nie tak. Na twarzy człowieka, który z apatią wpatruje się w ulicę, dostrzegam kilka otwartych ran.

– Zatrzymaj konia. – Jestem zaskoczona własną stanowczością.

Zaraza pociąga za lejce, a Trixie przystaje. Zsuwam się z siodła i biegnę do mężczyzny.

Nawet z odległości kilku metrów śmierdzi zgnilizną i płynami ustrojowymi. Nie przesuwam wzrokiem po ulicy.

Jest martwy. To moja profesjonalna ocena.

Ale kiedy przykładam dwa palce do jego szyi, wyczuwam słaby puls.

Odchylam się.

Cholera, on wciąż żyje.

Ale nie potrwa to długo.

Lśniące od gorączki oczy patrzą w moje, a usta rozchylają się odrobinę.
– Pomóż.

Ściska mi się żołądek. Nie mam serca powiedzieć mu, że w tej chwili nie mogę już nic zrobić.

Zamiast tego wracam do Trixiego i biorę kilka leków przeciwbólowych, które wzięłam od Ruth i Roba, oraz manierkę z wodą.

Kiedy wracam do mężczyzny, pokazuję mu tabletki.

– Nie wyleczą cię – wyjaśniam – ale złagodzą ból.

Otwiera z wysiłkiem usta, zbyt zmęczony, by wyciągnąć rękę po lekarstwo. Kładę mu je na języku, po czym unoszę manierkę do jego ust. Za sobą słyszę niespokojne rżenie rumaka, a na plecach czuję palący wzrok Zarazy.

Mężczyzna przełyka kilkakrotnie, niemal się przy tym krztusząc. Mam zamiar się podnieść, gdy zaskakująco mocno chwyta mnie za rękę. Rozgorączkowany wzrok skupiony jest na mnie.

– Widzę go – mówi.

Marszczę brwi.

– Kogo?

Nie powinnam go zachęcać. Przez plagę ma zapewne halucynacje, a jego niechlujny wygląd sugeruje, że być może nie był w pełni zdrowy, zanim zachorował na Mesjanistyczną Gorączkę.

– Skrzydlatą Śmierć – syczy.

Staram się nie przerażać, ale i tak mam gęsią skórkę. To piąty rok Ery Jeźdźców. Nadprzyrodzone siły istnieją i są gniewne.

Śmierć wciąż śpi.

Ściskam dłoń mężczyzny i odsuwam się, by wrócić do Zarazy, który czeka na mnie, wciąż siedząc na swoim wierzchowcu.

– Idzie po mnie! – krzyczy za mną człowiek. – Idzie po nas wszystkich... – Jego słowa zostają przerwane kaszlem.

Patrzę Zarazie w oczy.

– Byłeś tu już – mówię.

Prawda wypisana jest na ciele umierającego mężczyzny.

Jeździec pochyla głowę.

– Przejechałem tędy kilka nocy temu – przyznaje. – Nie chciałem powtórki z Vancouver.

Nie wiem, jak się z tym czuć. Chyba powinnam być wdzięczna. Wiem, że zrobił to bardziej dla mojego dobra niż swojego. Ale jaka osoba mogłaby być wdzięczna za śmierć, która spadła na tych ludzi zbyt wcześnie?

Oszołomiona, wsiadam na rumaka.

Jedziemy przez Seattle, cisza miasta dociera aż do moich kości. Wiatr niesie kilka kartek. Zerkam na jedną. *Natychmiastowa ewakuacja*, wypisano czerwienią z przodu.

Przez to miejsce mam ciarki. Można wyczuć tu Śmierć – jego dłoń przyciśniętą do murów miasta, jego cień przyćmiewający słońce. Widzę jeszcze kilka osób – niektóre oparte o ściany, jak tamten człowiek, inne leżące na środku drogi, jakby ich ciała poddały się, nim dotarli do swojego celu. W podmuchu wiatru wyczuwam woń zgnilizny.

Przy każdej z tych osób zatrzymuję Zarazę, bym mogła pomóc – jeśli oczywiście jeszcze żyją. Większość jest martwa.

Dźwięk kopyt Trixiego odbija się echem od budynków, gdy przemierzamy puste ulice.

– Myślałam, że będzie więcej... ciał – mówię w końcu.

Może to makabryczne, ale wiedząc, że Zaraza był tu kilka dni temu, spodziewałabym się, że śmierć będzie dosłownie wszędzie. Setki, jeśli nie tysiące ludzi, którzy zostali w tym wielkim mieście. Gdzie są ciała?

– Ludzie wolą umierać w cichych zakątkach – mówi jeździec.

Na jego słowa mrowi mnie skóra. Przesuwam wzrokiem po górujących nad nami wieżowcach. Logicznie rzecz ujmując, wiem, że już nikt nie mieszka tak wysoko – windy przestały działać dawno temu – ale mimowolnie zastanawiam się, jak wiele martwych osób tkwi w tych budynkach. Ciał, które będą gniły i śmierdziały, zakazając przez Bóg wie jak długo.

Zaraza zaciska palce i cmoka na konia. Trixie zaczyna cwałować, budynki rozmazują mi się przed oczami.

Przed nami znajduje się kolejne ciało, ale jeździec nie zamierza

zwalniać.

– Zara...

– Wystarczy, Saro. Nie możesz pomóc wszystkim.

Oczywiście, że nie mogę. Próbowałam, przez co znalazłam się tutaj w towarzystwie znającego sztuczki konia i jego tragicznego, potwornego pana.

Żołądek mi się ściska, gdy mijamy kolejną osobę – starszą kobietę.

Wygląda na martwą, zapewniam samą siebie.

Ale nie wszyscy się tacy wydają. Niektórzy jęczą, gdy ich mijamy. Błagają o pomoc lub śmierć. Ta bierność rani mnie głęboko, fundamentalnie.

Nie robię jednak nic. Opuszczamy Seattle i straszną lodowatą burzę, aż nie pozostają niczym więcej, jak tylko cieniem za naszymi plecami.

ROZDZIAŁ 37



Następny tydzień to pasmo żałosnych dni, kiedy przemieszczamy się na południe – z Seattle do Tacomy i Olympii, przez niekończący się miejski krajobraz, przez który wciąż jestem podenerwowana.

Większość domów, w których koczujemy, jest pusta, choć w jednym z budynków znaleźliśmy nieżywą właścicielkę w łóżku, a jej ciało składało się z samych ran.

Kiedy przemierzamy centra miast i widzę martwych i umierających ludzi na ulicach, zaczynam rozumieć, że jeździec zostawia mnie nocami, gdy zasypiam, i pędzi, by rozsiewać plagę. Nie rozmawiamy o tym, ale nie musi mi mówić, skoro mam dowody przed oczami.

Kiedy zostawiamy za sobą Olympię, a zniszczone budynki zostają zastąpione przez pola i lasy, ponownie mogę oddychać.

Chata, w której zatrzymujemy się tej nocy, to typowa miejscówka kawalera. Na ścianach znajdują się plakaty drużyn sportowych i nagich kobiet, wszędzie też są loga lokalnych browarów. Rzeczy sprzed przybycia jeźdźców.

Gustownie.

Zaraza przygląda się temu z mieszaniną ciekawości i odrazy.

Przynajmniej właściciel się ulotnił. Być może koleś lubił duże balony, ale miał na tyle rozumu, by wynieść się stąd, nim do jego drzwi zapukał Żniwiarz. Dosłownie.

Zapalam świece i lampy naftowe, które udało mi się znaleźć,

i przechodzę do kuchni. Niestety, nasz kawaler ma tu tylko słoiki z burakami (Serio, stary? Buraki?), jakieś tłuste resztki w skrzyni z lodem, którymi z pewnością bym się zatruiła, sos tabasco i morze browarów. Fantazyjne piwa, puszki, butelki, a nawet krachle sprzed przybycia jeźdźców.

Chyba wiem, co będzie na kolację.

Kiedy grzebię w zapasach, Zaraza nie rozpala ognia, ale idzie na tyły domu, gdzie znajduje się wielki balkon z widokiem na las iglasty otaczający posiadłość.

Zbierając rzeczy w kuchni, obserwuję go. Przez cały dzień był milczący. Właściwie, gdybym nie wiedziała lepiej, stwierdziłabym, że był... melancholijny.

Trudno współczuć sile, która niszczy świat, mimo to właśnie tak się teraz czuję. Jeździec siada na skraju balkonu, nogi zwisają mu pomiędzy szczeblami balustrady. Nie potrafię wyczytać emocji z jego szerokich pleców, ale mam przeczucie, że w jego głowie szaleje burza.

Biorę swój łup i kieruję się na zewnątrz. Chłodny wiatr rozwiewa mi włosy, niosąc ze sobą woń sosen. Siadam obok Zarazy i podaję mu butelkę otwartego piwa. To był długi dzień, a złoty napój jest dobry na wszelkie bolączki.

– Nie podoba ci się zabijanie ludzi, co? – pytam.

To głęboka myśl, ale... sama nie wiem, Zaraza wydaje się... przygnębiony.

Marszczy brwi, patrząc na linię drzew.

– Nie chodzi o to, co mi się podoba.

Ale o wykonanie zadania.

– Nie musisz tego robić – mówię bardzo cicho.

– A co ty możesz wiedzieć o moich możliwościach? – Patrzy na mnie z surowym wyrazem twarzy.

– Wiem, że je masz – odpowiadam.

Wszyscy je mamy. Nawet ja. Właśnie dlatego mam wyrzuty sumienia pomimo faktu, że cała ta sytuacja została mi narzucona. Ponieważ byłam zadowolona, kiedy nie powinnam.

– Mam? – pyta wyzywająco, jakby był przekonany, że tak naprawdę o niczym nie mam pojęcia. Spogląda na butelkę w swoich dłoniach, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że ją trzyma. – Co niby mam z tym zrobić? – pyta, unosząc ją.

Wzruszam ramionami.

– Wypij, wylej, zagraj melodię, dmuchając w krawędź. Mam to gdzieś – odpowiadam, unosząc swoją butelkę do ust.

Skończyłam z udzielaniem mu rad, on i tak zawsze postępuje odwrotnie.

Gniew znika z jego twarzy, pozostawiając ponury wyraz. Przygląda mi się tymi smutnymi niebieskimi oczami, po czym patrzy przed siebie. Po chwili unosi piwo do ust i upija spory haust. Krzywi się z powodu smaku, ale znów pociąga długi łyk z butelki.

Opuszcza ją.

– Nie mogę pozwolić, by moje uczucia zagroziły wykonaniu zadania. – *Oczywiście, że nie może.* – Ale miło, że się nimi przejmujesz, bez względu na motywy – dodaje.

Nastaje cisza, którą wypełnia jedynie wycie wiatru w koronach drzew.

Pocieram kciukiem szklaną szyjkę butelki.

– Kim naprawdę jesteś? – pytam, patrząc mu w twarz.

Jeździec ma rację, przejmuję się jego uczuciami. Zależy mi na nim, chcę go poznać i zrozumieć, dlaczego nie może odstąpić od wypełnienia swojego zadania. Może wtedy nabierze to dla mnie więcej sensu. Może wtedy przestanę na niego naciskać.

Marszczy brwi.

– To dziwne pytanie, Saro.

Zawsze wymawia moje imię z takim niespotykanym akcentem i za każdym razem przeszywa mnie niewielki dreszcz.

– Jestem Zaraza – odpowiada w końcu.

– Nie, to nie to, kim jesteś. To tylko... – Brakuje mi słowa. – ...twoje zadanie.

Pełne usta opadają w kącikach.

– Nie jestem taki, jak ci się wydaje – mówi zafrasowany. – Moja

przeszłość to seria wrażeń całkowicie oderwanych od tego ciała. A od kiedy przybyłem na Ziemię w tej postaci, jestem swoim zadaniem, a ono jest mną – to sedno mojej egzystencji.

Ale tak nie jest i nie było już od jakiegoś czasu. Zapewne odkąd jeździec mnie pojmał i zaczął doceniać te rzeczy, które niszczy.

I przez to się zastanawiam: czy Zaraza jest odporny na gniew Boga? Odkąd Ruth poruszyła ten temat, wciąż wracam myślami do tego pytania. To znaczy, Zaraza realizuje zadanie powierzone przez niebiańskiego Szefa, a mimo to... jego czyny obciążają jego sumienie. Teraz widzę to wyraźniej niż wcześniej. Istnieje w nim wahanie, nie jest już pewien, czy słusznie postępuje. Mimo że przysłał go Bóg, mimo że misję ma wypisaną na skórze, Zaraza się waha.

Biorę go za rękę i ściskam, po czym splatam z nim palce.

Patrzy na nasze złączone dłonie i wzdycha.

Spogląda mi w oczy.

– Moją ulubioną rzeczą jest mój rumak.

Początkowo nie rozumiem, ale zaraz to do mnie dociera.

Rozluźniam się. Zaraza się stara. Próbuje mi o sobie opowiedzieć.

– Rumak, któremu nie chcesz nadać imienia? – dociekam.

– Rumak, któremu ty już nadałaś imię – poprawia. – Które zresztą jest okropnie niewłaściwe. – Popija piwo, wyraźnie zaniepokojony tym, że ma jakąś opinię i może ją wyrazić.

– Dlaczego to właśnie Trixie Skillz jest twoją ulubioną rzeczą? – naciskam.

Odstawia butelkę.

– Ponieważ jest wiernym, pewnym i stałym towarzyszem.

– To dobre powody – mówię.

– Traktujesz mnie protekcjonalnie – oznajmia.

– Wcale nie. – Naprawdę.

Musi wyczuwać, że mówię prawdę, bo przenosi uwagę na horyzont i ciągnie:

– Uwielbiam świt, narodziny dnia. Śnieg sprawia, że łatwiej patrzeć. Ludzkie jedzenie jest albo zaskakująco niedobre, albo zaskakująco

smaczne – unosi piwo – choć muszę przyznać, że czasami może być jednocześnie i takie, i takie. Przekonałem się, że ludzkie ubrania są szorstkie, lubię rozpalać ogień, a zasypianie jest dla mnie niepokojące, ale dziwnie przyjemne, gdy można kogoś tulić... – Czerwienię się. – A moją ulubioną osobą jesteś ty.

Moja twarz płonie w ciemności.

– Jestem jedyną osobą, jaką znasz – odpowiadam. Mogłabym być najbardziej beznadziejną osobą, a mimo to wciąż byłabym jego ulubioną.

– Poznałem wielu ludzi. Zapewniam cię, nie zdobyłaś tego tytułu walkowerem.

Nie wiem, co powiedzieć na takie pochlebstwo. Nie wspominając, że ilekroć Zaraza mówi coś takiego, moje ciało staje się pobudzone.

Nie znoszę stanu zauroczenia.

Ale to coś więcej i nie mogę udawać, że jest inaczej. Lubię sposób, w jaki on mówi, w jaki myśli. Lubię jego komplementy, jego uwagę. Podoba mi się jego waleczność i łagodność. Lubię go pomimo tego, że ma za zadanie zniszczyć świat – a to niezwykle niepokojące.

Patrzy na piwo.

– Nie chcę już mówić o sobie – oznajmia i spogląda na mnie.

– No co? – pytam.

– Twoja kolej, by o sobie opowiedzieć.

Cholera, no i nie mam wyjścia.

Pocieram kciukiem o szyjkę butelki.

– Wiesz już o mnie wiele. – Kiedy jechaliśmy, ciągle o sobie opowiadałam, aby wypełnić czymś ciszę. – Co chciałbyś jeszcze wiedzieć?

– Wyrecytuj kilka swoich ulubionych wierszy. Opowiedz więcej o życiu. To wszystko jest takie fascynujące.

I oto dowód, że ten koleś powinien częściej wychodzić z domu.

– To wcale nie jest fascynujące. Ja nie jestem fascynująca.

Nawet w mroku widzę, że Zaraza mruży oczy, przyglądając mi się.

– Naprawdę w to wierzysz?

Wierzę?

Jasne, miałam fajną pracę w straży pożarnej, ale co tak naprawdę

osiągnęłam w życiu prócz roboty i kolekcji książek?

Parskam szorstkim śmiechem.

– Tak.

– Więc się mylisz – stwierdza z tą swoją pewnością. – Wykazujesz współczucie nawet dla najgorszego ze swojego rodzaju. Udzielasz pomocy umierającym. Tak zaciekle się troszczysz. To nie są zwykłe cechy. A nawet nie zacząłem mówić o tym, ile naprawdę dla mnie znaczysz.

Dech więźnie mi w gardle.

– Udało ci się osiągnąć coś niewyobrażalnego: przebudziłaś moje serce. Zatem nie, Saro, ze wszystkich słów, którymi bym cię opisał, „fascynująca” zdecydowanie jest jednym z nich.

ROZDZIAŁ 38



***P**rzebudziłaś moje serce.*

I oto jest to, na czym tak bardzo mi zależało.

Przeszywa mnie dreszcz, gdy mu się przyglądam. Nie jest jedynym, na którego wpływa obecność drugiej osoby.

Mam ochotę się do niego przysunąć, gotowa na te wszystkie głupie i nierozważne rzeczy, ponieważ jestem zmęczona walką z samą sobą. Nim mam jednak szansę to zrobić, jeździec unosi dłoń i sunie nią po mojej ręce.

– Zmarzłaś – mówi. – Wybacz mi, Saro, pogoda nie wpływa na mnie w ten sam sposób. – Wstaje i podaje mi rękę.

Biorę piwo, pozwalam, by pomógł mi się podnieść, i wchodzę do środka, a moje ciało odczuwa ekscytację, która nie rozprasza się, gdy mój towarzysz idzie rozpalić ogień ani gdy przenoszę świece i lampy naftowe do salonu. Jediną rzeczą, która zdaje się mnie uspokajać, jest piwo... choć nie mogę stwierdzić, że pomaga ono w tej sytuacji.

Nie powstrzymuje mnie to jednak przed wyjęciem kolejnych dwóch butelek ze skrzyni z lodem – jednej dla mnie, drugiej dla Zarazy.

Kiedy wracam do salonu, ogień już płonie.

Podaję jeźdźcowi napój, mając niewielkie wyrzuty sumienia, że podsuwam mu takie rzeczy. Kiedy patrzę mu w oczy i znów zaczynam się denerwować, chwalebę Boga w całej Jego wielkości za to, że istnieje coś takiego jak alkohol.

Upijam spory łyk i siadam przy ogniu. Zaraza leży obok, podpierając się na jednym przedramieniu, świeże piwo stoi przed nim nietknięte. Przenosi wzrok z ognia na mnie, a płomienie tańczą w jego oczach.

– Myślałeś kiedykolwiek, że chciałbyś, by sprawy miały się inaczej? – pytam. – Żebyśmy nie byli śmiertelnymi wrogami?

– A co dobrego przychodzi z takich pragnień, Saro? – odpowiada.

Mam ochotę powiedzieć mu, że one wszystko zmieniają, ale zabrzmiałyby to tandetnie, jak coś, co mogli mawiać ludzie przed przybyciem na Ziemię czterech jeźdźców Apokalipsy, kiedy świat miał jeszcze sens. Marzenia nie napełnią nikomu brzucha, nie powstrzymają też pożaru domu. Nie sprawią, że pojedzie samochód, nie uratują nikogo przed plagą.

– Nie wiem – mówię w końcu. – Chciałabym tylko przestać się tak czuć. – Nienawidzę wyrzutów sumienia, które mnie pożerają. – Kiedy na ciebie patrzyłam, widziałam potwora. – Pięknego, ale jednak potwora. – Ale już go nie widzę.

– A co widzisz, gdy na mnie patrzysz?

Zamiast odpowiedzieć przysuwam się i miękko go całuję. Wydaje się z tego zadowolony, bo kładzie dłoń na moim policzku.

Delikatnie go popycham, aż ląduje plecami na podłodze. Pociąga mnie za sobą, więc przywieramy do siebie.

Ponownie odnajduję jego usta i nagle nie czuję żaru ognia wyłącznie na plecach. Jest pode mną, we mnie, przenika moje żyły.

Odsuwam się i wodzę palcami po twarzy jeźdźca. Jest naprawdę piękny z tymi wysokimi kośćmi policzkowymi, mocną zuchwą i niewinnymi oczami.

– W tej chwili – mówię, w końcu odpowiadając na jego pytanie – widzę człowieka.

Człowieka, którego pragnę całować, dotykać, w którym chcę się zatracić.

– Jestem ponadczasowy, Saro.

Jeśli powinno to mieć jakikolwiek sens, nie pojmuję go. Może w ten sposób sprzeciwia się mojej odpowiedzi. Nieważne.

Powracam do jego ust i zatracam się w pocałunku. Może i jest ponadczasowy, może jest bardziej siłą natury niż człowiekiem, ale tak naprawdę mam to gdzieś. Zaraza to Zaraza i chyba tylko to się w tej chwili liczy.

Jego twarde ciało idealnie pasuje do mojego, a jego dotyk sprawia wrażenie, jakby stworzono go specjalnie dla mnie. Sięgam do pasów jego zbroi, beznadziejnie nieświadoma, jak się je rozplata. Jeździec nakrywa moją dłoń swoją i na chwilę kurczy mi się żołądek.

Chce mnie powstrzymać.

Zamiast tego odsuwa moje palce i sam zdejmuje swój napierśnik. Szybko pozbywa się reszty elementów zbroi, aż wszystko leży porozkładane wokół nas.

Problem polega jednak na tym, że choć zniknął z niego cały ten metal, wciąż muszę uporać się z ubraniem.

Ale im dłużej potrwa rozbieranie, tym większe będzie podniecenie...

Przygląda mi się ze zdumieniem, gdy chwytam za brzeg jego koszulki i ciągnę, by zdjąć mu ją przez głowę.

Wspaniały mężczyzna. Mogłabym wpatrywać się w niego godzinami, próbując zapamiętać każdy skrawek tej pięknej skóry.

Łagodnie sięga do mojej kurtki i pomaga mi ją zrzucić. Oboje szybko rozprawiamy się z warstwami ubrań, aż leżę tylko w jeansach i biustonoszu. Zsuwam ramiączka, po czym sięgam do tyłu i rozpinam stanik.

Zaraza wpatruje się w moją nagą klatkę piersiową, a ja umieram z ciekawości, o czym myśli. Unosi dłonie i czule pieści moje piersi. Czuję ciepło. Może twierdzić, że nie jest człowiekiem, ale jest równie podniecony jak ja.

Przysuwam się i całuję go w pierś, zaraz przy jednym z anielskich napisów.

– Co oznacza? – pytam, a mój oddech owiewa tajemnicze słowo.

Patrzy dziwnie.

– Zaraza.

Jego imię.

Przenoszę uwagę niżej, gdzie sznur złotych liter niknie przy jego pasie. Wcześniej widziałam już całość, ale nie miałam jeszcze szansy przyjrzeć się dokładnie. Nawet teraz część pozostaje skryta przed moim wzrokiem.

Przenoszę rękę na jego spodnie. Zaraza chwyta mnie za nadgarstek, jego pierś unosi się z oczywistym pożądaniem.

Wydaje mi się, iż wie, że to coś innego. Dzisiejszy wieczór jest wyjątkowy. Czym innym jest całowanie i podziwianie – a nawet dotykanie – czym innym domaganie się czegoś takiego.

Wpatruje się we mnie przez chwilę, która zdaje się wiecznością, następnie podejmuje jakąś decyzję i wstaje.

Mam wrażenie, że zostałam odrzucona.

Ale jest wręcz przeciwnie.

Zaraza zdejmuje buty, a potem zatrzymuje ręce przy spodniach. Waha się tylko przez chwilę, nim je rozpina. Przez cały czas na mnie patrzy.

Zsuwa je, pozostając cudownie nagim, jakim się urodził... eee, jakim go stworzono.

Naprawdę trudno patrzeć na tę jego doskonałość w świetle ognia, który sprawia, że jego skóra lśni niczym stare złoto, a jego tatuaże połyskują jeszcze mocniej.

Przygląda mi się z tą samą intensywnością.

– Nie wyznałem ci całej prawdy, Saro.

Patrzę na niego pytająco.

– To znaczy?

Przez chwilę słyszę tylko trzask palącego się drewna.

Wygląda, jakby podejmował jakąś poważną decyzję, ale w końcu bierze wdech.

– Tamtego dnia w lesie, gdy cię znalazłem, zamierzałem cię zabić.

Spora dawka mojego pożądania zostaje stłumiona tym wyznaniem. Nic tak nie psuje romantycznego nastroju jak nowina, że twój postapokaliptyczny chłopak chciał cię wcześniej zamordować.

Siadam na piętach.

– Dlaczego się rozmyśliłeś?

Kłęka przede mną.

– Światło, które przesączało się nocą pośród drzew, rzucało dziwne cienie na twój namiot, a jednym z nich był ten. – Bierze mnie za rękę i kładzie ją sobie na miednicy, zaraz nad złotymi zawijasami. Potrzeba sporo wysiłku, by patrzeć na jaśniejący napis i nie spuścić wzroku niżej.

Głaszczę jego skórę.

– Co oznacza?

– Miłosierdzie – szepcze.

Przeszywa mnie dreszcz, wywołując gęsią skórę.

– Więc mnie nie zabiłeś – mówię, patrząc mu w oczy.

– Więc cię nie zabiłem – zgadza się, a ogień odbija się w jego oczach.

Przez cały ten czas nienawidziłam Boga, choć to On (lub Ona – nie poruszajmy sprawy płci) powstrzymał jeźdźca przed zabiciem mnie.

A teraz znajdujemy się w tej sytuacji.

Przenosi ręce na moje jeansy.

Waha się, zapewne czekając, bym zmieniła zdanie. I może po tym jego wyznaniu powinnam to zrobić.

Ale trwam niewzruszenie.

Unoszę miednicę, by mógł mi zdjąć spodnie.

Robi to, z pietyzmem przyglądając się odsłanianej skórze. Wodzi palcem wzdłuż krawędzi niezbyt dopasowanych majtek.

– Chciałem być przekonany o ludzkiej deprawacji... – mamrocze pod nosem – ale zamiast tego mam to.

Wsuwa palec pod gumkę i zsuwa mi bieliznę. Znika ostatecznie dzielące nas ubranie.

Poruszając się niezwykle wolno, układa się na mnie. Niemal wzdycham, gdy czuję jego ciężar i ciepło. Kładę ręce na jego plecach i przesuвам palcami po grubych mięśniach. Przyciągam go bliżej, czując między nami jego członek.

Zaraza Zwycięzca nie dokonał jeszcze cielesnego podboju. Aż do teraz.

Chwyta jedną z moich nóg i unosi ją nieprzyzwoicie. Patrzy pomiędzy nas i choć jestem pewna, że po prostu ciekawi go, jak ustawia się nasza anatomia, jego wzrok opada na moje łono i tam pozostaje.

Cokolwiek tam widzi, jego penis drga.

Wkładam rękę między nasze ciała, obejmuję go, przez co jęczy.

– Saro, to... nie do opisanania.

A nie dotarliśmy jeszcze do najlepszego.

Prowadzę go ku sobie. Przez chwilę się nie rusza, chłonąc tę chwilę.

– Proszę – mówię w końcu. Naciskam dłońmi na jego łądźwie, zachęcając go.

– Proszę – powtarza, parszkając zbolalym śmiechem. – Powinienem ci odmówić, ale nie mogę.

Oddycha szybciej, jego niebieskie oczy przeszywają mnie, gdy we mnie wchodzi.

Oddycham, kiedy zaczyna mnie wypełniać. Wydaje się... patetyczny.

Jest we mnie tylko częściowo, ale zamiera, opierając czoło o moje ramię.

Wypuszcza urywany oddech, następnie unosi głowę i patrzy mi w twarz, przy czym wchodzi we mnie głębiej, tym razem z wyrazem uniesienia. Jego wzrok się rozpala, aż w pełni się we mnie znajduje.

– To cierpienie – mówi – Wspaniałe cierpienie.

Boże, ma rację. To miejsce, w którym spotykają się ból i rozkosz.

Unoszę ręce do korony, która w jakiś sposób została na jego głowie. Ostrożnie ją zdejmuję.

Śledzi moje ruchy, ale nie protestuje.

Nie wierzę, że jest we mnie.

Jeśli wcześniej zapierał dech w piersi, teraz, gdy jest tak blisko, niemal nie mogę na niego patrzeć – czuję, jakbym próbowała przyglądać się słońcu.

Powoli ze mnie wychodzi, a następnie wraca. Jęczy.

– Nie mogę znieść tego wrażenia... Z pewnością będzie mnie prześladować do końca moich dni.

Zaczyna powoli, delektując się każdym ruchem bioder, jak dobrą czekoladą. Ale, jak w przypadku słodkości, smakowanie prowadzi do zwiększonego apetytu. Tempo przyspiesza, więc wkrótce nie robi tego łagodnie, lecz pieprzy mnie szaleńczo, trzymając za biodra, przyciągając bliżej, bliżej...

Wpatruje się we mnie, jakby nigdy nie doświadczył czegoś tak wspaniałego.

– Saro, jestem... w tobie. Jestem częścią ciebie.

Z trudem przełykam ślinę.

Pomysł, że może poruszyć we mnie coś tak intymnego – choćby w najbardziej fizycznym sensie – powinien mi przeszkadzać, ale zdecydowanie tak nie jest.

Zasadniczo wszystko w tej chwili wydaje się boleśnie właściwe, jakbym od zawsze do niego należała.

Kładę dłoń na jego policzku.

– Jesteś.

Tłumię jęk, gdy się we mnie porusza, a nasze ciała wydają dźwięki, kiedy się stykają.

Opiera czoło o moje.

– Pragnąłem być tak blisko ciebie – wyznaje. – Tak blisko, by poczuć na skórze bicie twojego serca.

Kładę dłoń na jego piersi, tuż nad mostkiem. Czuję pod dłonią trzepot.

Zaraza zamyka oczy. Kiedy je otwiera, błyszczy w nich tak wiele emocji.

– Nie chcę kończyć.

Ja również nie chcę, byś to robił.

Posyłam mu czuły uśmiech.

– Nie musisz jeszcze.

Wpatruje się, jak wiję się pod nim. Ściskam go mocno, zmuszając, by wszedł jeszcze głębiej.

Jęczy na to uczucie, gardłowy dźwięk wzmaga moją rozkosz.

Czuję rosnące podniecenie...

– Boże – szepczę. Chciałabym wytrzymać dłużej. – O Boże, Boże, Boże...

Jeździec zamiera, wpatrując się we mnie z troską.

– Nie przerywaj – błagam.

Wznawia mocne ruchy i...

O Boże!

Jęczę głośno, gdy nagle dopada mnie orgazm. Wyginam plecy, kiedy przedziera się przeze mnie oślepiająca fala.

Zaraza wchodzi we mnie głęboko, zmierzając na szczyt. Unosi brwi, wpatrując się we mnie we wspaniałym szoku, docierając do własnego punktu kulminacyjnego.

Czuję jak jego członek pęcznieje, po czym z głębokim jękiem jeździec dochodzi we mnie. Moje ciało drży.

Patrzy na mnie z entuzjazmem, gdy siła jego uwolnienia powoli maleje.

– To było... – dodaje słowo, które opływa moją skórę, i czuję, jakby był tu z nami sam Bóg.

Cokolwiek znaczyło to słowo, musiał powiedzieć je w języku aniołów.

– Co oznaczało? – pytam, świadoma jego niechęci do podzielenia się ze mną ojczystym językiem.

Patrzy na mnie znacząco.

– Niebiańskie. To było niebiańskie.

ROZDZIAŁ 39



Zapamiętać: Zaraza nie bawi się w przygodny seks. Szybkie numerki prawdopodobnie nie są dla niego. Choć, prawdę mówiąc, seks w żadnej postaci nie jest dla niego. A przynajmniej nie był, póki nie sprowadziłam go na złą drogę. Nie wiem, czy mam być z siebie dumna. Czy może czuć się podle.

Chyba, jeśli mam być szczerą, czuję się i tak, i tak.

Wiem też, że nie będzie traktował tego jako błahostkę.

Kiedy wczoraj skończyliśmy, wziął mnie do łóżka. Nie pamiętam za wiele, prócz ciepła przyciskającego się do moich pleców i tulących mnie rąk. Dwukrotnie obudziły mnie jego wędrujące wargi, a po chwili, znów znalazł się we mnie, pieprząc, aż wykrzykiwałam jego imię.

Ale nie to było złe. Nie narzekałam. Chodzi jednak o wszystko, co wydarzyło się od tamtej pory.

Na przykład o to, że przyniósł mi śniadanie do łóżka – rzeczy, które zapewne wziął z jakiegoś innego domu, bo tutaj nie było żadnego boczku ani jajek. No i nie wiedziałam, że potrafi gotować.

Mógł kogoś zmusić do przygotowania ci tego śniadania.

Odsuwam od siebie tę myśl, nim zacznę sobie wyobrażać prowadzący do czegoś takiego scenariusz.

Przez cały ranek skrada mi też buziaki lub wyznaje to wszystko, co słyszałam tamtej nocy, gdy „spałam”.

To oczywiście miłe, aż serce mi rośnie, a w brzuchu trzepoczą te

idiotyczne motyle, ale przecież w nocy miał miejsce szybki, ostry seks, i tyle.

Absolutnie nic więcej.

Długo po tym, jak zostawiamy za sobą chatę kawalera, przekształconą na nasz domek schadzek, i recytuję Zarazie trochę wierszy Poe'go (*Ach, czy wszystko, co się zda, jak sen we śnie jeno trwa?*^[7]), wydaje mi się, że nieco jego uwielbienia dla mnie przeminęło.

Aż prowadzi nas do kościoła.

Wpatruję się bez zrozumienia w budynek, w jego szpiczastą dzwonnice i napis głoszący: *Wybrany przez Boga nigdy w pełni nie umiera.*

– Co robisz? – pytam.

– Saro, oddałaś mi się całkowicie. Chcę pokazać ci swoje zaangażowanie.

Marszczę nos, ponieważ nie rozumiem. Mija kilka niedorzecznie długich sekund, nim to do mnie dociera. Ale...

Chce... chce... się ze mną ożenić? Po ubiegłej nocy?

Cholera jasna! To znaczy, wiem, że nie jestem kiepska w łóżku, ale przecież nie jestem aż tak dobra.

Patrzę na niego przez ramię.

– Czy to oświadczyły z litości?

Mruży oczy.

– Nie rozumiem.

Wzdycham, ponownie patrząc na kościół. Naprawdę wątpię, czy jest tam jakiś kapłan, który mógłby przeprowadzić ceremonię...

Dlaczego w ogóle o tym myślę?

– Nie chcę cię poślubić – mówię.

Mija dłuższa chwila ciszy.

– Dlaczego nie? – pyta obrażony. – Wstydzisz się mnie?

– Co? – Jestem całkowicie zdezorientowana. Ponownie na niego patrzę.

– Wiesz, ludzie tak po prostu się nie... – Pobierają.

Ale wielu z nich przecież to robi – ludzie, którzy znali się krócej niż my, i z mniej istotnych powodów, niż „pieprzyłem cię, więc jesteś moja”.

Chodzi jednak o to, że ja, Sara Burns, potrzebuję nieco więcej

motywacji, nim wyjdę za przekłętą jeźdźca Apokalipsy.

– Dlaczego chcesz mnie poślubić? – pytam.

Nigdy nie wyobrażałam sobie prowadzenia takiej rozmowy.

– Oddałaś mi się, a ja tobie – mówi Zaraza. – Jesteś moja, umysłem, duchem, ciałem.

Ech. Zdecydowanie mam tu do czynienia ze Starym Testamentem. Zaraza zapewne będzie się spodziewał dwóch krów i czterech kóz od mojego ojca.

– Tylko dlatego, że jestem pierwszą kobietą, która rozłożyła przed tobą nogi, chcesz mi włożyć na palec obrączkę? – pytam, by upewnić się, że prawidłowo zrozumiałam całą sytuację.

– Nie mów o tym w taki sposób.

– Chodzi ci o to „rozkładanie nóg”? – Wciąż patrzę na kościół z lekkim niesmakiem. – Dlaczego nie?

– To nieobyczajne, a to, co robiliśmy w nocy, takie nie było.

– Chodzi ci o uprawianie miłości – podpowiadam.

– Uprawianie miłości – powtarza zadowolony.

– Przepraszam – ciągnę – że rozbiję ci tę fantazję, ale nie to wczoraj robiliśmy. To było zwykłe pieprzenie.

Kłamczucha. To było najbardziej intymne przeżycie, jakie kiedykolwiek doświadczyłam, jeśli chodzi o seks, ale tego akurat nie musi wiedzieć.

Kiedy patrzę przez ramię, na twarzy jeźdźca maluje się niezadowolenie.

Przechyla głowę, gdy coś sobie uświadamia.

– Robiłaś to wcześniej? – pyta, przyglądając mi się.

– Co? – odpowiadam pytaniem, choć dobrze wiem, o co mu chodzi.

– Uprawiałaś miłość? Robiłaś to z kimś innym?

– Eee... nie uprawiałam miłości... – Jako takiej.

– Pieprzyłaś się – naciska, krzywiąc się nieco, gdy wypowiada to słowo.

– Powiedz.

Dlaczego czuję, jakbym bawiła się w chwytanie granatu bez zawlecзки? Och, bo rozmawiamy o swoich byłych zaraz po tym, jak odebrałam

jeźdźcowi cnotę.

Pieprzyć życie.

Albo i nie. Pieprzenie wpakowało mnie ostatnio w kłopoty.

A muszę przestać myśleć o tym słowie. Ja pieprzę. Wrrr...

– Tak – odpowiadam niechętnie.

Jego ponury nastrój tylko się pogłębia.

– Oczywiście. Spodziewałem się po tobie czegoś więcej, ale to chyba tylko dowód mojego idealizmu.

– Mów tak dalej, a zepchnę cię z konia.

Parska śmiechem.

– Nie mogłabyś mnie zrzucić, nawet gdybyś się starała, człowieku.

Zatem wracamy do „człowieka”.

– Jesteś dupkiem.

– Nic już nie jest święte? – grzmi. – Byłem w tobie. W tobie. Czułem cię wokół siebie. Oddałaś mi swoją istotę. A traktujesz całą sprawę, jakbyśmy ledwie ze sobą tańczyli.

Naprawdę nie tak wyobrażałam sobie tę rozmowę. Czuję, że się rumienię.

Odchrząkuje.

– Nie będziesz z innymi – oznajmia.

– Robisz sobie ze mnie jaja? – rzucam.

Dobry Boże, przestań z tymi skojarzeniami, Saro.

– Nie będę się tobą dzielił, jakby to, co robiliśmy, było bez znaczenia, nawet jeśli sama to tak postrzegasz.

Mam ochotę go udusić.

– Nie będziesz decydował o tym, z kim mam uprawiać seks.

– Nie będę się tobą dzielił! – wrzeszczy. – Nawet jeśli miałbym cię przykuć do siebie łańcuchem, nie będę się dzielił!

– A ja cię nie poślubię! – odpowiadam, również krzycząc. – Nawet jeśli to oznacza, że mam być związana i ciągnięta za tym twoim głupim koniem do końca życia!

Zaciska mocniej dłoń.

– Nie kuś mnie, człowieku.

– I przestań nazywać mnie „człowiekiem”! – dodaję z goryczą. – Mam imię!

– Którego lubię używać, gdy nie grasz mi na nerwach, co jednak nie ma teraz miejsca.

– Co za niespodzianka, Kapitanie Oczywistość. Ja też cię teraz nie lubię.

Wrze, siedząc za mną.

– Dobra – mówi po chwili. – Nie poślubię cię dziś, ale ta rozmowa nie jest skończona.

– Jak cholera! – Muszę w coś uderzyć.

Jedziemy dalej w ciszy. Pieprzę to wszystko.

Ech, znowu to słowo.

[7] Edgar Allan Poe, *Sen we śnie*, przeł. Włodzimierz Lewik.

ROZDZIAŁ 40



Udaje nam się ujechać jakiś kilometr od kościoła, gdy słyszę wystrzał.

Nie miałam czasu myśleć o tym, że jeździec nie wyruszył nigdzie nocą. Wzdrygam się, gdy powietrze porusza się gwałtownie tuż przy mojej lewej skroni. Chwilę później ciało Zarazy zostaje odrzucone do tyłu, jego uchwyt się rozluźnia, a krew kapie na moją skórę.

Ktoś strzelił do mojego jeźdźca. Boże, ktoś do niego strzelił.

Obracam się w siodle.

– Zaraza?

Chwieje się, więc muszę go złapać, by nie spadł z konia.

Jego głowa kołysze się na boki i widzę jedynie krew. Krew i...

O Boże, Boże. W miejscu, w którym powinna być lewa część jego twarzy, ziejże teraz dziura.

Zaraz się porzygam...

Jego krew jest wszędzie. Tyle krwi.

Otaczają nas ludzie w maskach przeciwigazowych. Trixie staje dęba, wierzga kopytami w powietrzu. Krzyczę, kiedy czuję, że jeździec wysuwa się z moich rąk. Spada z siodła i uderza głucho o ziemię. Na ten dźwięk niemal tracę śniadanie, które mi przygotował.

Patrzę na jego zniszczone, martwe ciało, nie mogąc oderwać od niego wzroku.

– W porządku, nie żyje.

– Nie może cię już skrzywdzić.

Słowa ludzi są ciche, zniekształcone przez maski. Osoby te zbliżają się, wyglądając dziwnie i złowieszczo.

Skrzywdzili go.

Podchodzą do Trixiego, zdejmują mnie z grzbietu rumaka. Rzucam się do Zarazy, ale zostaję odciągnięta.

Moje ostatnie słowa do niego wykrzyczałam w gniewie.

Walczę, by wrócić do jego zniszczonego ciała, ale powstrzymują mnie ci ludzie.

Mogłabym już się przyzwyczaić do tego widoku, ale bez względu na to, ile razy zapewniam się, że nic mu nie będzie, to, co widzę, temu przeczy.

Jęczy.

Chryste. Wciąż jest przytomny, nawet jeśli nie ma połowy twarzy. Piszczę. Jest przytomny.

Ból musi być nie do zniesienia.

Ktoś ponownie do niego strzela – wielokrotnie – próbując dobić to, co nieśmiertelne.

Krzyczę przy każdym wystrzale, gdy jego ciało podskakuje pod gradem kul.

Wciąż wrzeszczę, gdy zostaję ściągnięta z drogi i wrzucona do najbliższego budynku. Dopiero gdy ktoś popycha mnie na ławkę, zdaję sobie sprawę, że zostałam zaciągnięta do kościoła.

Ten kretyn chciał mnie poślubić!

Zaciskam powieki. Może wszystko byłoby inne, gdybym przyjęła te jego oświadczenia. Był taki chętny, a ja go odtrąciłam, jakby to, co wczoraj robiliśmy, nie miało żadnego znaczenia, choć było zupełnie inaczej. Boże, to miało wielkie znaczenie.

Biorę drżący wdech i rozglądam się po kościele. Ludzie, którzy mnie tu przyprowadzili, jeden po drugim wchodzi do innego pomieszczenia i zdejmują maski. Kiedy wracają, nie wydają się już tacy groźni.

Osoby w kościele to cywile, kobiety i mężczyźni, którzy postanowili poświęcić swoje życie, by zlikwidować jeźdźca. Którzy przynoszą mi kawę i koce – którzy pomagają mi najlepiej, jak potrafią.

Nie zmienia to faktu, że zrobili mu krzywdę. Wciąż mogą go ranić.

Wstaję, wełniany koc zsuwa mi się z ramion, czuję się, jakby moje emocje zostały wrzucone do maszynki do mięsa.

Gdzie on jest?

– Inni się nim zajmują – mówi ktoś i wtedy uświadamiam sobie, że wypowiedziałam to na głos.

– Wiesz, słyszeliśmy o tobie – mówi jedna z kobiet. – Reporterzy wspominali, że on ma więźnia.

– Ona nie wygląda jak więzień – mamrocze ktoś inny.

– Cicho! – syczy kolejna osoba.

Ocieram oczy i się rozglądam. Dostrzegam osiem kobiet i trzech mężczyzn, w wieku pomiędzy dwudziestką a sześćdziesiątką. A teraz każdy z nich umrze. Maski przeciwgazowe były uroczym dodatkiem, ale nie powstrzymają plagi.

Kiedy media dowiedzą się w końcu, że Zarazy nie da się zabić? Kiedy ludzie przestaną się poświęcać, by próbować zniszczyć tę nieśmiertelną istotę?

Na której tak mi zależy.

Idź do niego.

Ocal go.

Przechodzę do nawy głównej, by skierować się do wyjścia.

Ale udaje mi się postawić tylko kilka kroków, nim drogę zastępuje mi jeden z mężczyzn. Jest wysoki i napakowany, ma siwe wąsy i kaburę przy pasie.

– Siadaj – mówi cholernie protekcyjnym tonem. Chwyta mnie za przedramię i ciągnie do ławki.

– Jestem aresztowana? – pytam.

– Oczywiście, że nie – odpowiada – ale miałaś trudny poranek. Może nieco odpoczniesz?

Patrzę na niego, po czym na innych.

Nie wypuszczą mnie. Widzę to w ich twarzach.

Nie wiem, dlaczego się przejmuję, ale wtedy to do mnie dociera...

Przetrwałam plagę. Muszą być tego świadomi.

A kto nie chciałby zatrzymać kogoś takiego? Mogę wiedzieć coś o leku, sama mogę nim być.

Wracam do ławki jak grzeczna dziewczynka (*ech*) i zajmuję miejsce, pozwalając wszystkim wierzyć, że jestem uległa.

Pięć minut mija niebywale wolno.

W oddali słyszę ciche rżenie.

Trixie.

Chciałam poczekać nieco dłużej, ale koń Zarazy sprawia, że tracę cierpliwość. Nie mogę tu siedzieć, nie mając pojęcia, co dzieje się z moim jeźdźcem.

Ponownie wstaję.

Wąsaty sztywnieje na ten widok. Nie udaje mi się wyjść z ławki, gdy staje przy mnie.

Nie patrz na jego pas.

– Potrzeba ci czegoś? – pyta, krzyżując ręce na piersi.

– Tak.

Zanim ma szansę odpowiedzieć, chwytam jego broń. Zaciskam palce na metalu, gdy mężczyzna krzyczy zaskoczony.

Celuję w niego i odciągam kurek.

– Z drogi.

Wokół siebie słyszę sapnięcia.

Mężczyzna unosi ręce.

– Poczekaj chwilę. Nie rób nic nierozważnego. Chcemy ci pomóc.

Muszę wyglądać równie groźnie, jak się czuję, ponieważ po chwili ludzie zaczynają się rozstępować.

Lepiej działaj, zanim sytuacja się skomplikuje.

Unoszę broń i strzelam w powietrze. Huk jest ogłuszający, wzmacniany przez echo.

Ludzie krzyczą, kilkoro zakrywa głowy. Z sufitu odpada tynk.

Ponownie celuję w faceta, któremu ukradłam pistolet.

– Wychodzę – mówię. – I możecie mi pomóc, znikając mi z drogi!

Wąsaty musi dostrzegać odrobinę szaleństwa w moich oczach. Odsuwa się.

Celuję w innych, którzy stoją pomiędzy mną a wyjściem. Cofają się, unosząc ręce.

W kościele panuje nieprzyjemna cisza, jedynym dźwiękiem są moje przytłumione przez zniszczoną wykładzinę kroki.

Znajduję się już niemal przy drzwiach, gdy Wąsaty woła do mnie:

– Dlaczego porzuciłaś własny rodzaj dla tego czegoś?

Ma czelność pytać mnie o to, stojąc w kościele.

Staję do niego twarzą, omiatam wzrokiem resztę kobiet i mężczyzn, którzy patrzą na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Nie ja was porzuciłam – odpowiadam – ale Bóg.

ROZDZIAŁ 41



Trixie stoi przed kościołem. Na mój widok zbliża się, szturcha mnie pyskiem w policzek. Niemal potrafię sobie wyobrazić, że to czułe powitanie.

Głaszczę konia, marszcząc brwi, gdy dostrzegam ciemną plamę na jego boku.

Krew jeźdźca.

Wskakuję na siodło i wsuwam palce w końską grzywę.

– Zabierz mnie do Zarazy.

Wpadliśmy w zasadzkę niedaleko kościoła, więc powrót do tego miejsca nie powinien trwać długo. Mimo to, gdy się zjawiam, Zaraza pochowany jest do połowy w płytkim grobie przy drodze.

Nad dziurą stoją ludzie w maskach przeciwigazowych, rzucając na niego ziemię.

Kradziona broń wciąż jest gorąca w mojej dłoni. Kiedy pierwszy człowiek unosi głowę, mam go na muszce. Wydaje z siebie zaskoczony pisk i upuszcza łopatę. Inni patrzą na niego, nim rozglądają się zdezorientowani. Oni również są zaskoczeni, widząc mnie na koniu Zarazy, i to z pistoletem w dłoni.

A teraz, skoro już zwróciłam na siebie ich uwagę...

– Macie pięć sekund, by się odsunąć, inaczej zacznę strzelać.

Żaden ani drgnie.

– Raz...

Zaczynają się wzdrygać.

– Dwa...

Jeden sięga po broń.

Strzelam w powietrze, czując odrzut pistoletu.

Rzucają łopaty i odsuwają się od grobu. Kilku z nich puszcza się biegiem, ale niektórzy nie dają zastraszyć się kobiecie.

– Trzy...

Ubrani w maski wchodzą na ulicę, cofając się z uniesionymi rękami.

– Cztery...

Cofają się nieco szybciej.

– Pięć.

Cmokam, próbując naśladować dźwięk, który zawsze wydaje Zaraza. Trixie rusza z kopyta ulicą.

W tej chwili ludzie w maskach biegną, by ratować życie. Nie ma to jak motywacja w postaci nieśmiertelnego wierzchowca. Ponownie strzelam, aby ich wystraszyć.

W połowie drogi ciągnę za lejce, pozwalając im uciec, i przyglądam się ich malejącym sylwetkom.

Ludzie wiedzieli, że podróżuję z Zarazą, zanim jeszcze mnie zobaczyli.

Przeszywa mnie złowrogi dreszcz.

Jeśli to trafi do mediów, świat niebawem dowie się, że nie jestem jeńcem.

Tłumię szloch, gdy patrzę na leżącego w grobie Zarazę. Nie da się go zidentyfikować, cały jest we krwi, ziemi i czymś obślizgłym.

Nie chcę go ruszać w obawie, że zrobię mu krzywdę.

Ci ludzie tu wrócą. Masz tylko kilka minut.

Ta myśl pobudza mnie do działania.

Odkładam broń, kucam przy grobie i chwytam jeźdźca pod pachy.

– Przepraszam – szepczę.

I zaczynam ciągnąć.

Gdy wyciągam go z grobu, jęczy żałośnie, dźwięk ten jest zniekształcony przez zniszczone usta. Pojedyncza łza spływa mi z oka na

ten odgłos.

Gdyby tylko moje wcześniejsze „ja” mogło mnie teraz zobaczyć. Jak bardzo upadłam, że płaczę nad tym, który nie może umrzeć. Nad tym samym, którego miałam zabić. No i proszę – celuję z broni w każdego, kto chce mi go odebrać.

Powoli wyciągam Zarazę z ziemi. Trixie klęka obok mnie, wyczuwając potrzeby swojego jeźdźca. Wciągam jego ciało na siodło.

Nie będzie wygodnie, ale muszę tak postąpić.

Siadam za nim i cmokam. Trixie wstaje, więc łapiemy równowagę, po czym koń rusza.

Rozlega się kilka strzałów, więc padam na jeźdźca, a kule świszczą nade mną. Zerkam za siebie. Ludzie, którzy tak ochoczo uciekali, biegną teraz ulicą, mierzając do nas z broni.

Cholera.

Szarpię za lejce w jedną stronę, prowadząc konia w bok. Ciało Zarazy nieco się zsuwa, więc potrzebuję całej swojej siły, by przytrzymać go w siodle. Ale przynajmniej mijają nas kule.

Szarpię lejcami w drugą stronę, zmuszając konia do zmiany kierunku. Trixie biegnie zygzakiem, aż cichną dźwięki wystrzałów. Kiedy ponownie patrzę przez ramię, nie widać ludzi w maskach przeciwwgazowych.

Jesteśmy bezpieczni. Na razie.

Nie spowalням konia, póki miasto nie zostaje daleko w tyle. Dopiero wtedy mogę rozejrzeć się za jakimś domem. Biorąc pod uwagę moje dzisiejsze gówniane szczęście, zapewne wybiorę chatę, w której mieszka jakaś podła kreatura, a bez Zarazy, który potrafi budzić bojaźń, kto wie jak kiepska może okazać się sytuacja.

Wciągam powietrze. Znikąd pomocy.

Wybieram dom stojący bezpośrednio przy drodze z nadzieją, że właściciel dawno go opuścił. Mija sporo czasu, nim dostaję się do środka, ale na plus jest to, że budynku nikt nie zajmuje.

Wprowadzam konia, zachowując przy tym ostrożność, by nie zrzucić

ciała Zarazy z siodła. Dopiero gdy ustawiam rumaka obok kanapy, ściągam jeźdźca. Wpada w moje ramiona, przez co tracę równowagę i oboje lądujemy na sofie.

Naprawdę gładko ci poszło, Burns.

Podciągam się pod nim do wygodnej pozycji, czując, że wypływająca z jego licznych ran krew wsiąka w moje ubranie.

Teraz, gdy go trzymam, nie jestem w stanie puścić. Jego twarz wciąż jest zniekształcona, dodatkowo ziemia przywarła do skóry.

Drżącą ręką sunę knykциями po policzku, który pozostał nietknięty.

Głupia. Przepadłaś, zakochując się w tym czymś.

Porusza się w moich ramionach, a ja niemal piszczę. Prawie zapomniałam, że wciąż tu jest. Nadal świadomy sytuacji. Żółć podchodzi mi do gardła na tę myśl.

I pomyśleć, że ja zraniłam go bardziej niż ci ludzie.

– Ciii... – mówię, ostrożnie wysuwając się spod niego. Układam go na kanapie, jego ogromna sylwetka ledwie się na niej mieści.

Biorę go za rękę i całuję pokryte ziemią knykcie.

– Postaraj się zasnąć – mówię. – Będę tutaj.

Mamrocze coś – nie wiem nawet, jak udaje mu się wydać dźwięk.

Ponownie go uciszam. Uspokaja się, zapadając w stan podobny do snu.

Zgodnie z obietnicą zostaję przy nim – odchodząc tylko, by rozpalic ogień i poszukać ręczników i wody. Myję go, jak tylko mogę. Kiedy kończę, ponownie biorę Zarazę za rękę i trzymam blisko siebie.

Mijają godziny, podczas których przyglądam się powolnemu, acz cudownemu procesowi przekształcania tego, co przypominało martwą kupę mięsa, w pięknego śpiącego mężczyznę.

Wyglądającego jak postać prosto z bajki.

Z metalicznym trzaskiem naprawiają się również dziury po kulach w jego napierśniku, złota zbroja wraca powoli do swej nieskazitelnie gładkiej powierzchni. W taki sam cudowny sposób odbudowuje się jego twarz, od kości i ścięgien, po mięśnie i skórę. W końcu widzę jego długie rzęsy na nowo powstałej powiece.

To magia. To wiara. To najlepszy dowód na istnienie Boga.

Chociaż jego ciało w większości się uleczyło, Zaraza się nie budzi. Pod zamkniętymi powiekami widać ruchy gałek ocznych.

O czym śni?

Boli mnie myśl o jego śnie. Jest o wiele bardziej ludzki, niż kiedykolwiek zakładałam.

Przyłożyłam do tego rękę – szczerze mówiąc, nawet coś więcej. Posiła się, ponieważ dałam mu posmakować jedzenia, pije, ponieważ podałam mu piwo.

Uprawia miłość, ponieważ się przed nim otworzyłam.

Uprawia miłość... Przygryzam wargę na to stwierdzenie.

Z zamyślenia wyrывa mnie mocniejszy uścisk dłoni. Kiedy unoszę głowę, widzę, że Zaraza ma otwarte oczy.

Siadam prosto i podciągam nasze splecione dłonie do ust.

Na jego twarzy pojawia się uśmiech, ale zaraz niknie. Na czole jeźdźcy widać bruzdy.

– Wszystko z tobą w porządku?

To jego pierwsze słowa. A ja myślałam, że już mnie nie zadziwi.

Zaciskam usta, by nie ujawnić prawdy. Ponieważ nie, nie jest w porządku. Nie było, odkąd został postrzelony. Nie było nawet wcześniej.

Mam niemały kłopot z kochaniem... to znaczy lubieniem tego jeźdźca.

Podnosi się, zaniepokojony widokiem krwi.

– Zostałaś ra...

– To nie moja krew, lecz twoja. Postrzelili cię – szepczę ostatnie słowo, ponieważ dławia mnie emocje. Kanaliki łzowe wypełniają się wilgocią, a kiedy mrugam, spływa kilka kropel. Teraz, kiedy Zaraza odzyskał przytomność, mam problem z zachowaniem swojej siły.

Siada, marszcząc brwi i patrzy w moje piwne oczy.

– Płaczesz... nade mną? – pyta z niedowierzaniem.

Mam ochotę rzucić coś przemądrzałego. Zamiast tego ocieram policzki.

– Może.

Patrzy na mnie, ale nie potrafię rozszyfrować jego spojrzenia.

– Wiesz, że nie mogę zostać zabity – przypomina cicho.

– Ale można cię zranić. – Już go skrzywdzono.

– I to cię niepokoi? – docieka łagodnym głosem.

Wskazuję na swoje mokre policzki i czerwone oczy.

– Tak.

Mięknie wyraz jego twarzy.

– Saro. – Wypowiada moje imię z czułością, i to oznacza dla mnie koniec.

Przysuwam się i przywieram do jego ust. Obejmuje mnie i częściowo wciąga na siebie, gdy odpowiada na pocałunek, pochłaniając mnie tak ochoczo, jak ja jego.

Kiedy jest ranny, łatwo zapomnieć o jego sile, ale w tej chwili, gdy się zregenerował, czuję, jak mnie ona ogarnia.

Mimo to cały jest we krwi, co mi się bardzo nie podoba. I nie podoba mi się to, że mi się to nie podoba, co nie ma żadnego sensu, choć, szczerze mówiąc, ostatnio nic w moim życiu go nie ma, więc...

– Przepraszam – mówię. – Przepraszam za to, co ci zrobili, i za to, co ja ci zrobiłam, oraz za wszystko, co ci wyrządzono od przybycia tutaj.

Pojawił się na Ziemi z przerażającym zadaniem, uzbrojony przeciw jego okrucieństwu w wiarę, że ludzie to potwory. I za każdym razem, gdy go atakowaliśmy, dowodziliśmy, że miał rację.

Właśnie tak działa nienawiść – wydobywa z nas najgorsze cechy.

Zdołał dostrzec jedynie przebłyśki naszej dobroci, a jednak wystarczyło tak niewiele, by przytłoczyły go jego czyny.

Ponieważ tak właśnie działa współczucie – pobudza w nas to, co najlepsze.

– Przepraszam za każdą głupotę, którą powiedziałam wcześniej – ciągnę. – To, co zrobiliśmy, miało dla mnie znaczenie. Ty je masz.

Tuli mnie.

– Czy to znaczy, że mnie poślubisz?

Śmieję się przez łzy.

– Nie, nie dam się skusić na oświadczyzny z litości, ale jestem otwarta na seks na zgodę.

Ponownie mnie całuje, przesuwa dłoń z mojego policzka na włosy.

– To nie były żadne oświadczenia z litości, droga Saro – mruczy.

Siada, zgarniając mnie ze sobą, a kiedy wstaje, bierze mnie na rękę. Ponownie odnajduje moje usta i znów się całujemy. Ledwie jestem świadoma, że poruszamy się po domu, aż Zaraza kładzie mnie na łóżku w głównej sypialni.

Drzę na widok jeźdźca, który pochylając się nade mną, ściąga zbroję, patrząc mi w oczy. Na końcu zdejmuje również koronę i odkłada ją na stolik nocny.

Pozbawiony złotych regaliów nie jest już szlachetnym, nieziemskim Zarazą, lecz moim kochankiem z krwi i kości.

Kładzie się na mnie.

– Saro, Saro, Saro – szepcze, całując moje powieki, policzki, usta, podbródek. – Przyznaję, że twoje wcześniejsze przeprosiny mnie poruszyły. Ale nie były konieczne. Nie musisz prosić o przebaczenie. Masz je, a nawet więcej, jeśli przyjmiesz to, co oferuję.

Ma na myśli małżeństwo... I po raz pierwszy ta myśl mnie intryguje.

Mogłabym za niego wyjść.

Całuje mnie w szyję i u jej podstawy.

– Masz moje miłosierdzie, mój umysł, moje uwielbienie, moje ciało, moją... moje życie.

Mogłabym przysiąc, że zamierzał dodać słowo na „M”, ale być może to tylko moja wyobraźnia.

I po raz pierwszy jestem rozczarowana, że tego nie powiedział. Choć to bez sensu.

Życie to wielka obietnica, jeśli pochodzi od nieśmiertelnego.

Jestem tylko chciwą żoną.

Zaraza szybko zdejmuje koszulę. Niemal wzdycham na widok umięśnionych rąk i zwięzającego się torsu. Kładę dłonie na jego piersi i przesuwam je na brzuch, ignorując ślady, które ciągle znaczą jego skórę. Pod palcami czuję, jak spinają się jego mięśnie, jakby jego skóra była zbyt wrażliwa na mój dotyk.

Posyła mi bardzo męski uśmiech, ciesząc się moją uwagą. Opada na mnie, unosząc materiał mojej koszulki, by odsłonić brzuch.

Drzę, gdy chłodne powietrze owiewa moje nagie ciało, ale ciepłe ręce Zarazy zaraz je zakrywają, następnie opadają na nie usta, znacząc je pocałunkami.

– Ponownie muszę podziękować ci za ochronę i za ocalenie – mówi przy mojej skórze.

Ocalenie to w jego ustach wielkie słowo, ponieważ jest odporny na śmierć i wierzy, że jest zbyt potężny, by potrzebować ratunku – a przynajmniej nigdy w to wierzył. Nie wiem, kiedy zmienił myślenie, mam jednak świadomość, że tak się stało.

– Powiedz, droga Saro – ciągnie – jak mogę ci się odwdzięczyć?

Patrząc na niego, kręcę głową.

– Nie musisz mi się odwdzięczać. Nie zrobiłam tego, byś był mi winien przysługę. Zrobiłam to dlatego, że mi na tobie zależy.

Patrzy na mnie, a jego spojrzenie jest miękkie i jasne, błyszczący w nim tyle... miłości.

A może to również sobie wyobrażam? Wiem jedynie, że jego spojrzenie jest zbyt czułe, by wyrażało tylko pożądanie, i zbyt namiętne, by chodziło o dobroć czy współczucie.

Nie, oczy mnie nie zawodzą. W tej chwili widzę właśnie jego prawdziwe uczucia.

Miłość.

Przywiązałam go do siebie. Wyrobiłam w nim bardzo ludzki apetyt, a oto jego rezultat. Miłość.

Powinnam być przerażona tą myślą, ale przesywa mnie dziwny rodzaj emocji.

Tym razem to Zaraza przejmuje prowadzenie. Wodzi dłońmi po moim ciele, rozbierając mnie z przesiąkniętych krwią ubrań. Jego ruchy są zdecydowane.

Budzi się moja pasja, a wraz z nią pyszna niepewność – jakby jeździec znał zakazane rzeczy, o których nie wiem, i właśnie dziś miał mi je zaprezentować.

Chyba planował powoli posuwać rzeczy do przodu – ja też tego pragnęłam – ale kończy się na pośpiechu. Znika reszta ubrania,

a pojawia się wspaniała skóra.

Złote ramiona napinają się, gdy całuje prowadzącą w dół ścieżkę na moim torsie. Zatrzymuje się, gdy dociera do mojego łona, wpatrując się w nie dłuższą chwilę. Po czym i je całuje.

Mimowolnie unoszę biodra.

Wow.

Zaraza rozkłada mi nogi, zapewniając sobie nieograniczony widok. Spija go, nim wraca do mojego ciała, układając biodra między moimi udami.

Czuję go przy sobie, gruby członek przyciska się do mojego wejścia. Bez ostrzeżenia Zaraza się we mnie wciska. Niemal jęczę, gdy mnie wypełnia, zatapiając się w mojej wilgoci.

– Brakowało mi tego – mówi, wychodząc. Ponownie się we mnie wbija, jego ruchy są mocne, wymagające.

Przesuwam rękami po jego plecach, wywołując u niego gęsią skórę.

– Mnie również.

Teraz, kiedy znajduje się tak blisko, żywy, jestem w stanie przepędzić ostatnie złe myśli z głowy.

Obejmuje moją twarz.

– To nie jest pieprzenie.

Teraz chce mi to udowodnić?

Patrzy na mnie, gdy się we mnie porusza i uzmysławiam sobie, że oczekuje odpowiedzi.

Ale w tym momencie nawet nie pamiętam, jak się nazywam.

– Mmm – mruczę, lecz to mu nie wystarcza.

Wsuwa się we mnie i wysuwa.

– To uprawianie miłości – stwierdza. Nie, żąda.

Naprawdę uczeplił się tego terminu.

– O czym myślisz? – pyta. – Muszę to usłyszeć.

Jak może w ogóle teraz myśleć? Ale jedno spojrzenie w jego oczy sprawia, że szybko trzeźwieję. To dla niego ważne.

– To nie jest pieprzenie – zgadzam się i naprawdę tak myślę. Między nami jest sporo emocji. Każdy pospieszny dotyk pełen jest tęsknoty,

mi...

– To uprawianie miłości – zgadza się Zaraza, podkreślając, że oboje myślimy tak samo.

Kręcę głową. Czy trwam w zaprzeczeniu? Nie? Tak?

– Uprawianie miłości jest powolniejsze, pełne czci... – Tylko tyle potrafię powiedzieć.

Jeździec marszczy brwi i zwalnia tempo. Wchodzi jednak głębiej, jego gruby członek pulsuje. W spojrzeniu Zarazy pokazują się uczucia. W jego oczach widzę, że jestem kochana.

Dotyka kciukiem mojej kości policzkowej.

– Tak? – pyta, gdy powoli we mnie wchodzi.

– Tak – mówię, wytrącona z równowagi, bo siła jego spojrzenia jest oszałamiająca – właśnie tak.

Opuszcza wzrok do moich ust i porusza się we mnie głęboko.

– A jeśli cię pocałuję, wciąż będzie to oznaczało uprawianie miłości?

Niemal zapominam, jak się oddycha.

– Chodzi o twoje intencje.

Przysuwa się i muska moje wargi. Pocałunek zdaje się tkliwy, pełen uczucia. A kiedy nakłania mnie do rozchylenia ust i nasze języki się stykają, robi to również w sposób, jakby czcił nawet mój smak.

Odsuwa się.

– Czy moja intencja była jasna?

– Bardzo.

Zaraza przez chwilę porusza się powoli, ale potem, być może w odpowiedzi na moje gorączkowe pożądanie go, zaczyna przyspieszać, a jego ruchy stają się mocniejsze.

– Nadal chcę uprawiać z tobą miłość, ale nie potrafię oprzeć się tej potrzebie...

– Więc się nie opieraj.

Moje słowa są wystarczające. Ponownie bierze we władanie moje usta i ten pocałunek jest dziki. Tempo ruchów bioder podwaja się, jakby jeździec nie był w stanie się opanować, aż zagłówek łóżka uderza o ścianę.

Obejmuję go nogami, potrzebując, by mnie dotykał.

Przy każdym ruchu rodzi się we mnie gorętszy, jaśniejszy żar. To jakby rozpętała się burza. Przypuszczam, że tak się właśnie dzieje, gdy w męskim ciele zostaje zamknięta siła natury.

Patrzy mi w oczy. Chwila przeciąga się w nieskończoność. Coś przeskakuje pomiędzy nami, coś, czego nie chcę nazywać, ale pochodzi to ze mnie w takim samym stopniu, jak i z niego.

Coś, co głęboko mnie martwi.

Trzymam się, aż dłużej nie potrafię, ale to spojrzenie... Jestem wobec niego bezradna.

Szczytuję z jękiem. Wykrzykuję jego imię, gdy przedziera się przeze mnie spełnienie. Zaraza warczy, gdy się na nim zaciskam, i dołącza do mnie w swoim punkcie kulminacyjnym. Chwyta mnie za rękę i przyszpila je do łóżka, wciąż mocno we mnie wchodząc.

Nasz akt się kończy.

Zaraza tuli mnie do siebie i choć już się we mnie nie znajduje, wciąż chce być blisko.

Muska ustami moje czoło.

– Podoba mi się uprawianie miłości z tobą, Saro Burns.

Żołądek fika mi koziółka.

– Chyba może to być moja nowa ulubiona rzecz na świecie, zaraz obok tego. – Tuli mnie mocniej.

Głaszczę go po piersi i brzuchu, uśmiechając się lekko.

– Przedkładasz to ponad moje szalone umiejętności konwersacyjne? – drocę się.

– Zapytaj jutro, gdy będziemy w siodle – rzuca z uśmiechem. – Jestem pewien, że odpowiedź się zmieni.

Ten uśmiech! Na sam jego widok oddech więźnie mi w gardle.

– Mówisz tak tylko, by mi schlebić.

– Saro, nie muszę. Mówię to, ponieważ każda chwila z tobą jest moją nową ulubioną rzeczą.

Można by pomyśleć, że przywyknę do jego pochlebstw, ale jak zawsze, jego słowa mnie przytłaczają.

Milczymy przez chwilę, ale jestem błogo szczęśliwa, rozkoszując się tym, jak leniwie głaszcze mnie po plecach.

Im dłużej tak leżę, tym bardziej zaczynam się martwić. Powracają poranne wydarzenia, które wydają się jeszcze bardziej makabryczne teraz, gdy Zaraza leży w moich ramionach i czuję ciężar przytłaczających mnie ze wszystkich stron emocji.

Te ataki będą się powtarzać. Mam tego pewność, tak samo jak wie o tym Zaraza. Nie mam jednak pojęcia, dlaczego to w tym momencie tak otrzeźwiający objawienie. Przecież mimo wszystko byłam jedną z tych, którzy chcieli go zlikwidować. Oczywiście, że to się będzie powtarzać.

Ludzkość jest wystarczająco zdesperowana, głupia, odważna i gotowa na poświęcenia...

Wystarczająco mściwa.

Ponieważ w efekcie końcowym, nawet jeśli ludzie nie są w stanie go powstrzymać, mogą przynajmniej sprawić, by pożałował przybycia na Ziemię.

Ludzie. Oni. Na tę ostatnią myśl przeszywa mnie chłód. Pomyślałam o „nich”, a nie o „nas”. Wykluczyłam się z tej grupy.

To kolejny moment, w którym zmienia się mój świat.

Przez cały ten czas skupiałam się na tym, jak zmieniałam jeźdźca, ale nie zwróciłam uwagi na to, że on zmienił mnie.

– Nie jestem twoim więźniem – szepczę.

Zaraza nieruchomieje. Nie odpowiada.

– Nie jestem – nalegam. – Już nie. – Wyznaczam granicę.

Unoszą się kąciki jego ust.

– W takim razie przyjmij moje oświadczenia.

Jest w dobrym nastroju – seks zawsze tak działa – ale ja jestem ponura.

– Mówię poważnie. Ukradłam dziś broń i celowałam nią w człowieka. Zabiłabym go, gdybym musiała. – Samo przyznanie tego boli. – Zatem nie, nie jestem twoim więźniem – powtarzam. – Już nie.

Jeździec milczy przez dłuższą chwilę.

– Dobrze – mówi w końcu. – Nie jesteś już moim więźniem.

Prawdę mówiąc, nie wydaje mi się, by któreś z nas wiedziało, kim jestem. Mogę nie być już więźniem, ale wątpię, żebym mogła dobrowolnie od niego odejść. W tej chwili dociera do mnie, że nie chcę odchodzić, że zależy mi na tej strasznej, lecz cudownej istocie.

– Co ty mi zrobiłeś? – szepczę, patrząc mu w twarz.

Ruszyłam, by go zniszczyć, nie by go chronić.

– Wyobrażam sobie, że to samo, co ty mnie – mówi, odsuwając mi kosmyk włosów na bok. – Pragniesz, by ludziom nic się nie stało, ale nie chcesz mojej krzywdy. Ja chcę uśmiercić ludzi, ale nie mogę cię zranić. Oboje utknęliśmy pomiędzy umysłem a sercem.

– To nie to samo – mówię ochryple. – Ocaliłeś mnie tylko dlatego, że Bóg zesłał ci znak.

Zaraza całuje mnie w skroń. Jest zaskakująco dobry w przytulankach.

– Może i Bóg wstawił się wtedy za tobą – mówi – ale nie musiał robić tego od tamtego czasu. Jesteś moja i nic, naprawdę nic, tego nie zmieni.

ROZDZIAŁ 42



Wyruszamy przed świtem. Nie mija wiele czasu, nim Zaraza namawia, bym zaczęła recytować kolejny wiersz.

Jakie były szanse, że znajdę faceta, który lubi poezję?

Skoro podobał mu się *Kruk*, stawiam na *Lenorę*.

– *Pójdź! Czas żałobne modły wznieść, żałobne śpiewać pieśni. Hymn na królewską iście śmierć tej, co tak zgasta wcześniej...* [8].

Nie udaje mi się nawet dojść do drugiej zwrotki, gdy uświadamiam sobie, że Zaraza nie słucha. I to po tym, jak nalegał, bym coś zaprezentowała.

– I tak dalej – ciągnę – laska zmarła, a inni nie byli szczególnie smutni, bo była paskudna i nienawidzili jej, a teraz ty chcesz nas zabić, bo wszyscy jesteśmy zajebistymi gnojkami.

Milknę i czekam, aż coś powie, cokolwiek, ale się nie odzywa.

Wzdycham.

Nieobecny myślami, gładzi kciukiem mój brzuch.

– Myślałaś o dzieciach? – pyta, powracając z zadumy.

Zaskakuje mnie tym pytaniem.

– Słucham?

– Dzieci – powtarza.

– O czym ty mówisz?

– Uprawialiśmy seks bez zabezpieczenia. Kilkukrotnie. Mogę być nowicjuszem w tej kwestii, ale nawet ja wiem, że skutkiem pożycia jest

prokreacja.

Robi mi się niedobrze i czuję zawroty głowy. Łapię się za nią.
Nawet nie pomyślałam o zabezpieczeniu.

A teraz...

O cholera.

– To możliwe? – pytam. – To znaczy, między nami.

Nie jest człowiekiem, uspokajam się, a ta myśl trochę łagodzi moje obawy. Biologicznie jesteśmy jednak stworzeni tak samo, tak?

– Nie widzę przeciwwskazań – odpowiada. – Mogę jeść, pić i uprawiać miłość tak jak śmiertelnicy. Być może mogę również spłodzić dziecko.

Rety, tak oto kończy się mój miły, spokojny poranek.

– Ale nie wiesz tego na pewno? – dociekam, podnosząc głos.

Zapada krótka cisza, po czym Zaraza się odzywa:

– Saro, wyczuwam, że obawiasz się takiej możliwości.

Ding, ding, ding! Zgadłeś!

Ciągnie:

– Jak na kobietę, która tak chętnie przyjęła moje ciało w swoim... –
Jezu, ale jestem czerwona. – ...jesteś strasznie niechętna skutkom, które mogą wynikać z tego aktu.

No nie? Ale na swoją obronę mam to, że mówimy o dziecku.

Mógłby je chronić tak samo jak ciebie.

To bez sensu, mózgu. Nie wygłupiaj się.

Zarąbiście, kłócę się sama ze sobą. Z pewnością potwierdza to moje szaleństwo.

– A ty o tym myślałeś? – pytam, zamiast ustosunkować się do jego uwagi.

– Tak.

Czekam, ale milczy.

– I? – naciskam.

– I uważam tę możliwość za... fascynującą.

Ach tak? Moje kobiece części ciała są tym aż nadto uradowane.

– Jak zapewne podejrzewasz – mówi – ta fascynacja mnie niepokoi.
Zabijam twój gatunek. Co się stanie, jeśli zostanę ojcem człowieka?

Naprawdę mam ochotę odchrząknąć, ponieważ koleś posuwa już jednego, i czy to niewystarczający powód?

– Dziecko mogłoby być nieśmiertelne – mówię, choć tak naprawdę jest to pytanie.

– Mogłoby być – zgadza się, a mi ściska się żołądek.

Mogłabym urodzić Boskie dziecko. Potomka Boga.

Nie. Nie, nie, nie. Nieee!

Temat szybko staje się niewygodny, a moja wagina rozpoczyna bunt i nieważne, że on jest tak seksowny. No dobra, może jednak ważne i moja wagina nie ma nic przeciwko temu.

Tak się dzieje, jeśli ktoś jest zatrwająco piękny. Moje libido głupieje. Poprawka – robi się ekstremalnie głupie, ponieważ, spójrzmy prawdzie w oczy, już normalnie było nadpobudliwe.

– Ale mogłoby być również śmiertelne. Być człowiekiem – mówi. – I ja bym je stworzył. Ja, który ma za zadanie zniszczyć twój rodzaj.

Ten chłopiec tam widział wiele ludzkich cech, ale większość z nich była okropna. Tylko dzięki tobie widzi piękno i znaczenie ludzkiej natury... Pokaż mu, że ludzkość jest godna odkupienia.

Przypominam sobie ostatnie słowa Ruth.

Zaraza ma w sobie dwie przeciwstawne natury – boską, która domaga się, byśmy wszyscy umarli, i śmiertelną, która nie chce nas zabijać, być może chce nas nawet ocalić... I każdego dnia, gdy jest ze mną, jego człowiecza strona się wzmacnia. Ja ją wzmacniam. Ta myśl napęłnia mnie zdumieniem.

– Co więc zamierzasz zrobić? – pytam.

Muska ustami moje ucho.

– Co ma być, to będzie. Jedno jest pewne: nie mogę trzymać się od ciebie z daleka.

Czuję ucisk w podbrzuszu.

Ani ja od ciebie.

Zastanawiam się, czy powinnam wyrazić swoją opinię, ale wtedy Zaraza chwytą mnie mocniej. Patrzę na niego, ale spogląda do przodu.

Zerkam tam, gdzie on spogląda, i wytrzeszczam oczy. W oddali,

między zabitymi deskami budynkami stojącymi po obu stronach autostrady, znajduje się morze ludzi, a wszyscy ubrani są na białe.

W miarę jak się zbliżamy, wpatruję się w zdumieniu w tę horde. Stoją wzdłuż ulicy, pochylając się błagalnie.

Kłaniają się Zarazie.

Czekali na niego, dobrowolnie oddając życie w tej demonstracji.

Patrzę na jeźdźcę, który krzywi się z niesmakiem.

– Modlą się do fałszywych bożków – mówi. – Zasługują na plagę, która ich dopadnie.

Czy dosłownie sekundę temu naprawdę sądziłam, że wpłynęłam jakoś na jego żądę mordy? Przepraszam za ten błąd.

– Tak samo jak ja na nią zasługuję? – dociekam.

– Ty zostałam dotknięta ręką Boga – odpowiada gładko.

Na środku drogi stoją cztery osoby w białych togach, zagradzając nam przejazd. Jedna z nich to starszy mężczyzna o siwych włosach i z szaleństwem w oczach. Obok niego znajdują się trzy piękne młode kobiety.

Kiedy jesteśmy wystarczająco blisko, mężczyzna wychodzi do przodu, zmuszając Trixiego do zatrzymania się. Czuję, jak Zaraza wrze za moimi plecami, ale nie próbuje sprawić, by koń ponownie ruszył.

– Ja, prorok Ezekiel, przychodzę do ciebie w tej czarnej godzinie – mówi mężczyzna. – Oddaję ci, Zwycięzco, te trzy kobiety, byś je zatrzymał.

Byś je zatrzymał?

Rety.

Ezekiel wygląda na zadowolonego, jakbyśmy powinni podarować mu ciastko za wysiłek włożony w nakłonienie do tego tych kobiet.

Świętoszek się zbliża, wyznawczynie deptają mu po piętach. Budzi się we mnie coś mrocznego i zaborczego, gdy widzę, jak patrzą na Zarazę. Wydają się zbyt chętne, by zostać jego służącymi.

– Co to ma być? – pyta jeździec, omiatając wzrokiem ubrane w togi towarzystwo.

– Długo czekaliśmy na twoje przybycie – mówi Ezekiel o szalonym

spojrzeniu.

Za mną jeździec prycha.

– A one? – Ruchem głowy wskazuje wybraną trójkę.

– Są twoje – odpowiada prorok.

– I co mam z nimi zrobić? – docieka Zaraza, marszcząc w dezorientacji brwi. Z całej naszej szóstki tylko on nie rozumie delikatnego podtekstu sytuacji.

Chce, byś zabrał je do łóżka. Oczywiście.

Ale milczę, ponieważ pragnę, by naprawdę zmieszany Ezekiel sam mu to przeliterował.

– Cokolwiek zechcesz – odpowiada gładko prorok. Zerka w moją stronę, gdy Zaraza mocniej mnie przytrzymuje. Widzę, że staruszek marszczy brwi.

Ooo, miał nadzieję, że Zaraza da się na to złapać? Szkoda, że on woli swój stary model.

– Co byś zrobił na moim miejscu? – pyta jeździec.

– Nie mnie wyrokować – mówi pokornie prorok. A przynajmniej wydaje mu się, że jest pokorny, gdy pochyla głowę i patrzy pod nogi.

Kobiety zaczynają się wiercić. Chyba wyobrażały sobie, że ta rozmowa przebiegnie zupełnie inaczej.

– A w zamian? – naciska Zaraza. – Co chcesz w zamian za te kobiety?

Spinam się. Jeździec nie rozważa tego na poważnie, prawda?

Ezekiel unosi wzrok. W jego oczach połyskuje chciwość.

– Miałem nadzieję, że mógłbyś nas oszczędzić. – Wskazuje na morze ludzi. – Masz tu wiernych wyznawców.

Zaraza wpatruje się w tłum.

– Hmmm.

Prorok wygląda na zadowolonego rozważaniami jeźdźca, który w końcu ponownie się do niego zwraca.

– Masz ogromny tupet, by tak mnie zatrzymywać – mówi ze spokojem Zaraza. Ezekiel się rumieni. – W ramach tej wymiany – ciągnie jeździec coraz bardziej stanowczo – chcesz mi oddać trzech ludzi w zamian za setki. Uważasz mnie za głupca?

Po raz pierwszy prorok wygląda na niepewnego.

– Nie, nie...

– Twoje kobiety byłyby dla mnie tylko przeszkodą – kontynuuje władczo. – I powinieneś już wiedzieć, że nie ma ratunku dla reszty ludzi. Mogę jedynie zabijać.

Czuję mrowienie na te słowa.

– Jeśli wierzysz w Boga, jak na to wygląda – dodaje jeździec – sugeruję, byś się do Niego modlił. Tylko On może was teraz ocalić.

[8] Edgar Allan Poe, Lenora, przeł. Roman Klewin.

ROZDZIAŁ 43



– Zrozumiałem intencje Ezekiela – mówi Zaraza, gdy prorok i jego ludzie zostają daleko za nami. – Na tym świecie tak wiele rzeczy mnie zaskakuje, ale to akurat nie.

Zatem wie, że kobiety miały świadczyć usługi seksualne.

I to kiedy posmakował kobiecego ciała...

Ezekiel musiał usłyszeć, że Zaraza więzi kobietę, która nie uległa Gorączce. Stwierdził pewnie, że jeśli podsunie mu kilka babek, jego wybrańcom darowane zostanie życie.

Założę się, że miał się za spryciarza.

Przemierzamy pospiesznie kilka miast, zatrzymując się jedynie w schronisku, gdy potrzebuję skorzystać z łazienki. Jeździec zabiera z niego namiot i kilka drobiazgów.

Najwyraźniej dziś znów będzie biwak.

I oczywiście, kiedy ten czas się zbliża, niebo postanawia uraczyć nas kolejną ulewą. Jakby kemping sam w sobie nie był beznadziejny.

Wieczorem leje jak z cebra, nawet wodoodporny materiał nie jest w stanie powstrzymać deszczu, który spływa z błotnistej ziemi wprost do namiotu. Cienka osłona drży przy każdym podmuchu wiatru.

Leżymy spleceni w ciemności.

– Ależ fajnie – mówię.

Zaraza parska śmiechem.

– To nie jest nasza najgorsza noc.

Nie, nie jest. Co za przygnębiająca myśl.

Nie widzę go w ciemności, ale otula mnie jego ciepło.

– Biedny Trixie – wytykam.

Koń został na zewnątrz. Niedługo po przybyciu w to miejsce jeździec poklepał go po boku, a zwierzę oddaliło się w stronę lasu.

– Mój rumak jest nieśmiertelny. Zapewniam cię, że nic mu nie jest. – Jego oddech owiewa mój policzek. – Wciąż nie dokończyłaś wiersza Edgara Allana Poeego.

Tego z rana? Zapamiętał?

– Nie słuchałeś.

– Słuchałem, choć nie wiem, czy ten twój makabryczny poeta pisałby o „zajebistych gnojkach”.

Uśmiecham się w ciemności, pamiętając, jak popłynęłam, aby pozyskać jego uwagę.

– Poe był zuchwały.

– Tak? – Słyszę wesołość w jego głosie. – Jakie jeszcze inne dobrze skrywane tajemnice świata znasz?

– Hmm. – Udaję, że się zastanawiam. – Środa jest najbardziej niedocenianym dniem tygodnia. Ciepła kąpiel jest w stanie wyleczyć niemal każdą dolegliwość. „Flegma” to najokropniejsze istniejące słowo, a nie „zawilgły”, jak upiera się moja mama. Świat wart jest ocalenia, a ja chciałabym nazywać cię jakoś inaczej niż Zaraza, bo bez względu na twoje przekonanie, imiona mają znaczenie.

Nie planowałam, by ta rozmowa stała się tak głęboka, nie chciałam głosić kazań, ale oto proszę.

Zaraza się spina.

– Nie próbuję cię zmieniać, dlaczego ty starasz się to ze mną zrobić?

Ponieważ niszczysz mój świat.

– Nie mogę cię zmienić, tylko ty jesteś w stanie to zrobić.

– Posłuchaj, Saro: ja się nie zmienię.

Teraz to ja sztywnieję w jego ramionach.

Obraca się, by spojrzeć mi w oczy.

– Ledwie udaję człowieka, nic więcej – mówi. – Moje ciało nie

potrzebuje pożywienia, wody, snu czy innych aktywności. Oddaję się nim, bo oddaję się tobie.

– O, czy to jedyny powód? – pytam odrobinę drwiąco.

No bez jaj. Oddaje się wszystkim tym rzeczom, ponieważ cieszy się smakiem jedzenia i alkoholu, a także moją bliskością. Może nie jest człowiekiem, ale desperacko pragnie nim być.

– Wystarczy – mówi ostro. – Chcesz wiedzieć, dlaczego noszę koronę?

Po jego tonie wnoszę, że chce mnie zranić, wystraszyć, przypomnieć, jakim jest potworem. Powinnam mu wyznać, że to również ludzka cecha? Opowiedzieć o tym, jak potrafimy się nawzajem odpychać, by chronić się przed bólem?

– Jestem pierwszym jeźdźcem – ciągnie – tym, którego zadaniem jest zniszczenie waszego dawnego stylu życia. Ty i twoi głupi pobratymcy wierzyliście, że możecie wyprzedzić Boga. Budowaliście i wprowadzaliście innowacje, a w swoim dążeniu okradliście Ziemię z czystości i zapomnieliście, że wszyscy mieliście jednego Pana. Wszyscy odwróciliście się od Boga. Nawet ty, droga Saro. A ja jestem tu, by wam o Nim przypomnieć. Jestem waszą śmiertelnością. Brzydką prawdą, że wasze ciała nie są trwałe, a słabe i grzeszne. Stanowię przypomnienie, że wszyscy ludzie muszą stawić czoła wielkiemu, przerażającemu sądowi. – Jego wyznaniu towarzyszy grzmot. – Oto, kim zawsze byłem i kim zawsze będę. Niezmienny i nieśmiertelny.

Zapada cisza.

– Co za bzdury.

Bardziej czuję, niż widzę jego zdziwienie.

– Uważasz, że kłamię?

– Zachowujesz się, jakbyś nie mógł się zmienić, ale życie oznacza adaptację, a w tej chwili żyjesz. Chociaż nie możesz umrzeć, kroczysz pośród nas. Kochasz jak my, odczuwasz ból jak my.

Nie odpowiada, więc kontynuuję.

– Może świat zapomniał o Bogu, a ty powinieneś zrzucić na nas Jego sprawiedliwość, ale nie zachowuj się, jakbyś nie robił tego z wyboru. Za każdym razem, gdy przejeżdżasz przez jakieś miasto, wybierasz, aby

zainfekować ludzi. Decydujesz, by zabijać, a żaden Bóg, za którym stoisz, nie może cię uchronić przed tą prawdą.

Mija chwila, słysząc jedynie mocno siekący o namiot deszcz.

– Skoro jestem takim potworem – mówi w końcu Zaraza – czym w takim razie jesteś ty, jeśli dobrowolnie mi się oddałaś?

– Idiotką – mówię – ale to akurat nic nowego.

– Nie przestanę.

Mogłabym przysiąc, że jest strapiony, ale nie wiem, która część rozmowy tak go wzburzyła.

– A ja nie porzucę tematu, dopóki tak będzie.

– Nie możesz mieć nadziei na wygraną – ostrzega.

– Jeśli uważasz, że chodzi o wygraną – mówię – chyba w ogóle nie słuchałeś.

– Hmm – mruczy, patrząc na mnie i głaszcząc mnie po ręce. – Dałaś mi wiele do myślenia.

Chwila, czy któreś z moich słów naprawdę do niego dotarły? A właśnie miałam uznać, że mówiłam do ściany.

– Wystarczy na dziś. Chcę poczuć te twoje głupie, dzikie usta na moich i twoje ciało pode mną, bo taka jest cena mojego towarzystwa – oznajmia i owiewa mnie jego oddech.

– Jesteś wielkim optymistą, sądząc, że po tym małym przemówieniu uda ci się zaliczyć...

– Zaliczyć?

– Wyjaśnię później.

– Dobrze. Mam dosyć wojny z twoimi ustami. – Przysuwa się. – Pokaż mi inną stronę życia.

Więc to robię.

ROZDZIAŁ 44



Powinnam być ostrożna w takie dni jak dziś, kiedy słońce świeci jasno, a niebo jest oślepiająco błękitne – dni, gdy bolą cię oczy i ściska się serce. To taki dzień, który, nawet jeśli wypada w zimie, przypomina ci o lecie.

To kłamstwo, jak i inne boleśnie piękne rzeczy, więc powinnam wiedzieć, że nie wolno mu ufać.

Wczorajsze obozowisko zostaje daleko za nami, gdy wjeżdżamy do pierwszego miasta, rozmawiając i pławiąc się w ciepłych promieniach.

– ...usłyszałam hałas pod umywalką w łazience – jestem w połowie historii – a kiedy poszłam to sprawdzić, zobaczyłam nie jednego, lecz trzy szczury. – Urywam, by dodać wszystkiemu dramaturgii.

– Nie rozumiem, jak to doprowadziło do... uruchomienia alarmu przeciwpożarowego – mówi, wahając się nieco, nim powtarza tę nazwę. Niedawno wytłumaczyłam mu, czym był alarm przeciwpożarowy i jak ten w moim mieszkaniu przetrwał przybycie jeźdźców.

– Szczur na mnie skoczył! – wykrzykuję.

– No i?

– No i? – Szczury nie rzucają się na ludzi. Szczególnie w czasach, w których ludzie je jedzą. – No i wzięłam puszkę lakieru do włosów i zapalki, i zrobiłam miotacz ognia.

Nikt nie będzie atakować tej zołzy w jej własnym domu.

Jeździec odchyła głowę i parska śmiechem. Milknę, aby obrócić się

w siodle i na niego spojrzeć.

Tylko Zaraza może przyćmić słońce.

– Nie mów, że próbowałaś skrzywdzić te stworzenia? – pyta, gdy przestaje się śmiać.

– Wiesz, twoje uwagi są naprawdę cenne.

Ponownie się śmieje, a ja ustanawiam sobie nowy cel: sprawić, by więcej się śmiał.

– I udało się? – docieka.

– Oczywiście, że nie.

Rechocze.

– Cóż, wtedy nie uważałam, by było to bardzo śmieszne – mówię, ale nie potrafię zachować powagi. To niemożliwe, gdy on się tak rozpogadza.

Udaje mu się stłumić śmiech, by powiedzieć:

– Czy twoja praca nie polega na gaszeniu pożarów zamiast...

BUM!

Moje ciało zostaje rzucone do przodu, gdy wszystko wokół mnie wybucha. Kiedy lecę, czuję na plecach żar, okropne, spalające gorąco. Topi moją skórę, choć od większości osłania mnie Zaraza.

Upadam na ziemię, od czego zaczyna boleć mnie bok. Wokół mnie spadają kawałki asfaltu i ziemi, uderzając we mnie w kilku miejscach.

Leżę przez dłuższą chwilę, oddychając ciężko, gdy w powietrzu unosi się gęsty dym.

Co, u licha, właśnie się stało?

Po drugiej stronie drogi Zaraza leży pod Trixiem, a przy jego głowie tworzy się kałuża krwi. Ciało konia praktycznie nie ma, a to, co zostało, jest zakrwawione i przypalone.

Jęczę na ten widok.

Podnoszę się, ale moje kończyny zaczynają protestować.

Część drogi została wysadzona w powietrze i nie trzeba nieprzytomnego jeźdźca czy zniszczonego konia, by uświadomić sobie, że miała miejsce eksplozja.

Ktoś podłożył bombę.

Dobry Boże.

Wychodzą z lasu, gdy czołgam się do Zarazy, są cisi i złowrodzy. Jest ich kilkunastu, może więcej, i w przeciwieństwie do ostatniej zasadzki ci nie kłopotczą się maskami przeciwgazowymi.

Wiedzą, że umrą.

Ubrani są jednak podobnie. Wiele skór i militarnych wzorów.

To jakiś gang.

Wyraźnie widać ich nienawiść, maluje się ona na ich twarzach i wypełnia atmosferę.

Nie będą jak inni.

Nie uda mi się przetrwać.

– Zaraza – wołam, ale mój głos jest zbyt ochryply od bólu i dymu.

Mimo że nie może mnie usłyszeć, powoli obraca do mnie twarz.

Jego oczy są pełne strachu.

Uświadamiam sobie, że boi się o mnie, gdy zbliżają się ci ludzie.

Grupa nie podchodzi najpierw do mnie. Napastnicy zbierają się wokół jeźdźca. Zręcznie zdejmują z niego Trixiego i przez chwilę to wygląda, jakby próbowali go uratować przed zmiżdżeniem, ale wiem lepiej. Oni nie są tak altruistyczni, jeśli chodzi o Zarazę.

Jeden z nich trzyma shotguna przy biodrze, celując w jeźdźca.

Wzrok Zarazy ponownie zmierza ku mnie, nim wraca do otaczających go ludzi.

– Oszczędźcie mo...

BUM!

Pada strzał, łuska odskakuje na bok.

Z mojego gardła wydostaje się krzyk szoku.

Ktoś oddziela się od grupy. Uświadamiam sobie, że to kobieta. Podchodzi do mnie, przechyla głowę na bok, przyglądając mi się jak ptak robakowi. Cokolwiek widzi, powoduje, że marszczy brwi.

Szybkim ruchem trafia obutą stopą w moją skroń i świat staje się czarny.

ROZDZIAŁ 45



Odzyskuję przytomność. Czuję, jakby w mojej głowie biło drugie serce.

Próbuję unieść dłoń, ale ręce mam związane za plecami. Mam również skrępowane nogi i nie mogę się ruszyć. Mrugam, by odzyskać ostrość widzenia.

Ktoś oparł mnie o oznaczony budynek, choć farba wyblakła. Gromadzą się wokół mnie ludzie, większość jednak znajduje się przy pobliskim słupie telefonicznym.

Przyglądam się im, próbując rozszyfrować, co się dzieje. Mija dłuższa chwila, aż w końcu udaje mi się dostrzec zakrwawione ciało, w które się wpatrują.

Zaraza.

Krzepki facet przywiązuje go do słupa, linę okręca oszałamiającą ilość razy wokół jego zniszczonej sylwetki. Przy nogach jeźdźca znajduje się stos drewna.

Jego twarzy niemal nie ma, a większa część pleców uległa spaleni podczas eksplozji. Gdyby był śmiertelny, umarłby już z pięć razy, a wiązanie go byłoby bezcelowe. Fakt, że został spętany, sprawia, iż wydaje mi się, że te osoby wiedzą o jego nieśmiertelności.

Ktoś poza mną poznał w końcu brutalną prawdę.

A teraz ci ludzie wykorzystują ją przeciwko niemu.

Wydaję z siebie pełen beznadziei szloch.

Kiedy mężczyzna kończy przywiązywać go do słupa, pojawiają się młotki i gwoździe.

Nawet gdy zbliżają te przedmioty do jego ciała, nie potrafię zrozumieć, co zamierzają z nimi zrobić. Umysł nie pozwala sobie tego wyobrazić. Dopiero gdy zaczynają wbijać pierwszy gwoździe, uświadamiam sobie, co się dzieje.

Zamierzają go ukrzyżować.

Ciało Zarazy wzdyga się z bólu. Za pierwszym gwoździem idzie drugi, trzeci i czwarty. Jeździec za każdym razem się wzdyga.

Krzyczę, a kiedy zaczynam, nie potrafię skończyć.

Praca przyzwyczała mnie do współczucia, poświęcenia. Widziałam ludzi w szpitalach po tym, jak wbiegli do płonących budynków, by uratować psa. Widziałam sąsiadów opróżniających spizarnie i otwierających swoje domy dla ofiar tylko dlatego, że chcieli wspomóc potrzebujących. Praca pokazała mi, że nawet w najgorszych okolicznościach ludzie potrafią być najlepsi. Ludzkość jest dobra.

Tym bardziej szokuje mnie widok tej drugiej strony ludzkiej natury. Zimnego okrucieństwa. Jest to tak zaskakujące, że jedyne przychodzące mi na myśl określenie to „niehumanitarne”.

Kilka osób pomaga w ukrzyżowaniu Zarazy, podczas gdy inni stoją, z zadowoleniem przyglądając się torturującym mojego jeźdźca.

Krzyczę ochryple, błagając, by przestali.

– Ta cipa naprawdę płacze nad tym gnojem – mówi ktoś stojący nieopodal, wskazując mnie ruchem głowy.

Zbliża się jeden z mężczyzn, na ramieniu ma shotguna. Kuca przede mną, wpatruje się przez chwilę w moją twarz, po czym mnie uderza.

Słyszę, jak Zaraza ryczy, gdy moja głowa odskakuje na bok.

– Ja pierdolę. To coś naprawdę nie umiera.

Obracam głowę, by spojrzeć na mężczyznę przede mną, policzek boli mnie od uderzenia. To kolejny ból dodany do reszty.

– Przestańcie go ranić – szepczę. Mam mokrą twarz i po raz pierwszy uświadamiam sobie, że przez cały ten czas płakałam.

Mężczyzna przede mną mruży oczy, spostrzegając moje łzy.

– Chyba są parą. Jeździec i jego ludzka dziwka.

Patrzę na niego z żalością. To przerażające – patrzeć w oczy tak pełne nienawiści. Pomimo całej tej makabry Zaraza nigdy się nią nie cieszył.

– Powiedz, dziewczyno, ile razy musiałaś się pieprzyć z tym czymś, nim postanowiło cię oszczędzić?

Ktoś woła z tyłu:

– Może też powinniśmy spróbować? Sprawdzić, co takiego szczególnego jest w jej piździe.

Krzyczy kobieta:

– Nie zamierzam tu stać, gdy będziesz ją dymał. Trzymaj się planu, Mac.

Mac, mężczyzna przede mną, z irytacją zerka przez ramię na kobietę.

Zsuwa pasek shotguna i wyjmuję złowrogo wyglądający nóż zza pasa. Chwyta mnie za związane nogi i zaczyna ciąć.

– Spróbuj mnie kopnąć, dziewucho – mamrocze pod nosem – a dopilnuję, by wszyscy nacieszyli się twoją piczką.

Kopnięcie go wydaje się kuszące, ale moje nogi są zbyt słabe, by zadać jakiegokolwiek głębsze obrażenia.

Kiedy rozcina więzy, bierze broń i wstaje.

– Ruszaj się – rozkazuje, kopiąc mnie w łydkę. Lufą wskazuje miejsce na drodze oddalone o jakieś piętnaście metrów.

Wstaję i kuśtykam na poranionych nogach, Mac znajduje się tuż za moimi plecami.

Po jakichś dziesięciu krokach kopie mnie, więc padam na ziemię. Z oddali słyszę śmiechy, a za nimi agonalne jęki.

Zaraza. Najwyraźniej ma dobry widok na to, co się tu dzieje.

– Wstawaj – rozkazuje rozbawiony Mac.

Tłumię jęk bólu i wstaję, po czym kuśtykam dalej, ale uchodzę kilka kroków i znów dostaję kopniaka.

Ponownie wszyscy się śmieją, a Zaraza jęczy. I znowu Mac poleca mi wstać, by za chwilę mnie kopnąć. Cały scenariusz powtarza się jeszcze cztery razy, aż śmiechy ustają, a jęki Zarazy stają się ciągłym zawodzeniem. Idę drogą, a serce wali mi jak młotem.

Wydaje mi się, że tak to jest, gdy łamie się twój duch. Kiedy nie ma już w co wierzyć. Niezwyciężony Zaraza został pokonany, ludzie stracili swoje człowieczeństwo, a ja umrę w ten piękny zimowy dzień.

Kiedy docieram na miejsce, Mac rozkazuje:

– Stań tu.

Obracam się do niego twarzą, shotgun wisi mu luźno w rękach. Jego towarzysze patrzą na nas, gdy Mac celuje bronią w mój brzuch. Grupa rozstała się tak, że nawet jeździec widzi mnie wyraźnie.

Zaraza jęczy cicho, a ja patrzę w to, co zostało z jego twarzy.

– Nie zapomnij o swoim miłosierdziu – mówię mu, gdy Mac przeładowuje broń. – Ani o tym, co dla mnie znaczysz. Oddałabym za ciebie wszystko...

– Hej! – woła Mac. – Może się zamkniesz, szmato? O – dodaje – i pozdrów ode mnie szatana.

Bum!

Ryk Zarazy zostaje zagłuszony przez huk wystrzału.

Zostaję odrzucona, gdy śrut trafia w mój tors. Nagle ból pojawia się wszędzie, oślepiając mnie i kradnąc oddech. Rozkwita w kilkunastu różnych miejscach.

Upadam na kolana.

Wciąż nie mogę złapać tchu.

Słyszę ryki jeźdźca, gdy łapię się za pierś i obserwuję, jak krew przesącza się pomiędzy palcami.

I wszyscy konni i wszyscy dworzanie złożyć do kupy nie byli go w stanie.

Bezsensowna linijka z wierszyka o Humptym powtarza się nieustannie w mojej głowie. Wiem, że nie ma w tym żadnej logiki, ponieważ życie ze mnie uchodzi, a ostatnie sekundy są najcenniejsze, ale nie potrafię uciszyć umysłu, by nie podsuwał mi tej kretyńskiej wyliczanki.

Mac nie strzela ponownie. Zamiast tego śmieje się z towarzyszami, zakładając broń na ramię. Ktoś wylewa benzynę do zapalniczek na drewno ułożone przy nogach Zarazy.

Spalą go. Tak jak ja to zrobiłam.

Ostatnie, co czuję, to dym.

Nie mam pojęcia, ile czasu unoszę się na granicy życia.

Śrut musiał minąć najważniejsze organy, myślę. Zastanawiam się również, czy już nie umarłam. To znaczy, skąd ktokolwiek ma wiedzieć, jak naprawdę wygląda śmierć?

– Saro...

– Saro...

– Saro...

Ktoś ciągle mnie woła. Próbuję unieść powieki, ale to, co widzę, nie ma sensu.

Gang zniknął. Wszystko, co po nich zostało, to dymiąca kupa popiołu. To i kadłubek, który próbuje odsunąć się od ognia.

Zaraza...

– Saro – chrypi. Jego ciało jest szerniałe jak jego twarz... Nawet nie można tak tego nazwać. Nie potrafię dostrzec jego rysów, choć najwyraźniej musi mieć usta, skoro woła do mnie z głębi zniszczonego gardła.

Wydaję cichy dźwięk. Nie mam w sobie na tyle życia, by się smucić, bać czy dziwić.

Moje otoczenie zaczyna blednąć.

Kiedy ponownie skupiam wzrok, Zarazie udaje się do mnie doczołgać. Obejmuje mnie zwęglonymi rękami, niemal jakby chciał mnie chronić.

– Saro, Saro, Saro... – Tym razem jego głos jest silniejszy. Wciąż ochrypły, ale w tej chwili brzmi, jakby miał jedynie silne zapalenie krtani, a nie uszkodzony cały aparat mowy. – Powiedz coś.

Mówienie w moim przypadku powinno być łatwiejsze, a mimo to udaje mi się jedynie wydusić cichy jęk.

Czuję ciężar jego ręki na moim torsie. Czuję, że mnie tuli, a jego ciało drży.

Nie przypuszczałam, że jeździec mógłby płakać. A jednak słyszę szloch. Dźwięk jest okropny, gorszy nawet od przerażających krzyków.

– Wybacz mi, Saro.

Co mam wybaczyć?, chciałabym zapytać, ale nie potrafię uformować słów. Moje usta nie działają jak należy. Jestem pewna, że tylko mój umysł jeszcze żyje. Nawet nie ma już tego strasznego bólu. Jest tylko słabe pulsowanie.

I czuję ulgę, że nie potrafię zwerbalizować myśli, ponieważ jest tak wiele rzeczy, które wymagają wybaczenia. Jego okrucieństwo. I moje. Oraz cała ta śmierć i przemoc.

Gwałtownych uciech i koniec gwałtowny... [9].

Po wyliczankach mój umysł zajmuje Szekspir.

Ale przecież Zaraza nie był w końcu brutalny, prawda? Był smutny i dziwny. Przybył na Ziemię w określonym celu, jak powiedział, gdy przyparłam go do muru.

Boże, proszę, nie pozwól mi umrzeć.

Inaczej Zaraza będzie samotny, a ta myśl rani bardziej niż kule w mojej piersi.

Leżymy spleceni w uścisku. Zakrada się do mnie spokojna ciemność. Walczę z nią.

W końcu jednak tracę siły i miękko opadam w mrok.

[9] William Shakespeare, *Romeo i Julia*, przeł. Józef Paszkowski.

ROZDZIAŁ 46



Budzi mnie ból. Jęczę słabo i żałośnie.

Nie mogę być martwa, jeśli boli, prawda? Po śmierci nie powinno czuć się bólu...

No chyba że trafiłam do piekła. To też możliwe.

Uchylam powieki i patrzę na poparzoną skórę.

Zajmuje mi chwilę, nim uświadamiam sobie, że widzę zrujnowaną twarz Zarazy. Odtworzyły się oczy, ale nie nos – to tylko czarna dziura – i nie ma również jego warg. Są jednak miejsca, gdzie ciało nie jest już takie szerniałe. Na tych obszarach widać różową tkankę i wiem, że w ciągu jednego dnia przemieni się ona w złocistą opaleniznę.

Mój jeździec.

Patrzy na mnie.

– Zostań ze mną, Saro. Zostań, umiłowana.

Znów się trzęsę, ból uniemożliwia mi oddychanie. Dopiero wtedy uświadamiam sobie, że Zaraza idzie. Nie mogę spojrzeć w dół, by dostrzec spalone resztki jego nóg, ale to musi być przerażający widok. Idzie, a co bardziej zdumiewające, niesie mnie.

Wciąż nie widzę ludzi, którzy nas skrzywdzili, choć muszą gdzieś tu być. A może są jak mój pies z dzieciństwa, który wczłgał się pod taras, by umrzeć, i udali się do własnego cichego zakątka świata, żeby pozbyć się smrodu morderstwa i pozwolić, by zabrała ich plaga.

Z zamyślenia wyrywa mnie bolesne rzenie. Udaje mi się obrócić głowę,

by spojrzeć na konia. Trixie Skillz leży na boku, a większa część jego ciała jest przypalona.

Nie oszczędzili nawet zwierzęcia?

Gnoje.

Trixie patrzy na swojego pana, grzebiąc kopytem w ziemi. Nie sądziłam, bym miała siłę płakać, zwłaszcza nad nieśmiertelnym koniem, ale i tak to robię. Zaciskam mocno powieki i pozwalam, by Zaraza przytulił mnie do siebie, choć moje ciało protestuje bólem, gdy wstrząsa mną szloch.

Jeździec mocniej mnie obejmuje. Kiedy podchodzi do Trixiego, przystaje na chwilę. Zaraz jednak znów idzie, pozostawiając za sobą rumaka.

Świat się rozmywa, gdy tracę przytomność, odzyskuję ją i znów tracę.

Nie śpię. Myśli wirują w moim zamroczonym umyśle, ale zaraz umykają.

W którejś chwili swąd dymu zostaje zastąpiony wonią środka odkażającego. Budzi mnie ten zapach, ale jestem zbyt słaba, by unieść głowę czy otworzyć oczy.

– ...ulecz ją...

– ...tak, ale wciąż należy się martwić infekcją...

– ...zadbać... lub umrze...

– Nie.

– Nie? – pyta Zaraza.

Jęczę słabo. W odpowiedzi jeździec przyciska usta do mojego czoła.

– Zostań ze mną, Saro – szepcze przy mojej skórze.

Słabo kładę rękę na jego piersi, palce dotykają cieplej skóry u podstawy szyi.

Chciałabym mu powiedzieć, że się trzymam, żeby się o mnie nie martwił, ale najpierw musiałabym przebić się przez ścianę bólu, a tego po prostu nie umiem zrobić.

– Zależy ci na niej? – pyta obcy głos.

– Kocham ją.

Zaciskam palce na jego skórze.

Muszę otworzyć oczy. Muszę zobaczyć wyraz jego twarzy, gdy wypowiada te słowa. Muszę ponownie je usłyszeć, gdy będzie na mnie patrzył.

Pomimo mojego wysiłku powieki pozostają opuszczone.

– Kochasz ją?

– To właśnie powiedziałem, człowieku.

Na skraju świadomości zauważam, że Zaraza traci opanowanie.

– W takim razie mam nadzieję, że zaboli cię obserwowanie, jak odchodzi.

Zapada straszliwa cisza.

– Niech i tak będzie – kwituje ponuro jeździec.

Nawet pomimo bólu, na dźwięk jego głosu przeszywa mnie dreszcz.

Nieznajoma kobieta zaczyna krzyczeć. Wrzask niesie się korytarzem, przybierając na sile. Albo dołączają do niego inne głosy.

Przestańcie, próbuję powiedzieć, ale z moich ust wydostaje się tylko jęk.

I te głosy są w mojej głowie, a ich dźwięk powoduje ból. Narastają pod skórą, paląc mnie od środka.

Ponownie ogarnia mnie ciemność, a tym razem nie jest tak łatwo się obudzić.

Mrugam i widzę nikłe światło. Jest wszędzie – nade mną, poniżej i po obu stronach.

Dotykam brzucha, ale już nie boli. Nie ma cierpienia, krwi, zniszczonej skóry, niczego...

– *Oto śmiertelniczka, w której zakochał się mój brat.*

Mrużę oczy pod wpływem tego nikłego światła. Wylania się z niego cień, na początku jest rozmyty.

– *Zaraza? – pytam.*

– *Nie całkiem.*

Z każdą mijającą chwilą cień się wyostrza i nabiera kształtu, aż przypomina zniekształconą postać człowieka.

Chwila, nie jest zniekształcony. Ma coś na plecach. Skrzydła.

Tanatos.

Czwarty jeździec.

Patrzy w dół na mnie, więc orientuję się, że leżę na ziemi – jeśli można nazwać tę niematerialną rzecz podę mną ziemią.

Po chwili jeździec wyciąga do mnie rękę.

– Nie żyję? – pytam, ignorując ten gest.

– Chwilowo.

Nie... żyję.

Powinno mnie to zmartwić – tak samo jak powinien przerazić mnie uskrzydłony jeździec – ale z jakiegoś dziwnego powodu nie przeszkadza mi za bardzo ta sytuacja. Może to sprawa tego miejsca.

Tanatos wciąż wyciąga rękę, więc niechętnie podaję mu swoją.

– Muszę wrócić – mówię, gdy pomaga mi wstać. – Zaraza mnie potrzebuje.

– Naprawdę? – Śmierć przechyla głowę, jego czarne włosy przesuwają się, długie pasma spowijają jego twarz jak całun pogrzebowy.

Uświadamiam sobie, że jest całkiem przystojny. Zupełnie jak jego brat. Chociaż piękno Zarazy jest przytłaczające, a Śmierć ma tragiczną, ostrą twarz.

Nadal nie puszcza mojej dłoni.

– Ostatni raz, gdy go widziałem, nikogo nie potrzebował – ciągnie, przyglądając mi się. – Wydaje się, że... uległ.

Nie mam pojęcia, co to znaczy.

– A co z tobą? – pyta Śmierć. – Ty go potrzebujesz?

Jak powietrza.

– Tak.

Śmierć rozwiera szeroko skrzydła, trzepocze nimi lekko, niemal w ekscytacji.

– Twoje ciało nie chce, byś wróciła, Saro Burns.

Skąd zna moje imię?

Zaciska palce, a jego skrzydła trzepoczą nieco szybciej. Czy chce mnie unieść ze sobą?

– Czekają na ciebie inne rzeczy – oznajmia.

– Chcę wrócić. – Nie mogę opuścić Zarazy. Nie zrobię tego.

Tanatos wpatruje się we mnie onyksowymi oczami.

– Mógłbym to zatrzymać, a jednak jestem bardzo... podekscytowany. –

Sklada skrzydła. – Dobrze, niech tak będzie...

Puszcza moją rękę i spadam.

Przez całą drogę w dół patrzę na Śmierć, nawet jeśli jego postać maleje i niknie w słabym świetle.

Spadam i spadam...

ROZDZIAŁ 47



Moja pierś się napina, gdy biorę mocny, gwałtowny oddech. *Jezu, jak to boli!* Jakby ktoś trzymał przy mnie zapaloną pochodnię.

Unoszę powieki i rozglądam się po szpitalnej sali.

Nie umarłam.

Ta myśl wydaje się niedorzeczna po postrzale, którego doznałam.

Unoszę rękę do szpitalnej koszuli. Przesuwam ją na tyle, by zerknąć na zabandażowany tors. Nie widzę za wiele poza opatrunkami, ale oślepiający ból mówi wszystko.

Zdecydowanie znajduję się w krainie żywych. Śmierć nie mogłaby tak boleć, i wątpię, by zaświaty tak bardzo śmierdziały. W powietrzu unosi się ciężka woń chemikaliów, która jest zawsze obecna w szpitalach – jakby była ona ostatnim krzykiem ludzkości w walce z chorobą. A wnioskując po obecnym też odorze śmierci, to naprawdę słaby krzyk.

Dopiero teraz uświadamiam sobie, że nie mam pojęcia, jak znalazłam się w tej sali, a nie ma tu nikogo, by mi to wyjaśnić.

Nasłuchuję przez moment, nadstawiając uszu, ale poza tą salą również panuje cisza. Całe to miejsce jest przeraźliwie ciche.

Próbuję skopać okrycie, ale zaraz syczę.

Jezu, to boli bardziej, niż gdy byłam wleczona za koniem jeźdźca. Boli mnie wszystko i wszędzie. A teraz, gdy odzyskałam przytomność, wydaje się, że ten ból mnie otacza. Oddycham, zamykając oczy,

w niewyobrażalnym cierpieniu. Kiedy w końcu ból odpuszcza, ponownie zacynam się ruszać, tym razem wolniej i ostrożniej.

Zaciskam zęby w udręczeniu, docierając jakoś do drzwi. Muszę się na chwilę o nie oprzeć, by złapać dech. Chwieję się na nogach.

Nie dotrę za daleko.

Mimo to chwytam za klamkę. Naciskam ją i otwieram drzwi.

Najpierw uderza we mnie swąd. Jakby śmierć narobiła w spodnie.

Ściska mi się gardło, nie przyjmując tego smrodu. Moje serce bije jak oszalałe, gdy wychodzę na korytarz.

Dostrzegam ich. Dziesiątki rozdętych, gnijących ciał opartych o ściany lub leżących na podłodze.

Natychmiast dostaję mdłości. Gdybym miała cokolwiek w żołądku, od razu by wróciło.

Dlaczego ci ludzie nie ewakuowali się, gdy mieli jeszcze szansę?

Nie chcieli lub nie mogli tego zrobić, Burns.

Więc umarli.

Stuk, stuk, stuk. Na linoleum słychać kopyta. Chwilę później zza rogu wychodzi Zaraza, ciągnąc za sobą Trixiego.

Zamieram na jego widok.

W przeciwieństwie do mnie (a muszę wyglądać naprawdę podle, bo tak też się czuję), jeździec wrócił do swojej anielskiej prezencji – jest nieskazitelny, nic mu nie dolega.

Jedyne, co jest inne, to surowość na jego twarzy. Aż do teraz nie zdawałam sobie sprawy, że nawet kiedy mnie nienawidził, jego oblicze nie było tak harde. Zaraza rozpogadza się jednak, gdy tylko mnie zauważa. Całkowicie.

Puszcza lejce i spieszenie do mnie podchodzi. Obejmuje moją twarz i całuje w usta.

– Odzyskałaś przytomność. Żyjesz. – Odsuwa się i błyszczącymi oczami patrzy w moje.

Przełykam ślinę. Przecież zgodnie ze wszystkimi prawami natury powinnam być martwa.

Byłam martwa... Prawda?

Na chwilę w moim umyśle pojawia się obraz skrzydeł, ale szybko umyka.

– Chciałem być przy tobie, gdy się obudzisz. – Dotyka mnie, jakby musiał się upewnić, że naprawdę żyję. – Nie opuszczałem cię, aż godzinę temu ruszyłem szukać Trixiego.

Przesuwa dłoń na mój mostek. Pozostawia ją tam i zamyka oczy.

– Myślałem, że nie żyjesz – mówi łamiącym się głosem – że wymknęłaś się poza mój zasięg.

Dotykam jego policzka.

– Ocaliłeś mnie.

Lgnie do mnie, otwierając oczy.

– Zawsze cię ocale – mówi stanowczo. – I nigdy nie powtórzy się już to, przez co przeszłaś.

Przeszywa mnie dreszcz na widok cienia w jego oczach, który jednak szybko znika, i wydaje mi się, że go sobie wyobraziłam.

Zaraza marszczy brwi.

– Nie powinnaś wstawać, Saro.

Naprawdę nie powinnam.

– Nic mi nie jest – mówię gładko.

Grymas jeźdźca pogłębia się po tym moim kłamstwie.

Zerkam ponad jego ramieniem na rozdęte ciało.

– Co się stało? – pytam ochryple.

Zamiast odpowiedzieć Zaraza prowadzi mnie do Trixiego. Próbuję stać i się nie ruszyć, póki mi nie odpowie, ale jest za silny i uparty, więc poddaję się, gdy w ciszy prowadzi mnie do konia.

– Cześć – witam się cicho z rumakiem. Ostatni raz, gdy go widziałam, był mocno poraniony. Zwierzę opuszcza teraz łeb i szturcha mnie pyskiem.

Za Trixiem podczepiona jest przyczepka – posłanie z miękkim materacem, poduszką i kocem.

Dla mnie.

Pojawia się zamglone wspomnienie.

Kocham ją.

To właśnie powiedział Zaraza.

Chwytam go za przedramię.

– Słyszałam cię. – Spoglądam na niego, a moje serce przyspiesza. Teraz przytłacza mnie już nie tylko ból, lecz także wszystkie te wspaniałe emocje, które kotłują się pod moją skórą.

Jeździec patrzy na mnie pytająco.

– Co słyszałaś, droga Saro?

– Kochasz mnie – mówię łamiącym się głosem.

Nie kwestionuję jego uczuć jak kiedyś, gdy Zaraza gubił się pomiędzy miłością a pożądaniem. Nie po tym, co niedawno przeszliśmy.

Przystaje. Początkowo w jego spojrzeniu dostrzegam wahanie, jakby nie był pewny, jak zareaguję na te wieści, ale gdy patrzy na moją minę, jego oczy zaczynają błyszczeć.

– Tak, Saro, kocham cię – mówi stanowczo. Z mocą. Jakby jego miłość była tu przy mnie i nigdzie się nie wybierała.

Mam ochotę się uśmiechnąć, ale wraca do mnie kolejne wspomnienie.

W takim razie mam nadzieję, że zaboli cię obserwowanie, jak odchodzi.

Słowa te są jak cios w brzuch.

Czy powiedziała to lekarka? Tak wywnioskowałam ze strzępków rozmowy. I znajdujemy się w szpitalu. Byłoby logiczne, gdyby Zaraza rozmawiał z lekarką... która chciała uświadomić mu, co znaczy strata.

W tej samej chwili rozległy się krzyki. Myślałam, że były w mojej głowie, ale teraz znów się rozglądam. Z oczu, uszu, nosów i ust tych ludzi cieknie krew. Ofiary plagi tak nie wyglądają.

– Co się stało? – powtarzam, patrząc na ciała.

Coś tu nie gra.

– Nie chcieli cię uleczyć. – Jego głos jest bardzo zimny.

Ponownie omiatam wzrokiem korytarz.

– *Wszyscy?*

– Wystarczy.

Patrzę na coś, co zostało z pielęgniarki. Ma zakrwawione oczy, uszy i nos. Ci ludzie nie zmarli na Gorączkę. Zostali zabici z zemsty.

Zaczynam drżeć, chyba z przerażenia.

– Jeśli wszyscy zginęli, to kto mnie uleczył? – dociekam.

– Było kilku, których znalazłem i utrzymywałem przy życiu wystarczająco długo, by się o ciebie troszczyli.

Wystarczająco długo.

– Chodź – mówi, nie dopuszczając mnie więcej do głosu.

Pomaga mi wsiąść do wózka i się położyć. Muszę zamknąć oczy, bo jest tak delikatny i czuły. Mimo że niedawno dokonał masowej eksterminacji w szpitalu, obchodzi się ze mną, jakbym była ze szkła.

– Nie rób tego, Saro – mówi cicho.

Nie zamierza oszczędzić ludzkości, tylko mnie.

– Czego? – Unoszę powieki.

– Nie zachowuj się tak, jakbym był potworem. Zamierzali pozwolić ci umrzeć. – Jego spojrzenie płonie, jakby wciąż znajdował się w ogniu.

– Nie wszyscy – szepczę.

– Wystarczy.

Odwracam od niego wzrok.

– Do tego zostałem stworzony! – upiera się. – Umarli szybko. Czy to się nie liczy?

Liczy się. I tak by zginęli. Po prostu zobaczyłam te wszystkie ciała naraz i się zdenerwowałam.

Co innego obserwować, jak całe rodziny umierają w domach, rozmawiać z nimi, troszczyć się o nich i w końcu widzieć ich śmierć, a co innego zobaczyć budynek pełen gnijących trupów, na twarzach których wciąż gości przerażenie. Nie widzę w nich ludzi, którymi wcześniej byli, a to czyni ich jeszcze bardziej groteskowymi.

Nie odpowiadam. Szczerze mówiąc, jestem zbyt zmęczona, by kłócić się teraz z Zarazą.

– Niech i tak będzie – mówi.

To samo powiedział zaraz przed tym, gdy postanowił rozprawić się ze szpitalem pełnym lekarzy, pielęgniarek i chorych.

Ponownie drzę, ignorując pełne irytacji warknięcia, które opuszcza jego gardło. Jeździec cofa konia i wskakuje na siodło. Nawet gdy cmoka, wybrzmiewa w tym podenerwowanie.

Wózek podskakuje na ciałach. Krzywię się, gdy wywołuje to ból tak intensywny, że zatyka mi gardło, ale to na myśl o tych martwych ludziach robi mi się niedobrze.

Zgotował im szybką śmierć, nie powinnam się więc martwić. Tylko że tym razem był wściekły, gdy ich zabijał.

I to ja jestem temu winna.

Po raz pierwszy dopada mnie mroczna, podstępna myśl: mimo że Zaraza mnie kocha, nie zamierza oszczędzić ludzi. Jego miłość do mnie może być przyczyną ich szybszej zguby.

ROZDZIAŁ 48



Im więcej kilometrów dzieli nas od szpitala, tym łatwiej znika moje przerażenie.

Teraz w pamięci najczęściej słyszę krzyki Zarazy, gdy był torturowany, i to, jak tamtych ludzi cieszył jego ból. Nadal widzę kadłubek, który się do mnie czołgał, z zupełnie zwęgloną dolną częścią ciała.

Jaki niewyobrażalny ból musiał odczuwać, a mimo to pełził w moją stronę. Ale zrobił coś więcej. Wciąż pamiętam jego zniszczone ciało, gdy niósł mnie na rękach, które również były gdzieś wypalone.

Znosił to wszystko, aby mnie ocalić.

Do czasu, gdy jeździec zatrzymuje konia przed okazałym domem, zaczynam odczuwać żal i skruchę.

Kiedy podchodzi do wózka, widzę, że spodziewa się kolejnej kłótni. Jest spięty i zaciska zęby. Niemal słyszę kontrargumenty, o których myślał.

Ale nie walczę z nim.

Zamiast tego otwieram ramiona.

Waha się, wyraźnie oszołomiony i niepewny, dokąd to prowadzi. W końcu klęka, bierze mnie na ręce i mocno obejmuje. Trzymam go mocno przy sobie, nawet jeśli mój tors boli, jakby znowu mnie postrzelono.

– Nigdy w życiu tak się nie bałam – szepczę.

Kiwa głową.

– To znaczy, o ciebie.

Odsuwa się i patrzy mi w oczy.

– Nigdy więcej nie chcę, by coś takiego ci się przydarzyło – mówię ochryple.

Dotyka mojego policzka.

– Ja też nie chcę już widzieć twojej krzywdy – odpowiada, po czym dodaje łagodniej: – Myślałem, że nie żyjesz. – Głos łamie mu się na ostatnim słowie.

Mogłam nie żyć, pamiętam dziwną wizję Tanatosa.

Wpatruje się w moją twarz.

– Nigdy nie czułem takiego... strachu. To okropne uczucie.

To prawda.

– I nigdy takiej nienawiści.

Nie winię go za to – ci ludzie byli okropni – a mimo to drzę na jego słowa.

Jeździec zamyka oczy i opiera czoło o moje. Kiedy unosi powieki, w jego tęczęwkach widać ból.

– Umieranie i ocalenie stają się niepokojącym schematem w naszym przypadku.

– No tak. – Ale nie chcę się nad tym rozwodzić. Przesuwam dłoń, by dotknąć tych jego ładnych warg. – Powiedz to raz jeszcze – szepczę.

Marszczy brwi.

– Ale co?

– Powiedz, co do mnie czujesz.

Jego twarz ożywia się, usta układają w zawadiacki uśmieszek, nim ponownie poważnieje.

– Kocham cię – mówi. – Kochałem cię, zanim rozumiałem, co to znaczy. Kocham twój śmiech i twój sprośny humor. Kocham twoje współczucie i twoją pasję, twoją zaciekłość i lojalność. Chciałem sprawić, byś cierpiała, a teraz spójrz na mnie. Desperacko staram się utrzymać cię przy życiu.

Czuły wyraz jego twarzy sprawia, że żołądek fika mi koziółka.

Drzę na wietrze przenikającym moje ubrania, co burzy magiczny moment.

– Wejdźmy – mówi jeździec.

– Tylko jeśli nadal będziesz mi mówił o swoich uczuciach – mówię, złakniona, by o tym słuchać.

– Z przyjemnością, droga Saro. Jest jeszcze dużo rzeczy, którymi chcę się z tobą podzielić. Chciałbym, byś wiedziała o wszystkim.

Wsuwa pode mnie ręce, najwyraźniej zamierzając mnie nieść, ale kładę dłoń na jego piersi.

– Mogę wstać – nalegam.

Wygląda, jakby w to powątpiewał, ale się cofa.

Ostrożnie wyjmuję nogi z wózka, sycząc nieco przy tym ruchu. Czarne plamy tańczą mi przed oczami.

Dasz radę, Burns.

Wstaję mozolnie, przy czym protestuje moje ciało, a czarnych plamek jest coraz więcej.

Nie było tak źle, gdy przebywałam w szpitalu.

Zaraza staje przede mną, zniknęła wcześniejsza czułość, za to na jego twarzy maluje się wyraz dezaprobaty.

Stawiam ku niemu kilka małych kroczków i opadam w jego ramiona.

Próba chodzenia okazała się błędem. Teraz to widzę.

Jeździec pilnuje, bym leżała w łóżku w (ewakuowanej) posiadłości, a sam bawi się w pielęgniarza. Początkowo zakładam, że cała sytuacja jest przejściowa, ale mijają dni – dwa, trzy, cztery, siedem, dziewięć, trzynaście...

Czas płynie, rany się goją, dni się zlewają, aż nie pamiętam już, jak długo tu jesteśmy. Nie ruszamy się z miejsca, przy czym odkrywam, że Zaraza potrafi być apodyktyczny i nadopiekuńczy, szczególnie gdy staram się wieść coś, co przypomina normalne życie.

– Nie pamiętam, żebyś był taki, gdy chciałeś mnie zabić – droczę się, rzucając kołdrę dnia piętnastego? Szesnastego? Dwudziestego?

– Mam zostać ukarany za zbytnią troskę? – pyta Zaraza, stojąc koło łóżka. – To właśnie sugerujesz?

Niech go szlag trafi za przekręcanie moich słów.

– Nie zamierzam gnić w tym paskudnym wyrze ani chwili dłużej. – Łóżko nie jest paskudne. Ból i bezczynność sprawiły, że stałam się rozdrażniona, to wszystko.

– Oczywiście, że w nim zostaniesz, i nawet jeśli miałbym cię trzymać, Boże dopomóż, tak właśnie będzie.

Uparty jeździec doprowadza mnie do ostateczności.

– Wyzdrowiałam!

– Walczę z infekcją twojego ciała nawet teraz! Wcale nie jesteś zdrowa!

– Daj mi pochodzić po domu.

– Żebyś znów upadła? Chyba nie.

– To było wiele dni temu.

Czuję, jakby minęły miesiące. Muszę się poruszać.

– Tylko trochę ci się polepszyło! Twoje słabe ciało wciąż jest mocno poranione.

Słabe ciało?

– Jesteś pieprzonym tyranem! – warczę.

– W tej chwili jestem twoim pieprzonym zbawicielem. – Wygląda, jakby był mną szalenie zmęczony.

Nie pamiętam, by wcześniej był taki wybuchowy.

Wystraszył się, gdy umierałaś, a ty obawiasz się mu oddać w sposób, w jaki naprawdę tego pragniesz.

Przeczesuje włosy palcami, po czym patrzy przez ramię na drzwi.

Wydaje się poddawać.

– Nie będę się z tobą kłócił – oznajmia. Z jego głosu znika zapalczywość. Zaczyna się cofać, po czym obraca się na pięcie i zmierza pospiesznie do drzwi.

– Czekaj – wołam, gdy znajduje się przy wyjściu z głównej sypialni.

Ja też nie chcę się kłócić.

Jeździec przystaje.

– Przepraszam. Wróc.

Spełnia prośbę i siada na materacu. Wystarczy, że okażę odrobinę słabości, a Zaraza przestanie joczyć i zacznie mnie delikatnie dotykać i całować. Nie posunie się jednak dalej, ale to i tak nieważne. W tej

chwili chcę jedynie poczuć jego miłość.

Miłość.

Daje mi ją nieskrępowanie i czuję to jak słońce na mojej skórze.

Wszystkie nasze dni są takie – doprawione dramataми i ułagodzone szeptanymi wyznaniem i dotykiem, który nigdy nie posuwa się za daleko. Podświadomie czekam na powrót właścicieli tego domu, ale tak się nie dzieje, więc nasz pobyt się przedłuża i wpadamy w pewnego rodzaju rutynę.

Rany po śrucie z dziur zmieniły się w malinowe blizny, skóra jest nierówna i błyszcząca. Wyglądam teraz jak apokaliptyczna istota, moje ciało to mapa starych ran. Nigdy nie będę jak Zaraza, który uleczył się z efektów tej dzikiej brutalności i nie ma na sobie nawet zadrapania. Częściowo żal mi mojej gładkiej skóry, choć twardzielka we mnie, która walczyła z pożarami i zestrzeliła jeźdźca z konia, by bronić swojego miasta, jest po prostu szczęśliwa, że wywinęła się śmierci.

Nie powinnam żyć. Już kilka razy uciekłam spod kosy. W tej chwili potrafię też przyznać, że to Zaraza zawsze był tego powodem. Nieustannie ratował mi życie. W tym momencie cel jego przebywania tutaj – rozsiewanie choroby – został zawieszony na kołku.

A wszystko po to, by mógł się mną zaopiekować.

Miłość w zabawny sposób zmienia priorytety. Zaczęła zmieniać i moje.

A mimo to... czuję niepokój na myśl o tym tymczasowym wytchnieniu. Choć Zaraza jest teraz irytująco troskliwy, surowość, jaką widziałam na jego twarzy w szpitalu, nadal na niej gości.

Zostajemy w wielkim domu na tyle długo, iż światu wydaje się, że jeździec odszedł. Wiem o tym, ponieważ pośród innych rzeczy, jest tu również działający telewizor.

Jeszcze bardziej szokujące niż „zniknięcie” jeźdźca jest to, ile reporterzy wiedzą o mnie. Przedstawiają kilka rozmytych zdjęć, na których jestem z Zarazą – jedno z czasów, gdy nadal oficjalnie byłam jego więźniem i miałam związane nadgarstki, a drugie z późniejszego okresu, gdy siedziałam okrakiem na jego wierzchołku.

Reporterzy nie wiedzą jednak, co ze mną zrobić. Nie mają pojęcia, czy

jestem jego jeńcem czy kochanką, ani co się z nami stało. Cała sprawa mocno ich dezorientuje – powinni mnie chwalić czy potępiać? Stawiają na litość.

Zaraza wchodzi do głównej sypialni, gdzie przebywam – nadal w pieprzonym łóżku – a jego postawna sylwetka wypełnia wejście. Zdejmuje łuk i kołczan, odkłada broń przy drzwiach. Ściąga zbroję. Zostawia koronę na głowie, jego włosy są pod nią zmierzwione.

Bez pytania wiem, że patrolował teren. Nie żeby musiał to robić. Ktokolwiek zbliży się do tego miejsca, zachoruje. Myślę, że robi to bardziej dlatego, że jest niespokojny. Potrzeba jazdy i rozsiewania plagi musi pożerać go żywcem.

Nie jest cierpliwy. Poza oczywiście chwilami, gdy chodzi o moje słabe ludzkie ciało.

Siada na skraju łóżka i omiata wzrokiem moją gęsią skórkę. W jego spojrzeniu jest miłość, ale pod nią czai się chłód. Nie wiem, co jest tego przyczyną.

Unosi krawędź mojej koszulki i przesuwa palcem po zabliznionym ciele.

Zbliża się i całuje jedną z blizn.

– I pomyśleć, że gdyby któryś pocisk trafił gdzie indziej, byłabyś martwa. – Zauważam, że przesywa go dreszcz na te słowa. – Jak się czujesz? – pyta.

– Wyleczona.

Mruży oczy. To ta sama odpowiedź, którą daję mu od tygodni.

Od dłuższego czasu to prawda, ale spróbuj przekonać o tym istotę, która nie może umrzeć i nie ma zielonego pojęcia, kiedy człowiek jest już zupełnie zdrowy.

Biorę go za rękę i ciągnę, by położył się obok. Przez pierwszy tydzień, gdy leżałam poraniona, kładł się i mnie tulił, trzymając rękę na moim sercu, jakby chciał czuć jego stały rytm. Nawet gdy upewnił się, że przetrwam, wciąż kładł się i przytulał do mnie, czasami nawet pozwalał sobie zasnąć.

Ale tylko na to się odważył.

Teraz układam się na nim.

– Saro – protestuje.

– Nie jestem porcelanową lalką – mówię, siadając na nim okrakiem. – Tak łatwo nie pęknę.

– Oboje wiemy, że to nie...

Uciszam go powolnym, długim pocałunkiem. Chyba chciałby mi się oprzeć, ale wciąż jest tak zafascynowany tajemnicami ciała (tak to nazywa), że nie potrafi tego powstrzymać.

Obejmuje moją twarz, gdy rozchylam mu wargi. Chwilę po prostu nim oddycham, nim mój język styka się z jego. Kiedy do tego dochodzi, przesuwa dłońmi po moich przedramionach, chwytając mnie mocno.

Wsuwam palce w jego włosy, strącając koronę. Ma na tyle rozumu, by odłożyć ją na stolik nocny.

Ocieram się o niego biodrami, na co wydaje jęk.

– Saro, wciąż nie...

– Wyglądam, jakby mnie coś bolało? – pytam.

Marszczy brwi, ale się nie spiera. Nie walczy, gdy zdejmuję mu koszulę i resztę ubrań. Choć nie bardzo mi w tym pomaga.

W którejś chwili jego zachowanie się zmienia. Zaczyna odpowiadać na dotyk, pocałunki, aż przejmuje dowodzenie. Wodzi rękami po moim ciele, jakby nie było wystarczająco skóry, którą mógłby nakryć szorstkimi dłońmi.

Obejmuje mnie i odwraca nas, bym patrzyła na niego z dołu.

Jest tak cholernie piękny. Nie wiem, czy kiedykolwiek się na niego napatrzę.

Zaraza pozbywa się wprawnie moich ubrań, odrzucając je na bok.

Kiedy jestem naga, omiata mnie wzrokiem i zatrzymuje się w miejscu pomiędzy moimi udami. Przesuwa się w dół i przywiera ustami do mojego łona. Odruchowo się wzdrygam. Rozszerza mi nogi i kontynuuje całowanie.

Chryste.

– Co... robisz? – pytam bez tchu.

Zamierzam usiąść, ale zostaję przyszpilona do materaca.

– Zakładam, że to oczywiste – mówi. Szczypie mnie i, Jezu, to takie sprośne. Gdzie się czegoś takiego nauczył?

Wyciąga język i mnie smakuje.

Jęczę, wyginając plecy na łóżku.

– To tak mnie zabijesz – mruczę.

Natychmiast się odsuwa. Kiedy przygląda się moim zaczerwienionym policzkom i oszołomionemu spojrzeniu, zmartwienie na jego twarzy zmienia się w męską satysfakcję.

Jestem pewna, że nikt nie dawał Zarazie lekcji anatomii (poza mną), ale on szybko pojął, że moja łechtaczka jest źródłem wszelkiej dobroci na świecie.

Jeździec wraca do przerwanego zadania i sprawnym językiem sprawia, że wiję się pod nim. Ciepły oddech owiewa mnie, gdy się śmieje. Może i jest w tym początkujący, ale w rekordowym czasie uczeń przerasta mistrza.

– Ech – jęczę. – Przestań. To za dużo.

Ale gnojek nie przestaje.

Kontynuuje...

Jęczę głośno, unosząc biodra, gdy rozkosz przeszywa mnie oślepiającą intensywnością.

Nie daje mi czasu na odpoczynek. Kładzie się na mnie.

– Przekonałaś mnie.

– Co?

Zakłada sobie moje nogi w pasie. Czuję jego twardy, chętny członek przy moim wejściu.

– Wyzdrowiałaś.

Wchodzi we mnie.

Wymyka mi się kolejny jęk, gdy gruby penis rozciąga moje wnętrze. Minęły wieki, odkąd to robiliśmy. Zaraza był tak ostrożny, by mnie nie skrzywdzić lub nie urazić moich ran, że szokiem jest to, że nagle się we mnie znajduje.

Jeszcze większym zaskoczeniem jest to, że czuję jego szaloną energię. Jego ruchy nie są powolne czy nabożne, a nawet żartobliwe czy pełne

ciekawości. Wbija się we mnie, jakby nie był w stanie znaleźć się dostatecznie głęboko, i tuli mnie do siebie, jakby nie mógł objąć wystarczająco mocno. Pieści ustami skórę mojego ramienia, bliznę po śrucie, szyję, wargi.

Chwyta mnie za nogi i przyciąga jeszcze bliżej.

Wchodzi szybko.

Zagłówek wielokrotnie uderza w ścianę, aż odrywa się farba i trochę tynku.

Oczy Zarazy błyszczą jasno. I widzę w nich nie tylko miłość. To uczucie, udręka i zaborcza desperacja, a co najdziwniejsze – przeprosiny.

Jednak nie mogę za wiele z tym teraz zrobić. Nie, kiedy jest we mnie i pieści we wszystkich właściwych miejscach.

Po raz drugi znajduję się na krawędzi. Zaciskam się wokół niego, pociągając go za sobą. Z jękiem osiąga spełnienie, kołysząc się we mnie, jakby zależało od tego jego życie.

Kiedy dochodzi do siebie, całuje mnie wszędzie, muska ustami każdy kawałek mojej odsłoniętej skóry. Cała ta surowa, męska energia przekształca się w coś boleśnie słodkiego i cudownego.

Obejmuje mnie i tuli. Nie ma nic podobnego do uczucia skóry przy skórze, gdy ten mężczyzna sprawia, że czuję się całkowicie swobodnie. Zaczynają opadać mi powieki.

Wciąż nie pomyśleliśmy o antykoncepcji, myślę leniwie.

Zaraza całuje mnie w skroń.

Byłby dobrym tatą.

Nie wierzę, że o to pomyślałam...

Wtulam się w niego sennie.

Wodzi palcem po moim brzuchu.

Wysuwa się ze mnie, na granicy snu słyszę jego głos.

– Przepraszam, Saro. Czekałem na to i myślałem, że może... może jeśli wyzdrowiejesz, to zmienię zdanie, ale tak się nie stało. Upewniłem się tylko w tym, co muszę zrobić.

Chcę chwycić go za rękę, ale go przy mnie nie ma.

ROZDZIAŁ 49



Następnego ranka idę do kuchni, próbując nie pokazać Zarazie, jaką ta prosta czynność sprawia mi trudność.

Nie powinnam się przejmować, bo choć raz jeździec nie zwraca na mnie uwagi. Telewizor w salonie jest włączony, Zaraza stoi przed nim ze skrzyżowanymi na piersi rękami, wpatrując się ponuro w ekran.

Również zerkam w tym kierunku, aby sprawdzić, na czym się tak skupia.

– ...wiadomość z ostatniej chwili: epidemia Mesjanistycznej Gorączki atakująca Zachodnie Wybrzeże i północno-zachodnią część kraju dotarła do Meksyku. Władze stanowe i lokalne próbują poddać kwarantannie zainfekowane obszary. Nie ma jeszcze śladów jeźdźca. Powtarzamy, zostańcie w domach i unikajcie centrów miast. Do wszystkich zarażonych: modlimy się za was.

Żołądek mi się kurczy.

Stoję przez dłuższą chwilę, milcząc, nie reagując w żaden sposób, tylko... patrząc otępiale w telewizor. Reporter powtarza się na pięć różnych sposobów, najwyraźniej informacje są podawane na okrągło, by wypełnić czas antenowy. Pokazywane są zdjęcia Central Parku zrobione po tym, jak Zaraza przejechał tamtędy wiele miesięcy temu. Widać na nich ciała wypełniające masowe groby. Pojawiają się obrazy z Toronto i Montrealu, kilka zdjęć osób, które cierpiały na Gorączkę. Jest też kilka z Vancouver i Seattle – miejsc, które widziałam na własne oczy.

Zaraz materiał wraca do początku. Widać trzęsący się obraz szpitala w San Francisco, wypełnionego umierającymi. Kolejny przekaz jest z Los Angeles, gdzie ludzie leżą na ulicach, mają zapadnięte oczy i twarze czerwone od podniesionej temperatury.

San Francisco, Los Angeles, to przecież tak daleko.

Robi mi się zimno.

Udaje mi się oderwać wzrok od ekranu i zauważam, że Zaraza mi się przygląda. W jego oczach wciąż widać, że chciałby przeprosić, choć nie goszczą w nich żadne wyrzuty sumienia. Dostrzegam tylko znajomy chłód.

Nie chcę pytać, ponieważ wtedy stanie się realne to, co nie może być prawdziwe. Słowa jednak i tak wychodzą z moich ust.

– Coś ty zrobił? – szepczę.

– Wykonałem zadanie.

ROZDZIAŁ 50



Nie mogę oddychać.

W tej chwili całe Zachodnie Wybrzeże Ameryki Północnej to pustkowie.

Wspominam szpitalny korytarz pełen ciał. Próbuję wyobrazić sobie miasto, dwa miasta, do diabła, cały stan – ale nie potrafię. Skala zniszczenia jest nie do pojęcia. Mój umysł nie ogarnia tego rodzaju straty.

Pośród tych milionów są matki, córki, synowie, bracia, przyjaciele, dziadkowie, dzieci i niemowlęta. Ludzie, którzy coś dla siebie znaczyli, niewinni, dobrzy. Osoby zasługujące na życie. W tej chwili wszyscy umierają.

Zaraza nie mógłby tego zrobić. Jeździec, który kwestionuje moralność swoich działań. Który mnie kocha.

Nie mógłby czegoś takiego dokonać.

Wpatrujemy się w siebie. Spodziewam się zobaczyć w jego oczach coś innego – wcześniej zawsze się tłumaczył – ale teraz nic w nich nie ma. Żadnego poczucia winy, uporu, chęci obrony.

Jego chłodne spojrzenie jest spokojne.

Ponieważ to zrobił. Co więcej, zaplanował to. Widziałam znaki. Jego kiepski nastrój, chłód w niebieskich oczach, ledwo zapamiętane przeprosiny, które mruknął wczoraj, gdy mnie zostawił.

– Jak? – Skala zniszczeń jest o wiele większa niż wcześniej, gdy musiał

przejechać przez miasto, by zainfekować mieszkańców. Teraz jego zasięg wydaje się nieograniczony, rozciągając się tysiące kilometrów przed nami.

Musi rozumieć, o co pytam, bo odpowiada:

– Zawsze miałem tak szeroki zasięg. Wcześniej nie czułem potrzeby, by go wykorzystywać.

Nie, póki nie byłam z nim. W jakiś sposób spowodowałam ten straszliwy czyn.

– Cofnij to – szepczę.

– Już się stało – mówi z bezkompromisowym wyrazem twarzy.

Kręcę głową. Nie może być już po wszystkim. Nie zamierzam w to wierzyć.

– Wyleczyłeś mnie z infekcji, możesz to odwrócić – mówię z uporem, a głos mi się łamie.

Nie mogę być jedyną żywą na Zachodnim Wybrzeżu. To zupełnie nowy rodzaj piekła.

– Ale tego nie zrobię.

Nie zrobi.

– Proszę.

Wzdryga się na to słowo. *Proszę*. Zaczęło się niczym przekleństwo, słowo wypowiedane tylko po to, by można było odmówić. Choć gdzieś w międzyczasie stało się odkupieniem.

Ale teraz Zaraza nie pragnie odkupienia.

Cholera. Wciąż czuję go pomiędzy udami. Jestem obolała w miejscach, w których nasze ciała stykały się wczoraj i dzisiaj, gdy intensywnie i namiętnie uprawiałam z nim miłość. Nie opuszczał mnie prócz chwil, gdy rozsiewał plagę w większej części Stanów.

– Proszę, Zarazo. Proszę... ukochany.

Imiona znaczą tak wiele. Być może róża pachniałaby tak samo pod inną nazwą, ale twoje postrzeganie jej mogłoby się zmienić. A ja postrzegam Zarazę zupełnie inaczej – i to już od jakiegoś czasu, choć do tej pory nie byłam na tyle odważna, by nazywać go imieniem, które sama wybrałam, okazać mu czułość i udowodnić, że jest czymś więcej niż

powierzonym mu zadaniem.

Ale nie mam się już czego obawiać. Nie w obliczu takiej sytuacji.

Jeździec nieruchomieje. Widzę, że łód w jego oczach pęka.

– Nie spodziewałeś się tego, co? – pytam. – Że cię pokocham. – Wiem, że tak nie było. I nie mam pojęcia, kiedy to do mnie dotarło, ale tak się stało. – Może jestem idiotką i zdrajczynią, ale jestem twoja. – Mrugam, bo do oczu napływają mi łzy. – Ale, niech to szlag, nie możesz tego robić.

Zbliża się o krok, w jego oczach widać nieco smutku, jakby chciał mnie dotknąć, ale wie, że mu nie pozwolę. Nie teraz, kiedy ma całą tę krew na rękach.

Wcześniej jakoś ci to nie przeszkadzało, Burns.

Ale to było, kiedy myślałam, że uda mi się go zmienić – powstrzymać.

Powinnam była jednak wiedzieć lepiej.

– Mógłbym żyć z tym, co zrobili mi ci ludzie, choć było to bardzo okrutne – mówi Zaraza.

Wracam myślami do jeźdźca przywiązanego do słupa telefonicznego, gdy brakowało mu większości twarzy.

– Ale strzelili do ciebie... – Urywa z powodu emocji i uświadamiam sobie fatalny błąd. – Nie powinnaś mi pokazywać miłości, droga Saro – przyznaje.

Przez cały ten czas zakładałam, że miłość będzie stanowiła jego odkupienie i ocalenie dla nas. Powinnam była wiedzieć, że ściągnie jeszcze gorszy los.

– Skoro teraz rozumiesz pojęcie straty – mówię – powinieneś wiedzieć, co serwujesz tym ludziom.

Zaciska usta.

– To tylko to, na co zasługują.

– Tylko to, na co zasługują? – pytam, przerażona. – O kim mówisz? O Robie? Ruth? O mnie?

Zaraza zaciska na chwilę usta.

– Wydaje się, iż uważasz, że kłótnie na ten temat zmienią los tych osób.

– Ty i zmiana. – Z goryczą kręcę głową. – Nie wiem, dlaczego uważasz,

że nie jesteś do tego zdolny.

– Ludzie się zmieniają, Saro, ale jeźdźcy nie. Nie ma znaczenia, co o mnie myślisz, zawsze będę Zarazą Zwycięzcą.

Nie ugnie się. Teraz to widzę. Powinnam była dostrzec to już wcześniej, wtedy nieco lepiej mogłabym chronić swoje serce.

– Co się teraz stanie? – pytam. Natychmiast żałuję tego pytania, bo żołądek ściska mi się ze strachu.

– Świat się skończy.

– A ja? – dociekam, choć pustka już zakradła się do mojego wnętrza.

– Zostaniesz ze mną.

Nie pyta o to, nie wypowiada tego nawet wyzywająco. Oznajmia po prostu fakt z powagą.

Powoli kiwam głową.

Musi wyczuwać, że coś jest nie tak, bo zbliża się o kolejny krok.

– Nie – mówię.

Nie wytrzymam, jeśli spróbuje poprawić mi humor.

A już wiele rzeczy wytrzymałam.

Rozglądam się.

Nie mogę przebywać z nim w tym samym pomieszczeniu. Duszę się tą całą tragedią.

Obracam się, pragnąc od niego odejść.

– Saro – woła, nim udaje mi się wyjść. W jego głosie pobrzmiwa przekłeta cierpliwość.

Zatrzymuję się.

– Powiedziałeś kiedyś, że imiona nie mają znaczenia – mówię, stojąc do niego plecami – że nieważne, jak będę cię nazywać.

Zerkam na niego przez ramię.

Ukochany. Chyba moje wcześniejsze wyznanie wciąż wybrzmiewa w powietrzu między nami.

Jest ostrożny, gdy pochyla głowę.

– Pamiętam.

– Wiesz co, myliłeś się – oznajmiam. – Mają znaczenie.

Zaraza jest zły z natury. Dostrzegłam w nim to, co najlepsze, ale ta

jego część, ta przyszłość, jest tylko szeptem możliwości, niczym rozwiewający się na wietrze dym.

Zostawiam go z tą myślą.

ROZDZIAŁ 51



O dchodzę od niego na wystarczająco długą chwilę, by pozbierać swoje rzeczy – choć mam ich niezbyt wiele, nawet licząc kapotę, którą noszę na sobie.

Przez dłuższy czas wpatruję się w ścianę głównej sypialni, czując, jak serce powoli rozpada mi się na kawałki.

Dlaczego nie mogłam zakochać się w normalnym chłopaku, po czym umrzeć wraz z innymi? Dlaczego musiałam wybrać jeźdźca? Dlaczego musiałam postawić się między nim a światem?

Cały ten czas to śmiertelne przeciąganie liny pomiędzy miłością a lojalnością. Nie mam pojęcia, jak udawało mi się oszukać samą siebie, że do tego nie dojdzie.

Wkładam buty, biorę pożyczoną kurtkę i idę do drzwi.

Zaraza wciąż jest w miejscu, w którym go zostawiłam. Nadal stoi przy telewizorze, pochłaniany własnym gniewem.

Mijam go, kierując się do przedpokoju.

– Dokąd idziesz? – woła stanowczo. Nie brzmi na wystraszonego, zagubionego czy niepewnego.

Naprawdę nie wie?

Ignorując go, docieram do drzwi i wychodzę.

Na zewnątrz jest cholernie zimno. Waham się trochę przy tej temperaturze. Jest mokro, a chłód wchodzi pod skórę i przenika aż do kości. Już szczypią mnie uszy. Zakładam kaptur kurtki.

Nie przetrwasz taka osłabiona i źle wyposażona.

Otwierają się drzwi za moimi plecami.

– Dokąd idziesz?

Zatrzymuję się, gdy słyszę jego głos. Jest w nim coś jeszcze prócz tłumionego gniewu. Coś, w czym jest zbyt wielka pewność siebie, by wskazywało to na zmartwienie. To chyba szok i odrobina dezorientacji.

– Dołączyć do ludzkości – odpowiadam.

– Nie uwolniłem cię.

– Nie wiedziałam, że jestem twoim więźniem – mówię.

Najwyraźniej zapomniał o tym drobnym szczególe.

– Jesteś moja.

Szczelniej zakrywam się kurtką.

– Jestem niczyja – odpowiadam z mocą.

Jeździec marszczy brwi, ale się nie spiera.

Taksuję go wzrokiem.

– Powiedzmy, że zostanę. A co zrobisz, kiedy nie będzie już ludzi?

– Przetrwam.

– Co zrobisz, gdy umrę?

– Będę utrzymywał cię przy życiu – upiera się.

Wpatruję się w jego twarz.

– Nawet gdybyś mógł, nawet gdybyś był w stanie ochronić mnie przed każdą czyhającą na mnie niedolą – jeśli z tobą zostanę, zamachy będą się powtarzać – nie zdołasz utrzymywać mnie przy życiu w nieskończoność. W końcu się zestarzeję. Zestarzeję się i umrę, a wtedy znów będziesz sam, ale nie będzie już ludzi, tylko ty.

– I moi bracia – dodaje cicho.

Wyrzucam ręce w górę.

– Dobra, ty i twoi morderczy bracia. – Którzy od lat byli nieobecni. – Ale prócz nich nie będziesz miał nikogo.

Zaczynam trząść się z zimna, a Zaraza to widzi.

– Porzuć tę głupotę, Saro, i wejdź do środka – mówi łagodniej. – Rozgrzeję cię.

Patrzę na niego z niedowierzaniem.

– Wciąż nie rozumiesz? Zabijasz wszystkich. Naprawdę sądziłeś, że zostanę z tobą po czymś takim?

– Zostałaś wcześniej – mówi z uniesieniem, ale w jego oczach dostrzegam też obawę.

Parskam pustym śmiechem.

– Ale wtedy myślałam, że nienawidzisz tego, co robisz mojemu światu.

I sądziłam, że możesz się zmienić.

Czyż to nie najstraszniejszy szczegół z nich wszystkich? I w końcu dostałam to, czego chciałam – Zaraza się zmienił, tylko nie na lepsze.

– Robię to, by cię pomścić!

– Nigdy nie prosiłam o tę zemstę – mówię. – Prosiłam cię o miłosierdzie.

Wzdryga się na to słowo, jakbym uderzyła go w twarz. Właśnie ono uratowało mi życie, gdy próbowałam go zabić. Słowo, które od tamtej nocy ocalało mnie codziennie.

Litość.

– Myślałeś kiedyś, że być może miłosierdzie twojego Boga nie miało być dla mnie? – dociekam. – Że może przeznaczone było dla kogoś innego?

Nie, nie pomyślał, co zdradza jego twarz.

Obracam się i ruszam z miejsca, ale zaraz czuję ciepłe palce jeźdźca na ramieniu.

– Jeśli będę musiał przywiązać cię do siebie, zrobię to – mówi. – Ale nie dam ci odejść.

Obracam się do niego twarzą. Pomimo tych dumnych słów jego oblicze zdradza prawdziwe uczucia. Widzę w jego oczach iskrę paniki.

Nie przewidział czegoś takiego.

– Zarazo – mówię spokojnie – możesz mnie zmusić do pozostania z tobą, ale nie możesz mnie zmusić, bym z tobą była.

– Ale chcesz ze mną być – upiera się. – Nazwałaś mnie ukochanym.

Odwracam wzrok.

– Nazwałam.

– I mnie kochasz.

Serce mi przyspiesza. Być może nie wypowiedziałam tych dwóch słów,

ale jeździec mówi prawdę.

Patrzę na niego.

– Kocham – zgadzam się. – Ale to nie wystarczy.

Cofa się o krok.

– Nie wystarczy?

Chyba zraniłam go tymi słowami bardziej niż jakąkolwiek bronią.

– Nie wystarczy, by pokonać to, co masz w sercu – mówię. – Najwyraźniej bardziej nienawidzisz ludzkości, niż mnie kochasz.

Zaraza kipi złością, ale powstrzymuje się od odpowiedzi.

Nie zaprzecza. *Aua!*

– Miłość powinna wyciągać z nas to, co najlepsze – kontynuuję, przypominając mu naszą rozmowę, która miała miejsce po śmierci Ruth i Roba. – A nie najgorsze – dodaję cicho.

– Zrobiłem to, bo cię kocham – mówi żarliwie. W jego oczach pojawia się więcej strachu.

– Miłość tak nie działa.

Ale oczywiście z miłością współistnieją też inne rzeczy – wielkie i przerażające, które Zaraza odczuwa po raz pierwszy.

Wpuściłaś go do Edenu, dałaś mu posmakować zakazanego owocu. Pozwoliłaś mu poznać dobro i zło, a teraz oboje za to pokutujecie.

Odsuwam się, próbując zapamiętać jego twarz.

Muszę odejść, nim się złamię i do niego wrócę. Nigdy bym sobie tego nie wybaczyła.

Czuję, jakby moje serce było rozrywane na dwoje.

– Żegnaj, Zarazo.

Obracam się i zmuszam, by zejść schodami.

Udaje mi się przemierzyć z pięć stopni, nim jeździec staje przede mną. Chwyta mnie i niesie do środka, po czym kopniakiem zamyka drzwi.

– Co robisz? – protestuję, wijąc się na jego rękach.

Nie odpowiada.

Naprawdę zaczynam z nim walczyć.

– Puść.

Stawia mnie w przedpokoju. Pomieszczenie nieco się kręci w moich

oczach, gdy stoję o własnych siłach.

Jestem słaba. Zbyt słaba.

Ale nie mogę tu zostać.

Podbiegam do drzwi, ale znów mnie chwyta i od nich odsuwa.

Kiedy mnie stawia, ponownie do nich ruszam.

I po raz kolejny nie daje mi wyjść.

– Nie wypuszczę cię, Saro.

Błaga mnie spojrzeniem i wiem, że widzi to, co ja odczuwam: nie jestem na tyle silna, nie wydobrzałam do końca. Wszystkie te tygodnie w podróży i rany... Nawet po tak długim odpoczynku moje ciało nie jest gotowe na więcej. A mimo to ruszam przed siebie.

– Zarazo, nie pogarszaj już i tak kiepskiej sytuacji – praktycznie błagam. – Odchodzę z twoim błogosławieństwem czy też bez niego, ale dłużej tu nie zostanę.

Zmienia się wyraz jego twarzy. Widzę, że serce mu pęka. Dostrzegam smutek, ale jego oblicze zaraz przybiera surowy wyraz.

Bez słowa znów mnie chwyta.

– Co robisz? – Walczę w jego ramionach. – Zaraza, masz mnie puścić!

Ignorując moje żądania, niesie mnie do głównej sypialni i układa na łóżku.

Zaraz jednak z niego schodzę – stoję przez chwilę, by minęły mi zawroty głowy – ale jeździec jest już przy drzwiach. Zerka po raz ostatni, wychodzi i zamyka je za sobą.

Podbiegam i chwytam za gałkę.

Obracam, ale nie chce puścić. Zaraza musi trzymać drzwi.

– Wypuść mnie – wołam spanikowana.

Chyba nie chce mnie tu więzić, co?

– Wybaczysz mi – mówi cicho zza drzwi.

– Wypuść mnie! – krzyczę.

Ale tego nie robi.

Zaraza zabija deskami okna w głównej sypialni i blokuje wyjścia po tym, jak kilkakrotnie udaje mi się nawiać i musi siłą zaciągać mnie

z powrotem, ale w końcu skutecznie udaje mu się mnie unieruchomić w środku.

Wracam więc do bycia więźniem.

Przynajmniej jest na tyle bystry, by trzymać się na dystans. Przez resztę dnia widzę go zaledwie kilka razy, gdy podrzuca mi jedzenie i wodę, a w jego oczach gości smutek.

Zastanawiam się, czy to jego szaleństwo przeminie. Czy w końcu zdejmie deski z okien, otworzy drzwi i będzie błagał o moje wybaczenie.

Ale do tego nie dochodzi. Nastaje kolejny dzień, a Zaraza przychodzi mnie tylko karmić. Nawet nocą nie wślizguje się do mojego pokoju, by wyrazić udrękę lub zasnąć przytulony na łyżeczkę.

Tęskni za nim moje ciało i serce. To drugie umiera w mojej piersi, nienawidząc jego zdrady i mimo wszystko go pragnąc.

Nie próbuję uciec. No bo po co? Nie wyślizgnę mu się niezauważona.

Próbuję nie myśleć o milionach martwych ludzi, którzy muszą gnić tam, gdzie padli. Z tego właśnie powodu nie włączam telewizora. Nie zniosłabym wiadomości i widoku tych ciał. Nie, kiedy odegrałam rolę (choć niedobrowolnie) w zakończeniu ich żywota.

Samotność sprawia, że czytam znajdujące się tu książki lub recytuję poezję z pamięci.

Czasami czuję obecność Zarazy pod drzwiami – nasłuchuje mojego głosu, siedzi na korytarzu. Atmosfera przesycona jest wszystkimi tymi niewypowiedzianymi i niedokończonymi między nami sprawami. Rzeczami, które rozpadły się jak ciała wszystkich tych ludzi.

Życie toczy się w ten sposób przez kilka dni, nawet cały tydzień.

Czy naprawdę stanie się to naszą nową normalnością? Zaraza trzymający mnie jak ptaka w klatce, niepozwalający ani umrzeć, ani też w pełni żyć?

Kiedy drzwi uchylają się ósmego dnia, jeździec wygląda na pokonanego. Jego niebieskie oczy są przyćmione, złote włosy nie mają swojego zwyczajowego blasku.

– Nie potrafię tak dłużej – przyznaje. – Poddaję się.

Zamieram, siedząc na łóżku.

Zaraza Zwycięzca się poddaje?

Zdejmuje koronę i rzuca ją na podłogę między nami.

– Jest twoja – mówi z goryczą. – Może i podporządkowałem sobie świat, ale straciłem ciebie, jedyne, na czym mi zależało.

Moje serce przyspiesza, gdy wpatruję się w porzuconą koronę, po czym w mężczyznę, który ją nosił.

– Możesz odejść – oznajmia. – Nie będę cię zatrzymywał.

Jego oczy są puste. Zniknęły z nich cienie, tak samo jak nadzieja, która w nich się tliła. Kiedy patrzy na mnie, wydaje się, że tonie.

Powinnaś czuć ekscytację i jakiegoś rodzaju zadowolenie, ale to tylko zwiększyło mój ból.

Nie ruszam się przez chwilę.

– Cholera, Saro, jeśli pragniesz wolności, odejź, nim wróci mi rozum.

Wstaję z łóżka i przyglądam mu się uważnie, zbierając swoje rzeczy. Spodziewam się, że trzaśnie mi drzwiami przed nosem. Musi tu być jakiś haczyk.

Ale nigdzie go nie widzę.

Wychodzę za próg, ale zatrzymuję się, by spojrzeć mu w twarz.

– Idź i dołącz do swojego skazanego na zagładę gatunku – mówi, niechętnie patrząc mi w oczy. To okropnie boli. Jego cierpienie jest tak wielkie jak moje. – Ale nie oczekuj, że cię zabiję.

Wydaje się, że zbyt późno odkrył sens miłosierdzia.

Po wszystkim, co zrobił, nie spodziewałam się, że odejście od niego tak bardzo mnie zrani. Sądziłam, że moje serce zostało wystarczająco sponiewierane, by zapomniało, iż należy do jeźdźca.

Ale się myliłam.

Nie patrzę na niego, gdy zmierzam do drzwi frontowych. Rozstanie boli wystarczająco mocno. Mogę się złamać na widok emocji na jego twarzy. Zaraza nie zakłada swojej korony, która nadal leży zapomniana w sypialni.

Wychodzę na ulicę, a każdy krok boli coraz bardziej. Straciłam już wszystkich – rodzinę, przyjaciół, sąsiadów. Odejście od Zarazy oznacza

utrata ostatniej cząstki mnie.

Dokąd powinnam się udać? Ile kilometrów będę musiała przejść, by dotrzeć do żywych? Czy umrę do tego czasu? Wiem, że Zaraza nie da mi zapaść na roznoszoną przez siebie chorobę, ale są też inne sposoby, by zginąć. Mogę paść z głodu lub z powodu żywiołów natury.

A jeśli nie umrę, co wtedy?

Małymi krokami naprzód, Burns.

Obracam się, dopiero gdy docieram do ulicy. Patrzę na duży dom, w którym się zatrzymaliśmy. Na jego progu niczym wartownik stoi jeździec.

Przygląda mi się z powagą na twarzy. Przez chwilę wydaje mi się, że w jego oczach widzę iskrę nadziei.

Myśli, że zmieniłam zdanie.

Biorę się w garść, ponownie obracam się w kierunku ulicy i odchodzę.

ROZDZIAŁ 52



Nie słucham wiadomości. Nie słyszałam żadnych od tygodni.

Mimo to powinnam była wiedzieć. Prawdę miałam przed nosem.

Potrzeba jednak właściciela schroniska w pobliżu granicy z Kanadą, by rozwiązać moje wątpliwości.

– Jeźdźca nie ma. Przysięgam na niedawno zmarłych, że odszedł – mówi mężczyzna, opierając się o sosnowy kontuar, gdy patrzy na moje rzeczy.

Widok żywego mężczyzny prowadzącego sklep jest wystarczająco zaskakujący, ale na wybrzeżu spotkałam też innych. Założyłam jednak, że ich obecność wynikała z rozsiewania choroby przez Zarazę na południu.

Wpatruję się we właściciela sklepu, ale nie rozumiem.

Kiedy przebywaliśmy w tamtej posiadłości, ludzie sądzili, że jeździec odszedł, ale założyłam, że po mojej ucieczce wznowi wędrówkę.

– Nikt go nie widział? – pytam głupio.

Potakuje.

Nie ma po nim śladu. Żołądek kurczy mi się nieprzyjemnie, ale nie jestem w stanie powiedzieć, z jakiego powodu.

Może nie został nikt żywy, kto mógłby go zauważyć. Teren od Waszyngtonu do Kalifornii to pustkowia... ziemia pełna ciał.

– Nie słyszałaś? – pyta właściciel na widok mojego zaskoczenia.

– Ostatnie, co słyszałam, to to, że zainfekowane zostały: Oregon,

Kalifornia i część Meksyku – mówię. Nawet teraz na samą myśl przeszywa mnie dreszcz. Odegrałam w tym rolę.

Mężczyzna parska śmiechem i wyciąga spod lady wąską walizkę. Otwiera ją, wyjmując kilka rzeczy i zaczyna skręcać papierosa.

– Tak wiele ci umknęło.

Nie przypadkiem.

Unikałam takich pogawędek, wyrzuty sumienia są za duże, ale teraz, gdy jesteśmy przy Zarazie, dopada mnie chora ciekawość. Muszę się dowiedzieć, ilu ludzi przeżyło i jak miewa się mój jeździec.

Wieść, że nie pojawił się, odkąd go zostawiłam...

Strata wydaje się fizyczna, jak utrata kończyny.

Właściciel skręca papierosa, liże brzeg i go zalepia.

– Z radością uświadomię cię, że wszyscy chorzy wyzdrowieli. – Kręci głową. – To cholerny cud. – Zapala zapałkę, przytyka ją do papierosa i zaciąga się głęboko. – Nie modlę się, ale nawet ja na wieść o tym padłem na kolana. Myślałem, że Bóg skazał nas na śmierć.

Chwila. Że co?

Wpatruję się w niego zszokowana.

Wszyscy chorzy wyzdrowieli.

Nie mogę złapać tchu.

– To znaczy... wszyscy ci chorzy... przeżyli? – pytam, nie dowierzając.

Niemożliwe. Byłam z jeźdźcem. Widziałam jego gniew i nieugiętą wolę.

Nie ma mowy, by zmienił zdanie.

– Tak – mówi wesoło mężczyzna, wydmuchując dym. – Wyzdrowieliśmy nawet tu, na północy, choć wiadomości nie zawracały sobie głowy podaniem tych informacji. – Marszczy brwi, jakby była to jakaś wielka parodia, kiedy tak naprawdę chodzi o życie milionów osób. – Pieprzona plaga wróciła, gdy ponownie otworzyłem sklep – ciągnie. – Myślałem, że umrę.

Ból w mojej piersi składa się z radości i smutku. Nie chcę mu wierzyć, ponieważ jeśli źle go zrozumiałam, rozczarowanie zmiażdży mnie żywcem.

Kładę ręce na ladzie, chwiejąc się lekko.

Boże.

Zaraza cofnął plagę. Nie wiem jak, ale to zrobił.

Musiał to zrobić, gdy byłem zamknięta w tamtym przeklętym pokoju. Miała o nim wtedy niepoehlebne zdanie, a on leczył ludzi z choroby, którą na nich zrzucił.

To jedyna rzecz, której pragnęłam, prócz jego miłości. Dał mi to.

Dał, ale nie włączałam pieprzonego telewizora, by się o tym dowiedzieć.

Zaraza cofnął plagę, a ja i tak go zostawiłam.

Tłumię szloch.

Dlaczego mi nie powiedział? Na Boga, to by wszystko zmieniło.

– A Gorączka? – wyduszam z siebie. – Czy od tamtego czasu były nowe zachorowania?

Muszę się upewnić, że wszystko prawidłowo rozumiałam.

Właściciel sklepu marszczy brwi, zastanawiając się nad moimi słowami.

– Nie słyzałem, ale ktoś może wiedzieć? Nie wróciła w te rejony, a to mi wystarcza.

Dziękuję mężczyźnie za informacje i oszołomiona wychodzę z jego sklepu.

W myślach mam moment, gdy po raz ostatni widziałam Zarazę.

Poddaję się, powiedział, zrzucając koronę.

Już wtedy cofnął plagę.

Może i podporządkowałem sobie świat, ale straciłem ciebie, jedyne, na czym mi zależało.

Dlaczego nic mi nie powiedział? Sądził, że oglądałam wiadomości i dowiedziałam się o wszystkim, a mimo to od niego odeszłam?

Boli mnie ta myśl, ponieważ wciąż go kocham, a teraz zrehabilitował się i zniknął.

ROZDZIAŁ 53



Do czasu, gdy wracam do rodzinnego Whistler, słyszę sporo raportów i widzę wystarczająco wiele, by uwierzyć w niemożliwe.

W ciągu kilku dni plaga naprawdę zniknęła.

Tak po prostu... *puf* i jej nie ma. A wraz z nią jeźdźca. Próbuję o tym nie myśleć. Serce już wystarczająco mnie boli.

Dowiedziałam się, że podobnie do mnie ludzie nie dowierzali informacjom – przynajmniej nie na początku. Musiały minąć tygodnie bez kolejnych zachorowań, nim ktokolwiek odważył się wyrazić nadzieję, że Mesjanistyczna Gorączka naprawdę odeszła w niepamięć, a jeździec zniknął.

Ludzie zaczęli w końcu wierzyć – w ten nasz niedorzeczny sposób – że wszystkie sprawy powrócą na swoje tory. Że wróci prąd, że akumulatory będą się ładować i być może w końcu wróci internet.

Ale nadzieja matką głupich.

Świat nie powrócił do tego, jaki był wcześniej. Wątpię, by kiedykolwiek to się stało.

Gdy nie ma jeźdźca u mojego boku, nikt nie rozpoznaje mnie jako jego więźnia. Pomimo krążących niewyraźnych zdjęć, żadnej osobie nie udaje się odgadnąć, że to byłam ja.

Kiedy w końcu trafiam do domu, jestem witana jak bohaterka – strażak, który stanął przeciwko jeźdźcowi; kobieta, którą dawno uznano za martwą.

Tata tuli mnie długo, mama płacze.

Choroba ich nie dosięgnęła.

Nasze spotkanie jest wzruszające, nedorzeczne i piękne. Cholernie kocham rodziców.

Po powrocie na posterunek straży pożarnej najpierw natykam się na Luke'a. Szok na jego twarzy jest niemal komiczny.

– Ja pierdolę! Burns! – Niemal przewraca krzesło, na którym siedzi. – Żyjesz!

– Ty także!

To zaskakujące zobaczyć go po całym tym czasie. Wygląda nieco szczuplej, choć to akurat nie powinno mnie dziwić. Przetrvanie kanadyjskiej zimy, w dodatku po przybyciu jeźdźców, było wystarczająco trudne. Przeżycie jej w zamarzniętej dziczy – niemal niemożliwe. A właśnie to musieli zrobić wszyscy, którzy uciekali przed chorobą.

Okrzyk Luke'a zwraca uwagę innych, którzy zaraz klepią mnie po plecach i ściskają. Jest też wśród nich Felix. Wszyscy uszli z życiem oprócz...

– Briggs? – pytam, rozglądając się za nim.

Może po prostu ma wolne.

Wszyscy poważnieją.

– Nie przeżył.

– Nie? – Nastrój mi się psuje. To ja miałam kopnąć w kalendarz, nie on.

Z pewnością miał wystarczająco dużo czasu, by uciec.

– Potrzebowano pomocy w szpitalu. Wrócił wcześniej, by zająć się chorymi.

I umarł.

Im dłużej się rozglądam, tym więcej osób mi brakuje.

– Kto jeszcze?

– Sean i Rene. Blake. Foster.

Tak wielu.

– Wszyscy zginęli na służbie – dodaje ktoś.

Powinłam była wiedzieć. Pracownicy służb ratunkowych zawsze

poświęcają życie dla innych.

Mam dziwne uczucie. *To powinnam być ja.* Powinnam umrzeć przynajmniej kilkanaście razy.

Zaraza powstrzymał plagę dla ciebie, mówi cichy głosik w mojej głowie. Oczywiście myśl ta wywołuje dziwny ból.

– Jak uciekłaś jeźdźcowi? – pyta Felix.

Wszyscy mi się przyglądają.

Obawiałam się tego pytania, odkąd uświadomiłam sobie, że przeżyli niektórzy mieszkańcy Whistler. Muszę opowiadać o wielu sprawach, a nie bardzo wiem, ile mogę zdradzić.

Stawiam więc na prostotę.

– Jeździec... okazał mi miłosierdzie.

O dziwo, życie wraca do normy. A przynajmniej na tyle, na ile to możliwe w obecnych czasach.

Mieszkam u siebie, ale kolejne tygodnie spędzam na przenoszeniu rzeczy z domu rodziców – znalazły się tam, gdy uznano mnie za zmarłą.

Po moim powrocie ludzie mają tak wiele pytań.

Jak przetrwałam spotkanie z jeźdźcem?

Gdzie się podziewałam przez te wszystkie miesiące?

Dlaczego tak długo wracałam do domu?

Przeważnie jestem dobra w unikaniu wyjaśnień. Bliskim przedstawiam półprawdę. W którejś chwili już nie mogę i wypływa ze mnie cała historia.

Ale nawet wtedy nie dzielę się wszystkim – nie mówię, jak zakochałam się w potworze ani jak ocaliłam nasze nieszczęsne życia. Jak recytowałam poezję ani jak się czułam, gdy apokaliptyczna istota zmieniła się w mężczyznę.

Nie potrafię otrząsnąć się z samotności, którą odczuwam. Po raz pierwszy dopadła mnie w drodze do domu, gdy zatrzymywałam się w pustych domach, czy przez wiele kilometrów szłam w nieprzedeptanym śniegu. A teraz, gdy jestem u celu, dopada mnie ze wszystkich stron. Tonę w mojej samotności, żadne towarzystwo nie jest

mnie w stanie z niej wyciągnąć.

Jednak nawet to nie jest porównywalne z okropnym uczuciem powrotu do dawnego życia, gdy wszystko jest teraz inne. Jakbym próbowała wcisnąć sześcian w okrągły otwór. Nienawidzę tego, ale nigdzie indziej nie będzie mi lepiej, więc zostaję w moim ponurym mieszkaniu i każdego dnia chodzę na posterunek straży pożarnej udawać, że wszystko jest w porządku, gdy naprawdę jest inaczej.

Naprawdę źle się czuję.

Czasami moje myśli odpływają do możliwości, które zaistniałyby, gdyby Zaraza był człowiekiem. Być z nim bez całego tego bagażu? Ale przecież gdyby Zaraza był człowiekiem, nie byłby Zarazą, więc podejrzewam, że nie powinnam się na tym skupiać.

Niektóre rzeczy chyba nie są nam przeznaczone.

W tej chwili z kieliszkiem bardzo podejrzanego wina w dłoni czytam swoją ulubioną książkę. Przed Zarazą mogłabym wybrać coś z kolekcji Szekspira czy Lorda Byrona (ostro), ale wielcy poeci nie są już dla mnie. A zwłaszcza Poe. Jego mroczna dusza i makabryczne serce są zbyt podobne do moich.

Pukanie sprawia, że odkładam książkę.

Chyląc głowę nad folialem, niespodzianie usłyszałem chrobot, jakby ktoś nieśmiałym palcem skrobał znak na drzwiach[\[10\]](#).

Och, zamknij się, Poe. Nikt nie prosił cię o komentarz.

Chyba tracę rozum.

Wstaję, przenoszę wzrok od wina w dłoni do shotguna opartego o kanapę. Mam dwie ręce, a muszę otworzyć drzwi, więc co powinnam wybrać: alkohol czy broń?

Trudna decyzja. Nocni goście zawsze są podejrzani, a ja mam ostatnio problemy z zaufaniem, ale... wygrywa wino.

Idę otworzyć z kieliszkiem w dłoni.

– Saro.

Upuszczam naczynie, ledwie rejestrując dźwięk rozbijającego się szkła.

W wejściu stoi Zaraza, złote włosy okalają jego twarz. Nie ma na głowie korony, na plecach łuku, a na piersi zbroi. Nawet jego ubranie

jest inne, nie jest czarne i nieskazitelne. Ma na sobie flanelową koszulę i jeansy, a na nogach znoszone ludzkie buty.

– Zaraza. – Nie mogę złapać tchu, serce wali mi jak młotem.

Nie może być prawdziwy.

– Nie jestem już Zarazą – mówi, wciąż na mnie patrząc, ale nie śmie się zbliżyć.

Niemożliwie trudno na niego patrzeć. Wciąż wygląda jak anioł, mimo że ma na sobie ludzkie ciuchy. Czy kiedykolwiek nie będzie przypominał boskiej istoty?

Ale chodzi o coś więcej niż jego niezmacone piękno. Zajęło mi sporo czasu, nim sama przed sobą przyznałam, jak mocno się w nim zakochałam. Zbyt późno zdałam sobie sprawę, że kochałam w nim wszystko – serce, umysł, a także jego istotę. Ale gdy już to sobie uświadomiłam, zaczęło się opłakiwanie, bo go straciłam.

A teraz nie wiem, co począć. Czy zbliżyć się do niego, czy trzymać się na dystans. Nie wiem, z jakimi przyszedł intencjami.

Zostawiłam go... załamane.

Przygryzam wargę.

– Mówili, że zniknąłeś.

Przygląda się mojej twarzy i być może to tylko moja wyobraźnia, ale sprawia wrażenie, jakby próbował zapamiętać moje rysy.

– Potrafię wiele rzeczy, Saro, ale znikanie nie jest jedną z nich.

Po tych słowach odczuwam ulgę. Nie może zniknąć i tak po prostu mnie zostawić.

Odsuwam się na bok, otwierając szerzej drzwi.

– Wejdiesz?

Zerka na mieszkanie za mną, w jego oczach błyszczy zainteresowanie i pożądanie tak mocne, że miękną mi kolana.

Mój jeździec do mnie wrócił.

Wchodzi ostrożnie, szkło chrzęści pod jego butami. Rozgląda się, pochłaniając wzrokiem elementy mojego skromnego życia.

– Gdzie twoje rzeczy? – pytam cicho, gdy zamykam drzwi i ponownie na niego spoglądam. Nie rozstawał się z łukiem dalej niż na odległość

ramienia, korona niemal zawsze zdobiła jego głowę, a złota zbroja sprawiała, że wyglądał nieziemsko, lecz niczego z tego teraz nie ma.

Poddaję się, powiedział.

Obraca się twarzą do mnie.

– Moje zadanie zostało wykonane.

Co to w ogóle oznacza? I dlaczego napęłnia mnie strachem?

– A Trixie? – Jego ogier również spełnił swoje zadanie? To by mnie dobiło.

Zaraza ruchem głowy wskazuje za ramię. Dopiero wtedy udaje mi się oderwać od niego wzrok i wyrzucić przez okno. Na dole w ciemności dostrzegam sylwetkę konia.

Trixie Skillz, wierzchowiec, na którego grzbiecie spędziłam wiele tygodni, węszy w mroku, a jego lejce są okręcone wokół niedziałającej latarni.

Obracam się i zauważam, że Zaraza stoi bliżej, pozerając mnie wzrokiem.

– Jak mnie odnalazłeś? – dociekam.

– Nie dałem ci odejść.

Marszczę brwi.

– Daj spokój, Saro – mówi na widok mojej dezorientacji. – Nie zamierzałem pozwolić ci tak łatwo wymknąć się z mojego życia. Jestem na to za bardzo uparty i zbyt mało szlachetny.

Co on mówi? Śledził mnie przez cały czas, gdy wracałam do domu?

– Poza tym – ciągnie – wciąż dochodziłaś do siebie, a nie wierzyłem, że twojemu kruchemu ciału uda się przetrwać tę podróż.

Nie potrafię nabrać powietrza.

Troszczył się o mnie. Nawet gdy myślałam, że odpuścił, on się nie poddał.

– Jechałeś za mną?

Kiwa głową.

Nie zorientowałam się.

– Dlaczego ani razu się nie pokazałeś?

Patrzy pod nogi.

– Podjęłaś decyzję. Chciałem ją uszanować. – Parska śmiechem, niezadowolony z siebie, kopiąc butem kawałek szkła. – Ale dłużej nie mogłem.

I cieszę się z tego.

– Zatrzymałeś chorobę – mówię.

Patrzy mi w oczy, ale na jego twarzy widać ostrożność.

– Tak.

– Dlaczego? – Wpatruję się w jego oblicze.

W jego spojrzeniu dostrzegam szczerłość.

– Ponieważ miłość wyciąga z ciebie to, co najlepsze.

Z trudem przełykam ślinę. Jeśli ostatnie miesiące były koszmarem, to dzisiejszy wieczór jest cudownym snem, w którym otrzymuję wszystko, czego pragnę.

Ale nie ufam temu wrażeniu. Nauczyłam się, że niektóre rzeczy często są zbyt piękne, by były prawdziwe. Dlaczego jedyne, czego najbardziej pragnę, miałyby poddawać się innej logice?

– Dlaczego w tamtym domu nie powiedziałeś mi, że wyleczyłeś zakażonych? – pytam. Oszczędziłoby nam to miesięcy agonii.

W jego oczach widać ból.

– Miałem wtedy w głowie chaos. Nie... byłem przekonany do swoich działań nawet po tym, jak zacząłem wprowadzać je w życie. Ani po tym, jak pozwoliłem ci odejść. Potrzebowałem tygodni, by pogodzić się ze swoją decyzją. Pierwsze zareagowało serce, a umysł musiał za nim podążyć. – Wyraz jego twarzy staje się zacięty. – Nigdy nie powinienem dać ci odejść. Powinienem być cię posłuchać, porozmawiać z tobą, walczyć o ciebie. Dopiero uczę się, jak skomplikowani są ludzie.

Moje serce bije szaleńczo na jego słowa. Nadzieja rozkwita w moich żyłach, co mnie przeraża, ponieważ to zwiastun rozczarowania, a nie jestem pewna, czy zniosę tego jeszcze więcej.

– A plaga? Odeszła na dobre? – pytam.

Zaraza uśmiecha się ze smutkiem.

– Saro, choroby i epidemie zawsze będą istniały. Nie zdołam tego zmienić, ale plaga zesłana przez Boga już nie zaatakuję. Wypełniłem

swoje zadanie – powtarza.

To zdanie znów napełnia mnie niepokojem.

Bawię się rękawem swojej koszulki.

– Co się teraz z tobą stanie, gdy już wypełniłeś misję? – Jestem dumna, że głos mi nie drży, chociaż reszta ciała właśnie zaczyna.

Niemożliwe, by tak wiele odczuwać. Ekscytację i niepokój. Obawy pozerają mnie od środka. Głównie obawiam się jednak o mojego jeźdźca. Nigdy nie zapytałam go, co się stanie, gdy po prostu przestanie rozsiewać chorobę.

A zapewne powinnam.

Przeszywa mnie spojrzeniem niebieskich oczu.

– Pójdź ze mną, a się dowiesz.

Ból w piersi rozprzestrzenia się, ale w tej chwili odczuwam coś pomiędzy nim a przyjemnością.

– Jest między nami tak wiele – mówię. Tak wiele spraw, z którymi musimy się uporać. Pragnę go tak bardzo, że to aż boli, ale przysięgam, że wydaje mi się, iż to jedyne, czego nie mogę mieć, chociaż naprawił swoje błędy.

Zaraza się zbliża. Delikatnie ujmuje moje dłonie i wpatruje się w knykcie.

– Może nie jestem już Zarazą Zwycięzcą, ale będę walczył o to, czego pragnę, a pragnę ciebie. – Unosi wzrok do mojej twarzy. – Powiedz, że również mnie chcesz.

Stoję na skraju urwiska. Wystarczy, że zrobię jeden krok, a wszystko się zmieni. Wszyściutko.

Ściska moje dłonie.

– Wróć do mnie – prosi. – Cytuj mi Poego czy Byrona, Dickinsona czy Szekspira. Opowiedz o swoich ludzkich historiach, podziel się ze mną wspomnieniami. Pozwól skosztować twojego jedzenia i pić twoje wino. Pozwól uprawiać miłość i tulić cię aż do świtu. Podziel się ze mną swoim życiem.

Stoję nieruchomo, wciąż niepewna, czy to nie jakaś halucynacja. Zapewne niedługo się obudzę.

Zaraza obejmuje moją twarz.

– Myliłem się co do ludzkości. Myliłem się tak wiele razy, jeśli chodzi o ciebie. Wybacz.

Zamykam oczy, ale zaraz je otwieram. Wciąż tu jest, wciąż przygląda mi się ze smutkiem.

– Wróć do mnie, Saro – powtarza. – Proszę.

To przeklęte słowo.

Obraz świata zniekształcają łzy.

– I tak kiedyś umrę – szepczę.

Kiwa głową z powagą.

– Wiem.

– I nie przeszkadza ci to?

Gładzi kciukiem mój policzek.

– Saro, nie wiem, ile minut dostaniemy, ale jestem pewien, że wszystkie chcę spędzić z tobą.

Serce kołacze mi w piersi.

Patrzę w anielską twarz i te smutne, poważne oczy. Naprawdę powinien być aniołem – a może nim jest, jeśli one istnieją. Nie wiem. Nie mam pojęcia o wielu sprawach, prócz tego, że radość to taka dziwna rzecz, i że czuję ją przy nim teraz, tak jak odczuwałam setki razy wcześniej, gdy dzieliliśmy wspólne chwile.

Obejmuję go w pasie.

– Skoro nie jesteś już Zarazą Zwycięzcą, jak mam cię teraz nazywać? – pytam, lgnąc do niego.

Uśmiecha się nieśmiało.

– „Ukochany” brzmi całkiem dobrze.

– Dobrze, ukochany – mówię, zauważając jego nikły uśmiech, gdy wypowiadam to słowo. – Wszystkie pozostałe mi minuty są twoje. Ja jestem twoja.

Następuje moment, gdy to jeszcze do niego nie dociera. Oczy mojego jeźdźca wciąż są udręczone, wygląda, jakby gdzieś w Waszyngtonie całkowicie opuściła go nadzieja. Zaraz jednak rejestruje moje słowa i zmienia się cała jego twarz.

Najpierw jaśnieje jego wzrok i unoszą się brwi, po czym pojawia się uśmiech, będący w stanie przyćmić nawet słońce.

Przysuwa się i przywiera do moich ust. Pocałunek jest zarówno końcem, jak i początkiem.

[10] Edgar Allan Poe, *Kruk*, przeł. Stanisław Barańczak.

ROZDZIAŁ 54



Chciałabym powiedzieć, że od tej chwili wszystko jest jak w pięknej, zapierającej dech w piersi bajce. Chciałabym powiedzieć, że wciągam nieśmiertelnego Zarazę do sypialni i mierzwimy pościel.

Chciałabym powiedzieć milion rzeczy, by to ulepszyć, ale to byłaby zupełnie inna historia.

Początkowy pocałunek przechodzi z czegoś słodkiego do dzikiego i desperackiego. Zaraza jest moim powietrzem, a ja nie oddychałam od wielu miesięcy.

Przesuwam palce do guzików jego flanelowej koszuli, ale ręce tak mocno mi się trzęsą od pożądania oraz adrenaliny wywołanej całą tą sytuacją, że nie potrafię rozpiąć ani jednego.

Jeździec przesuwa mnie pod ścianę, ocierając się o mnie biodrami.

– Bardzo za tobą tęskniłem – mówi pomiędzy pocałunkami. – Miłość jest nie do zniesienia, gdy się psuje.

Ale, co jest cudem nad cudami, ta się nie zepsuła. Być może wyrzeźbiła nas od środka, ale okazało się, że nie zmieniła nas w potwory. Powstrzymałam Zarazę przed zagładą świata i uczyniło mnie to wystarczająco silną, aby odejść od niego, gdy nie był mnie godny.

Ale sprawiła też, że do niego wróciłam.

Ponownie biorę się do rozpinania jego guzików, gdy zdejmuje mi koszulkę. Reszta naszych ubrań szybko idzie w jej ślady i prowadzę Zarazę do mojej sypialni.

Migocze tu tylko mała lampa naftowa – ona i, cóż, dziwne tatuaże mojego jeźdźca, które nie wyblakły w najmniejszym stopniu.

Dotykam ich z czcią, gdy Zaraza kładzie mnie delikatnie na łożku.

– Wciąż tu są – mówię.

Całuje mnie w usta, policzek, ucho.

– Oczywiście, że są, Saro. Nie mogą ze mnie spełznąć.

Obracam się i śmieję przy jego ustach.

– Ziemia sprawiła, że stałeś się wygadany.

– Ziemia dała mi bystrą kobietę, która sprawiła, że stałem się wygadany.

Przesuwa rękę na moją pierś, więc sapię, gdy pieści miękkie ciało.

Zaraza miał rację, mówiąc, że miłość jest nie do zniesienia. Nie mam pojęcia, jak przetrwałam tak długo bez jego dotyku.

Obejmuję go nogami, pragnąc – potrzebując – więcej.

– Minęło tak wiele czasu – szepczę, gdy do oczu napływają mi łzy.

O Boże, zaraz się rozplączę. Mamy się bzykać, a mi chce się beczeć.

Ale Zaraza tu jest, przyciska usta do kącika mojego oka, następnie do drugiego.

– Za wiele – zgadza się. – Ale już koniec. Smutek nie jest już potrzebny, Saro. Twój ludzie są bezpieczni, a ty znajdujesz się w moich ramionach.

Przesuwa usta niżej, zbyt zajęty smakowaniem mojego ciała, by mówić te wszystkie ładne rzeczy. Zapewne tak jest lepiej, ponieważ czuję mocny ucisk w podbrzuszu.

Całuje moje piersi, biorąc w usta najpierw jeden sutek, potem drugi. Wiję się pod nim, gdy jego pieszczoty rozpalają we mnie ogień.

I przez cały czas jego członek pali przy moim udzie. Nie rozumiem, skąd w nim cierpliwość do gry wstępnej. Zawsze byłam dzieckiem, które odnajdowało prezenty świąteczne, zanim te zostały zapakowane, więc... może jeśli chodzi o przyjemności, jestem po prostu niecierpliwa.

Zaraza odsuwa się, aby nas ułożyć. Przez chwilę wygląda, jakby był podświetlony – lśnią jego złote włosy, ciało błyszczy w ciemności. W tym momencie jest niebiańską istotą. Chwila ta jednak mija i ponownie jest

mężczyzną.

Wchodzi we mnie, jego członek jest gruby, a nacisk wyśmienity. Czuję go wszędzie.

Mój jeździec wzdycha, wpatrując się we mnie pięknymi, tragicznymi oczami.

– Boże Wszechmogący – szepcze.

Gdybym nie była teraz tak rozemocjonowana, rzuciłabym uwagę o wymawianiu imienia Pana nadaremno (nauczył się tego ode mnie). Mogłabym się nawet roześmiać, rozkoszując tym intensywnym połączeniem z nim.

Zamiast tego obejmuję jego wspaniałą twarz.

– Kocham cię – szepczę. Musi to usłyszeć. Muszę to wyznać. Te słowa zbyt długo czekały uwięzione za moim mostkiem.

Porusza się we mnie, patrząc mi w oczy.

– Ja też cię kocham, Saro Burns.

A potem pokazuje jak bardzo.

Po wszystkim leżymy splątani w pościeli. Mogłabym tak zostać na zawsze, przyciskając policzek do jego piersi, nasłuchując bicia jego serca.

Głaszcze mnie po plecach.

– Jest coś, co zatrzymałem – mówi. – Coś ze zbroi i korony. Chcesz zobaczyć?

Kiwam głową, choć tak naprawdę nie mam pojęcia, o czym mówi. Jestem po prostu niezwykle szczęśliwa i mogę myśleć tylko o tym, że Zaraza znajduje się w moich ramionach.

Ostrożnie obraca się na bok, wstaje z łóżka i idzie do salonu. Nie wiem, co szykuje.

Zakrywam się i siadam, gdy Zaraza wraca do sypialni. Klęka koło łóżka i unosi zaciśniętą pięść. Rozprostowuje po kolei palce i widzę małą obrączkę.

Jego oczy błyszczą.

– Wyjdź za mnie, Saro. Proszę.

Dech więźnie mi w gardle, gdy wpatruję się w obrączkę, która wygląda

niemożliwie idealnie.

Została wykonana z jego złotego pancerza.

Chyba to właśnie miał na myśli, mówiąc, że zatrzymał coś z korony i zbroi.

Patrzę mu w oczy. I się uśmiecham.

– Tak.

Zamierzam poślubić jeźdźca Apokalipsy.

Wyciągam rękę, aby wsunął obrączkę na jeden z trzęsących się palców.

Zamierzam wyjść za Zarazę.

– Czekał – wołam nagle.

Mój jeździec unosi brwi.

– Czekać? – powtarza z niedowierzaniem. – Masz... wątpliwości?

Widzę, że ma dużą trudność z wypowiedzeniem ostatniego słowa.

– Nie, ale... Chcę nazywać cię jakoś inaczej niż Zaraza. Nie tylko „ukochany”, pragnę, żebyś miał prawdziwe imię.

Na dobre i złe jest człowiekiem. Musi mieć normalne imię.

– Chcesz mnie nazwać jak Trixiego? – pyta zupełnie poważnie.

Boże, nie. Zupełnie nie tak.

– Eee, chcę, żebyś miał ludzkie imię.

Od razu żałuję, że powiedziałam „ludzkie” – bo zawsze go to denerwowało. Zaraza jednak nie wygląda na zrażonego tym pomysłem.

Właściwie wygląda na... zaintrygowanego.

Rozmyśla nad tym przez chwilę, nim mówi:

– Dobrze.

– Dobrze? – pytam.

Poważnie, to aż tak proste?

Śmieje się nieco z powodu mojej miny.

– Przyznaję, że myślałem nad tym, odkąd się rozdzieliliśmy.

Ostatnio, gdy rozmawialiśmy, nie wierzył w imiona. Był tylko Zarazą. Był swoim zadaniem i każdy miał o tym wiedzieć. Gdzieś w ciągu ostatnich dni, gdy nie było mnie przy nim, zmienił zdanie.

– A jak chciałbyś, by cię nazywano? – pytam.

Kciukiem obraca obrączkę na moim palcu.

– Victor – mówi, a na jego twarzy gości niewielki uśmiech.

Unoszę brwi. Nie wiem, czego się spodziewałam. Przecież Victor nie jest ani trochę mniej odpowiedni niż Bill czy Joe. Chodzi o to, że Victor... to takie normalne imię. A nie spodziewałam się niczego normalnego.

Powinnam się cieszyć, że nie zdecydował się na Elmera czy Wolfganga.

– Victor – powtarzam, uśmiechając się, gdy na niego patrzę. Podoba mi się. Bardzo. – Jest idealne.

Uśmiecha się szeroko.

– Co sprawiło, że je wybrałeś? – dociekam.

Wraca do łóżka i ponownie bierze mnie w ramiona. Roztapiam się w jego wspaniałym cieple.

Wciąż zdaje mi się, że to sen. Przestaną mieć takie wrażenie? Obudzę się pewnego dnia i nie będę zdumiona siłą natury, w której się zakochałam?

– Victor po łacinie oznacza zwycięzcę, prawda? – mówi z dumą.

Spinam się.

Z jego piersi wrywa się śmiech.

– Nie martw się, droga Saro – mówi. – Nie zamierzam trzymać się przeszłości. – Bierze mnie za rękę i kładzie ją sobie na sercu. Czuję jego równy rytm.

– Wolę być raczej twoim zwycięzcą. Widzisz, przyszedłem podbić tę ziemię i ludzi – wyjaśnia – ale zamiast tego podbił mnie człowiek.

Wiem, że moje spojrzenie mięknie. To dobry powód – nie, świetny, taki, przez który podwijam palce u stóp.

Przyciągam go do siebie i całuję, poruszając leniwie wargami.

Kiedy kończę, pytam:

– Co teraz?

– Wyjedziemy. Albo zostaniemy i będziemy mieć nadzieję, że świat nauczy się tego, czego ja się nauczyłem. Tak czy inaczej, zrobimy to razem i będziemy robić przez wszystkie te chwile, które nam pozostały.

EPILOG



Rok dziesiąty Ery Jeźdźców

Słońce zachodzi, Victor opuszcza książkę, jej grzbiet trafia na moje nogi, które trzymam na jego kolanach.

Patrzę na nią znad własnej lektury, ale zaraz przenoszę wzrok na jego pobladłą twarz.

– Co się stało?

Victor ostrożnie zdejmuje z siebie moje nogi i wstaje. Przechodzi kilka kroków, nim opiera się ciężko o najbliższą ścianę.

Zaniepokojona odkładam książkę. Muszę niemal wykopać sobie ścieżkę przez niezliczone dziecięce zabawki, by się do niego dostać.

– Co się dzieje? – dopytuję.

Ma zawał serca?

Czy to w ogóle możliwe?

Kiedy patrzy mi w oczy, dostrzegam w nich starą, znajomą udrękę.

– Powstrzymałaś mnie lata temu, Saro, ale obawiam się... – Urywa, rozglądając się po sporym balkonie z widokiem na Ocean Spokojny. – Nie mogę powstrzymać braci.

Przeszywa mnie dreszcz. Od miesięcy nie poruszał tego tematu. Wywołał go nagle i to tak złowieszczo...

Victor wychodzi, kierowany siłą, której nie potrafię wyczuć. Nie mogę zrobić nic poza pójściem za nim.

Staje na krawędzi balkonu i zaciska palce na balustradzie tak mocno, że słyszę, jak drewno zaczyna trzeszczeć. Niesamowita jest myśl, że te same ręce mogą zrobić coś takiego, a także tulić mnie delikatnie.

– Koło przeznaczenia zostało wprowadzone w ruch – oznajmia. – Wciąż obraca się bez mojej pomocy.

Pomimo niepokoju, który odczuwam, głaszczę go po ręce. Pod wpływem mojego dotyku rozluźnia palce.

– Czuję to – mówi, nie patrząc mi w oczy. Omiata wzrokiem krajobraz.
– Mój brat się budzi.

Trzęsę się.

– Co?

Nie patrzy na mnie, jego sylwetka jest sztywna.

– Módl się za świat, droga Saro. Nadchodzi Wojna.

PODZIĘKOWANIA



Niektóre pomysły na książkę są cierpliwe – niektóre nawet nieskore. Istnieją też inne, jak ten na *Zarazę*, który po prostu się ze mnie wylał. Ta powieść to efekt wielu bezsennych nocy i kilku miesięcy gorączkowego pisania. A jednak, pomimo całej tej ekscytacji, ta książka nie byłaby taka, jaką jest teraz, bez pomocy kilku wspaniałych osób.

Przede wszystkim dziękuję mojemu mężowi, który od zawsze był moim największym fanem (poza tym, że dosłownie jest najlepszym człowiekiem na świecie). Wyjątkowe podziękowania dla mojej małej Biedroneczki, która zapewne zrobiła najwięcej, bym nie spisała tej historii (wiwat praca na pół etatu), ale której istnienie wciąż jest tak szalenie zadziwiające i wspaniałe, że stała się dla mnie inspiracją.

Podziękowania dla Lei Stone – wiesz za co. Shannon Mayer dziękuję za wykorzystanie umysłu podczas naprawdę nudnych poszukiwań potrzebnych mi informacji. Jesteście najlepsze.

Dziękuję wszystkim autorom, którzy okazali zainteresowanie moją książką – Grace Draven, Scarlett Dawn, Amber Lynn Natusch, Kelly St. Clare, Lindzie Lee i wielu innym – poważnie, wszyscy sprawiacie, że się pocę, gdy kończę poprawianie tekstu uczycie mnie pokory.

Podziękowania dla konsultantek i osób, które oceniły kopie recenzenckie, dla moich promoterek i wszystkich tych cudownych blogerów i bookstagramerów, którzy obdarzyli moją książkę tak wielką miłością. Dziękuję z całego serca Wam wszystkim.

Na koniec dziękuję Tobie, Czytelniczko i Czytelniku. Doceniam, że dotarliście aż tutaj, do końca mojego posłowia. Mam nadzieję, że czytanie historii tych postaci cieszyło Was tak samo, jak mnie ich opisywanie.

O AUTORCE



Znaleziona za młodu w lesie, Laura Thalassa wychowywana była przez elfy, została porwana przez wilkołaki i oddana wampirom w ramach spłaty stuletniego długu. Dwukrotnie została przywrócona do życia i zbudzona z wiecznego snu dzięki pocałunkowi prawdziwej miłości. W tej chwili żyje szczęśliwie ze swoim nieumarłym księciem w zamku w lesie...

...czy coś w tym stylu.

Kiedy nie pisze, Laura pałaszuje guacamole, gromadzi czekoladę, przygotowując się na apokalipsę, lub leży zwinięta na kanapie z dobrą książką.

SPIS TREŚCI



Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

Cytat

PROLOG

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

[ROZDZIAŁ 15](#)
[ROZDZIAŁ 16](#)
[ROZDZIAŁ 17](#)
[ROZDZIAŁ 18](#)
[ROZDZIAŁ 19](#)
[ROZDZIAŁ 20](#)
[ROZDZIAŁ 21](#)
[ROZDZIAŁ 22](#)
[ROZDZIAŁ 23](#)
[ROZDZIAŁ 24](#)
[ROZDZIAŁ 25](#)
[ROZDZIAŁ 26](#)
[ROZDZIAŁ 27](#)
[ROZDZIAŁ 28](#)
[ROZDZIAŁ 29](#)
[ROZDZIAŁ 30](#)
[ROZDZIAŁ 31](#)
[ROZDZIAŁ 32](#)
[ROZDZIAŁ 33](#)
[ROZDZIAŁ 34](#)
[ROZDZIAŁ 35](#)
[ROZDZIAŁ 36](#)
[ROZDZIAŁ 37](#)
[ROZDZIAŁ 38](#)
[ROZDZIAŁ 39](#)
[ROZDZIAŁ 40](#)
[ROZDZIAŁ 41](#)
[ROZDZIAŁ 42](#)
[ROZDZIAŁ 43](#)
[ROZDZIAŁ 44](#)

ROZDZIAŁ 45

ROZDZIAŁ 46

ROZDZIAŁ 47

ROZDZIAŁ 48

ROZDZIAŁ 49

ROZDZIAŁ 50

ROZDZIAŁ 51

ROZDZIAŁ 52

ROZDZIAŁ 53

ROZDZIAŁ 54

EPILOG

PODZIĘKOWANIA

O AUTORCE

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: Pestilence

Copyright © 2018 by Laura Thalassa
Copyright for the Polish edition © 2019 by Wydawnictwo FILIA

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2019

Projekt okładki: © Anna Szkatulska

Redakcja, korekta, skład i łamanie: Editio

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-811-7

FILIA

Wydawnictwo FILIA
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl